

Kathleen Rowntree

Przyjaciółki

Część pierwsza
PAŹDZIERNIK

Rozdział 1

Nic w kuchni Tessy Brierly nie zapowiadało trzęsienia ziemi ani nagłego wzrostu napięcia elektrycznego czy też przetoczenia się przez nią fali przyływu. Słońce nadal lśniło w białych i niebieskich talerzach, ustawionych na kredensie, i wprawiało w taneczny ruch drobinki kurzu, unoszące się nad krzywo ułożonymi chodnikami, przykrywającymi kamienną posadzkę. Z hallu dobiegało niewzruszone tykanie zegara w wysokiej, oszklonej szafce, a gdzieś z góry dochodziło dudnienie odkurzacza, który pani Cloomb ciągnęła po drewnianej podłodze ku kojącej ciszy dywanu.

Również w zachowaniu dwu znajdujących się tam kobiet nie znać było śladów jakiegokolwiek niepewności czy niepokoju. Tessa, stojąca przy ogromnym stole z sosnowego drewna, nalewała kawę i gdy wyciągnęła przed siebie kubek, Maddy sięgnęła po niego, spokojnie pochylając się nad spoczywającym na jej kolanach kotem. Potem Maddy na powrót opadła na bujany fotel z drewna, a Tessa zaniósła swój kubek na dębową ławę i podłożywszy rękę pod plecy usiadła wygodnie, zakładając nogę na nogę.

Tak się nieodmiennie sadowiły przy kawie w Holly House. Maddy mówiła z ożywieniem, a Tessa słuchała. I to też należało do zwyczaju, gdyż Maddy aktywnie uczestniczyła w życiu wioski i znała wszystkie ploteczki, Tessa zaś większość czasu spędzała w swej pracowni na strychu i od przyjaciółki dowiadywała się najnowszych wieści.

Kiedy na ulicy zastukały kopyta i amazonka, Celia Westbrook, bez żenady zajrzała przez okno do środka, Maddy przerwała na chwilę, by powiedzieć: „... szanowanie, pani dziedziczko” i zrobić ruch, jakby szarpnęła niewidoczny pukiel włosów nad czołem. Tessa parsknęła śmiechem, jak czyniła to zawsze, rozbawiona dowcipem przyjaciółki. Z kolan Maddy podniósł się kot, wygiął grzbiet, wyprężył ogon i znowu umościł się na swym miejscu. Wokół było cicho i zwyczajnie.

„Tak mógłby wyglądać każdy poranek w ciągu tych dziesięciu lat - pomyślała Tessa. Oto dwie przyjaciółki, bliskie przyjaciółki - dodała - piją razem kawę w kuchni”. Lecz serce jej tłukło się w piersiach, jakby się strasznie zdenerwowała. A przecież była to tylko zwykła uwaga. Niosła właśnie kawę na stół, gdy Maddy wypowiedziała te słowa: „Ależ Paul ma cholernego pecha”. Stawiając tacę Tessa uczuła

w głowie nagłą pustkę, potem ogarnęło ją idiotyczne oszołomienie, aż wreszcie - gdy naląła kawę, a Maddy wychodziła ze skóry, by zmienić temat - zbudziła się w niej podejrzliwość. Skąd wie? - zastanawiała się gorączkowo. Ręka jej nie drgnęła, lecz serce waliło, jakby miała dostać zawału, a w ustach czuła przykrą suchość. Odpowiedź na to pytanie znajdowała się tuż pod bokiem, trącała ją niemal w łokieć, lecz Tessa nie chciała jej dostrzec.

Maddy zaś, nie przerywając swej relacji o kłótni pani Burrows z panią Frogmorton, pomyślała: „Chryste, wypaplałam. Domyśliła się. Boże, chyba się domyśliła.”

Kiedy Maddy wyszła, Tessa zaniósła tacę z kubkami do zmywalni, napuściła wody do miski i zaczęła myć naczynia. Niebawem już tylko bezwładnie trzymała ręce w wodzie, wzrokiem zaś powędrowała do okna nad zlewem. W jesiennym ogrodzie, na grządce po murem, rosły jeszcze róże, kłębiąc się różową masą na sklepieniu altanki. Jeśliby wspięła się na palce i spojrzała w lewo, mogłaby dojrzeć fuksje, płożące się po kamiennych stopniach aż do wejścia. Często otwierała drzwi z tyłu domu, by popatrzeć na taką osobliwość o tej porze roku, lecz teraz nie była w stanie poruszyć się ani o milimetr; jej wzrok przykuły różowe róże.

Gdy nabiegłe łzami oczy nie widziały już pąków, nie zwróciła na to uwagi, gdyż jej umysł zaczął rozpamiętywać każdy najdrobniejszy szczegół zdarzeń oraz rozmów, które miały miejsce, odkąd Paul wczoraj późnym popołudniem zadzwonił z wiadomością. Głos syna brzmiał ponuro:

- Mamo, wypadłem z turnieju. Zwichnąłem lewą nogę w kolanie. Założyli mi gips.

- Och, Paul! Jak to się stało?

- Musiałem stanąć na jakimś występie. Będzie się goiło w nieskończoność. No nie, w końcu da się wyleczyć. Jestem tylko strasznie wkurzony. Powiedz tacie, dobrze? Rzecz jasna, nie wystąpię w drużynie podczas meczu z jego klubem w przyszłą sobotę.

- Ojciec będzie zawiedziony. Podobnie jak ja - dodała nieszczerze, czując niestosowną w tym przypadku matczyną ulgę na myśl, że dla jej syna sezon uniwersyteckich rozgrywek rugby już się skończył.

Właśnie miała włożyć risotto do piecyka, gdy zadzwonił Nick. Wiedziała, że to mąż, zanim jeszcze podniosła słuchawkę. Od jakiegoś czasu często dzwonił, by zawiadomić, iż wróci późno.

- Przepraszam, kochanie. Nie kłopotz się obiadem dla mnie. Przegryzę coś w pubie. Jadę dziś wieczorem do szpitala. Muszę zobaczyć się z Colinem w sprawie jakichś ważnych papierów.

- Uważasz, że wypada zawracać Colinowi głowę?

- Do diabła, Tesso, idzie o interes wydziału. Colin jest ostatnim człowiekiem, który pragnąłby osłabienia naszej pozycji.

Już miała powiedzieć: „Pozdrów ode mnie Golina”, gdy uświadomiła sobie, że cała rozmowa jest prawdopodobnie kamuflażem, a planowana wizyta u Colina wymysłem, za którym kryje się ostatnia przygoda Nicka. W zamian opowiedziała mu o wypadku Paula w czasie gry w rugby.

- Biedny chłopak! Żył szansą zagrania w najbliższym turnieju. Musimy coś wymyślić, żeby poprawić mu humor. Pogadamy o tym później. Nie czekaj na mnie - dorzucił na końcu zupełnie niepotrzebnie.

Tessa przełożyła część risotta do mniejszego naczynia, wsunęła je do piecyka, a resztę przykryła folią i schowała do lodówki. Następnie usiadła w drewnianym bujanym fotelu ze szklanką czerwonego wina w ręce i czekając aż obiad będzie gotowy zastanawiała się, kim jest aktualna szczęściara. Studentką? Świeżo przyjętą na studia dziewczyną, która zlekceważyła ostrzeżenia przed zbyt przystojnym starszym wykładowcą na wydziale psychologii? Nową sekretarką, porażoną jego urokiem? Czy też osobą przygodnie poznaną w czasie jednej z podróży, jak owa stewardessa, z którą leciał na konferencję do Bostonu. Wkrótce się dowie. Nickowe skoki w bok zazwyczaj trwały krótko. Nękany wyrzutami sumienia czuł potrzebę drobiazgowych wyznań. Kiedyś podobne epizody doprowadzały ją do rozpacz. Teraz tylko irytowały.

To niezupełnie tak, skorygowała swoje myśli, odstawiając szklaneczkę na stół, by dogłębniej rozważyć sprawę. Jej żalodne domysły wytrącały ją z równowagi, lecz pod warstwą irytacji krył się głęboki ból. Przypomniała sobie, jak którejs nocy, gdy Nick ze złamanym sercem złożył jej kolejne wyznanie, leżeli trzymając się za ręce jak dwoje małych dzieci, lękających się straszego ducha. Płakali wtedy oboje, obawiając się, że to się może powtórzyć, ponieważ

wydawało się trudnością nie do pokonania, pocieszając się, że przetrwają takie chwile, obiecując sobie, iż podobne historie nigdy ich nie rozłączą. Mieli świadomość wiążącej ich niezniszczalnej nici, którą utkał czas, i dzięki temu czuli się bezpieczniej.

Niekiedy Tessa wyobrażała sobie komentarze znajomych z uniwersytetu, wiedzących, co wyprawia jej mąż, lecz zawsze starała się odsunąć od siebie te przykre myśli. To wyłącznie nasza sprawa - mówiła stanowczo. Naturalnie, w pewnym sensie uczyniła ją także sprawą Maddy, zwierając się jej tak całkowicie. Opowiadając o wszystkim przyjaciółce czuła się pewniej.

Risotto zdażyło się już przypalić na brzegach, nim przypomniała sobie, że trzeba wyjąć je z piecyka. Zjadła trochę, po czym przeszła do salonu i włączyła telewizor. Jak zwykle nie nadawali nic ciekawego, a Tessa po nieprzerwanej pracy w swym malarskim studiu, od śniadania aż do telefonu Paula, była zbyt zmęczona, by czytać. Zapragnęła opowiedzieć wszystko Maddy. Ona bowiem należała do kobiet, które - wysłuchawszy nawet najgorszych rzeczy o mężu przyjaciółki - dalej potrafią patrzeć mu śmiało w oczy i zachowywać się jak dobry kumpel. Jej reakcje były rozsądne. Nie nalegała, by Tessa rozwiodła się ani też odpłaciła Nickowi tą samą monetą, a jej ocena sytuacji (należy przyjaciółkę uścisnąć ze współczuciem, podać chusteczkę lub też parsknąć śmiechem i wyciągnąć whisky) bywała zazwyczaj trafna. Wyżalenie się przed Maddy zawsze podnosiło Tessę na duchu.

Na nieszczęście telefon odebrał Robert, mąż Maddy. Tessa nie zdziwiła się słysząc jego głos, gdyż już nakręcając numer Storrów uświadomiła sobie, że nie ma jeszcze dziewiątej, a każdy wieczór Maddy wypełniony jest do ostatniej minuty. Działa przecież w Klubie Kobiet, radzie parafialnej, Kole Przyjaciół Kościoła w Wychwood, a także bierze udział w każdym zebraniu dotyczącym problemów wioski. Zeszłego wieczoru Tessa dowiedziała się, że Maddy wróci do domu późno.

- Jest na kursie pisania powieści w Fetherstone, a potem ma iść ze znajomymi na drinka - powiedział Robert.

- Jasne, zapomniałam. Nieważne, to nic pilnego.

- Przyjdziecie z Nickiem na kolację dożynkową? Mamy jeszcze mnóstwo biletów.

- Ja na pewno tak. Nick też, jeśli dokądś nie wyjedzie.

- Tak czy tak, wybierz się razem z nami.

- Dziękuję, Robercie. Zadzwońię do Maddy rano. Nalała sobie drugą szklaneczkę wina i z przyjemnością pomyślała o kawie, którą wypiją wspólnie z Maddy. Wyobraziła sobie, jak przyrządza aromatyczny napój (podczas gdy Maddy opowiada jakieś ploteczki), po czym nalewa go, rozsiada się i zaczyna: „Wiesz co? Nicka chyba znowu wzięło.” Potem padną szczegółowe pytania Maddy i wyważone odpowiedzi Tessy, aż wreszcie Maddy odstawi swój kubek, by dać jej do zrozumienia, że poświęci przyjaciółce tyle czasu, ile będzie trzeba. Sama tylko wizja tej sceny przyniosła jej pociechę.

Spała już, gdy wrócił Nick. Rano budzik zerwał ich o szóstej. Przez pół godziny Tessa kręciła się jak oszalała, by spakować męża, podać mu śniadanie i odwieźć na lotnisko. Zaciągając suwak kurtki popędziła do stodoły, uruchomiła silnik i wyprowadziła samochód. Nick zatrzasnął za sobą frontowe drzwi i zbiegł ze schodów.

Do tego momentu myśli jej gnały niepowstrzymanie. Teraz zwolniły bieg. Pamiętała, że krótką podróż do krańca wioski przebyła ociągając się, jakby pełzła przez mgłę. Wychwood wyglądało jak wymarłe; wysokie murowane budynki i stłoczone domki z kamienia - tak miłe dla oka w blasku słońca - sterczały sztywno w przesiąkniętym wilgocią, chłodnym powietrzu niczym kopalniane szyby na wrzosowiskach. Czarne cisy przed dziedzińcem kościoła groźnie pięły się nad ulicą i nawet oświetlone okno w jednym z domków jaśniało niepokojąco, bardziej jak ostrzeżenie niż oznaka istnienia. Codzienne życie wioski objawiło się im wybuchając gwałtownie. Samochód marki Jaguar śmignął obok pędząc z The Glebe - małej miejscowości zamieszkaney przez lokalną kadrę kierowniczą, położonej u zbiegu dróg, łączących miasteczko z Dworem. Tessa nacisnęła hamulec. Nick zaklął. Przywykł, że tak wczesnym rankiem ma szosę dla siebie - pomyślała. Na farmie dworskiej pastuch owiec przechodził właśnie przez podwórko, a dziewczyna roznosząca gazety otwierała bramę jednego z domków. Tessa akurat machała przyjaźnie dziewczynie, gdy Nick odezwał się: „Ależ Paul miał cholernego pecha”.

Zaprzestała wspominać. Do tego punktu dążyła. Głos Nicka i Maddy oraz ich słowa: „Ależ Paul miał cholernego pecha”. Czyżby dziwnym zbiegiem okoliczności użyli tego samego zwrotu, co nasunęło jej ów groteskowy pomysł? Groteskowy i nieprawdopodobny. Jednakże skąd Maddy mogła wiedzieć o wypadku Paula, jeśli nie od Nicka? Może natknęli się na siebie przypadkiem,

całkiem niewinnie, choć Maddy miała zajęcia w Fetherstone, a Nick rzekomo spędził wieczór trzydzieści parę mil dalej, w mieście. A jeżeli się spotkali, dlaczego Maddy nic jej nie powiedziała?

- Chyba oszalałam - rzekła sama do siebie, szorując dzbanek do kawy. - Ani chybi musiałam coś przeoczyć.

W drzwiach stanęła Dolly Cloomb.

- Eee... - zaczęła i urwała. Tessa omal nie wyskoczyła ze skóry. - Skończyłam. Pani łóżko było kompletnie skotłowane. Znowu leżał na nim pies. Próbowałam go przesunąć, ale na mnie warczał.

- Przepraszam, pani Cloomb. Wcześniej dziś wstałam i tak się z mężem śpieszyliśmy, że nie zdążyłam posłać łóżka.

- Miała też pani zamieszanie z gośćmi.

- Była tylko pani Storr - oznajmiła Tessa. - Właściwie to żaden gość - po prostu stara przyjaciółka. Wszyscy w wiosce dobrze ją znają.

- Uhm - mruknęła Dolly.

Tessa wytarła ręce i pośpieszyła do kuchni po portmonetkę.

- Urwis coraz bardziej kapcanieje - zauważyła. - Wezmę go później na porządny spacer, żeby się trochę ożywił. Dziękuję, pani Cloomb. Do zobaczenia w czwartek. - Odemknęła zasuwkę i otworzyła drzwi.

- Bardzo słusznie, złotko - powiedziała Dolly, po czym zawiązała chustkę pod brodą, podniosła torbę na zakupy i zeszła po schodach na ulicę, gdzie już czekała na nią przyjaciółka, Rose Fettle.

Rozdział 2

- Długo ci zeszło - rzekła Rose, gdy Tessa zamknęła drzwi. - Przetrzymała cię z dziesięć minut.

- To przeze mnie. Zapomniałam, która godzina, tak mi nasz Artur siedzi w głowie.

- Aha. No chodź, bo zamkną. Umieram z głodu. Wzięły się pod rękę i skręciły w prawo, w drogę między dwoma szerokimi pasmami murawy, znanymi jako Błonia. Każdego ranka w poniedziałki, środy i piątki sprzątały wspólnie u Westbrooków we Dworze i uznawały to za swoją właściwą pracę. Gdyby pani Westbrook zażądała, porzuciłyby zajęcia pośledniejszej natury (Dolly w Holly House, Rose na Probostwie), by pośpieszyć jej z pomocą - oskubać upolowane ptactwo albo też doprowadzić dom do porządku po hucznym przyjęciu. Było to bardzo kłopotliwe dla Tessy i Eleanor Browne, siostry proboszcza, lecz nie miały wyboru.

Rose pchnęła drzwi miejscowego sklepu i oniemiała wprost z wrażenia. Brenda Varney - stojąca za drucianym przepierzeniem w tej części lokalu, gdzie mieścił się urząd pocztowy i zajmująca się paczką Maddy Storr - zdębiała również w pierwszej chwili, po czym zawołała nerwowo:

- Dzień dobry paniom.

Widok Rose Fettle i Madeleine Storr, jednocześnie przebywających w jej sklepie, wytrącił ją z równowagi. Przypomniał jej bowiem o straszliwym incydencie sprzed ponad dziesięciu lat, kiedy to pani Storr - jak wówczas nazywano Maddy, będącą nowym przybyszem o niejasnej pozycji społecznej - stała przy ladzie, zdumiewając się niewiarygodną liczbą ludzi, mieszkających na kupie w rzędzie domków pod numerami od jednego do pięciu, które obecnie składały się na jej obszerną willę, Jasmine Cottage. Storrowie zakupili od właściciela, pułkownika Westbrooka, szereg przylegających do siebie, pustych i zrujnowanych pomieszczeń i przebudowali je na jedno przestronne domostwo. Nieznana nowo przybyłej, dawna mieszkanka domku pod numerem trzecim w osobie Rose Fettle czekała również w kolejce do lady i chłonęła każde słowo. Potem Brenda zastanawiała się, jakim cudem zdołała uniknąć nieprzyjemnego wypadku, obsługując w tym czasie maszynę do krojenia bekonu.

Maddy odwróciła się.

- Dzień dobry, Rose. Witaj Dolly - rzekła uprzejmie. (Miała przyjacielski stosunek do wszystkich i mniej zrażała ją gburowatość sfer niższych niż rezerwa wyższych. Skoro ludzie chcą zachowywać się dziwnie - ich sprawa). - Brenda zaraz będzie wolna. Usiłujemy dojść, ile kosztuje znaczek do Meksyku - dodała.

- Mnie się nie śpieszy - oświadczyła Rose, odwracając się, by obejrzeć zestaw zup w puszkach. - Dolly, chcesz zupę indyjską?

- Może być.

- I pączka? Ja stawiam.

- Taak? Masz dobre serce, Rose.

- Zobaczymy się wieczorem - zawołała Maddy, kierując się do wyjścia.

Przytaknęły jej ze zróżnicowanym entuzjazmem. Wtorkowe wieczory w Wychwood poświęcone były bowiem tradycyjnie sprawom Klubu Kobiet.

- Chodź tu, ty mały draniu - wrzasnęła Tessa, stojąc w kuchennych drzwiach i wsuwając głowę do holu.

Następnie poszła do zmywalni, by przynieść stamtąd kalosze. Gdy przyczłapała z powrotem w samych skarpetkach, Urwis pojawił się w drzwiach; stał na stopniu z łbem przechylonym na bok i pytająco uniesionym uchem. Czarny, kudłaty, o kształtach daleko odbiegających od ideału, był możliwie najmniej szczęśliwym rezultatem nieplanowanego zejścia się suki cairn - terrier, należącej do ciotki, z małym czarnym pudlem sąsiada. Po ojcu odziedziczył niezwykłą zawziętość. Pomiedzy dziewiątym a osiemnastym miesiącem życia doprowadzał do szału wszystkich domowników swym bezlitosnym ujadaniem przy drzwiach wejściowych i bramie do ogrodu, gdy tylko suka sąsiadów dostawała cieczi. Nóż chirurga przywrócił im spokój, lecz Urwis zaczął objawiać swą nieustępliwą naturę poświęcając się tylko dwóm celom: własnej pani i jedzeniu.

Usiadłszy na krześle, by naciągnąć boty, Tessa powiedziała swemu czworonożnemu przyjacielowi, co o nim myśli:

- Jak śmiałeś warczeć na panią Cloomb? Gdy ci następnym razem każe zejść z łóżka, masz to zrobić w podskokach. Słyszysz?

Urwis machnął trzykrotnie ogonem, precyzyjnie wymierzając każdy jego ruch. Nie przepadał za merdaniem, lecz uznawał je za czynnik: skutecznie łagodzący nieprzyjemny ton głosu. Ogon był według niego narzędziem zachęty, którym należało posługiwać się

oszczędnie. Komplementy nie unosiły go ani na milimetr, lecz gdy tylko Tessa zrzędziła, kilka machnięć miało dać jej do zrozumienia, iż on wie, jakie stosunki winny panować między dwiema istotami, które są dla siebie wszystkim.

- Idziemy na spacer, ty nicponiu - rzekła bez potrzeby, gdyż mimo włosów opadających mu na ślepia Urwis doskonale widział, jak wdziawała kalosze. Podszedł do drzwi i cierpliwie czekał.

Zeszli po schodach i skręcili w ulicę Kościelną - główny trakt prowadzący przez wieś. Po lewej stronie rozciągał się dziedziniec kościelny, po prawej Błonia, okalające Holly House. W przeszłości w Holly House mieściła się wiejska gospoda i powozownia. Działalność tej ostatniej umożliwiała istnienie na ulicy Kościelnej stodoły, w której stały samochody państwa Brierley. Dom miał imponującą fasadę, wychodzącą na Błonia, choć Brierleyowie rzadko używali frontowego wejścia, przedkładając nad nie wychodzące na ulicę Kościelną drzwi kuchenne - ze względu na bliskość samochodów oraz kamienne płyty tylnych schodów, którym błoto nie przynosiło uszczerbku. Pod koniec ubiegłego stulecia gospoda straciła klientelę. Wówczas to założono konkurencyjną knajpę „Pod Czerwonym Lwem” (do tej pory służącą jako miejscowy pub) w domku naprzeciwko Błoni, tuż obok sklepu. W latach dwudziestych dawna gospoda została nobilitowana przybrawszy miano Holly House, lecz pod koniec wojny znów zaczęła chylić się ku upadkowi. Wreszcie, przed siedemnastoma laty, uratowali ją Tessa i Nicolas Brierley, przekształcając ruinę w swój dom i pracownię malarską Tessy.

Tessa minęła Błonia i przeszła przez znajdujący się po lewej stronie dziedziniec kościoła. Tam właśnie, na wprost furtki w stojącym naprzeciwko murze, skrajem lasu biegła ścieżka w stronę pól. Nie widząc pasących się owiec, Tessa odpięła smycz. Urwis pomknął ku starym żywopłotowi, gdzie zazwyczaj rozkoszował się króliczymi odchodami. Tessa wepchnęła smycz do kieszeni i pomaszerowała dalej przez pola. Ścieżka wznosiła się stromo ponad porośniętym kępami traw pastwiskiem. Na skraju lasu górował przełaz, wypolerowany do połysku przez spacerowiczów, ulubione miejsce, z którego podziwiano roztaczający się w dole widok: z przodu Wychwood, dalej Steeple Cheney i rysujące się na linii horyzontu małe targowe miasteczko Fetherstone. Była to kraina Tessy, która nie czuła się tu nowym przybyszem. Jej ojciec zajmował się

pośrednictwem w obrocie gruntami, dopóki - po śmierci matki - nie namówiono go, by przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Yorkshire z bratem Tessy, właścicielem hotelu nad obfitującą w ryby rzeką. Ciotka Winifreda, siostra ojca, przez wiele lat była dyrektorką szkoły w Wychwood i dochowała się tam wielu uczniów. (Po jej przejściu na emeryturę szkołę zamknięto, a dzieci zaczęło dowozić szkolnym autobusem do Fetherstone.) Pamiętano ją też jako kościelną organistkę. Tessę zawsze ścisłało w gardle, ilekroć usłyszała organy. Ciotka umarła przed czterema laty w małym domku w Honey Lane, dokąd przeprowadziła się z budynku szkoły, który sprzedano i zbyt pochopnie przekształcono w nowoczesny dom. Przed paroma laty Tessa i ciotka Winifreda udały się tam na zorganizowaną przez panią Burrows dobroczynną poranną kawkę. Okazało się to dla nich przykrym przeżyciem. Tessa zapamiętała, jak usiłowała wydusić z siebie jakiś uprzejmy komplement, gapiąc się cały czas na podest, na którym niegdyś stało biurko ciotki, a obecnie znajdował się barek z alkoholami, udekorowany mosiężnymi elementami końskiej uprzęży.

Traf zrządził, że Tessa powróciła do Wychwood. Nick zdecydował się bowiem podjąć pracę na uniwersytecie w pobliskim mieście. Z początku zamieszkali niedaleko uczelni, w trzypokojowym mieszkaniu komunalnym, mieszczącym się na parterze wiktoriańskiej willi. Potem urodził się Paul, a gdy Tessa - już wtedy uznana malarka - zaczęła dobrze zarabiać na ilustrowaniu książek i mogli sobie pozwolić na obszerniejsze lokum, Nick zaskoczył ją propozycją, by zamieszkali na wsi. Zawsze chętny do wytyczania nowych szlaków, widział się w grubej kurcie i kapeluszu myśliwskim - ze strzelbą na ramieniu i psem gończym przy nodze - i wyobrażał sobie mile łechtające jego dumę zdziwienie przyjaciół oraz znajomych. Oczywiście, gdy już osiadł w Holly House, całkiem wywietrzały mu z głowy owe mrzonki i Tessa często myślała, że gdyby to od niego zależało, wróciliby z pewnością do miasta. Lecz nie zależało to od Nicka. Zbudowała wspaniałą pracownię na strychu domu, gdzie miała światło dzienne i wszelkie możliwe udogodnienia, a jej dochody wręcz przewyższały pensję męża. W każdym razie nie miała najmniejszej ochoty opuszczać Wychwood. To było jej terytorium.

Tessa czuła napierający na nią las. Uchwyciła się skały i przypomniała sobie, jak w dzieciństwie wspinała się na przełaz w poszukiwaniu dzikich dzwoneczków i jagód, i jak przeskakiwała go

wraz z bratem oraz jego przyjaciółmi, a każdy z nich wylaźił ze skóry, by wzajemnie się wystraszyć szeptami, szelestami i nagłymi zeskokami ze zwisających nad głową gałęzi. Echa wyolbrzymiały ich wrzaskliwe wyścigi między drzewami. Czasem w środku zabawy, bez żadnego powodu, wszyscy zastygali w milczeniu, jak zahipnotyzowani badawczymi spojrzeniami skrytych przed nimi innych stworzeń. Zimą, zazwyczaj w soboty, pomagała ciotce Winifredzie zawlec z lasu kłody drzewa na szkolne podwórko. Patrzyła teraz na dach starej szkoły, przekształconej obecnie w wiejską salę zebrań i miejsce spotkań. Wyjazd z Wychwood był dla niej nie do pomyślenia. Nie z powodu wspomnień ani miłego sercu poczucia zażyłości, lecz dlatego, że ten krajobraz stał się jej notatnikiem. Tutejsze zakątki i kryjówki dostarczały jej materiału do pracy.

Kiedy obrzucała spojrzeniem roztaczający się widok, przypomniła sobie swe wczesne obrazy, przedstawiające skrecone korzenie drzew lub też muskane wiatrem srebrzyste i fiołkoworóżowe trawy. Również kościół miał w nich swój bogaty udział: rozpadająca się kolumna, drewniana krata, wystający gargulec na tle nieba usianego chmurkami, przywodzącymi na myśl dmuchawce. A i cherubin na wiktoriańskim pomniku idealnie pasowałby do jej nowego projektu. Poderwała się na samą myśl.

- Urwis! - zawołała.

Urwis usłyszał wołanie, lecz postanowił je zlekceważyć. Pola i rowy to psie sprawy, o których jego pani ma ograniczone pojęcie. Śmignął w przód z nosem przy ziemi, zakręcił się i wsunął łeb w gąszcz traw.

Tessa pomyślała, że dziś jest już za późno, by wziąć się do pracy. Jutro wstanę wcześniej i zabiorę się do roboty - postanowiła.

- Chodź, Urwis - przywołała psa i zaczęła wracać ścieżką biegnącą skrajem lasu.

Myśl o pracy sprawiła, iż stanął jej przed oczyma obraz Maddy. To właśnie malarstwo Tessy pchnęło obie kobiety w objęcia przyjaźni. Z pozoru zażyłość z Maddy zdawała się mało prawdopodobna. Inne przyjaciółki, z którymi więź mogła się wydawać bardziej naturalna, często raniły ją jednak swym dziwnym zachowaniem. Zażenowane jej zajęciem robiły uprzejme uwagi, ilekroć ujrzały namalowane przez nią obrazy, po czym

zmieniały temat, gdy tylko Tessa zaczynała o nich mówić. Uprawianie ogródka, zajmowanie się kurami i kozami, robienie dzemu, który zdobyłby nagrodę w miejscowym konkursie, gra na organach, polowanie, szycie - takie i tym podobne zajęcia dominowały w rozmowach przedsiębiorczych dam z Wychwood. Malarstwo działało na nie deprymująco.

„Nasza artystka” - żartobliwym tonem powiedział o niej kiedyś przewodniczący rady parafialnej. Siedziała obok niego na podwyższeniu, gdyż zaproszono ją na członka jury w konkursie na najlepszy plakat, nawołujący do utrzymania czystości w Wychwood. Rozległ się nerwowy chichot. Nikt spośród publiczności nie spojrzał Tessie prosto w oczy.

Znajomi, których poznała dzięki pracy Nicka, również ją rozczarowali, choć w inny sposób. Byli bardzo podekscytowani wiadomością, iż jest malarką. Wyobrażali sobie, że jej obrazy wiszą w galeriach, a prasa zamieszcza na ich temat artykuły. Odniesiony przez Tessę sukces finansowy był dla nich ciosem.

Reakcję Madeleine Storr odczuła niczym podmuch wiatru we mgle. Maddy zauważyła, jak Tessa szkicuje na kościelnym dziedzińcu i podeszła, by się przyjrzeć. Niebawem wspinały się już po schodach w Holly House, grzebały w tekach, oglądały prace i dyskutowały, tryskając entuzjazmem. Zaskoczyło ją, że ta bystra kobieta z miejskim szlifem ma z nią tak wiele cech wspólnych. Z czasem, gdy z ruin wyłonił się dom Storrów, Jasmine Cottage, Tessa wszystko rozumiała: Maddy również jest artystką, nie pracującą z ołówkiem czy pędzlem w rękę, lecz wykorzystującą przedmioty, wnętrza i własną osobowość. Przez dziesięć lat połączyło je coś więcej niż sprawy artystyczne. Tessa zaczęła się domyślać, że to właśnie poczucie zmarnowanego czasu zmusza Maddy do gorączkowej działalności organizacyjnej. Maddy zaś pojęła, dlaczego Tessa wytrzymuje z Nickiem. Momentami każda z nich czuła, że zawdzięcza drugiej zachowanie równowagi psychicznej.

Tessa przykucnęła nagle, garściami wyrywając darń i tłumiąc przeszywający ją spazm bólu. Nie miało to nic wspólnego z Nickiem - szło o Maddy. „Boże drogi, jeśli Maddy...” - pomyślała z trwogą.

Urwis dostrzegł ją i przybiegł truchcikiem, lecz zatrzymał się o parę kroków dalej, by rozpoznać się w sytuacji, która - na ile mógł się zorientować - nie zapowiadała dalszych wesołych igraszek ani też

marszu w kierunku otwieracza do konserw. Ale, uwaga! (ogon uniósł mu się ostrożnie). Pani podniosła głowę i chyba wraca do równowagi.

Nagła myśl uderzyła Tessę z przerażającą jasnością. To zupełnie wykluczone. Maddy nie jest w typie Nicka. Niejednokrotnie o tym wspominał, a i ona sama może poświadczyć prawdziwość jego słów. Przekonała się na własne oczy, że wszystkie flamy Nicka podobne były do niej: każda wysoka, ciemna, z masą długich włosów. „Przypominała mi ciebie, kochanie. Podświadomie oczywiście, lecz właśnie to mnie w niej tak nieodparcie pociągało. Uwierz mi, że nigdy cię nie mam dosyć, Tesso” - powiedział o stewardessie. (Gdy powtórzyła to przyjaciółce, opadły na krzesła i ryczały ze śmiechu jak oszalałe). Natomiast Maddy była zupełnie inna - drobna, o łobuzerskich rysach i nieskazitelnie ostrzyżonych popielatoblond włosach, które podziwiają kobiety, nigdy zaś mężczyźni, gdyż sprawiają one wrażenie, że nie należy ich dotykać. Przypominała sobie, jak Nick wyśmiewał się ze strojów Maddy: „Widzę, że twoja kumpelka kosi trawę w specjalnie dla niej szytej sukni ogrodowej.” A kiedy w deszczowy dzień na rynku w Fetherstone zobaczył Maddy ubraną jaskrawo jak kanarek i wyróżniającą się pośród ciemnych grubych kurtek i marynarskich ubrań sztormowych, zakrzyknął: „Jak się masz, Maddy. Ten twój kombinezon rybaka dalekomorskiego jest naprawdę fantastyczny”. Nicka Maddy bawiła, nie pociągała.

Ulga, jaką Tessa uczuła na myśl o tym, była tak wielka, a poczucie własnej głupoty tak oczywiste, że podniecona rozpięła kurtkę i rozpoczęła marsz w stronę domu.

Tym razem Urwis biegł tuż przy jej nodze. Zdecydowanie jego pani rokowało jak najlepiej i bez wątplenia prowadziło do psiego obiadu.

Rozdział 3

- Skąd ten pośpiech? Pędzisz do pracy?

W przeciążonym umyśle Tessy zapanowała pustka. Zorientowała się, że wróciła na kościelny dziedziniec w miejscu gdzie ścieżka, okalająca bok kościoła, przecina się z dróżką, łączącą kościół z Probostwem. Przy wysokiej bramie w murze, otaczającym ogród Probostwa, stała Eleanor Browne i przypatrywała się jej uważnie. Upłynęło parę chwil, nim Tessa zdołała odpowiedzieć:

- Właściwie nie. Mam dziś jakiś głupi dzień. Tylko się snuję.

- Więc chodź do mnie na herbatę.

- Przecież jesteś zajęta - zauważyła, spoglądając na brudną pościel, przerzuconą przez ramię Eleanor.

- Nie będę się dzisiaj do tego zabierać. Jutro wystarczy. W niedzielę zauważyłam, że humerał ma okropny kolor. Timothy nigdy niczego nie widzi. Obawiam się, że oboje robimy się nieco zapominalscy.

Ostatni wyraz Eleanor zaakcentowała mocniej. Zazwyczaj mówiła w sposób wyważony, wymawiając wyraźnie każde słowo, a o sprawach ważnych wyrażała się wprost dramatycznie. Jak zawsze, tak i teraz Tessa niemal zawisła wzrokiem na jej wargach. Eleanor była urzekająca i to nie tylko ze względu na swój sposób wysławiania się. Równie fascynująca była jej gestykulacja i ruchy - zwyczaj obejmowania swego ciała, jakby chciała odegnać strapienie, przyciskanie do siebie kościstych kolan i łokci, by zajmować jak najmniej miejsca. Czubek jej nosa często zdobiła kropla rosy, bez wątplenia wywołana panującym na Probostwie chłodem. Gdy spadła, tym sposobem zwracając na siebie uwagę, Eleanor grzebała w kieszeni swetra szukając chusteczki i używała jej gestem dającym do zrozumienia, że robi to dla świętego spokoju, lecz zdaje sobie sprawę z bezcelowości owej czynności. Odkąd Tessa sięgała pamięcią, Eleanor zawsze kojarzyła się jej z niezwykle podeszłym wiekiem i kruchością (a wspomnienia jej biegły daleko wstecz, gdyż Timothy Browne był proboszczem w Wychwood od trzydziestu ośmiu lat). To, że w istocie jest silna jak wół, przeżyła wielu spośród swych znajomych - jak choćby Winifredę Hodson, ciotkę Tessy - i nadal, przy minimalnej pomocy, prowadzi dom bratu, niemal codziennie składa wizyty w parafii i z dyplomatycznym taktem nadzoruje grupę

pań, opiekujących się kościołem, przydawało jej tajemniczości i uroku. Figurowała na kilku obrazach Tessy

- jako postać pochylona nad ogniskiem, wąski kształt znikający w bramie, cień klęczący na klombie choć nie spostrzegł tego nikt prócz bystrookiej Maddy, której Tessa kazała przysiąc milczenie. Eleanor pobudzała jej ciekawość. Nie sposób się było na nią napatrzeć.

- W takim razie chętnie do ciebie wpadnę - powiedziała Tessa. - Ale muszę zostawić psa i zmienić buty.

- Dobrze. Przyjdź jak najprędzej. Nastawię czajnik - rzekła Eleanor.

W zmywalni Holly House Tessie z trudem udało się ściągnąć kalosze, gdyż Urwis wykonywał szaleńcze pąsy u jej stóp. Postanowiła go nakarmić, by uprzędzić wybuch dzikiego ujadania. Siedzący na parapecie kot spoglądał uważnie na psa, zapychającego sobie gardło jedzeniem.

Tessa włożyła buty i stwierdziła, że gdyby to Maddy szła na herbatę na Probostwo, przynajmniej przeczesalaby włosy i zmieniła dzinsy na spódnicę. Lenistwo jest moim przekleństwem, pomyślała, podobnie jak wieczne pragnienie wygody. Przypomniała sobie, jak niedawno, namówiona do wzięcia udziału w porannej składkowej kawce u pani Davenport na Hilltop Farm, pełna cnotliwych intencji włożyła elegancki zakiet i spódnicę, po czym, w ostatniej chwili, pobiegła na górę, by zmienić spódnicę, rajstopy i pantofle na spodnie, skarpetki i tenisówki. „Przepraszam, spódnica mi się pogniotła i nie miałam kiedy jej uprasować” - wysapała zdyszonym głosem, zapinając pas w małym, sportowym samochodzie Maddy. „Jak dla mnie wyglądasz dobrze” - rzekła Maddy, nie patrząc na nią, lecz w lusterko na nie istniejący ruch uliczny.

W każdym razie - usprawiedliwiała się Tessa, zmierzając ku Probostwu - ludzie oczekują, że będę wyglądała „artystycznie” i nieładnie byłoby sprawiać im zawód. Wiedziała, że Eleanor nie zwraca uwagi na to, co kto ma na sobie i będzie całkowicie usatysfakcjonowana widząc, jak Tessa sadowi się w pokrytym perkalem fotelu, odziana w nieokreślony ciemny błękit pod kolor oczu, i jak ładnie wygląda z długimi ciemnymi włosami. Tessa była jej ulubienicą, siostrzenicą drogiej zmarłej przyjaciółki. Eleanor widziała, jak z trzpiotki przekształca się w piękność w stylu

Rossettiego. Tessę otaczała zawsze aura cichego zamyślenia, co Eleanor uważała za bardzo pociągające. Martwiło ją tylko, że Tessa rzadko chodzi do kościoła. (Winifreda często prowadziła tam swą młodą siostrzenicę, lecz gdy Tessa powróciła do Wychwood jako żona pana Brierley, ograniczyła swe wizyty w kościele do takich okazji jak dożynki i śpiewanie kolęd).

Tessa przeszła lewą stroną ulicy Kościelnej, minęła drzwi kościoła i podążyła na Probostwo, wyróżniające się pięcioryglową bramą, podpartą tak, by była zawsze otwarta. Podjazd z rzadka posypany był żwirem; porośnięta mchem ziemia i drobne chwasty tworzyły pagórki na środku. Z lewej strony podjazdu całą przestrzeń do kościelnego muru porastały krzewy laurowe, z prawej zaś wyrastał zagajnik wysokich drzew, w których gnieździły się gawrony. Przez gąszcz ten wiódł dodatkowy podjazd do starych stajni, służących teraz za garaże, a z boku biegła ścieżka do kuchennych drzwi. Przy innej okazji - na przykład gdyby przyszła tu pomóc przygotować kościelną fetę - podążyłaby tą ścieżką, lecz dziś kroczyła dalej głównym podjazdem, kończącym się łukowato przed frontowymi drzwiami. Najwyraźniej prawidłowo oceniła sytuację, gdyż Eleanor zostawiła drzwi otwarte i podparła je specjalnie do tego celu służącą sztabą z kutego żelaza.

Weszła do środka. W hallu zatrzeszczała jej pod stopami obłuzowana klepka, przykryta perskimi dywanikami. Idąc po szerokich schodach przypomniała sobie, jak w dzieciństwie odwiedziła starą panią Browne (teraz już nieżyjącą), matkę Eleanor i Timothy'ego, od lat przykutą do łóżka w przepastnym pokoju na górze z widokiem na ogród. Było to wchodzenie w strefę mrozu. Z każdym stopniem ogarniał ją coraz większy chłód, podnosił włosy na głowie, wsuwał lodowate palce między łopatki. Nawet teraz, gdy uniosła wzrok, chłodne powietrze musnęło jej czoło. Zastanawiała się, dlaczego przewiewały tu lodowate podmuchy. Prawda, że dom nie miał centralnego ogrzewania, paleniska zaś, zainstalowane w każdym pokoju, stały puste. (Sam Parminter, teraz dziewięćdziesięcioletek przebywający w jednym z przytułków, był chłopcem do czyszczenia butów w dobrych latach na przełomie stulecia. Doprowadzanie obuwia do połysku należało jednak, zdaje się, do najmniej ważnych jego obowiązków; główne zajęcie chłopca polegało na bieganiu od pokoju do pokoju z szufelką na węgiel i palenie w piecu). Obecnie

rozpalano tylko w salonie, zawsze o czwartej, i to w zimowe popołudnia. Czy te wygasłe paleniska dostatecznie tłumaczą lodowate przeciągi, wiejące nawet w ciepłe letnie dni, zastanawiała się Tessa, czy też tam na górze zamieszkały duchy, zakłócające atmosferę?

Eleanor wyszła z kuchni, niosąc tacę.

- O, dobrze, że już jesteś. Usiądźmy w salonie. Mamy dziś taki ładny dzień.

Chciała przez to powiedzieć, że woli salonik od swego własnego pokoiku, w którym znajdował się kominek elektryczny z jedną grzałką. Tessa podążyła za nią. Promienie zachodzącego słońca wpadały przez wykuszowe okno, wychodzące na trawniki. Obie kobiety usiadły na ogrzanych słonecznym ciepłem krzesłach, przy niskim stoliku, na którym stała taca z herbatą.

- Czy Dolly Cloomb dobrze dziś rano wyglądała? - zapytała Eleanor, nalewając herbatę.

- Tak, chyba tak - odparła Tessa, usiłując sobie coś przypomnieć.

- Cieszę się, że to słyszę. Odwiedziłam dziś rano Orchard Close. Nie wiem, czy nie są to tylko plotki, ale najwyraźniej wczoraj wieczorem, po zamknięciu pubu, Artur Cloomb zachowywał się nieznośnie. Spod siódemki dochodziły odgłosy burzy.

- O Boże. Jak teraz o tym myślę, wydaje mi się, że chyba miała spuchniętą twarz.

- Naturalnie, gdy tam wróciłam i chciałam porozmawiać z Rose Fettle, ta nie pisnęła słówka. Rose to niezwykle powściągliwa osoba. Więc uważasz, że Dolly mogła być trochę zmaltrretowana?

- Nie jestem pewna. Wiesz, dziś rano miałam inne sprawy na głowie.

Poczuła się głupio, że była tak zajęta sobą. Nie dlatego, iż teraz poruszyłaby ten temat - nie odważyłaby się - ale ponieważ lubiła okazywać solidarność z panią Cloomb. Zawsze, gdy ta przybywała, demonstrując obrażenia wojenne, Tessa wyrażała swe współczucie łagodniejszym tonem głosu czy też lekkim dotknięciem ramienia ofiary. A potem pani Cloomb dawała się jej rozpieszczać, pozwalając sobie na dłuższą przerwę na kawę z czekoladą w miejsce zwykłych herbatników dietetycznych. Pewnie dlatego pogardliwie odniosła się do mego gościa, pomyślała Tessa. Nie poświęciłam jej należytej uwagi. Westchnęła i rzekła:

- Biedna kobieta. Jest taka obszarpana, przygaszona. Chyba się niewłaściwie odżywia. Na pewno ten człowiek przepija jej zarobki. Bije ją, jeśli mu ich nie odda.

Eleanor była wyraźnie poruszona.

- Chyba nie chcesz znowu podnieść jej wynagrodzenia? - spytała.
- Zawiadomisz nas o tym następnym razem, dobrze, kochanie?

„Nas” oznaczało Eleanor i panią Westbrook ze Dworu. Tessa przysporzyła im niegdyś kłopotów, jednostronnie podnosząc stawkę wynagrodzenia. Przeczytawszy w uniwersyteckiej gazecie ogłoszenie dotyczące sprzątaczek, doznała uczucia winy. „Powinna pani dostawać co najmniej o funta więcej - oznajmiła zdumionej pani Cloomb. Proszę, oto pieniądze, a to jeszcze trochę, by wynagrodzić pani straty. Nie dałabym sobie rady w domu bez pani pomocy, a nie chcę pani wykorzystywać” - wytłumaczyła Dolly, gapiącej się na nią z otwartymi ustami.

Przyjaciółka pani Cloomb, Rose Fettle, niezwłocznie zaznajomiła Probostwo i Dwór z nową stawką w Holly House. „Tak to jest, gdy sprowadzają się niewłaściwi ludzie - powiedziała z wściekłością Celia Westbrook do Eleanor. Tacy Brierleyowie nie rozumieją życia na wsi”. Eleanor pojęła, co Celia ma na myśli: Tessa uzurpowała sobie prerogatywę Dworu. Zrozumiała też, że omawianie podobnych spraw z Holly House jest dla Dworu nie do przyjęcia i wszelkie przyszłe negocjacje muszą być prowadzone za pośrednictwem Probostwa.

Tessa uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową, ku ogromnej uldze Eleanor, której - choć doceniała skrupuły Tessy jak i obrażoną miłość własną Celii - trudno byłoby wycisnąć z domowego budżetu dodatkowe pieniądze dla Rose Fettle.

- Nie - rzekła - nie myślę o podwyżce. Po prostu chciałabym, żeby zarobione pieniądze zużywała na własne potrzeby. Naprawdę powinna zostawić tego człowieka.

Eleanor odpowiedziała jej i mówiła coś jeszcze, lecz Tessie w uszach szumiały wypowiedziane przed chwilą własne słowa, przyprowadzając ją o rumieniec. „Założę się, że to samo mówią o mnie” - pomyślała.

Eleanor podała talerz z ciastem.

- Zjedz trochę - zachęciła Tessę.
- Dzięki.

Tessa umierała z głodu, gdyż wcześniej miała w ustach tylko grzanekę. Połamała na małe kawałki dość twardy kawałek biszkoptu i delektowała się nim powoli, by starczył na dłużej.

„Wygląda, jakby była spięta” - pomyślała Eleanor i niebawem troska o stan fizyczny ulubienicy przerodziła się w niepokój z powodu jej zdrowia duchowego. Cieszyła się za każdym razem, widząc Tessę w kościele. Była pewna, że aura świętości musi wreszcie opanować tak wrażliwą istotą. Taktownie zachęcała ją do tych wizyt. Teraz, unosząc filiżankę, zauważyła niewinnie:

- Twoja przyjaciółka, pani Storr, przepięknie udekorowała prezbiterium: żółte róże i kremowe chryzantemy w połączeniu z suchymi trawami, zbożem, trzciną i tak dalej'. Niezwykle oryginalnie i po prostu ślicznie. Musisz wpaść, Tesso, i obejrzeć.

- Ma do tego talent - wymamrotała Tessa, lecz nie obiecała, że zajrzy i sama się przekona.

- Czy pokazywałam ci kiedyś mój album z czasów, gdy byłam w Hongkongu? - spytała Eleanor, by wypełnić ciszę. - To by cię zainteresowało, Tesso. Są w nim znakomite ryciny i akwarele.

- Owszem, Eleanor, pokazywałam, ale chętnie jeszcze raz obejrzę.

Była to dobra odpowiedź. Taktowna i precyzyjna. Prośba, by Eleanor wstała i przyniosła album.

- Chodź i usiądź na sofie - rzekła Eleanor wracając. Otworzyła album na pierwszej stronie i rozłożyła go na kolanach.

Wszystko to jest takie kojące i bezpieczne, myślała Tessa, spoglądając od nowa na pożółkłe karty z zagiętymi rogami. Przeglądała je po raz szósty czy siódmy, lecz ryciny, na których widniały stylizowane pąki, zamglone wzgórza i maleńkie postaci, były nieskończenie fascynujące. Równie pociągające wydawały się spłowiałe fotografie i wycinki z gazet. Głos Eleanor działał uspokajająco i niebawem obie kobiety zatopiły się w starodawnej, anglikańskiej panoramie Hongkongu sprzed lat.

Kiedy w pół godziny później Timothy wszedł i zapalił światło, uniosły obie wzrok, całkowicie zdezorientowane.

- Nie wiem, jak mogłyście cokolwiek dojrzeć. I do tego taki ziąb. Wielki Boże, Eleanor, ta dziewczyna zamarźnie. - Następnie pochylił się i przytknął zapalnik do drewna w palenisku. - Teraz już lepiej - rzekł, gdy zapłonął ogień i - nie ze złości, lecz z przyzwyczajenia

- szybciotko odciął kobietom dopływ ciepła; po prostu stanął bezwiednie przed kominkiem, grzejąc sobie siedzenie.

Odznaczał się wysokim wzrostem, podobnie jak siostra. Eleanor była jednak koścista i miała żółtą cerę, Timothy zaś pulchny i rumiany na twarzy.

- Jak minął dzień, Timothy?

- Dobrze, bardzo dobrze.

- Timothy pojechał odwiedzić przyjaciół „Pod Wiazami” w Fairminster - wyjaśniła Eleanor. - To rodzaj klubu czy też rezydencji dla duchownych. Szczególnie upodobali go sobie kawalerowie i wdowcy, gdyż mogą się tam zatrzymać na wiele tygodni i zapraszać kumpli na śniadanie lub obiad. To przyjemna odmiana. Spotykają się ze starymi przyjaciółmi i zażywają odrobiny luksusu w rozsądnych granicach. Czy zaszły jakieś, hm, zmiany, kochanie? - zapytała.

- Tak. Jeszcze dwóch się „przeniosło” - referował radośnie. - Peter Thornton z Greatworth - czego się mniej więcej spodziewaliśmy, pogrzeb będzie w czwartek - i facet, którego nie znam, gdzieś z południa diecezji, zawdzięczający to chyba grypie. Wszystko stało się jakieś trzy czy cztery tygodnie temu.

- O Boże - westchnęła Eleanor. - Peter był bardzo słaby. Uważam, że w naszym wieku należy się spodziewać...

- Po czym, znajdując pozytywny aspekt całej sprawy, dodała: - Ale podali chociaż dobry obiad?

- Pierwsza klasa. - Timothy zakotłosał się na obcasach.

- Potrawka z zająca, ciasto z jabłkami, ser i czerwone wino. Dobra, pożywna kuchnia.

Rozmowa o jedzeniu sprawiła, że Tessie zakręciło się w głowie. Zamknęła album na kolanach Eleanor i wstała.

- Muszę iść - oświadczyła. - Skończymy następnym razem. Obiecujesz?

Eleanor odprowadziła ją do drzwi.

- Wieczory stają się coraz dłuższe - zauważyła. - Nienawidzę tego.

- Ja również. Rozkwitam tylko w świetle. - Tessa ucałowała chude policzki Eleanor i ucisnęła jej dłoń.

- Wiesz, dzisiejsze popołudnie sprawiło, że czuję się dużo lepiej.

Eleanor wzruszyła się. Ta uwaga była jak podarunek. I choć potwierdziła podejrzenia, że Tessa ma jakieś kłopoty, miło jej było usłyszeć, iż pomogła swej ulubienicy.

- Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu i zaproszę do Holly House. Nie zapomnij przynieść albumu. Do zobaczenia.

- Do widzenia, Tesso. Uważaj na siebie.

Rozdział 4

O wpół do siódmej wieczorem Rose Fettle poszła na górę, by zmienić ubranie robocze na drugą pod względem wytworności w jej szafie sukienkę. Dokonawszy tego, zerknęła z ukosa w lustro i przypudrowała nos, policzki i brodę. Gdy puder opadł, przeciągnęła szminką po górnej wardze, zacisnęła usta i trzymała je w ten sposób tak długo, aż policzyła do pięciu. Potem włożyła kapelusz - wolała brązowy pilśniowy od granatowego z błyszczącej słomki - przypięła go mocno do karbowanych włosów, a następnie, wróciwszy do saloniku, usiadła na krześle przed telewizorem i na przemian rzucała spojrzenia na wyświetlany film „Dziś w okolicy” lub też na zegar z kukułką. Za dziesięć siódma wstała, zgasła telewizor, wzięła ze stołu torebkę i poszła do holu po płaszcz.

Orchard Close było opustoszałe. W dwudziestu dwu domach komunalnych zaryglowano drzwi i zaciągnięto na noc zasłony. Świeciła tylko jedna latarnia uliczna, lecz blask księżyca był mocniejszy. Jasno jak w dzień, dziwiła się Rose, drepcząc drobnymi krokami. Zamknęła za sobą niewielką bramę i spojrzała na drogę ku numerowi siódmemu. Wydawało się, że u Cloombów panuje spokój, jednak jej kroki stały się odrobinę ostrożniejsze, gdy zbliżała się do ich bramy - jak zwykle otwartej i na pół wyrwanej z zawiasów. Dolly używała frontowych drzwi tylko na uroczyste wyjścia, takie jak chrzest, ślub czy pogrzeb. Frontowymi drzwiami wkraczał do domu jedynie Arthur Cloomb. Dolly zachodziła zawsze od tyłu. A zatem Rose minęła drzwi od ulicy i - skradając się na palcach - obeszła dom z boku, kierując się ku drzwiom kuchennym. Otworzyła je i wsadziła głowę do środka.

- Wszystko w porządku? - spytała przyciszonym głosem.

- Och, wejź, Rose.

Rose zatrzymała się w progu.

- A więc on jeszcze tam jest - zauważyła, skinąwszy głową w kierunku holu.

- Teraz będzie przesiadywał w domu. Zabronili mu przychodzić do pubu.

- Nie może być!

- Owszem. Terry King mi o tym powiedział. Poszedł wczoraj napić się „Pod Lwa” i wszystko widział. Chyba dlatego Arthur jest taki wściekły.

Rose prychnęła.

- Przecież go ostrzegali. John musi myśleć o swojej koncesji.

Dolly podniosła leżące na kuchennym krześle palto i pośpiesznie je włożyła.

- Myślisz, że powinnam mu powiedzieć? - spytała, zawiązując chustkę pod brodą.

- Co powiedzieć?

- O tym, że wychodzę.

- Och, daj sobie z nim spokój. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Dolly westchnęła i podniosła torbę na zakupy.

- Masz łyżkę na konkurs? - spytała Rose.

- Tak, ale co z tego? I tak twoja wygra. Twoja albo jej. (W Klubie Kobiet Rose Fettle albo Madeleine Storr nieodmiennie wygrywały wszelkie konkursy, zawierające element rzemiosła artystycznego, jak na przykład dzisiejszy Konkurs na Ozdobienie Drewnianej Łyżki).

- Murowanie ona wygra - rzekła Rose, wypychając przyjaciółkę przez kuchenne drzwi. - Ciekawe, jaki ciuch dzisiaj na siebie włoży.

Trzymając się pod rękę przeszły pod uliczną latarnią, minęły Fetherstone Road i skręciły w prawo w ulicę Kościelną, gdzie, nieco dalej w prawo, między starym budynkiem szkolnym a Probostwem, był cel ich wędrówki - wiejska sala zebrań.

Kreacja pani Storr ukazała się, gdy tylko Maddy - jako przewodnicząca Klubu Kobiet - zdjęła palto i poprosiła zebranych o ciszę. Natychmiast zyskała ich uwagę. Dziewiętnaście par oczu obrzuciło ją spojrzeniem, by odnieść ogólne wrażenie, po czym przeszło do szczegółów: czerwona sztruksowa spódnica, która - gdy właścicielka usłuźnie wysunęła kolano - okazała się spódnicą - spodniami, czerwona jedwabna bluzka i czerwony pulowerek z głębokim wycięciem, bez rękawów. Całą tę czerwień uwydatniał zwyczajny złoty łańcuch, okręcony wokół jej szyi.

Większość członkiń ogarnął podziw. Panowało powszechne przekonanie, że pani Storr to cenny nabytek, zwłaszcza gdy przemawiała w ich imieniu na zebraniach w hrabstwie czy też witała gości z sąsiednich klubów. Niektóre z obecnych pań czyniły w kwestii ubioru podobne starania, lecz najwyraźniej z mniejszym powodzeniem, o czym świadczył przykład pani Burrows, mieszkającej

w starym budynku szkolnym, odzianej w sute błękity, czy też pani Dyte z The Glebe, przybyłej w eleganckim szarym samodziale. Większość kobiet, żon farmerów, zamieszkujących wiejskie chaty i domy komunalne, ubrana była w sposób niczym się nie wyróżniający, schludnie bądź wygodnie, w zależności od gustu. Jedynie panna Browne z Probostwa nie włożyła w swój strój najmniejszego wysiłku: po prostu na workowatą tweedową spódnicę naciągnęła watowany nylonowy płaszcz, zapinany na suwak. Kieszenie płaszcza były wypchane. Każdy znał ich zawartość: skrawki papieru, kościelne magazyny, koperty, pióra, portmonetka, szalik, krople na kaszel - a wszystko to razem miało tendencję do wypadania w jednym kłębie wraz z wyciąganą chusteczką.

- Jak wygląda? - szepnęła szyderczo Rose w samo ucho Dolly, mając na myśli Maddy Storr.

Rose była oburzona. Przeczytała bowiem w magazynie kobiecym, że różnych odcieni czerwieni pod żadnym pozorem nie można łączyć. Widok przewodniczącej, której to uszło, doprowadzał ją do szału.

- Jezabel - wyszeptała Dolly, która miała inne skojarzenia, dotyczące ubierania się na czerwono.

- Co powiedziałaś?

- Wygląda jak Jezabel. Ten oryginalny pogląd zrobił wrażenie na przyjaciółce.

- Może masz rację, złotko. Może masz i rację.

Resztki risotta, dobrze podgrzane, były zupełnie niezłe, zjadła je więc ze smakiem aż do ostatniego kęsa. Potem zatroszczyła się o kota: zamknęła Urwisa na zewnątrz i postawiła spodeczek z mlekiem i nieco mięsa w płytkim blaszanym naczyniu. Kot krążył wokół, obwąchując te dary, wreszcie przycupnął i zaczął jeść. Od drzwi kuchennych dobiegał wściekły stukot, dopóki Urwis nie został ponownie wpuszczony, nie popędził do kociego naczynia i nie zaczął przesuwając go jęzorem po całej kamiennej podłodze. Wstrętne psisko, pomyślała Tessa, wynosząc naczynie do zlewu w zmywalni. Kiedy wszystko było już pozmywane i posprzątane, zgasiła światło w kuchni i przeszła do saloniku.

Wiedząc, iż nie ma już na co liczyć w kwestii jedzenia, Urwis dał do zrozumienia swej pani, że poświęci jej resztę dnia. Zaczekał uprzejmie, by się przekonać, gdzie usiądzie, a gdy usadowiła się na sofie, tuż obok kominka, mając obok siebie na niskim stoliku

szklaneczkę wina, gazetę i pilota, znalazł się natychmiast obok niej i położył głowę na udzie Tessy. Pieściła go z roztargnieniem jedną ręką, a w drugiej trzymała pilota. Była odprężona, choć gdzieś w głębi duszy czuła narastający niepokój. Zdecydowała, że oglądanie telewizji będzie czynnością bezpieczniejszą niż czytanie, gdyż powstrzyma napór groźnych myśli. Z powodzeniem je tłumiała, gdy - godzinę później - zadzwonił telefon. Zgasła telewizor, wzięła aparat ze stałego miejsca na ozdobnym stoliku, powróciła na kanapę i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Jak się masz, Tesso? - usłyszała.

- Colin! - wybuchnęła, słysząc łatwo rozpoznawalny baryton. - Colin?

- Tak, to ja. Jestem w domu.

- Cudownie! Och, co za wspaniała wiadomość. Dziś wyszedłeś ze szpitala?

- Nie, nie. Wypuścili mnie w weekend. Zdecydowali, że mam - jak oni mówią - remisję. Teraz już nie tracę nadziei. Jeśli się wzmocnię, spróbuję powalczyć z chorobą.

- Na pewno ci się uda. Tak się cieszę - rzekła. Jednak jej radość ze względu na starego przyjaciela zakłócona została przez napierającą myśl: „A zatem Nick istotnie kłamał. Jasne, że tak”.

- Nicka pewnie nie ma?

- Nie, wyjechał do Oslo na konferencję - odparła, czując się winna, że przed chwilą myślała egoistycznie o swoich sprawach.

- Kiedy wraca? - W piątek, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

- Zostawisz mu wiadomość? Jerry i Viv przyszli mnie odwiedzić w szpitalu. Jerry niepokoił się o pewne prace, które przygotowywałem, nim ta choroba mnie rozłożyła. Niestety, była z nami też Sophia. Zrobiła awanturę, to jest oskarżyła Jerry'ego, że niepokoił śmiertelnie chorego! Pomyślałem więc, iż lepiej powiedzieć Nickowi niż Jerry'emu: dokumenty są w moim gabinecie, na dolnej półce szafki, stojącej we wnęce z boku kominka. Orientujesz się gdzie, prawda?

- Tak.

- Sophia wyszła, dlatego dzwonię. Jest wściekła na uniwersytet z powodu mojego zasiłku chorobowego i rozgniewana na wydział z racji tego, co nazywa nekaniem. To oczywiście bzdura. Ja sam lubię

wiedzieć, co się dzieje. Ale znasz Sophię. Natomiast wydział za wszelką cenę chce dostać te papiery przed inspekcją rady finansowej. Pomyślałem więc, że gdybyście przyszli z Nickiem któregoś wieczoru, on mógłby wsunąć je do kieszeni, podczas gdy ty odwróciłabyś uwagę Sophii.

W Tessie zamarło serce. Sophia to przerażająca perspektywa.

- Może Jerry i Viv mogliby się tam łatwiej dostać?

- O Boże, nie. Sophia jest wściekła na Jerry'ego, a Viv nigdy nie była jej ulubienicą. - Ty umiesz do niej podejść, Nick zaś potrafi oczarować samego diabła.

- Skoro tak uważasz... Oczywiście, powiem Nickowi. Ale nie powinieneś się tak martwić o ten swój wydział. Są chyba przyjemniejsze sprawy.

- Taak, Tesso? Powiedz, gdzie jesteś? Chcę mieć przed oczyma twój obraz.

- Siedzę po prostu na kanapie w saloniku. Urwis leży obok mnie. Colin roześmiał się.

- A ja trzymam na kolanach Mruczkę. Niesamowici jesteśmy, co? Założę się, że masz na sobie tę spódnicę w odwrócony wzorek. - W jego głosie dzwięczała tęsknota. Spojrzała na swoje dzinsy i zapytała:

- Jak zgadłeś?

- Kiedy o tobie myślę, zawsze cię w niej widzę.

- Że też to pamiętasz.

- Nie mogę zapomnieć. Jesteś urocza, Tesso.

- Ty też. Wspaniale, że zobaczę cię w domu, nie...

- W szpitalu. Mhm. Dla odmiany stanę się człowiekiem, nie przedmiotem. Wierz mi, że tym razem będę górą.

- Wiem, na pewno.

- Pa, pa! kochanie. Do rychłego zobaczenia.

- Do widzenia, Colin.

Przez jakiś czas siedziała nieruchomo. Myśli jej pomknęły na krótko ku Nickowi i sprawie papierów, która ją przygnębiała, gdyż w związku z nią mąż mógł się zorientować, że wiedziała o jego kłamstwie, po czym z powrotem pomyślała o Colinie. Stopniowo zaczęła oddziaływać na nią cisza domu. Tessa wsłuchiwała się w nią, śledząc równomierny puls zegara w holu, każdy odległy pomruk czy też najdrobniejszy szelest. Wokół panował błogi spokój.

Zmarnowałam dzisiejszy dzień - powiedziała do siebie, widząc przed oczyma twarz Colina. Ale nie jutro. Wszelkie zmartwienia i podejrzenia zejść na margines, gdy weźmie się do pracy. Nastawiła budzik na szóstą, by zacząć od świtu. Niech już tak zostanie. Pójdzie wcześniej spać i wykorzysta ranek do maksimum.

- Do łóżka - rzekła odsuwając psa, po czym odstawiła na miejsce telefon i wyłączyła telewizor.

Musi coś mieć z nieobecności męża, zdecydowała idąc do zmywalni, by zabrać radio. Teraz może robić, co jej się żywnie podoba. Nick bowiem nie zgadzał się na słuchanie radia w sypialni. Zabronił również wchodzić psu. Co rano Urwis czekał, aż pan domu wyjdzie i gdy tylko nadarzała się okazja, mknął na górę i mościł się na ulubionym miejscu swej pani. Teraz stał w drzwiach sypialni, patrząc jak Tessa człapie tam i z powrotem, i zastanawiał się, czy prawidłowo odczytał pogmatwane sygnały.

- W porządku - potwierdziła, zauważając go. - Pan nie wróci dziś wieczorem.

Urwis jednym susem przemierzył pokój i wylądował na łóżku, gdzie spoczął całym swym ciężarem, tak, że nie sposób byłoby go stamtąd ruszyć.

Kiedy wreszcie w rurach ucichło, woda z wanny spłynęła, a zbiornik napełnił się ponownie, do sypialni dobiegły ciche dźwięki ze dworu. Tessa zgasiła światło, podeszła do okna wychodzącego na Błonia i odrobinę odciągnęła zasłonę. Pani Dyte z The Glebe siedziała w samochodzie z włączonym silnikiem. Podrzuciła do domu panią Joiner z Old Forge. Prowadziły rozmowę przez uchylone drzwi od strony pasażera. Wracają ze spotkania w klubie - odgadła Tessa i od razu wyobraziła sobie Maddy, zmierzającą w górę ulicy do Jasmine Cottage. Nie będę o niej myśleć - przyrzekła sobie i, aby odpędzić jej obraz, szybko zaciągnęła zasłonę, po czym podeszła do drugiego okna, wychodzącego na ulicę Kościelną.

Gdy tym razem rozsunęła leciutko story, pokój zalało księżycowe światło. Naprzeciwko ujrzała kościelny dziedziniec. Z prawej strony (w kierunku domu Maddy) ledwo zdołała dojrzeć wschodni szczyt kościoła. Z lewej widziała dwa opromienione księżycem domki i długie cienie drzew, przesłaniające osiedle The Glebe. Światło księżycy było wszędzie, żółcąc kamienie, zieleniąc dachówki i rzucając na drogę srebrzystą poświatę. Mam szczęście, że tu

mieszkam, szczęście, iż jestem sobą. Żaden z moich problemów nie da się porównać z tą złudną nadzieją Colina. Boże, jeśli naprawdę istniejesz, daj mu powrócić do zdrowia. Zostawiła szparkę między zasłonami i śladem płowej smużki księżycowego światła poszła do łóżka.

Rozdział 5

Następny dzień przeszedł zgodnie z planem. Tessa wcześniej zaczęła pracę w swej pracowni. Larry, jej współpracownik przy serii książek dla dzieci (on dostarczał tekst, ona ilustracje), zadzwonił późnym rankiem i odbyli pożyteczną rozmowę. Po południu wyszła na spacer z Urwisem, a w drodze powrotnej do domu zatrzymała ją miła rozmowa z panią Frogmorton z Honey Lane. Pies pani Frogmorton (który już zdechł) był ojcem Urwisa i mimo skandalicznego charakteru całego wydarzenia (pudel bowiem podkopał się pod płótno, by zniewolić terierkę ciotki Winifredy), pani Frogmorton traktowała od tej pory Tessę jak kogoś z rodziny. Tego popołudnia, powitawszy ją wylewnie, ucałowała Urwisa, uciszyła go kawałkiem czekolady wyjętym z kieszeni watowanej nylonowej kurtki i zaczęła w zaufaniu opowiadać o ostatnich poczynaniach sąsiadów - bezpruderyjnej młodej pary, która ostatnio osiedliła się w dawnym domku ciotki Winifredy. Odświeżona tym przelotnym kontaktem ze światem zewnętrznym Tessa powróciła do pracy, oddając się jej całkowicie, póki nie zeszywniały jej kości i nie poczuła ochoty na drinka.

Dopiero gdy ze szklaneczką w ręce spoczęła w kuchennym bujanym fotelu, odczuła wyraźną pustkę. Uświadomiła sobie, że owo uczucie towarzyszyło jej przez cały dzień, krążąc jak widmo wokół jej ramienia, wtedy gdy pracowała, idąc za nią trop w trop podczas popołudniowej wycieczki. Dopiero teraz, kiedy nic innego nie absorbowowało jej myśli, zdała sobie z tego sprawę. Wiedziała dokładnie, że dręczy ją milczenie Maddy, jej nagłe odseparowanie się, choć zagadką pozostawało, w jaki sposób brak czegoś może odciskać się tak złowieszczą obecnością. Nie będzie miała od niej wiadomości, póki Maddy razem z Nickiem nie wymyślą historyjki wyjaśniającej, skąd dowiedziała się o wypadku Paula - prorokował jakiś głos w ciągu dnia, choć Tessa odmówiła przyjęcia go w pełni do wiadomości. Teraz powiedziała sobie jednak, że to idiotyczne. Nie miały przecież zwyczaju widywać się codziennie. Gdyby minął tydzień bez wzajemnych odwiedzin, nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Nie mogła się jednak uspokoić i - jakby z trudem przyznając się do nękających ją uporczywie myśli - zaczęła tęsknić za telefonem od Maddy, który by udowodnił, że myli się w swych podejrzeniach.

Następnego dnia Tessa stwierdziła, iż domowe zapasy są na wyczerpaniu. Postanowiła nie jechać do supermarketu w Fetherstone - rzekomo dlatego, że pochłonie to zbyt wiele czasu, który mogłaby poświęcić na pracę. W rzeczywistości jednak obawiała się, że gdyby podczas jej nieobecności wpadła Maddy, utraciłaby okazję odzyskania spokoju ducha. Zaryglowała drzwi i wyskoczyła do pobliskiego sklepu. Ogarniająca ją obsesja na tyle podkopała jej równowagę wewnętrzną, że Tessa pozwoliła sobie na najbardziej szalone przypuszczenia, jak choćby to, iż Maddy unika nie tylko jej, lecz kryje się przed wszystkimi mieszkańcami wioski. Była to zupełna bzdura, a jednak nie mogła się oprzeć chęci wybadania Brendy Varney.

- Miałyście ciekawego prelegenta w klubie? - zapytała, wyjmując na ladę zawartość drucianego koszyka. - Poproszę pół funta cheddara - dodała.

- To był Nudny Dziekan z Shurtterworth. Śpiewał piosenki ludowe i opowiadał o starych pieśniach znanych w naszej okolicy. Komuś, kto to lubi, mogło się podobać. Strasznie chciałam go zapytać, dlaczego śpiewa z ręką zwiniętą w trąbkę wokół ucha, jakby nie mógł znieść dźwięku własnego głosu. Ale się nie odważyłam. Może być siedem i ćwierć uncji? - spytała na końcu Brenda, waząc ser.

- Tak, bardzo proszę. I funt pomidorów - odparła Tessa. - Czyli w sumie wszystko wypadło dość dobrze. Maddy pewnie też była?

- Oczywiście, jest przecież prezeską.

Miała właśnie usprawiedliwić swe pytanie mówiąc, że Maddy skarżyła się na ból gardła we wtorek rano, ale w porę się powstrzymała. Brenda mogła przekazać ten wymysł Maddy.

- Jest taka pracowita - ciągnęła Tessa. - Zawstydzła mnie po prostu. Założę się, że dziś bierze udział w jakiejś innej imprezie.

- Na pewno. Dzisiaj jest zebranie komitetu organizującego kolację dożynkową. Przeprosiłam ich, bo nie mogę pójść. Muszę przejrzeć księgi pocztowe. W każdym razie wiedzą, że daję na tę kolację szynkę. Czy to wszystko? - zapytała podliczając zakupy. - Należy się dziewięć funtów trzydzieści siedem.

- Dziękuję. O Boże, no tak, to już kolacja dożynkowa.

- I zanim się obejrzymy, będzie kiermasz bożonarodzeniowy. A jakby dopiero pięć minut minęło od kościelnej fety - rzekła Brenda, która miała wrażenie, że zbyt często nadużywa się jej stanowiska

sklepowej, gdy na różne okazje w wiosce potrzeba było towarów z branży spożywczej.

- Tak, czas ucieka. Muszę pędzić, Brendo - powiedziała Tessa.

Pośpieszyła z powrotem przez Błonia. Drzwi jej domu wyglądały na nieporuszone, nikt się do nich nie dobierał, a w skrzynce na listy nie tkwiła żadna karteczka. Nikt też nie czekał na nią w środku. Tylko Urwis wstrętnie na nią zaszczeakał.

- Jeszcze nie - warknęła, myśląc z niechęcią o spacerze. - Dziś nic z tego nie będzie - oświadczyła, ale o drugiej ustąpiła i w zmywalni wciągnęła na nogi gumowe boty.

Dolly Cloomb przybyła do Holly House rankiem. Był to piątkowy poranek, dzień powrotu Nicka. Tessa powstrzymała się od poruszenia z nią tematu, który owładnął jej myślami, póki nie przekonała się, czy pani Cloomb nie trapi jakieś nieszczęście.

- Jak się pani miewa? W domu wszystko w porządku?

- Tak - odparła Dolly z przeciągłym westchnieniem. - Nie najgorzej. - Wyglądała bardziej na wykończoną niż posiniaczoną.

- Może napije się pani herbaty, zanim pani zacznie?

- Nie odmówię, złotko - roześmiała się Dolly. - Pani też nalać?

- Dziękuję. Później muszę iść na górę. Mam dziś mnóstwo roboty. Ciekawa jestem - rzekła w zamyśleniu, ujmując filiżankę - czy zobaczymy dziś panią Storr. Może mi przyniesie bilety na kolację dożynkową.

- Chyba nie - odparła Dolly.

- Nie? - wyciągała ją na słówka Tessa.

- Gdy przechodziłam, właśnie wyprowadzała samochód. Ten swój wielki kosz miała na tylnym siedzeniu. Trudno go nie zauważyć.

Rzeczywiście nie sposób było go nie dostrzec. W dzisiejszych czasach większość ludzi robiących zakupy zabierała ze sobą torby gospodarcze lub duże torby na ramię, niektórzy pchali wózki, wielu korzystało z kartonowego pudła między kasą a bagażnikiem samochodu, jedynie Maddy paradowała z wiklinowym koszem.

- Pewnie jechała do Fetherstone - rzekła Tessa, biorąc sobie do serca fakt, iż Maddy nie zadzwoniła, jak to się jej czasami zdarzało, by zapytać, czy Tessa nie potrzebuje czegoś z miasta. - Muszę się zbierać. Proszę się poczęstować kawą i herbatnikami. I niech pani krzyknie, jak pani skończy.

Poszła do pracowni i przygotowała przybory do pracy. Dziś wymagało to od niej wielkiego wysiłku: jej umysł był ospały, a ręce niezgrabne. Zmusić się, to jedyny sposób - napominała samą siebie. Cisza nadal stanowiła dla niej zagrożenie, jednakże gdy pani Cloomb krzyknęła: „Już idę”, Tessa stwierdziła, że zdumiewająco dużo działała.

Późnym popołudniem nasłuchiwała znów telefonu, ale już nie od Maddy, lecz od Nicka. Załatwił sobie taksówkę z lotniska na uniwersytet. Miał tam wpaść na zebranie i zadzwonić, żeby go stamtąd zabrała. Zatelefonował o szóstej.

- Tessa?

- O, Nick! Przyjechać zaraz?

- Och, nie. Przyszedł tu do mnie jeden z doktorantów. Ma kłopot, więc zgodziłem się udzielić mu dodatkowych konsultacji w zamian za podwiezienie do domu.

- Aż tutaj?

- Jest zamiejskowy. Będzie jechał autostradą.

- Kto to? - spytała, by zyskać na czasie.

- Jim Butcher. Chyba ci o nim mówiłem. Jestem promotorem jego pracy doktorskiej.

Nagle ogarnęła ją wściekłość. Chwyciła oddech i powiedziała:

- Oczywiście. Wszystko jasne.

Odłożyła słuchawkę. Później za wszelką cenę chce być w porządku, pomyślała, dlaczego więc teraz ma nie postępować uczciwie, gdy sprawa trwa? - spytała sama siebie z furją. Siedziała bez ruchu. W uszach jej szumiało.

Niemal natychmiast telefon zadzwonił ponownie.

- Tessa, co się stało? Słuchaj, jeśli chcesz, żebym od razu wrócił do domu, to nie ma sprawy. Tess?

Westchnęła przeciągle.

- Czy o to ci chodzi? - dopytywał się Nick. - Na miłość boską, to nie warte twoich nerwów. Słyszysz mnie, Tess? Kocham cię.

W jego głosie dzwieczał strach. Słyszała go już wcześniej. (Lęk przed utratą matki - jak to z lekceważeniem określiła w rozmowie z Maddy). Teraz owo powracające uczucie trwogi, mające zapewnić mu bezpieczeństwo, sprawiło, że pośpieszyła go uspokoić.

- Wiem, wiem, Nick - rzekła ze znużeniem. - Po prostu jestem zmęczona. Pracowałam jak wariatka. Zostawić ci coś gorącego?

- Nie trudź się - odparł już weselszym tonem. - Pójdziemy do pubu.

- Niech Jim nie pije za dużo, skoro ma prowadzić. Nastąpiła pauza, podczas której przypominał sobie, kim jest Jim.

- Dobrze. Nie przejmuj się, będziemy jeść, nie zakąsać. Zobaczymy się później. Aha, Tesso... - zaczął i urwał w pół zdania.

- Wiem, Nick, pójdę spać.

Przez cały ten czas Urwis, spuściwszy łeb, przyglądał się jej spod rzes. Kontynuował tę niewzruszoną obserwację, podczas gdy Tessa siedziała przy parapecie kuchennego okna z ręką na telefonie. Gdy pani wreszcie się podniosła, Urwis z nadzieją postąpił naprzód, lecz ona bez słowa śmignęła obok niego do holu, po czym zniknęła w saloniku. Przygnębiony, siedział nieruchomo jak głaz. Potem nagle pierś jego wezbrała optymizmem, zachęcającym do puszczenia się za nią klusem w nadziei, że życie wróciło do normy. Ona jednak nadal go nie zauważała; osunawszy się na sofę wpatrywała się w ścianę. Zrozumiał, że poniósł klęskę. Jednak ta posepna mina nie dawała mu spokoju. Wskoczył więc na kanapę obok Tessy, przycisnął plecy do jej uda i schował głowę tak, by nie musiał już patrzeć na swą panią.

Uwagę Tessy przykuł wiszący na ścianie obraz - chyba najulubieńsza rzecz z całego jej dobytku, jedyna, nie licząc męża, syna, psa i kota, po którą zaryzykowałyby powrót do płonącego domu. Było to płótno Dorothei Sharp, olejne studium dzieci na piasku o zmierzchu. Zobaczyła je w galerii w Stowe i ciągle tam wracała, by mu się przyjrzeć. Nic jej nie wspominając o swym zamiarze, Nick wycofał niewielką sumkę, którą odziedziczył po ojcu, i wpakował ją w całości w kupno obrazu. Jedyne pieniądze, jakie dostały mu się bez wysiłku. Więcej taka okazja chyba się Nickowi nie trafi. „O tak, on mnie naprawdę kocha” - pomyślała.

Podniosła się i podeszła bliżej, by przyjrzeć się obrazowi - muśnięciem pędzla piaskową farbą w różowe cętki, uwydatnionemu błękitowi i zieleni jałowca nałożonych szpachlą, kredowemu pigmentowi wieczornego nieba - i powróciła do niej owa chwila, gdy po raz pierwszy ujrzała go na ścianie swego saloniku. Był to czas spokoju. Lata walki z Nickiem, kiedy to pragnęła go zmienić, a on przysięgał, że się zmieni, miała już bowiem za sobą. Dlaczego ta żarliwość uczuć, które żywili do siebie, nagle gdzieś się ulotniła? Ważniejsze stało się dla niej rosnące zaufanie do własnej pracy oraz

fakt, że z każdym rokiem syn staje się coraz bardziej samodzielny. Bardziej też zaczęły się dla niej liczyć inne cechy charakteru Nicka, takie jak serdeczność w stosunku do jej umierającej matki oraz życzliwy stosunek do ciotki Winifredy, z którą tak uroczo się przekomarzał. „Nick to istny czarodziej” - mawiała ciotka z czułą pobłażliwością. Wszyscy go kochają, pomyślała. Gdyby go wyrzuciła, byłaby to strata zarówno dla innych, jak i dla niej. Jedna czy dwie przygody przeszłyby niezauważone, gdyby tak koniecznie nie musiał ich wyznawać, jak tylko się kończyły. Czynił to ze strachu, że Tessa się dowie, co groziło jego cennemu poczuciu bezpieczeństwa. Nade wszystko bowiem lękał się ją utracić.

Kiedyś, przed czterema laty, niewiele brakowało, aby się to stało. Cała sprawa wydarzyła się tuż po śmierci ciotki Winifredy, gdy Tessa odziedziczyła domek na Honey Lane. Dotknięta romanssem Nicka z ich wspólną znajomą z uniwersytetu pomyślała, że dysponując dochodem ze sprzedaży domku mogłaby wykupić prawa Nicka do Holly House. Nigdy przedtem jej nie upokorzył, toteż nie posiadała się ze złości. „Zrobiłeś ze mnie idiotkę w oczach twoich znajomych z uniwersytetu i, do cholery, nie uda ci się tego zrobić po raz drugi tutaj, we własnym domu” - przysięgała.

Myśl, że może ją stracić, doprowadzała go do szaleństwa i sprowadzała powtarzające się senne koszmary. Zawsze wiedziała, kiedy go dręczą. Leżąc z szeroko rozrzuconymi rękami kopał, miotał się i jęczał. Nagłym szarpnięciem wyrywał ją ze snu. Czekwała cierpliwie, wiedząc, że nie ma sensu go budzić, by usłyszeć nieodmienny, zduszony łkaniem krzyk. Tak często opowiadał, co mu się przydarzyło w dzieciństwie, że gdy przeżywał tę scenę w snach, Tessa - czuwając obok niego - widziała ją oczyma duszy.

Jedenastoletni Nick siedział obok matki w autobusie numer osiem. Nie odrywał oczu od komiksu. Wracali do domu z sobotniej wyprawy po szkolny mundurek. Matka była zmęczona, lecz jednocześnie podekscytowana. Syn zdał egzaminy i piął się w górę. Autobus był wilgotny i przesycony parą - od kilku dni lało bez przerwy. Matka trąciła Nicka łokciem: „Zaraz wysiadamy” - powiedziała i rozwinąwszy plastikowy kapturek zawiązała go sobie pod brodą. Chłopak czytał dalej. „Nick, schowaj to i włóż czapkę” - poprosiła. Pomrukując zwinął komiks i wsunął go w kieszeń gabardynowego nieprzemakalnego płaszcza. Z drugiej kieszeni

wyciągnął wilgotną czapkę i ponuro wcisnął ją sobie na głowę. „Musisz mi pomóc nieść to wszystko” - rzekła matka, nagle zaniepokojona, jak też w tej ulewie przeniesie cenne nabytki do domu. Wyszli z autobusu i przeszli na drugą stronę ulicy, uginając się pod ciężarem toreb z zakupami. Po czym, gdy przechodzili pod wysokim murem wsporczym, okalającym spiętrzoną ziemię dziedzińca kościoła Świętego Józefa, powalił ich na ziemię gwałtowny strumień cegieł i zagrzebał rwący prąd ziemi. Zawalił się mur i większa część nasypu. Nick wygramolił się solidnie podrapany, lecz nie okaleczony. Nic jednak nie wskazywało na obecność matki - prócz bezwładnej ręki, zaciśniętej na torbie z zakupami. Nick zaczął krzyczeć. Pojawili się ludzie. Ktoś odwalił kupę cegieł. Odciągnęli go, lecz zdołał przedtem ją wyraźnie zobaczyć: matkę ze zmasakrowaną twarzą.

Nick zamieszkał z siostrą zmarłej matki i jej rodziną.

Ojciec podjął pracę za granicą. Nick nauczył się być miły, dostosowywać się, osiągać powodzenie.

Przebudziwszy się z koszmaru, zawsze kurczowo ją obejmował. „Nie zostawiaj mnie, Tess. Obiecuj, że nigdy mnie nie zostawisz” - powtarzał.

Po romansie z koleżanką, który o mało co nie doprowadził do katastrofy, Nick wstąpił na drogę poprawy. Na ile Tessa się orientowała, miał jeszcze tylko jeden flirt (z amerykańską stewardessą), o którym nigdy by się nie dowiedziała, gdyby nie nagły przypływ jego usprawiedliwień, zakończonych wyznaniem, jakiego dokonał ze złamanym sercem. Nic więcej. Aż do tej pory.

Myśl, krążąca gdzieś w głębi jej umysłu, przemknęła i zaatakowała ją nagle jak krogulec. Tessie zabrzmiały w uszach jej własne ostrzegawcze słowa sprzed czterech lat: „Nigdy nie zrób mi tego tutaj w domu. To będzie koniec, Nick, mówię poważnie.” Czy jego brak poczucia bezpieczeństwa był tak wielki, tak uciążliwy, że aż musiał ją wypróbować? Czy grożąc mu przyśpieszyła kryzys? Och, bzdura, bzdura, zazwyczaj wszystko dzieje się przypadkiem - odpowiedziała sama sobie.

Wszechogarniające pragnienie uporządkowania myśli wywołało w niej niepokój. Rozglądając się i dostrzegając telefon, przez krótką, idiotyczną chwilę zapragnęła zadzwonić do Maddy, co zazwyczaj stanowiło ujście dla jej problemów. Wzięła się jednak w garść i wykręciła numer Probostwa. Nie miała bynajmniej zamiaru zwierzać

się Eleanor. Nietaktem byłoby niepokoić podobnymi kłopotami osobę tak bezbarwną. Po prostu chciała usłyszeć przyjazny głos. Głos człowieka, na którym można polegać.

- O, to ty. Ja się masz, Tesso? - rzekła Eleanor, jak zawsze dźwięcznie i wyraźnie.

- Eleanor, chciałam tylko zapytać, czy jest coś jeszcze do zrobienia przy kolacji dożynkowej - improwizowała.

- Wiem, że ze mnie kawał lenia, ale...

- Nic mi nie przychodzi do głowy, ale miło, że pytasz. Madeleine Storr na pewno już by cię poprosiła, gdyby było trzeba. Wiesz, Tesso, czasami mam wrażenie, że w tej wiosce jest zbyt wielu wodzów, a za mało Indian. Skoro wszyscy chcą być organizatorami, nie ma już dla kogo organizować. Nie, kochanie, podniesiesz nas na duchu, jeśli się po prostu pojawisz. A za Nickiem tak przepadają starsze panie. Mam nadzieję, że oboje przyjdziecie?

- Chyba tak.

- Och, powiedz Nickowi, że musi przyjść. W przeciwnym razie pani Bull zażąda zwrotu pieniędzy. Pamiętasz, jak się z nią przekomarzał w zeszłym roku? To nieznośny chłopak, ale nie ma w nim złości. Prawda, Tesso?

Przez sekundę nie mogła wykrztusić słowa. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Na pewno się zjawimy - wydusiła z siebie pośpiesznie. - Eleanor, przyjdź na herbatę we środę.

- Niestety nie mogę. Środy to dni moich wizyt w szpitalu.

- W takim razie w czwartek.

- Dobrze, czwartek może być.

- Przynieś album.

- Zgoda, chociaż na pewno masz go dosyć.

- Nie, przynieś. Do zobaczenia w czwartek. Kłopot z tobą, napominała sama siebie odkładając słuchawkę, polega na tym, że za mało wychodzisz. Każdy człowiek w wiosce jest w coś zaangażowany, ty zaś odgradzasz się od świata, zaabsorbowana dziełami własnych rąk. Nic dziwnego, że zatracasz poczucie proporcji. Boże, dziewczyno, od tego się nie umiera! I pewnego dnia przestanie to mieć dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Ktoś inny będzie w Holly House odchodził od zmysłów, jakby właśnie świat się kończył.

- Chodź do mnie - rzekła do Urwisa.

Przytuliła psa i poczuła wyraźnie ciepło żywej istoty. Odczucie, że uchwyciła się bezpiecznej deski ratunkowej przeniknęło całe jej ciało i umysł.

Rozdział 6

O wpół do czwartej nad ranem Tessa obudziła się z niespokojnego snu i usiadła gwałtownie na łóżku. „Maddy przyjdzie tu świtem - pomyślała przerażona. Teraz, kiedy uzgodnili swoje wersje, pojawi się jak nic”.

U jej boku równo oddychał Nick. Położyła się znów na plecach, podciągnawszy kołdrę do twarzy, i wpatrywała się w bledszy kwadrat mroku, utworzony przez znajdujące się naprzeciwko okno. Rozmyślała, jak powinna się zachować podczas zbliżającej się konfrontacji. Gdzie ma patrzeć? (Wszędzie, byle nie w twarz Maddy). Czy lepiej, by stała i była uprzedzająco grzeczna, czy też, by siedziała przy stole i z roztargnieniem bawiła się sztuczkami. Usiłując to sobie wyobrazić, skuliła się pod kołdrą, zażenowana kłamstwami, które muszą między nimi paść. W sumie rota Maddy wydawała się prostsza: dużo łatwiej wygłaszać nieprawdopodobne łągarstwa, niż biernie je przyjmować. A może nie powinna się temu poddawać? Uciec - bez śniadania, niech Nick zajmie się psem - po prostu ubrać się, wyprowadzić samochód i wiać. Wyłoniły się jednak pewne trudności. Na przykład, że zadzwoni Paul, a ona chce wiedzieć, czy polepszyło mu się z jego zranionym kolanem. Trzeba też zrobić zakupy i coś jeszcze, czego w tej chwili nie może sobie przypomnieć.

Po raz drugi obudził ją dopiero hałas, jakiego narobił Urwis, drapiąc pazurami w drzwi. Była dziewiąta. Nick nadal spał, bez wątplenia wykończony wczorajszą podróżą. Świństwem byłoby go budzić. Włożyła szlafrok na jedwabną piżamę, przewiązała go w talii, wsunęła stopy w ranne pantofle i bezszelestnie przekreśliła gałkę w drzwiach.

- Cicho! - ostrzegła psa. Chwytał ją za pięty, gdy człapała wzdłuż holu i w dół po schodach. - Chcesz od razu wyjść? - spytała, otwierając drzwi z tyłu domu.

Cofnął się. Jasne, że nie chciał. Tessa przypomniała sobie, że poranny psi herbatnik jest opóźniony. Rzuciła mu jeden, a gdy go połknął, nogą wypchnęła psa na dwór. W taki dzień, zimny i mglisty, nie warto wychodzić.

- Hej, kocie - zawołała, przechodząc przez kuchnię. W skrzynce na listy tkwiła gazeta. Wyciągnęła ją, zawahała się, po czym odsunęła rygiel, zamykając drzwi tylko na klamkę. Następnie postawiła na

kuchennym stole słoik z marmoladą i masło, do czego wkrótce dołączył czajnik z herbatą i grzanki.

Jadła właśnie śniadanie i czytała gazetę, gdy usłyszała pukanie.

- Otwarte! - krzyknęła nerwowo.

Drzwi otworzyły się i wpadło słoneczne światło - a przynajmniej tak się jej wydawało. W istocie była to Maddy we wściekle żółtej skórzanej kurtce, granatowych sztruksowych spodniach i jaskrawoniebieskim szaliku.

- O rany! - wykrzyknęła Tessa z podziwem. - Masz coś nowego.

- Lepiej nic nie mów! - rzekła Maddy, rozwijając szal i rzucając się na najbliższe krzesło. - Jestem w kropce. Kompletnie przyblokowana. Klucz rzucony w morze.

- Znowu za dużo wydałaś?

- Robert daje mi jakieś nędzne grosze. Nie ma co liczyć na więcej, póki się nie uspokoi.

Roberta rzadko kiedy ponosiły nerwy, choć nieraz Tessa widziała, że jest zmartwiony i wyprowadzony z równowagi kolejnym przejawem rozrzutności swej żony. Maddy nie mogła się oprzeć pokusie kupowania ładnych ciuchów. Każdy modny kolor czy też nowy krój przenikał ku niej dzięki jakimś tajemniczym fluidom. Nachodziło ją „przecucie” co do jakiegoś stroju, którego jeszcze nie widziała, wyruszała zatem, by go wytropić w jakimś sklepie, gdzie już dokonywała podobnych odkryć. Podobnie gromadziła różne drobiazgi dla domu. Fragment gołej ściany, pusta półka, pomijany dotychczas kąt potrafiły nagle zakrzyknąć do niej, by je szczególnie przyozdobiła. Odkryć zaś jakąś rzecz i nie kupić jej - to dla Maddy jakby okrutnie odmówić przeznaczeniu. Czasami wracając z wyprawy po zakupy zatrzymywała się w Holly House, by pokazać Tessie ostatni nabytek, po czym odwaga ją opuszczała i błagała przyjaciółkę, żeby towarzyszyła jej do Jasmine Cottage: „Przyjdź zobaczyć, czy to pasuje. Jeśli nie - zaraz zwrócę. Wierzę w twój gust, Tesso”. Robert, który jako twórca programów komputerowych przeważnie pracował w domu, wychodził ze swego gabinetu, by popatrzeć, jak żona - z głową przechyloną na bok - starannie umieszcza nowe trofeum. Jeśli postąpiła wyjątkowo lekkomyślnie, mógł poprosić ją do gabinetu, by obejrzeć stan jej konta. Kiedyś, gdy zbyt długo szalała, zabrał Maddy książeczkę czekową na miesiąc i skąpo wydzielał pieniądze na dom.

- Musiałaś narozrabiać, skoro kapie ci tylko na życie - rzekła Tessa. - Chcesz herbatnika?

- Dzięki. Coś wam przyniosłam. - Wyciągnęła z kieszeni dwa bilety i położyła je na stole.

- Ile ci jestem winna? - spytała Tessa, podając jej filiżankę.

- Sześć funtów.

Tessa wyjęła portmonetkę ze stojącej na ławie torby i odliczyła pieniądze. Maddy zwinęła je i schowała.

- Mam nadzieję, że Nick przyjdzie (jego imię przeszło jej gładko przez usta), ale Robert powiedział, żebyś tak czy tak wpadła do Jasmine Cottage. Naturalnie będę musiała wyjść wcześniej, więc dotrzymasz mu towarzystwa i zajmiesz później dla mnie miejsce.

- Świetnie. O której mamy wyjść z domu?

- Och, jakieś pięć czy dziesięć minut wcześniej. To przecież naprzeciwno. Miejmy nadzieję, że Robertowi humor się poprawi.

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek długo się dąsał.

- Nic ci nie mówiłam, prawda? Hm! Ależ tu przytulnie. - Rozpięła kurtkę i strząsnęła ją z ramion, odsłaniając ulubiony sposób odziewania swej górnej połowy: jedwabną bluzkę i pulower bez rękawów. Dzisiejsza wersja była w harmonizującej z resztą tonacji błękitnej.

Tessa, czując się jak jedno z owych dziwnych stworzeń przychodzących na świat bez przyrodzonego futra czy też upierzenia, poprawiła na przodzie szlafrok, który się zsunął i czekała, aż usłyszy to, o czym Maddy jej nie mówiła.

- W poniedziałek wieczorem zwialiśmy w parę osób z kursu pisania powieści. Pojechaliśmy do miasta, żeby obejrzeć „Niebezpieczne związki” - koszmarne, jak się później okazało - a potem pójść na drinka. Zgadnij, kogo spotkaliśmy w pubie?

Tessa nic nie odpowiedziała, choć domyśliła się od razu.

- Nicka! Wydał mi się trochę przygnębiony. Przyjechał odwiedzić w szpitalu waszego wspólnego znajomego. Czyż to nie rozpaczliwie smutne? Nick mówi, że on ma dopiero czterdzieści dziewięć lat.

Tessa spojrzała w pustą filiżankę. Gdyby chciała, bez trudu mogłaby skontrolować wypowiedź Maddy, ale ogólnie rzecz biorąc było jej wygodniej siedzieć cicho.

- Tessa, czy mogłabyś poprosić Nicka, żeby o niczym nie wspominał Robertowi? - spytała ni stąd, ni zowąd Maddy.

Tessa uniosła głowę ze zdumieniem.

- Widzisz - ciągnęła Maddy - skoro niby mam tak oszczędzać, oglądać każdego pensa, raczej wolałabym się nie przyznawać do wypadu do miasta. Już widzę, jak on to wszystko podlicza: benzynę, kino, jedzenie, drinki...

- A więc coś jedliście? - spytała Tessa i natychmiast przeszło jej przez myśl, że głupio robi, czepiając się błahego szczegółu. To pytanie najwyraźniej zwiększyło tylko wiarę Maddy w samą siebie.

- Och, jak najbardziej! Stek, frytki i fantastyczne ciastka. Więc powiedz Nickowi, żeby był dobrym kumplem i cicho siedział.

- Dobrze - wymamrotała Tessa, spodziewając się, że Maddy nie będzie oczywiście tak gruboskórna, by dopowiedzieć wszystko do końca („Więc stąd wiedziałam o wypadku Paula. Nick powiedział mi o tym, gdy sobie gawędziliśmy”). Miała dość taktu i delikatności, by nie przedobrzyć. Wystarczy, że wskazała możliwość.

- Film ci się nie podobał? - zapytała Tessa.

- Ohydny - rzekła Maddy i już miała zamiar szerzej omówić tę kwestię, gdy uwagę jej przykuł odgłos zatrzaskiwanych na górze drzwi i rozlegający się zaraz potem stukot stóp na schodach.

Tessa zastanawiała się, dlaczego nagle przestały rozmawiać. Tak jakby ich mózgi uległy atrofii lub atmosfera w kuchni stała się zbyt ciężka. Ich milczenie sprawiło, że Nick raptownie zatrzymał się w drzwiach.

- Co się stało? - spytał zdziwiony.

- Przyniosłam bilety na kolację dożynkową - rzekła Maddy ochryłym głosem, jakby zaschło jej w gardle.

Z jej oczu sypały się iskry. (Tessa domyślała się, że miały nią wątpliwości, czy Nick będzie w stanie dorównać jej zręcznością). Z trudem balansowali na krawędzi katastrofy. Maddy spuściła wzrok ku biletom na stole, Nick zaś i Tessa patrzyli na nią zdrętwiali z przerażenia, jak nie pamiętający swej roli aktorzy, których sufler pogubił się w tekście. Horror wzrastał i Tessa oczyma duszy ujrzała, jak jej przytulna, miła kuchnia - ozdobiona starym drewnem i cenną porcelaną, przesycona swojskimi zapachami pasty, suszonych grzybów i grzanek, atmosferą niezakłóconej stabilności, podkreśloną jeszcze wiernym tykaniem zegara w holu - wypełnia się bezładem i

hekatombą pozrywanych więzi. Rola, którą będzie musiała grać - rola skrzywdzonej żony, zdradzonej przyjaciółki - objawiła się Tessie tak wyraziście, że zabrakło jej tchu. Takiej katastrofy za wszelką cenę należy uniknąć. Zacisnęła mocno dłonie pod stołem i wzięła się w garść.

- Pójdiesz ze mną, prawda Nick? - spytała swobodnie. - Na kolację dożynkową w przyszłą sobotę. Robert chce, żebyśmy po niego wpadli, bo Maddy jak zwykle musi wyjść wcześniej, żeby wszystko zorganizować. Jak twierdzi Eleanor Browne, starsze panie marzą, by cię tam zobaczyć.

Na twarzy Nicka odmalowało się uczucie ulgi.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru. Nie mogę rozczarować mojej publiczności. Co mamy w karcie?

- Och, to co zwykle. Wiesz, jacy ludzie są konserwatywni - odparła pośpiesznie Maddy.

Zadzwoił telefon.

- Odbiorę go w saloniku - powiedział Nick.

- Jeżeli to Paul, zawołaj mnie, gdy z nim porozmawiasz - krzyknęła za nim Tessa. Potem zwróciła się do Maddy: - Zrobię dla nas kawę, dobrze?

- Och, nie. Musisz się ubrać. - Podniosła się, by założyć kurtkę i zamotać szal. - Zawsze - rzekła z uśmiechem dezaprobaty - kiedy idę na targ, mam ze sobą masę zawiadomień, które roznoszę moim paniom. Muszę też porobić napisy na wystawę w hrabstwie. Twoja ciotka miała taką dobrą rękę do dżemów. Od dawna nie odnieśliśmy żadnego sukcesu w konkursach kulinarnych. - Położyła dłoń na gałce drzwi. - Wpadnij do mnie w przyszłym tygodniu.

- Dobrze. Zobaczę, jak mi będzie szła robota i zadzwonię do ciebie.

- Ale mgła! Pa! Tesso.

- Pa! Maddy.

Rozdział 7

Rose Fettle - w solidnych butach i rękawiczkach - żwawo kroczyła ścieżką swego ogródka. Przy bramie spotkała Gail Partridge spod numeru siódmego. Gail pchała wózek ze swym czwartym dzieckiem. Piąte, jeszcze nie narodzone, wystawało spomiędzy rozpiętych pół zniszczonego skózanego płaszcza. „I nigdy ani słowa o mężu” - pomyślała Rose.

- Jak się masz, Gail - rzekła głośno, z naganą w głosie. Gail, która już zdążyła przejść, nie odwróciła się.

- ... bry, pani Fet - ul - rzuciła, niemalże splunawszy w nieruchome, chłodne powietrze.

Na jezdni trzech chłopców kopało piłkę z chaotyczną bezcelowością sobotniego popołudnia. Uważając, by przy okazji nie oberwać, Rose przeszła na drugą stronę ulicy i skręciła do domu Dolly. We frontowym pokoju Cloombów jakiś komentator sportowy tłumaczył męskie sprawy; jego zadufany głos świadczył o tym, że płęć męska czuje się niejako naturalnym właścicielem fal radiowych. Rose szyderczo wydeła usta i podążyła do drzwi u tyłu domu.

Dolly czekała już w kuchni, ubrana w płaszcz.

- Gotowa? - spytała Rose.

- Dolly! - ryknął Arthur Cloomb, przekrzykując wszechwiedzącego sprawozdawcę z telewizji.

Dolly, zalekniona, przeszła korytarzem; nie odważywszy się wejść do saloniku przystanęła w drzwiach, oglądając się bezradnie za przyjaciółką.

- Idę po drzewo, Arthurze.

- Co powiedziałaś?

- Idziemy z Rose po drzewo.

- To nie nasz Barry był w kuchni?

- Nie. Rose. Przynieść ci filiżankę herbaty, zanim wyjdę?

- Herbaty?! - pogardliwie prychnął Arthur. Odczekawszy tyle, ile nakazuje przyzwoitość, Dolly nic więcej nie usłyszała. Ostrożnie wróciła więc do kuchni.

- Zabierajmy się stąd, szybko - powiedziała.

- Twój Barry przyjdzie? - spytała Rose, gdy były już w bezpiecznej odległości od bramy Cloombów.

- Obiecał, że przy obiedzie pogada z Johnem o cofnięciu Arthurowi zakazu wstępu do gospody.

- Szkoda.

- Sama już nie wiem, Rose. Przynajmniej wyniesie się z domu wieczorem i będę mogła się zbliżyć do kominka. Teraz sam się przy nim rozwała, a mnie się robi niedobrze, gdy na to patrzę.

- Ale póki nie wolno mu przychodzić, nie musisz się martwić, kiedy zamykają.

Skręciły z Orchard Street, przeszły przez drogę prowadzącą do fermy kurzej i teraz kroczyły już Fetherstone Road po stronie ogródków działkowych. Ken Tustin, przewodniczący rady parafialnej, ścigał właśnie worek nawozu z furgonetki.

- Dzień dobry paniom - rzekł przyjaźnie. - Mam nadzieję, że zobaczymy się na kolacji dożynkowej.

- Jak dobrze pójdzie, panie Tustin. Bilety są drogie - zauważyła złośliwie Rose.

- Przykro mi, że pani tak uważa. Zapewniano mnie, iż będzie wspaniała wyzerka.

Nie ociągając się ruszyły przed siebie.

- Jestem ci winna jeszcze pięćdziesiąt pensów za bilet, Rose - rzekła w zamyśleniu Dolly.

- Możesz mi zwrócić w przyszłym tygodniu. Byłam dziś rano w sklepie, gdzie pani Burrows skarżyła się, że bilety są za tanie: „O Boże, pani Browne - mówiła - przy tych cenach nigdy nie naprawimy dachu kościoła. Bilety powinny kosztować co najmniej pięć funtów”. Pięć funtów! A niby jak staruszkowie mają je wysupłać ze swoich emerytur? Wciąż to samo: oni po prostu chcą, żeby wszystkie pieniądze szły na jakiś cel, a nie żeby ludzie mieli frajdę. Nie tak jak kiedyś, co, Rose?

- W zupełności się z tobą zgadzam - rzekła Dolly posłusznie.

- Nieważne. Wkrótce nadejdzie nasza kolej - bożonarodzeniowy turniej gry w wista. W tym roku powinien wypaść lepiej niż poprzednio. Ooo! - Rose ze świstem wciągnęła powietrze i położyła rękę na ramieniu Dolly. - Widzisz? - szepnęła. - O, tam.

Biegając wzrokiem za wyciągniętą ręką Rose, Dolly spojrzała na pola po lewej. W poprzek linii horyzontu przegalopował koń, po czym zniknął na pochyłości, należącej do gospodarstwa Pecków. Nawet z tak daleka dawało się wyczuć żywiołowość i nieopanowanie amazonki. Na głowie miała zawiązaną chustkę, spod której wysuwały

się powiewające na wietrze włosy; pochylała się nad końskim karkiem, obejmując go ramionami.

- Kompletnie zwariowana - rzekła Rose.

Po chwili Dolly wygłosiła na temat Phoebe Peck zwyczajową uwagę, którą automatycznie robili wszyscy od dawna zakorzenieni w wiosce, gdy tylko zauważyli jakiś przejaw ekscentryczności młodej kobiety. (Starodawne nazwisko „Peck” było wielce poważane w Wychwood).

- Żał mi Roya, dzieciaków, starego Sama i May.

- W ogóle nie powinien był się z nią żenić - rzekła stanowczo Rose. - Wszyscy zmarli Peckowie na pewno przewracali się w grobach, gdy Roy to robił.

W miejscowym kościele Eleanor i Timothy czynili przygotowania do niedzielnej mszy. Eleanor odświeżała kwiaty. Zdecydowała nie wstawiać świeżych roślin, gdyż w przyszłym tygodniu cały kościół zostanie udekorowany na święto dożynek. Paniom opiekującym się kwiatami ofiarowano wolne popołudnie, Eleanor zaś obiecała dolać wody i usunąć z bukietów to, co zwiędło. Na wszelki wypadek przyniosła ze sobą parę ładnych pąków z ogrodu Probstwa.

Timothy przygotowywał wszystko na rano. Roboty było mnóstwo: trzeba ułożyć ogłoszenia na blacie ambony, założyć skrawkami papieru miejsca w książkach na biurku, zmienić numerki hymnów na tablicy, przesunąć jedwabną zakładkę w leżącej na pulpicie Biblii, zaznaczając tym samym pierwszą lekcję.

W kościele panował półmrok. Światła paliły się w nawie i w prezbiterium. Było też chłodnawo, choć każde z nich odczuwało ciepło, jakie niosło ze sobą towarzystwo drugiego. Timothy lubił bardzo przebywać w kościele tylko z Eleanor. Czasami panie opiekujące się kwiatami zachowywały się nie tak jak trzeba. Nie żeby pokrzykiwały albo robiły coś niestosownego, ale po prostu ilekroć słyszał zmieniony głos siostry, wiedział, że wydarzyła się drobna katastrofa. Eleanor pozostawiona sama sobie zdawała się być całkowicie pochłonięta pracą. Przypominała mu matkę, która w sobotnie popołudnia tak samo wypełniała tradycyjne kościelne obowiązki. Oboje z Eleanor zostali wdrożeni do tej pracy, podobnie jak przed nimi ich rodzice. Anglikanizm mieli więc we krwi. Timothy wyobrażał sobie, jak w całej Anglii, w wiejskich kościółkach i miejskich katedrach, spełniano z miłością tę samą powinność -

widowisko, które rozgrywa się od wieków i będzie się nadal odbywać, gdy on i Eleanor obrócą się w proch. Myśli te podniosły go na duchu tak bardzo, że zaczął podśpiewywać. Nim zdążył jednak zanucić pierwszą linijkę „Od wielu wieków”, melodyjne dźwięki pieśni zostały zniekształcone przez atakujący go katar. Timothy odwrócił się ku siostrze i przemówił przytłumionym głosem, którym zawsze posługiwał się w przybytku Pańskim:

- Obawiam się, że ta okropna mgła dostała mi się do dróg oddechowych.

- Ojej - westchnęła Eleanor, prostując plecy. - Mam nadzieję, że nie wpłynie to na twój głos - dodała. (Głos Timothy'ego, jako sługi liturgii, stanowił cenny instrument, który często napawał ich lękiem).

Timothy przemierzył prezbiterium, skłaniając głowę przed ołtarzem, i rozsunął zasłony, zakrywające konsolę organów. Nacisnął wyłącznik, poczekał, aż miechy napełnią się i wziął basowe C. Nucił cicho ustalając takt, po czym wyprostował się, wypiął pierś i zaokrąglił usta, chcąc nadać swemu głosowi aksamitną anglikańską miękkość.

- O Panie, rozchyl nasze wargi - zaintonował pieśń.

- A z naszych ust popłynie Twoja chwała - sumiennie odpowiedziała Eleanor.

- Taak - rzekł Timothy i wziął z kolei basowe G.

- O Boże, śpiesz, by nas zbawić.

- O Panie, daj nam ku pomocy - zaśpiewała wibrującym głosem Eleanor.

- I cóż?

- Nie słyszę nic złego, Timothy. Ale na wszelki wypadek zrobię ci płukanek. To zazwyczaj oczyszcza drogi oddechowe.

- W rzeczy samej. Dziękuję ci, moja droga. - Uszczęśliwiony zamknął organy i powrócił do pulpitu, choć przez jakiś czas, by dać szansę swemu głosowi, powstrzymywał się od podśpiewywania.

Po dziesięciu minutach ich ciche zajęcia zostały gwałtownie przerwane. Drzwi kościoła raptownie się otworzyły i do środka wkroczyły... nogi w wysokich butach.

- Domyśliłam się, że was tu zastanę, skoro nie mogłam złapać was w domu - zawołała Celia Westbrook, ani na jotę nie tłumiąc przenikliwego tonu głosu, czego można by oczekiwać przez szacunek dla Wszechmocnego.

Siostra i brat drgnęli i spojrzeli na nią surowym, pytającym wzrokiem.

- Przyszłam zapytać, czy dołączylibyście do nas na jutrzejszym lunchu. Będą Laughtonowie (mówiła o miejscowym pośle do parlamentu i jego żonie), Ferribyowie z Zamku Bedford, a także Daphne Addinbrook z aktualnym wielbicielem. Drinki podawane będą od dwunastej trzydzieści.

Eleanor spojrzała wymownie na Timothy'ego. Celia nigdy nawet nie starała się ukryć, że parę z Probostwa traktuje wyłącznie jako dodatek do proszonego lunchu czy obiadu. Jej zdaniem po to właśnie istniało Probostwo

- położona w dogodnej bliskości siedziba dwojga ludzi, posiadających zasadnicze przymioty dobrego wychowania. A ponieważ proboszcz i jego siostra byli biedni, Celia zakładała, że winni zachowywać się usłużnie, co jest ich obowiązkiem wobec własnych żołądków.

Owe zaproszenia na obiad zaczęły w końcu wzbudzać w Browne'ach lęk. Często czuli się nieswojo z powodu fochów innych gości i lekceważącego stosunku gospodarzy.

Z trudem znosili usposobienie majora Westbrooka, które stawało się coraz burzliwsze, w miarę jak płynął strumień wina, pobudzający wojaka do rozwijania nieprzychylnych poglądów na temat przydatności do życia pewnych kategorii ludzi. Jedzenie zaś, jak zaznaczał Timothy, po prostu nie było wiele warte - twarde mięso, sos z grudami, mrożone warzywa i kupne puddingi. Eleanor przyznawała mu rację i dziwiła się, jak też to wszystko Celi uchodziło.

Próbując opanować wzburzenie, Eleanor przebiegła w myślach plan A (zakładający, że jedno z nich czuło się niezdrowe) i odrzuciła go, gdyż Celia stała tuż obok, widząc ich oboje w znakomitej formie. Plan B (przyjmujący, że byli już wcześniej umówieni) ostatecznie mógł się nadawać, lecz wymagał pewnej natychmiastowej rewizji, gdyż nikt by nie uwierzył, iż proboszcz udaje się w podróż między poranną mszą a wieczornym nabożeństwem. Natchnienie spłynęło na nią jak błogosławieństwo.

- Obawiam się, że to niemożliwe, Celio. My też spodziewamy się znajomych na lunchu - oświadczyła.

- Ach tak? - rzekła Celia ostro. - Kogo?

Ta kobieta nie ma wstydu, pomyślała Eleanor, a więc zasługuje na mój wykret.

- Nie znasz ich. To duchowni - odparła.

Na twarzy Celli pojawił się gniewny grymas. Zastanawiała się, czy warto poszerzać listę zaproszonych na lunch gości. Wiedziała, że Browne'owie mieli dobre koneksje - ich ojciec był kanonikiem, a dalsza rodzina mogła się poszczycić biskupem gdzieś w koloniach. Mimo to ich chwała była nieco przebrzmiała, słowo „duchowni” zaś w dzisiejszych czasach mogło oznaczać zarówno upiornych facetów z akcentem jak u górników, jak też ludzi o poprawnej wymowie, lecz krańcowo lewackich poglądach. O Boże, nie, to na pewno okaże się straszliwą pomyłką - pomyślała.

- W porządku - rzekła, uderzając się w odziane w bryczesy udo. - Wasza strata - zakończyła, po czym odwróciła się i odmaszerowała.

Kiedy już umilkły odgłosy hałaśliwego odwrotu, do kościoła wkradła się cisza i podpełzła ku rodzeństwu w miejsce oddalających się kroków Celi. Oszołomieni instynktownie zbliżali się ku sobie, aż ramię przy ramieniu stanęli w prezbiterium. Eleanor, ciągle trzymając w ręku nożyczki, wsunęła drugą zaciśniętą dłoń głęboko w kieszeń rozpinanego swetra. Ręce Timothy'ego zacisnęły się na okrytym sutanną brzuchu. Stan bezruchu nadał obojgu znamię trwałości, podobne wiecznej nieruchomości rzeźbionego rycerza i elżbietańskiej dobrodziejki, wykutych w kamieniu. Ich odmienne sylwetki - jej kanciasta i szczudłowata, jego gładka i krągła - zadawały jednak kłam jednolitości ich postaw. Lekko skłonili głowy i spojrzeli ku ołtarzowi. Ich oczy spoczęły na Baranku Bożym, przedstawionym na obrusie ołtarza.

- On nam wybaczy - rzekł Timothy.

Celia Westbrook wyprowadziła swój rower z miejsca, gdzie stał oparty o kościelną kruchtę. Już miała na niego wsiąść, gdy zobaczyła Rose Fettle i Dolly Cloomb. Szły przez kościelny dziedziniec, ciągnąc za sobą dwie duże gałęzie.

- Zaoszczędziłyście mi drogi. - oświadczyła bez wstępu. - Właśnie miałam iść do Orchard Close. Przyszłybyście do mnie dziś wieczorem albo jutro z samego rana? Dzisiaj wydaję obiad na dziesięć osób, a jutro mam gości na lunchu.

Rose upuściła na ziemię swoją gałąź.

- Pani przecież wie, że nie pracujemy wieczorami ani w niedzielę
- surowo upomniała swą chlebobawczynię.

- Ale pani chyba zależy na pracy, pani Cloomb, i może pani mówić sama za siebie - powiedziała ostro Celia.

Przerazona Dolly upuściła gałąź i cofnęła się.

- To niezgodne z naszymi zasadami - dodała Rose.

- Wielki Boże! - Celia poczuła się urażona. - Co to się teraz z ludźmi porobiło. Jednak będę na was czekać w poniedziałek rano. Po prostu przykryję obrusem stół w jadalni i podam lunch w pokoju bilardowym. - Powiedziawszy te słowa wskoczyła na rower i popedałowała do bramy.

Żuźel pryskał spod kół. Celia nie zsiadła z roweru nawet na stopniach kościelnego dziedzińca, lecz nacisnęła hamulec i z hukiem zjechała siłą rozpędu. Potem skrzyła w prawo i zniknęła za cisami.

Kiedy już nie było jej widać, Dolly rzekła:

- Prędzej by umarła, niż sama pozmywała.

- Kochana, ona nie doczyściłaby porządnie niczego, nawet gdyby się za coś wzięła. Chociaż dobrze by było, gdyby zgarnęła resztki z talerzy i namoczyła gary. Ale nie na to była chowana - rzekła Rose pobłażliwie. - Przynajmniej usłyszemy trochę świeżych plotek. Zawsze ich tyle opowiada po robocie.

- O, tak. Zdjęcie pani Addinbrook znowu było w „Echu”. Ciekawe, czy ona też przyjdzie?

- Ani chybi, Dol. Jedzą sobie z dziobków - ona i nasza pani W.

Rozdział 8

Celię Westbrook, wracającą rowerem do domu, minął zwinny samochodzik Maddy Storr, zdążającej w przeciwnym kierunku. Maddy zakończyła dostarczanie zawiadomień członkiniom Klubu Kobiet, mieszkającym w obrębie wioski. Pozostały jej tylko dwa zaproszenia - jedno dla Phoebe Peck na farmie Pecków i drugie dla pani Devenport z Hilltop Farm. Zdecydowała zostawić sobie najodleglejszą farmę, czyli Hilltop, na sam koniec. Mknąc z dużą szybkością ulicą Kościelną mijała znajome miejsca, a zwłaszcza Holly House, Błonia, Peck's Lane i jej własny dom po prawej oraz kościół, Probostwo, dom ludowy i budynek dawnej szkoły po lewej. Zatrzymała się na skrzyżowaniu, a następnie skręciła w prawo w Fetherstone Road. Minęła działki i skręciła w lewo, w drogę wiodącą do farmy Pecków.

Droga była wyboista i poryta koleinami. Maddy skrzywiła się i włączyła drugi bieg. Nieco dalej trakt poszerzył się, aż w końcu przeszedł w podwórze, otoczone budynkiem gospodarczym, stajniami, oborą i stodołą. Pędzący w stronę jej samochodu collie zatrzymał się z poślizgiem, szorując brzuchem po ziemi, i szczekał jak opętany. Maddy pozostała w aucie i przycisnęła klakson. Roy Peck wyjrzał zza drzwi stodoły, uniósł rękę w powitalnym geście i wrzasnął na psa. Uspokojona Maddy wyjęła jedno zawiadomienie z koszyka na siedzeniu obok i wyskoczyła z samochodu.

- Dzień dobry, Roy - zawołała, kierując się w stronę domu.

- Dobry, może tylko trochę nudny - odkrzyknął niewidoczny Roy.

- Phoebe jest w domu?

- Chyba gdzieś tam powinien być.

Maddy zastukała do drzwi. Po dłuższej przerwie otworzyła je gwałtownie sama Phoebe.

- O, to ty - rzekła.

- Mogę wejść? Chciałam ci coś pokazać. Phoebe poszła przodem.

Kuchnia Peck'ów wyglądała tak, jakby przygotowywano w niej wyprzedaż: garnki i brudne talerze piętrzyły się wysoko w zlewie, na stole w nieładzie leżało zarówno jedzenie, jak też góra upranej bielizny, żelazko, końska uprząż i gazety. Dziecięce zabawki i buty walały się na podłodze, a koszyki dla psa i kota stały w kącie przy kominku.

- Usiądź - rzekła Phoebe do Maddy, nie wskazując miejsca. Twarz jej pozbawiona była wyrazu.

- Brakowało nam ciebie w klubie podczas tych paru tygodni. Kłopoty z dziećmi?

- Nie, nie. Przeważnie siedzą u matki Roya.

Starsi państwo Peckowie mieszkali w nowym domu w posiadłości Pecków, nieco dalej wzdłuż Fetherstone Road. Młodszy brat Roya z rodziną również zajmował nowoczesny dom, zbudowany w odległości dwóch mil, na drugim końcu farmy. Phoebe, Royowi i ich dwu córeczkom przypadła stara zagroda.

Maddy była przyjaźnie nastawiona do Phoebe - mieszkańcy wioski potrafili zachowywać się wobec żony Roya tak wstrętne. Gdy Maddy przybyła do Wychwood, Phoebe nazywała się jeszcze Phoebe Mullins i pracowała jako stajenna w firmie wynajmującej konie w Steeple Cheney. (Jej przodkowie byli nieznani. Krążyły plotki, że wywodzi się z cyganów. Jeśli nawet Peckowie odkryli rodowód Mullinsów, to nie zadali sobie trudu, by rozpowszechnić tę informację). W firmie, w której pracowała, Phoebe była w stałym konflikcie z szefem, gdyż bez pozwolenia zabierała konie na galopady. Po ostrzeżeniach przyszło zwolnienie z pracy, a po zwolnieniu doszło do podpalenia (dokonanego w bezpiecznej odległości od koni). Niczego jej nie udowodniono, ale w okolicy nikt nie miał wątpliwości co do osoby podpalacza. Potem Phoebe przeżyła coś w rodzaju załamania nerwowego, co przejawiało się w niezrównoważonym, niespokojnym zachowaniu, i została pacjentką szpitala dla umysłowo chorych. Gdy ją stamtąd wypisano, wędrowała od farmy do farmy w poszukiwaniu pracy. W końcu Roy Peck zatrudnił ją, a po roku poślubił. Wbrew powszechnym domniemaniom, pierwsze dziecko urodziło się dopiero po dwóch latach. Cięższe zakłócały kruchą równowagę psychiczną Phoebe, powodując konieczność ponownych pobytów w szpitalu. Nawet teraz, mniej więcej co sześć miesięcy, żona Roya udawała się „na odpoczynek”. Ludek w Wychwood często napomykał, jakie to szczęście dla dwóch dziewczynek, że rodzina Pecków jest tak ze sobą zżyta.

- Chcę ci zostawić informację o konkursie w hrabstwie - rzekła Maddy, wręczając Phoebe ulotkę. - W tym roku mamy też konkurs literacki. Może to być poezja albo proza...

- Właśnie to studiujesz w poniedziałkowe wieczory, zgadza się? Przynajmniej tak powiedział Robert, gdy Roy spotkał go któregoś dnia „Pod Lwem”.

- Owszem. Ale mam też dość dużo roboty, a poza tym bardziej odpowiada mi dział sztuki i rzemiosła artystycznego. Tak czy tak, między nami mówiąc, nie mam talentu literackiego.

- Nie?

- Nie. Myślałam o tobie. Może zgłosisz któryś ze swoich wierszy? Albo napiszesz nowy? Chwileczkę, jak brzmiał tytuł...

- Och, żaden problem - przerwała jej Phoebe. - Kiedy jestem w nastroju, przychodzi mi to z równą łatwością, co myślenie.

Wiersze Phoebe były zjawiskiem dobrze znanym w Wychwood. Nikt nie wiedział, co skłoniło ją do pisania, choć przypuszczenie Tessy - że zachęcił ją szpitalny terapeuta - wydawało się prawdopodobne. Jako panią Royową Peck, żonę starszego syna Sama Pecka, dziedzica najbardziej starodawnego rodu Wychwood, Phoebe często proszono - gdy jej stan na to pozwalał - o wręczenie nagród, uroczyste otwarcie czy też wygłoszenie oficjalnych podziękowań. Zazwyczaj wykorzystywała takie okazje, by odczytać swe najnowsze dzieło. Nazwisko Pecków darzono taką estymą (Peckowie byli właścicielami posiadłości w Wychwood, odkąd istnieją zapiski historyczne, dotyczące tej miejscowości; w wiosce jest Aleja Pecków, a kawał lasu nosi nazwę Zagajnika Pecków), że wierszy Phoebe słuchano z wyraźnym szacunkiem, krytykując je wyłącznie w zaciszu domowym. (Dla rodowitych mieszkańców wioski Peckowie stanowili elitę Wychwood, Westbrookowie zaś, przez nie wtajemniczonych uznawani za pierwszą rodzinę w okolicy, byli zaledwie intruzami, którzy nabyli Dwór, czy też „wykupili wioskę” - jak tę transakcję lubiła określać Celia - po wojnie, by dać zajęcie majorowi Westbrookowi).

- „Mój najdłuższy dzień” - przeczytała Maddy, odszukawszy tytuł wiersza.

- „Mój najdłuższy dzień” - powtórzyła Phoebe i natychmiast zapadła w trans.

- Niezbyt ekscytujące, co? - rzuciła Maddy, nieco podenerwowana przeciągającym się milczeniem gospodyni. - Ale przynajmniej brzmi mgliście. Możesz napisać niemal o wszystkim.

Phoebe nadal siedziała nie odzywając się. Wyprostowane nogi wsparła na obcasach butów, a ręce beczynn timer splotła na kolanach. Długie, proste włosy okalały jej ogorzałą twarz. Z pewnej odległości Phoebe wyglądała na wątłą dziewczynkę, lecz przy bliższym przyjrzeniu się sprawiała wstrząsające wrażenie - policzki miała poorane zmarszczkami, cerę zniszczoną, a w zapadniętych oczach błakał się wyraz zagubienia.

- Phoebe! - zawołała Maddy.

- Mój najdłuższy dzień - rzekła Phoebe z westchnieniem. - Chyba już miałam swoje najdłuższe dni. O tak, miałam je bez dwóch zdań, ale ciągle zasypiałam.

Nagle Maddy odgadła z przerażeniem niektóre szczegóły z najdłuższych dni Phoebe: igły, białe ściany, a może nawet kaftan bezpieczeństwa.

- Nie jestem pewna, czy o nich napiszę - dodała po przerwie Phoebe.

- No cóż - rzekła Maddy, usiłując znaleźć weselszy temat. - Chyba przyjdziecie z Royem w sobotę na kolację dożynkową? Weźmiecie Sama i May. Może ktoś zostanie z dziećmi?

- Najstarsza córka Keitha. Tak, przyjdziemy całą rodziną. Posłuchaj - rzekła rozpromieniając się - jeśli chcesz, mogłabym wygłosić podziękowanie. Bez problemu napisałabym też wiersz o żniwach.

Maddy bąknęła coś wymijającego, lecz Phoebe była całkowicie pochłonięta swym pomysłem.

- Tak. Kombajn krążący w kółko i wybiegające zewsząd króliki... To będzie dobre. Ale mam tylko tydzień. Najlepiej zaraz się do tego zabiorę. - Ku zdumieniu Maddy odepchnęła piętrzące się na stole rzeczy, otworzyła szufladę i z trzaskiem cisnęła na stół notatnik i długopis.

- Może w takim razie napiszesz coś krótkiego - ustąpiła nieco Maddy. - Wszyscy się wcześniej objedzą, nie chcemy więc, by się później pospali. - Spojrzała na zegarek.

- Boże, już tak późno? Muszę jeszcze wpaść do Hilltop Farm. Słuchaj, przyjdź do klubu we wtorek - rzekła zmierzając ku drzwiom.

- Podjadę i zabiorę cię, jeśli masz kłopoty z dojazdem.

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu zapominam.

- Naprawdę? W takim razie brzęknę do ciebie.

- Brzękniesz?

- Zadzwoń, by ci przypomnieć.

- Ach - zaśmiała się hałaśliwie Phoebe. - Gdy powiedziałaś „brzęknę”, pomyślałam o pszczołce. Pasuje do ciebie, czyż nie? Brzęcząca pracowita pszczołka.

- Hm - mruknęła Maddy. - Do zobaczenia we wtorek.

- Pomachała jej i wsiadła do samochodu. - Całkiem stuknięta - powiedziała do siebie, zapalając silnik.

Z rozmachem włączała biegi cofając auto, po czym zbyt szybko przyspieszyła na koleinach. Samochód podskoczył, aż coś walnęło ją w kręgosłup. Zyskawszy należytą prędkość, wpadła w nastrój filozoficzny. „Przynajmniej trochę ją to podbudowało - pomyślała. A jeśli w sobotę ktoś się będzie z niej wyśmiewał, po prostu pošlę mu od czasu do czasu piorunujące spojrzenie”.

Po odejściu Celi Westbrook z kościelnego dziedzińca, Rose i Dolly nie były skłonne do natychmiastowego podjęcia swego brzemienia, gdyż trudno im było utrzymać w ręku gałęzie, które miały tendencję do splątywania się, gdy kobiety ciągnęły je za sobą. Rose oznajmiła, że zajrzy na chwilę na grób swego męża Jacka, by sprawdzić świeżość dalii, Dolly zaś poczłapała przez trawę i stanęła posepnie przed miejscem spoczynku rodziców. Później Rose dołączyła do Dolly i razem kroczyły wzdłuż rzędów grobów, wymieniając kolejno nazwiska i wspominając dawne czasy. Co jakiś czas przystawały, bolejąc nad przykładami zaniedbania i okazując pogardę dla zbyt dużego przepychu.

- Nieodżałowana matka Susan i Reginalda - odczytała napis Rose. - Coś podobnego. Członkowie rodziny w ogóle do niej nie zaglądali. Nawet gdy była w szpitalu.

- Twoi staruszkowie trzymają się dobrze, Rose.

Po dłuższej chwili podreptały z powrotem na ścieżkę. Zaczęły właśnie dość ociężale podnosić gałęzie, gdy przez furtkę wyszła na dziedziniec Tessa.

- To straszny ciężar. Pomogę wam - zawołała. Uniosła grube końce obu gałęzi i wsunęła je sobie pod pachy.

- Uważaj, bo sobie zaszkożysz, kochana - rzekła Dolly.

- Dwie to za dużo - zaprotestowała Rose.

- Tak mi będzie najłatwiej utrzymać równowagę. Tylko pies mi zawadza. Jak dojdziemy do Holly House, zostawię go, jeśli możecie chwilkę zaczekać.

Czekały potulnie u stóp Holly House, zadowolone z pomocy Tessy, choć ponowiły protesty, kiedy znów się pojawiła.

- Przyjdziecie obie na kolację dożynkową? - zagadnęła je w drodze. Wciąż posuwały się wolno, jakby pchały ciężkie taczki.

- Chyba tak, prawda, Rose?

- Jasne. Chociaż trzy funty to kupa forsy.

- Poważnie? - spytała Tessa, która uważała to za wyjątkową okazję.

- Masa pieniędzy dla kogoś, kto musi wyżyć z emerytury.

- Co to, to tak.

Gdy przeszły przez Fetherstone Road i skrzyły w Orchard Street, Dolly wyjaśniła, że obie gałęzie należy zawlec na podwórko za domem, gdzie jej syn, Barry, potnie je na szczapy. Przeciśnięcie się przez bramę i dalej, z boku budynku, było widowiskiem nie lada. Kobiety kręciły się w kółko, udzielały sobie rad, usiłując przekrzyczeć ryczącą telewizję. Dolly, która wykryła, że podobny, choć słabszy hałas dochodzi z Holly House, szepnęła konspiracyjnie:

- W soboty nie da rady chłopów od tego oderwać.

- Mój Jack nie marnował czasu. Zawsze szedł na działkę - puszyła się Rose.

- Uuuuch! Tu będzie dobrze? - Tessa puściła gałęzie.

- Jeszcze jak! Miło, że nam pani pomogła, no nie, Rose?

- Jasne, że tak. Serdeczne dzięki, kochaniutka. Patrzyły, jak odchodzi.

- Ta to ma dobre serce - rzekła Dolly.

- Szkoda tylko, że tak trzyma z tamtą - zauważyła Rose.

Wracając pośpiesznie chodnikiem Tessa nabrała zdecydowanego przekonania, że pomysł budowy domków w Orchard Close - postawionych, by dać pomieszczenia mieszkalne biedniejszym ludziom, których stare chałupy pod koniec wojny nie nadawały się już do użytku - zrodził się w duchu skąpstwa. Wyobraziła sobie, jak odpowiedzialni za niego urzędnicy wyszukują najtańsze cegły, najcieńsze drewno, najnędzniejszy i najbardziej przygnębiający projekt. Sama ich lokalizacja była dokuczliwa - z dala od serca wioski, na drugim końcu Fetherstone Road - co stanowiło uderzające

przeciwieństwo sympatycznego otoczenia drugiego nowoczesnego osiedla Wychwood: skupiska domów dla wysokich urzędników, zbudowanych w pobliżu dawnej farmy Glebe, obok Dworu i Probostwa.

Tessa miała umysł tak pochłonięty owymi myślami, że samochód jadący po Fetherstone Road zauważyła dopiero, gdy niemal się z nią zrównał. Zatrzymał się z piskiem opon, a okienko odkręciła Maddy.

Dla Maddy była to reakcja natychmiastowa. Tessa znalazła się tu zupełnie niespodziewanie i nie wiadomo skąd, a zaborcza ciekawość, zarezerwowana dla najbliższych przyjaciół, nakazała Maddy odruchowe zerknięcie w lusterko i naciśnięcie z całej siły hamulca.

- Co tu robisz? - zawołała. - Coś się dzieje u pani Cloomb? - zapytała, gdyż kłopoty Dolly Cloomb, podobnie jak problemy innych mieszkańców wioski, były własnością wszystkich.

- Nie. - Tessa podeszła do samochodu. - Spotkałam ją, gdy razem z panią Fettle usiłowały zatańczyć do domu trochę drewna, no i pomogłam im. Ciągłe rozwozisz zawiadomienia?

Zaskoczone nieoczekiwaną sytuacją od razu zaczęły przyjacielską pogawędkę, jakby upiorne spotkanie dzisiejszego ranka w ogóle nie miało miejsca.

- Zatrzymałam się na chwilę u Phoebe - odparła Maddy.

- U niej wszystko w porządku?

Na twarzy Maddy pojawił się wyraz niepewności.

- Nie tak dobrze, jak przed paroma tygodniami. Mam paskudne przeczucie, że znowu się jej pogarsza.

- Hm. Biedne stworzenie - rzekła ze współczuciem Tessa.

- Och, całkiem się przez nią zaplątałam - wyznała Maddy. - Chciałam ją namówić, żeby zgłosiła jakiś swój wiersz na konkurs. Nie bardzo miała na to ochotę, aż nagle zapaliła się do pomysłu napisania poematu na kolację dożynkową. Co mogłam zrobić? To ją pobudziło do życia, z miejsca zaczęła go układać. Obawiam się tylko, że na pewno będzie strasznie przygnębiający albo, co gorsza, hałastra z Glebe zacznie chichotać.

- Poradzisz sobie. Już cię widzę, jak klaszczesz w ręce i zaczynasz ogólną zabawę. Jesteś urodzoną reżyserką. Uwierz w siebie.

Maddy żartobliwie klepnęła Tessę w ramię.

- Dziękuję, mój ty kumplu - powiedziała z uśmiechem, po czym wrzuciła bieg, podkręciła okienko i pomknęła.

Rozstały się w wesołych humorach. Przez lata każda z nich rozwinęła w sobie umiejętność znalezienia tych paru właściwych słów, które podbudowałyby morale drugiej; działało to w obie strony, podnosząc na duchu zarówno autorkę udanej frazy, jak i potrzebującą pociechy adresatkę. Tessa sunęła po ulicy Kościelnej krokiem niemal beztruskim, a umysł jej, wraz z poprawą nastroju, skłaniał się ku optymizmowi. Nawiedziła ją szczęśliwa myśl, iż przypuszczenie, jakoby Maddy mogła z kimkolwiek mieć romans, jest z gruntu bzdurne, gdyż Maddy po prostu nie ma czasu. W jaki punkt swego szaleńczo przeładowanego planu dnia zdołałaby go wpasować? I skąd znalazłaby na to siły? Dotąd nie było żadnych oznak osłabienia tempa jej działalności. Spójrzmy prawdzie w oczy: przecież seks jest wyczerpujący. Szalone jego pożądanie, snucie o nim marzeń, spiskowanie, by do niego doprowadzić, wplątywanie się w koszmarnie kłopoty - Tessie zrobiło się słabo na samą myśl o tym wszystkim. Weźmy choćby dzisiejszy dzień. Maddy kręci się jak szalona od chwili, gdy rano wstała z łóżka i sprzątnąwszy Jasmine Cottage, co zawsze robiła najpierw, popędziła do Holly House, a następnie na rynek w Fetherstone, by napełnić koszyk pierwszorzędnymi świeżymi produktami na wspaniały posiłek, jaki poda Robertowi dziś wieczorem. Następnie doręczyła wszystkie zawiadomienia i naprzykrzała się ludziom tak długo, aż namówiła ich do zrobienia rzeczy, których nigdy by nie dokonali pozostawieni sami sobie. To wszystko wymaga energii, bez wątpienia większej niż, zdaniem Tessy, wart był cały interes. A jeśli w najbliższą sobotę w Wychwood pozostanie do zrobienia jakaś drobnostka, można się założyć o każdą sumę, że to właśnie Maddy Storr dopnie wszystko na ostatni guzik.

- Marnujesz się tu - powiedziała raz do Maddy w początkach ich przyjaźni. - Powinnaś zrobić dyplom i zająć się zarządzaniem, na przykład przeorganizować jakieś przedsiębiorstwo.

Po namyśle pożałowała jednak, że zrobiła tę uwagę, pomniejszającą znaczenie zarówno wioski, jak i przyjaciółki, która w oczach Tessy była jak mieniąca się nić, przewijająca się przez alejki i boczne dróżki, ubarwiająca wszystko, pociągająca za sobą ludzi. Później, gdy dowiedziała się, jak doszło do przenosin Storrów do Wychwood, żałowała swego spostrzeżenia jeszcze bardziej.

Pochodząca z ubogiej rodziny Maddy porzuciła szkołę w wieku szesnastu lat i zaczęła pracę jako posługaczka w biurze. W ciągu ośmiu lat wzniosła się do stanowiska osobistej asystentki zarządzającego dyrektora. (W tym czasie poślubiła też Roberta i przeszła dwa poronienia). Jej szef - który lubił spędzać środek dnia przy lunchu, popołudnia zaś na polu golfowym - coraz więcej roboty zostawiał swej uzdolnionej asystentce i w ciągu pięciu lat, poprzedzających jego odejście na emeryturę, Maddy samodzielnie załatwiała bieżące sprawy. Wszystko szło dobrze - ona spełniała się w pracy, interes kwitł - aż do przyjścia następnego szefa, nowej miotły. Ów młodszy człowiek wolał mieć oko na najdrobniejszy szczegół, a od kobiet w biurze wymagał tylko dwóch rzeczy: by atrakcyjnie wyglądały i okazywały mu bezbrzeżny szacunek. Maddy poniosła ostateczną klęskę, gdy przedstawiła do zwolnienia z pracy maszynistkę (leniwą w sposób rzucający się w oczy, ale piękną), na której względach, jak później wyszło na jaw, zależało nowemu szefowi. Maddy obrzydzano życie, aż przyznała się do porażki i złożyła rezygnację.

Przeprowadzka do Wychwood stanowiła ucieczkę, którą zorganizował Robert, by wybawić żonę od ostrej depresji, w jaką wpadła w następstwie zaistniałych wydarzeń. I był to natychmiastowy sukces. Na początku miała jednak kilka wpadek. Typowym przykładem był komentarz Maddy w sklepie (o ścisku, jaki musieli cierpieć poprzedni mieszkańcy jej nowego domu), lecz tu Tessa pośpieszyła przyjaciółce z pomocą, ostrzegając, kiedy winna uważać, co mówi. Maddy wkrótce poznała stosunki panujące w wiosce i zaczęła wykorzystywać swe talenty na użytek Wychwood. W miarę upływu lat okazała się kimś więcej niż wieczną członkinią komitetów. Umiała wywęszyć ludzkie potrzeby jak pies zwierzynę. Gdy Annie Seymore, wdowa mieszkająca w nędznych warunkach na Peck Lane, wymagała kuracji na raka piersi, Maddy zorganizowała dyżury ochotników, mogących wozić ją do szpitala i z powrotem. Dzięki temu Annie nie musiała spędzać całego dnia w karetce, objeżdżającej pół hrabstwa, by zebrać oraz rozwieść pacjentów, ani też samotnie poddawać się męce bez uścisku przyjaznej dłoni. W znacznej też mierze dzięki Maddy - po latach utyskiwań i zamartwiania się stanem kościelnej wieży - zgromadzono wreszcie wystarczającą ilość pieniędzy na jej naprawę. Bez Maddy w Wychwood byłoby smutniej.

Bez swej przyjaciółki również Tessa - zamknięta w swej wyniosłej, niedostępnej jak orle gniazdo pracowni - byłaby smutniejsza. Smakowite plotecki, które znosiła Maddy, dodawały pieprzyku jej samotniczej niekiedy egzystencji. Być powiernicą Maddy to wielka rzecz. Naturalnie, gdyby Robert skłaniał się ku temu, on byłby głównym beneficjentem, lecz choć jako uprzejmy mąż członkini komitetów wykazywał nieprzepartą chęć świadczenia przysług - ustawiał stoły, obsługiwał stoisko z trunkami, sprawdzał bilety u wejścia - związane z tym drobne przejawy ludzkich zachowań nie rozpały jego wyobraźni w takim stopniu, co nowy system komputerowy bądź ostatnie nagranie utworu muzyki kameralnej. Gdy żona wpadała w nastrój do głośnego wygłaszania refleksji na temat tego, co widziała i słyszała, Robert powiadał: „Mm” lub „Naprawdę, kochanie?” - po czym sięgał po ostatni numer „Gramophone”. Niebawem w Holly House dzwonił telefon: „Tesso, jesteś zajęta? Miałabyś ochotę na drinka?”

Głowę miała wypełnioną myślami o Maddy, gdy wbiegła po schodach do swoich drzwi. Trochę się przestraszyła, kiedy otworzyły się, nim zdążyła przyłożyć do nich dłoń i Urwis wybiegł ze szczekaniem, a Nick rzekł:

- Gdzie byłaś? Mam fantastyczne nowiny...

- Arsenal z Southampton pięć do zera? - spytała lekceważąco.

- Remis zero zero - burknął. - Nie, posłuchaj. Colin jest w domu.

Właśnie dzwoniłem do szpitala. Powiedzieli, że polepszyło mu się na tyle, że mogą go wypuścić. Czy to nie cudowne? Gdzieś tak przed tygodniem straciliśmy nadzieję.

Przeszła obok niego do środka.

- Wiem. Colin dzwonił, kiedy wyjechałeś.

- Dzwonił?

- Przepraszam. („Miej pewność, że to ja będę przepraszać” - pomyślała). Ale tak późno wróciłeś zeszłej nocy, a potem zaspaliśmy...

- Zaraz do niego przedzwonię. Moglibyśmy wpaść do nich jutro.

- Cicho bądź, Urwis. No dobrze, chodź tu. - Pochyliła się, by popieścić psa i zyskać czas do namysłu. Przyszło jej do głowy, że mogłaby wypróbować swój odnaleziony optymizm. - Och, Nick... - zaczęła.

- Tak? - Przeszedł przez hol i nie odwrócił się. Podążyła za nim.

- Pomyślałam sobie, że powinniśmy zrobić coś jutro - zaproponowała.

- Zrobimy. Pójdziemy do Colina i Sophii. - Podeszedł do telefonu.

- Miałam na myśli tylko nas dwoje. Moglibyśmy dokądś pojechać, zjeść gdzieś lunch. Może obejrzelibyśmy jakiś film. Tak mało się ostatnio widzujemy. Gdybyś kiedyś dał radę wyrwać się wcześniej z pracy, powiedzmy w poniedziałek wieczór, odwiedzilibyśmy też Colina.

Teraz zyskała jego uwagę, jak najbardziej. Odłożył słuchawkę.

- Nie mówiłem ci? Poniedziałkowe wieczory są skreślone aż do odwołania. Zebrania zespołu zajmującego się rozwojem kursów. Tylko w poniedziałki wszyscy mają czas.

- Nic mi nie mówiłeś.

- Przepraszam. Nie palisz się zobaczyć Colina?

- Oczywiście, że tak.

- W takim razie wypuścimy się gdzieś w przyszłą niedzielę. - Po chwili zaczął nakreślać numer.

Była zła. Nie zraniona, nie rozczarowana, ale zła. Pomyślała o ich kłamstwach i uśmiechach. Jak śmieli wystrychnąć ją na dudka, wykluczyć ze swych kalkulacji? Obraz Maddy stanął jej nagle przed oczyma. Wszystkie pełne podziwu, czułe słowa brzmiały jej w uszach tak przykro jak skrzek sroki. Tessa wpatrywała się w męża jakby przez szkło. Widziała go, lecz czuła się od niego odcięta. Nick zasłonił nagle ręką mikrofon w słuchawce i syknął:

- Krowa!

Wstrząśnięta podeszła i stanęła obok, a Nick wyciągnął słuchawkę pod takim kątem, by mogła podsłuchiwać. Sophia krzyczała - nie do Nicka, lecz do jakiejś innej, będącej z nią osoby:

- Jesteś pewien? Bo odkąd przyszedłeś do domu, ciągle się tu ktoś zwała z tego błogosławionego miejsca. Miałeś odpoczywać, kochanie. - („Kochanie" w ustach Sophii brzmiało złowieszczo). - W porządku. Ale nie wiń mnie, jeśli będziesz miał nawrót. - (Odrzucili głowy do tyłu, patrząc na siebie z przerażeniem). - Nick? Mówi, że dobrze. Ale posłuchaj: ja nie mam czasu na gotowanie. Jestem wykończona, absolutnie wykończona. Nie możesz sobie wyobrazić, co przeżywam.

- Oczywiście, Sophio, niczego nie oczekujemy. Po prostu chcemy zobaczyć, hm, was oboje. Może być koło trzeciej?

- Dobrze. Ale nie siedźcie długo. I nie rozmawiajcie o referatach ani rozprawach. Mam nadzieję, że nie poprosisz go o napisanie listu polecającego.

- Ani mi się śni.

- Jeden brodacz tak zrobił. Możesz w to uwierzyć? Mój mąż znajduje się na progu śmierci, a on zawraca mu głowę listami polecającymi.

- To straszne. Ale my jesteśmy bliskimi przyjaciółmi Colina i będziemy zachowywać się idealnie. Do jutra. - Cisnął słuchawkę. - Coś takiego! Słyszałaś ją? „Nawrót”, „na progu śmierci” - a Col tam przecież siedzi, na miłość boską! Boże, co za kobieta. Gdyby tylko...

Opuściła pokój przez hol. „Gdyby tylko Colin nie poznał Sophii.” Wszyscy to mówili: ona, Nick, Viv, Jerry. Gdy dzieci były małe, cała czwórka plus Colin i Lucy bardzo się przyjaźnili, lecz Lucy zostawiła Colina, zabrała dzieci i wyjechała z australijskim profesorem, który przybył na gościnne wykłady. Po latach Colin poznał Sophię na konferencji w Budapeszcie. Jakże romantyczna wydawała im się wspólna ucieczka tej pary i jak ekscytująco prezentowała się egzotyczna Sophia, kiedy to znajomość języka angielskiego posiadała jedynie w stopniu minimalnym.

To straszne, jak życie może człowiekiem miotać, rozmyślała Tessa. W jednej chwili stoi się w obliczu niewielkiej katastrofy - odchodzi żona, mąż ma romans - a za moment: bach, rozpętuje się piekło. Oto ku czemu przywiedziony został Colin, cierpiący na raka i trzymany na uwieżi przez megierę. A co do Sophii ocalałej od ponurego kieratu totalitaryzmu - życie zatrzał jej chory mąż i jego zimni, nieprzeniknieni przyjaciele.

Nick wciąż jeszcze utyskiwał, gdy dołączył do niej w kuchni.

- To będzie koszmar. Założę się, że nie zdołam zamienić z nim ani słowa.

- Jest przerażona - rzekła Tessa.

- Co powiedziałaś?

- Sophia jest przerażona tym, że może go stracić, przestraszona możliwością tkwienia tu samotnie, bez niego.

Nickowi odjęło mowę. Najwyraźniej zamierzał to przemyśleć.

Otwierając drzwi lodówki, Tessa zauważyła, że trzęsą jej się ręce. „Jestem słaba jak kocię - pomyślała, zamykając drzwi i przysiadając

na drewnianej ławie. Tak nie można. Do jutrzejszego popołudnia muszę zebrać mnóstwo sił, by wesprzeć Colina".

- Co będziemy jeść? - spytał Nick, widząc jej odwrót od lodówki.

- Miałam zamiar zrobić placek z rybą - westchnęła

- to jest mam zamiar zrobić placek z rybą. Ale najpierw muszę się napić herbaty. Zrobisz mi?

Poszedł do zmywalni i napełnił czajnik.

- Moglibyśmy pójść „Pod Lwa” - powiedział z nadzieją.

- W weekendy jedzenie jest tam niezłe. Albo do „Zielonego Gościa” w Budbrook - jeżeli wolisz coś bardziej szpanerskiego.

Każda wymówka jest dobra, by się wyrwać do pubu. Ale może to nie taki zły pomysł.

- Możemy iść „Pod Lwa”. W soboty gotuje tam Debbie White. - Nagle poczuła się lepiej. - Wykąpię się.

- Zaniosę ci herbatę na górę.

„Boże, jacy jesteście milutcy” - pomyślała, wchodząc po schodach.

Radosny nastrój Maddy trwał nawet jeszcze krócej niż stało się to w przypadku Tessy. Przejechała zaledwie ćwierć mili, gdy uczuła, iż rozsadza jej głowę, a oczy zaczynają piec. Z początku myślała, że to reakcja na coś, co rozpylono na polu i zamknęła szybko wywietrznik. Potem zaczęła podejrzewać, że się podziębiła, a później, gdy w gardle zaczęła się jej tworzyć twarda gęsia skórka, uznała, że to szczególnie dokuczliwa niestrawność. Nie, Boże, nie. Płakała. Teraz w każdej chwili ohydne, zabarwione tuszem łzy zostawią ślady na jej nieskazitelnie nałożonym różu i błyszczku, po czym zapaćkają jej nowiutki żakiet. Bogu dzięki, przed sobą miała bocznice kolejową. Wjechawszy w nią zgasiła silnik i pochyliła się do przodu, by zerknąć w lusterko i wyciągnąć ze skrytki papierową chusteczkę. Rogiem chusteczki dotknęła kolejno oczu, przez chwilę głęboko oddychała ustami, aż niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Opadła na fotel i wytarła nos.

Wszystko na nic. Do diabła, zaraz zacznie wrzeszczeć. W przeciągu paru sekund z jej oczu lało się jak z kurków, usta zaś i nos stały się sinoczerwone jak u starego Bena Sculley'a, kiedy wypił parę głębszych i spędził noc w budce telefonicznej. Przez strumień łez ujrzała obraz Tessy, przechylającej się przez okienko samochodu, odrzucającej do tyłu pasmo włosów, wpatrującej się w nią,

ciemnookiej, szczerzej. Twarz miała nie tak bladą jak zwykle: policzki jej płonęły od wysiłku przy ciągnięciu drzewa pani Cloomb. To typowe dla Tessy. Pomoże każdemu. Jest tak naturalna, tak spontanicznie serdeczna. - Och, Tesso - wyjęczała przez zęby, jakby usiłując odeprzeć jej obraz. Po czym dodała z rozpaczą: - Och, Tesso, pomóż.

Gdy jej wreszcie przeszło, odetchnęła głęboko i osuszyła twarz. Potem obejrzała się dokładnie w samochodowym lusterku, popłuła na papierową chusteczkę i potarła podpuchnięcia pod oczyma. Czy odważy się pokazać na Hilltop Farm z taką twarzą? Zaraz zapadnie zmrok, toteż nie zatrzyma się, a tylko wciśnie zawiadomienie do skrzynki na listy.

Na szczęście, kiedy tam dotarła, farma Hilltop była opustoszała. Po dziesięciu minutach Maddy z powrotem znalazła się w Wychwood. Lampa uliczna oświetlała róg Ferherstone Road i Orchard Close, druga przeświecała przez mrok panujący na zewnątrz domu ludowego, naprzeciw jej domu. Zatrzymała się tuż przed Jasmine Cottage, lecz nie zgasiła silnika.

W saloniku paliło się światło. Robert nie zaciągnął jeszcze zasłon. Maddy uświadomiła sobie jasno, że nie ma ochoty wejść. Oczywiście, musi to zrobić, cóż innego jej pozostało. Pierwsza, pracowita część wieczoru nie wyglądała zbyt groźnie: przygotuje posiłek (faszerowana wołowina, sałatka z endywii i cykorii, suflet pomarańczowy), zjedzą go i pomoże Robertowi w zmywaniu. Póki ma zajęcie - wszystko jest w porządku. Lękała się następnych godzin, kiedy to, wedle oczekiwań Roberta, winna odpoczywać w saloniku, podczas gdy on robi i przyniesie jej kawę. Potem puści swą najnowszą zdobycz - nagranie jakichś sonat Bacha, o ile dobrze pamięta. I wówczas nie uda się jej tego uniknąć: będzie musiała przytakiwać skinieniem głowy i uśmiechać się, szczerze spoglądać mu w twarz, która jest jej bardzo droga, lecz z powodu poczucia winy zaczyna ją przerażać i przygnębiać. Po jakimś czasie Robert prawdopodobnie nie zaprotestuje przeciwko temu, aby Maddy zabrała się do wyszywania kilimu. A wówczas nie będzie musiała patrzeć na męża i może przestanie liczyć godziny...

Rzuciła pośpieszne spojrzenie na zegar na tablicy rozdzielczej. Ile godzin jej zostało? Pięćdziesiąt dwie. Może pięćdziesiąt jedna i pół. Ścisnęło ją w żołądku, a puls zaczął szybciej uderzać. O Boże, znowu

ją wzięło. Zakrzywiła wskazujący palec lewej ręki, wsunęła knykię między zęby i ugryzła. Mocno. Jeszcze mocniej..

Rozdział 9

Nick zapalił światło przed domem. Siąpił drobny deszczyk, lecz nie na tyle rześisty, by wymagał parasola.

Tessa zbiegła po schodach. Z tyłu za nią trzasnęły drzwi, po czym Nick znalazł się u jej boku, ująwszy ją pod rękę. Skręcili za róg domu i oto już „Czerwony Lew” jarzył się poprzez ponure przestrzenie Błoni. Wyczuła, jak ten widok podniósł Nicka na duchu. Ochoczo popychał ją przed sobą na przecinającej murawę ścieżce. Idąc gęsiego dotarli do chodnika od frontu pubu i przeszli po nim do głównego wejścia z oświetlonym napisem: „John i Linda Maiden. Właściciele.” Przez uchylone drzwi dobiegła do nich zatechła woń wyziewów tytoniowych i rozlewanej przez lata, zwiędzłego piwa.

Na sali nie było zarówno Lindy, jak też Johna, choć słyszało się jego głos. Strofował jakiegoś nieszczęśnika:

- I tylko gdy jest tu Barry, żeby miał na ciebie oko, słyszysz? Do końca miesiąca, potem zobaczymy. Ale najmniejszy kłopot i wylatujesz, koleś. Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Ostry, oczyszczający zapach drewna do kominka przebijał się przez duchotę i mdłą, tłuszczową woń frytek. Nick pociągnął dzwonek zawieszony u góry, przy barze, i krzyknął: „Klient czeka!” Natychmiast pojawił się John, zacierając ręce i przybierając uprzejmy wyraz twarzy.

- Nick! - zawołał gospodarz. - Jak się mamy? A, jest i urocza Tessa. Spotkał nas dziś prawdziwy zaszczyt. Czym możemy służyć szanownemu panu?

- Kufelek najlepszego, John. Napij się z nami. Co dla ciebie, Tesso?

- Poproszę brandy z wodą sodową.

Tessa rozejrzała się. Zgromadzeni w sali goście jedli gorący posiłek - znana jej z widzenia para, której skinęła głową, oraz czwórka nieznanymi. Z tyłu za stołami nakrytymi do obiadu znajdowały się niskie stoliki dla pijących. Ktoś z tej właśnie części sali uniósł rękę i wycelował w kierunku Tessy sękaty paluch.

- Tessa Hodson! - zawołał.

- Jak się pan miewa, panie Bultitude? - rzekła podchodząc do niego. Przed laty był rządcą w majątku Rochford i stąd znał jej ojca, lecz Tessa pamiętała go jako emeryta, który pomagał jej ciotce pielęgnować ogród.

- Siadaj, siadaj - wybełkotał.

Usiadła, życząc dobrego wieczoru całemu towarzystwu. W powszedni dzień pan Bultitude wypijał drinka przy barze, lecz dziś, na cześć pani Bultitude i dwojga starszych sąsiadów, włożył lepszą marynarkę i wyczyścił buty. Zasiadał bowiem w sali. Pani Bultitude - krępa, dobrze zakonserwowana kobieta - oraz jej przyjaciółka wystroiły się na tę okazję i krzywym okiem patrzyły na znoszony sweter nowo przybyłej. Również pan Bultitude wydawał się zaskoczony wyglądem Tessy. Ignorując jej pytanie o stan zdrowia, ponownie przeszył powietrze swym paluchem.

- Błyszczysz się - wyrzucił z siebie. - Ty się błyszczysz. Tessa uniosła dłoń i poczuła, jak zdumiewająco wilgotne są jej włosy. Natomiast z ust pani Bultitude buchnęło gwałtowne zaprzeczenie:

- Nie pleć głupstw, Fred. To tylko deszcz.

- Błyszczysz się - obstawał przy swoim stary, a w jego skrytych pod obwisłymi powiekami oczach zapłonęły jakieś wewnętrzne wyobrażenia, których istotę Tessa pochwyciła, choć nie orientowała się w szczegółach. Uśmiechnęła się. Wciąż nie odrywali od siebie wzroku... Przez parę chwil tańczyły między nimi fantastyczne obrazy: nieuchwytnie, ulotne, pokryte kroplami rosy, podczas gdy do ich uszu spływały lekceważące słowa pani Bultitude:

- Co on takiego wygaduje? Można by pomyśleć, że mu padło na rozum - „błyszczysz się”! Fred, nalej June jeszcze jednego. Napijesz się, prawda, June? Jeszcze paczkę chrupek, Harry? A może orzeszków? Dostaliśmy dziś rano zdjęcia z uroczystości wręczenia dyplomu naszemu wnukowi. Podaj mi torebkę, Fred, może pani Brierley chciałaby je obejrzeć. Fred!

Pan Bultitude oderwał wzrok od oczu Tessy i po omacku sięgnął torebkę. Żona wyrwała mu ją i zaczęła grzebać w środku.

- Proszę. Oto uniwersytet w Toronto. A to nasza Pat. Zanieś je, Fred - zwróciła się do męża, wskazując puste szklanki. - June ledwo żyje.

Tessa wzięła zdjęcia, a pan Bultitude zebrał naczynia.

- To wspaniale, pani Bultitude. Pat musi być dumna.

- U Paula wszystko w porządku?

Tessa poinformowała o obrażeniu, jakie Paul odniósł w czasie gry w rugby, lecz pani Bultitude - używszy przedtem całego swojego sprytu - nie po to wyrwała się z domu w sobotni wieczór, by tracić

czas na cudzych krewnych. Przy pierwszej sposobności wtrącała się, wracając do tematu własnych wnuków.

Tessa rozsiadła się wygodnie. Śledziła wzrokiem pochyloną sylwetkę pana Bultitude, który zwolna posuwał się w stronę baru. Przypomniła sobie, jak niegdyś prosto się trzymał, gdy tak stał u boku ciotki Winifredy w szkolnym ogrodzie. Ubolewali wówczas nad pojawieniem się perzu w alpinarium. „Trzeba te chwasty powyrywać, każdy pęd” - zauważyła ciotka. „Tak, wszystko musi być dokładnie oczyszczone. Proszę mi to zostawić, panno Hodson”. Kiedyś nawet ciotka Winifreda zwierzyła się jej z westchnieniem: „Jest niezwykle uprzejmy. Że też taki niepospolity człowiek uprawia ogród”. W czasie szkolnych wakacji zawsze piekła placuszki w te popołudnia, gdy on przychodził i nalegała, by zjadł je prosto z patelni, popijając herbatą w jej kuchni. Kiedyś Tessa przydybała ją, jak spozierała zza firanki na pana Bultitude, który pracował na grządce kwiatowej.

Podczas gdy pan Bultitude przeciskał się przez tłumek przy barze, wzrok Tessy padł na Nicka, stojącego w środku małej grupki. Nonszalancko odchylony do tyłu, od czasu do czasu odwracał głowę, by zyskać uwagę Johna, przeważnie jednak rozprawiał ze stojącymi wokół. Przedstawiał sobą obraz pełnego swobody czaru. Jedną rękę trzymał w kieszeni spodni, drugą ujął kufel, stopę zaś oparł o barierkę przy barze. Rozległ się ryk śmiechu. Nick skromnie schylił głowę, jakby zdolność do przyciągania czyjegoś wzroku i wzbudzania hałaśliwej wesołości nie miały dlań większego znaczenia. W istocie Tessa wiedziała, że są dla niego niczym strawa i picie. Gdziekolwiek bowiem się znalazł, w jakichkolwiek okolicznościach, Nick żył po to, aby uwodzić. Do tego celu potrafił natychmiast przystosować swój sposób bycia: stać się poważnym podczas uroczystości, zgryźliwym i błyskotliwym w ogniu akademickich dyskusji, pojednawczym w udzielaniu poparcia wicekanclerzowi, zobowiązanemu do podjęcia decyzji dotyczących żądań zaciekle stronnicych grup, serdecznym wobec nieśmiałych wrażliwców, niesfornym w otoczeniu wesołków.

Obok niego na stoliku stała brandy i woda sodowa Tessy. Mamrocząc „przepraszam” podeszła, chcąc ją zabrać.

Natychmiast dosięgnął ją wzrokiem, jakby rozpaczliwie pragnął, by przyszła mu na ratunek. Uśmiechnęła się i zaczęła sączyć drinka.

- Spójrz na menu - nalegał. - John poleca pstrąga.
- A więc niech będzie pstrąg. Bez frytek.

- John, słuchaj, chłopie: dwa razy pstrąg - jeden z frytkami, jeden bez.

- Groszek i pomidory? - spytał John, trzymając w powietrzu ołówki.

Tessa skinęła głową.

- Poproszę jeszcze o bułkę. Nick ujął Tessę pod ramię.

- Znasz Martina i Paula z The Glebe?

Tessa uświadomiła sobie, że mętnie coś kojarzy. Martin był kierowcą jaguara, pojawiającego się zawsze koło jej domu wczesnym rankiem.

- Ten szaleniec codziennie jeździ do Londynu - oznajmił Nick.

Kiedy czekali na swe potrawy, weszli państwo Frogmorton i złożyli zamówienie w barze. Przywitali się z Brieleyami, po czym zajęli ostatni wolny stolik po przeciwległej stronie kominka. Ich obecność skłoniła Tessę do rozmyślań na temat zmiany miejscowych zwyczajów, jaka zaszła w ciągu tych ostatnich siedemnastu lat. W czasie gdy tylko sprowadziła się do Holly House, nikomu - kto miał jakąkolwiek pozycję - nie przyszłoby do głowy, żeby jadać w miejscowym pubie. Hotel „Pod Jeleniem” w Fetherstone i Tudor Cafe były jedynymi miejscami, gdzie wypadało spożyć posiłek. Ciotka Winifreda nigdy nie przestąpiła progu „Czerwonego Lwa” i do niedawna Tessa była pewna, że to samo można powiedzieć o jej równie szacownych sąsiadach. A jednak siedzieli tu Frogmortonowie, przygotowując się do zjedzenia kolacji w gronie palących i pijących gości, zupełnie nie zniechęceni głupawą muzyczką, sączącą się - na szczęście cicho - przez głośniki, przymocowane do listwy służącej do zawieszania obrazów. Niedawno Eleanor Browne wspomniała Tessie, że w dzisiejszych czasach puby zyskały aprobatę. Nie wyraziła tego w podobnych słowach, lecz pośrednio, oświadczając, że pani Erskine poleciła jej „Czerwonego Lwa” jako miejsce na spożycie lunchu. Tessa wyczuła, że Eleanor nie jest całkowicie usatysfakcjonowana przykładem pani Erskine, choć jej mąż, emerytowany lekarz, cieszył się ogromnym szacunkiem wśród miejscowej ludności. Uważny wzrok Eleanor, zatopiony w twarzy Tessy, świadczył o chęci wysłuchania dalszych opinii. „Od czasu do czasu zjadamy tam coś z Nickiem - rzekła spokojnie Tessa. W soboty gotuje Debbie White”. Eleanor, najwyraźniej przekonana, wykrzyknęła: „Naprawdę? Moim

zdaniem to wspaniała rzecz. Pomyśl, ile oszczędzi się prądu i zachodu. Gotowanie tylko dla dwóch osób to straszna mordęga".

Tessa przypomniała sobie, że Eleanor wypowiedziała ostatnie słowa ze smutkiem, toteż postanowiła zabrać ją niebawem na lunch.

John przyniósł im do stolika potrzebne akcesoria

- noże i widelce, owinięte w papierowe serwetki, oraz tackę zawierającą sól, pieprz, ketchup, ocet i musztardę.

- Sos tatarski podam do pstrąga - obiecał.

Za barem otworzyły się drzwi, przez które wcisnęła się Linda. Skrzyżowała ramiona na barowej ladzie i oparła na nich swe piersi. Nick spostrzegł ją i skinął dłonią. Pomachała mu, nie ruszając się z miejsca.

- ...bry wieczór, Lindo. Szefowa ma dziś wolne?

- zawołał Nick, półgłosem zwracając się do Tessy: - To jest coś. Trochę za dużo tłuszczu ku ma nasza Linda.

Potem wpadła Debbie White z talerzami po brzegi wypełnionymi jedzeniem i postawiła je na stole.

- Uważajcie, gorące - ostrzegła.

Nick z lubością oblizwał wargi i żwawo zabrał się do napełniania kieliszków.

Kiedy już zjedli, Tessa położyła rękę na dłoni męża, by zwrócić na siebie jego uwagę. Przekazała Nickowi słowa Colina na temat miejsca, w którym spoczywają papiery dotyczące wydziału.

- Chce, byś je wy dostał - jeśli zdołasz - naturalnie nie denerwując Sophii. Ale obiecaj, że będziesz ostrożny, kochanie. Nie daj Sophii powodu do kolejnego ataku. To by zaszkodziło Colinowi.

Nick był podekscytowany.

- Bogu dzięki! Jeśli je jutro zdobędę, będziemy mieli mnóstwo czasu, aby przestudiować dokumenty i dobrze przygotować wydział przed inspekcją komisji fundacyjnej.

- Kiedy to będzie?

- Och, w połowie grudnia.

- Masz więc mnóstwo czasu. Znajdą się inne okazje, jeśli jutro będzie zbyt ryzykownie. Przyrzeknij, że postarasz się nie denerwować Sophii - ze względu na Colina.

- Jasne. Nie martw się. Zjesz pudding?

- Nie, dziękuję. Ale poproszę kawę.

- Bardzo tu miło i - tuż za progiem - zauważył Nick, zamówiwszy przy barze dwie kawy i kawałek puddingu z melasą. - Nie ma to jak znajoma, sympatyczna knajpka niedaleko domu.

- To fakt - zgodziła się, odgadując, że zapisuje w pamięci ten wieczór, by móc kiedyś rozkoszować się ze swymi kolegami przyjazną atmosferą, domową kuchnią, przyzwoitym, tradycyjnym piwkiem.

Podczas gdy pili kawę, podszedł do nich pan Bultitude, by powiedzieć parę słów na pożegnanie.

- Koniecznie przyjdź i obejrzyj moje chryzantemy. „Żółty obszarpaniec” kilka lat temu zdobył pierwszą nagrodę w konkursie ogrodniczym. Teraz nie zawracam już sobie głowy pokazami, ale na chryzantemy warto rzucić okiem. Niektóre są rzadkiej piękności. Twoja ciotka podziwiała je.

- Sympatyczny stary niedojda - rzekł Nick, gdy staruszek już odszedł.

- Był ogrodnikiem ciotki Winifredy. Chyba miała do niego słabość.

- I cóż? Może jeszcze brandy?

- Dziękuję, ale ty sobie nie odmawiaj.

Nick szurnął odsuwającym do tyłu krzesłem i pośpieszył do stojących rzędem przy barze mężczyzn, którzy popijali, wpatrując się w odsłonięty biust Lindy.

Tessa została sama. Dostrzegła to pani Frogmorton i skinęła na nią.

- Przysiadź się do nas, kochanie. Jak się ma mój mały łobuziak?

- Straszny z niego żarłok. Zjadł kotu obiad, nim zdążyłam go powstrzymać.

- Całkiem jak jego ojciec. Mój biedny Bendzi - to był ktoś. Kochane stworzonko, choć twoja ciotka specjalnie za nim nie przepadała. - Po czym, znizywszy głos, rzekła konfidentycznie: - Coś strasznego stało się z tym małym Harrisonem.

- Naprawdę?

- Ano tak, kochana, nie słyszałaś? Wiesz, że wyjechał do college'u. Chyba w tym samym czasie co i Paul. No i wrócił. Wyrzucili go, czy coś takiego. Powinnaś go zobaczyć - głowa ogolona, tylko pośrodku sterczy długi kosmyk, kolczyki, farba na twarzy, kolana wystające ze spodni. I, kochana - przybliżyła twarz i

wycedziła - smród. Pani Dyte była w naszym sklepie, gdy przyszedł po papierosy. Coś niesamowitego. Brenda zastanawiała się, czy nie powinna okadzić sklepu.

- Biedna pani Harrison.

Pani Frogmorton zacisnęła usta.

- Nie wiem, czy taka znowu biedna. W tym domu działały się różne rzeczy, gdy dzieci podraszały. Tak powiada Marjorie Hume, która mieszka naprzeciwko, a ona chyba wie najlepiej. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mieli kłopoty z córką.

- Coś podobnego.

Kątem oka Tessa obserwowała Linde, która wynurzyła się zza baru i teraz powoli sunęła między stolikami, zbierając szklanki. Minę miała ponurą. Jej poprzednia publiczność rozproszyła się i zgrupowała w rogu, gdzie Nick - w trakcie zaimprovizowanego, pełnego ożywienia wykładu - wskazywał na co bardziej wyrafinowane szczegóły starej ryciny, ukazującej scenkę sportową. Faceci przysłuchiwali się w napięciu. Czasem w pubie można się dowiedzieć fantastycznych rzeczy - bez wątplenia zwierzą się później swym małżonkom. Niewykluczone, że Linda niechętnym okiem patrzyła na to współzawodnictwo.

Pan Frogmorton od jakiegoś czasu aż się palił, by wtrącić słówko, lecz żony nie dało się powstrzymać. Dopiero gdy Tessa wstała, chcąc odejść, chwycił jej ramię i rzekł z naleganiem.

- Nie zawracaj sobie głowy „Obszarpańcem” tamtego gościa. Obejrzyj mój „Koreański wschód słońca”. Niektóre kwiaty mają dwanaście cali średnicy. Któregoś dnia przyszedł do mnie jeden facet i powiedział, że jak czterdzieści lat odwiedza Kew, nigdy czegoś takiego nie widział. No więc, pamiętaj, że masz do mnie wpaść.

- Nie do wiary, panie Frogmorton. Na pewno nie zapomnę - zapewniła go Tessa.

Powiedziawszy im dobranoc podeszła do Nicka i rzekła mu ponuro do ucha:

- Padam z nóg. Daj mi klucz. Ty zostań, jeśli masz ochotę.

Nie chciał o tym słyszeć. Co za dużo, to niezdrowo - mówiło jego figlarne mrugnięcie - ale przedtem chciał jeszcze życzyć dobrej nocy państwu Frogmorton.

Czekając na niego przy drzwiach widziała, jak położył rękę na ramieniu pani Frogmorton i usłyszała jej błogi, gardłowy śmiech.

Na dworze jeszcze mżyło. Uważnie przeszli wąską ścieżką do drogi, a potem - trzymając się za ręce - pobiegli do domu. Nick wskoczył pierwszy na schody, by otworzyć drzwi. Chciała przejść obok niego, ale ją pochwycił. W nikłym świetle latarni uniósł w górę jej podbródek i ucałował pokryte wilgocią rzęsy.

- Kapitalny wieczór - rzekł radośnie. - Nie uważasz, moja panno?

- Uhm - mruknęła.

Rozdział 10

Biły kościelne dzwony. Obudziły one Tesse, która przewróciła się na plecy i zaczęła nasłuchiwać. W niektóre niedzielne poranki, gdy dzwonnicy byli w komplecie, a w ich gronie znajdowali się Davey Partridge i pan Frogmorton - co miało istotne znaczenie - kuranty dźwięczały wzorowo, głosy dzwonów rozbrzmiewały równo, a zmiany zachodziły gładko. Lecz nie zawsze tak się działo. Czasami - przy pomniejszonym, mniej doświadczonym zespole - kuranty brzmiały nierównomiernie. Nick zaś i Tessa leżeli wstrzymując oddech, gdy dzwonnicy gubili rytm i po dręczącej pauzie następowało pełne dysonansów uderzenie, po czym znów następowała denerwująca przerwa. Jednakże nie tego ranka. Tessa naliczyła sześciu dzwonników, bijących donośnie. Jasno ujrzała ich obraz: zawinięte rękawy koszul, stopy mocno oparte o ziemię.

Nick poruszył się u jej boku, wydał dźwięk podobny do skrzypnięcia zardzewiałego zawiasu, wysapał „niedzieeela” i ponownie zapadł w sen. Brierleyowie zawsze długo wylegiwali się w niedzielne poranki. Sceny z dawnych niedziel przemknęły jej przez głowę. Przypomniała sobie, jak kochali się przy akompaniamencie kościelnych dzwonów i wściekłego drapania Urwisa w dół drzwi, jakie rozkoszne plany snuli na przyszłość, chichotali, pili herbatę, od czasu do czasu skakali sobie do oczu. Uniosła się na poduszce i zerknęła na Nicka. „Kocham cię” - milcząco zakomunikowała jedynemu widocznemu fragmentowi jego osoby: kosmykowi czarnych włosów, różowemu uchu i kawałkowi nieogolonego podbródka. Przeszył ją ból. Chciałaby się wtulić w jego ciało, ale teraz, na razie, nie miało to sensu. Odwróciła się i opuściła stopy na podłogę.

Skończyła właśnie zajmować się Urwisem i nastawiła czajnik, gdy zadzwonił telefon.

- Przyjdź do mnie, szybko - usłyszała głos Maddy.
- Co takiego? Nie jestem ubrana.
- To się ubierz, głuptasie. Tylko prędko. Pożałujesz, jeśli się będziesz ociągać. Staraj się być cicho i zostaw psa.

Był zdumiewająco przyjemny poranek, jak stwierdziła Tessa parę minut później, śpiesząc ulicą Kościelną w dresie i trampkach. Zgodnie z poleceniem bezszelestnie otworzyła bramę Storrów, podobnie jak i frontowe drzwi.

W środku nadal dawało się zauważyć ślady dawnego istnienia pięciu domków, z których utworzono Jasmine Cottage. Numery jeden i dwa - z częściowo usuniętymi górnymi partiami i odsłoniętymi elementami kamieniarskimi oraz krokwiemi dachowymi - tworzyły oszałamiający salon, numer trzy stanowił teraz przestronny hol i małą garderobę, w numerze czwartym mieściła się jadalnia, a w piątym kuchnia. Na górze znajdowały się dwie sypialnie i łazienki, a także duży gabinet Roberta. W holu Tessa ujrzała Maddy, wyłaniającą się z drzwi kuchni i nakazującą jej gestem zachowanie ciszy. Prześlizgnęła się przez jadalnię i stanęła obok niej przy kuchennym oknie, wychodzącym na ogród.

Wstrzymała oddech. Dwa malutkie jelenie pracowicie pożywiały się w zaroślach, na razie bez obawy.

- Muntjaki - wyszeptała Tessa. (Przed laty kilka okazów tego gatunku uciekło z Woburn Park, a ich potomstwo rozprzestrzeniło się licznie na pobliskich terenach).

- Wyszły z lasu. Pasą się tu już od dawna. Czy nie są wspaniałe?

- Zupełnie jak tłuste pieski z kopytkami. Zjadają werbenę Roberta.

- Są głodne - rzekła Maddy pobłażliwie.

Przez jakiś czas przypatrywały się im w milczeniu. Potem Maddy podeszła do lodówki, nalała dwie szklanki soku grejpfrutowego i dołączyła do stojącej przy oknie Tessy.

- Musiałam do ciebie zadzwonić. Wiedziałam, że będą ci się podobały.

- I miałaś rację. Byłabym zła, gdybyś mi nic nie powiedziała. - Tessa pomyślała, że to właśnie z nią Maddy chciała dzielić ten widok. Ich zażyłość wydawała się niezwykła. Kocham ich oboje, powiedziała sobie, Nicka i Maddy.

- Jadłaś śniadanie? - spytała Maddy po jakimś czasie.

- Oczywiście, że nie.

- Wczoraj wieczorem zrobiłam trochę rogalików. Mogę parę włożyć do pieca.

- Na miłość boską, robiłaś rogaliki? A kupne niedobre?

Maddy wzruszyła ramionami i odwróciła się.

- Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Chcesz kilka czy nie?

- Jasne, że chcę. Niebawem kuchnię wypełniły mocne i bardzo przyjemne zapachy, gdy drożdżowe, maślane ciasto przybrało złocisty

kolor, a z ekspresu do kawy zaczęła unosić się para. Sprowadziło to na dół Roberta, promieniującego oczekiwaniem. Muntjaki na szczęście już odeszły, spłoszone szczekaniem psa; nietaktem byłoby zwracać uwagę na obgryzioną werbenę.

- Biedny stary Nick gnije w łóżku - rzekła Tessa, oblizując palce.
- Jeśli chcesz, zanieś mu parę rogalików.
- Och, dzięki.

Na kraniec stołu padło słoneczne światło. Wyciągnęła rękę i patrzyła, jak promień igra po jej rozsuniętych palcach. Maddy i Robert rozmawiali swobodnie.

„Paroma słowami mogłabym zburzyć ten spokój” - pomyślała. Wyobraziła sobie przerażającą ciszę, jakieś wymamrotane słowa, ucieczkę Maddy. I siebie samą - jak wraca do Nicka, gwałtownie odsuwa zasłony w sypialni, wpuszcza prawdę.

Do diabła z prawdą! Odwróciła rękę i promień słońca wpadł w jej dłoń. Zatrzymam ich przy sobie oboje - zdecydowała. Ślepa, głucha, łatwowierna przeczekam, by nie stracić żadnego z nich.

Rozdział 11

W drodze do miasta milczeli, jakby już zawczasu poczuli muśnięcie całunu, który nieuchronnie opadnie na ich dusze, gdy wejdą do domu Golina. Tessa wspominała dni, kiedy to okazały bliźniak z lat dwudziestych promieniował odmiennym nastrojem, a jego chaotycznie umeblowane pokoje pełne były życia, dzieci i ich skarbów, przyjaciół Colina i Lucy. Obrazy z przeszłości, smutne jak stare fotografie, nasuwały się jej na myśl: konserwatorium pełne butelek wina, szklaneczek i ludzi, podrygujących w rytm płyt jazzowych; przyjaciele tłoczący się wokół stołu, przy którym Lucy podaje jedzenie, ich rozdyskutowane głosy; poważne rozmowy w niestosownych miejscach - na schodach, przy zlewie lub w łazience, gdy ktoś kąpał dzieci. Colin, jak pamiętała, zawsze przewodniczył tym zgromadzeniom. Słuchał, sam niewiele mówiąc, i sprawiał wrażenie leniwie rozbawionego. Jak zadowolony kot, pomyślała Tessa. Właśnie tak go kiedyś namalowała - siedzącego w skórzanym fotelu z wysokim oparciem i pieszczącego burego kota. Colin miał kocią twarz, kot zaś - twarz Colina. Był tym portretem zachwycony. Zabrał go do swego gabinetu na uniwersytecie i powiesił nad biurkiem. Jak doniósł Nick, na uczelni sporo o tym obrazie mówiono.

Ostre jak kocie pazury były też ryposty Colina, zazwyczaj bezpiecznie przez niego wycofywane pośród życzliwych pomruków. Jego przytłumione okrzyki i uwagi (Colin nigdy nie musiał podnosić głosu) były tak złośliwe, że mogły zranić, gdyby nie wygłaszał ich z uśmiechem dezaprobaty pod swoim adresem. Wszyscy słuchali uważnie, po czym pośpiesznie włączali jego pogląd we własne wywody, gdyż Colin należał do uniwersyteckich gwiazd. Był jednym z nielicznych wykładowców cieszących się międzynarodową reputacją. Nick częstokroć twierdził, że Colin robi głupstwo pozostając na wydziale, choć prestiż Nicka - podobnie jak i każdego innego członka wydziału - znacznie wzrastał dzięki sławie Colina. Zdaniem Nicka Colin poświęcał się i był zbyt szlachetny, by mogło wyjść mu to na dobre. Tessa wyznawała raczej pogląd, iż lubi on życie bez komplikacji.

Faktem jest, że wydział mógł utracić Colina bez jego woli. Dlatego też odzyskanie dokumentów - nad którymi pracował w ciągu ostatnich kilku miesięcy choroby - było sprawą tak istotną. Jego podpis pod planami rozwojowymi wydziału bez wątplenia zrobiłby

wrażenie na zbliżającym się posiedzeniu komisji inspekcyjnej. Mógł zapewnić wydziałowi przyszłość, co nie jest bynajmniej łatwe w obecnej atmosferze surowości przepisów finansowych, gdy wydziały rywalizują o skąpe fundusze. Niektóre z nich najprawdopodobniej poniosą porażkę. Podczas pełnych niepokoju narad padło określenie: „zbędni pracownicy”. O tym właśnie myślał Nick, gdy jechali wzdłuż Marlborough Avenue i zatrzymali się na podwórzu domu oznaczonego numerem sto osiemnaście.

Czekali parę chwil przed frontowymi drzwiami, nie patrząc na siebie, aż otworzyła im mała, tłusta, ciemna kobieta z wąsikami.

- Proszę wejść - rzekła żywo, wskazując salonik.

W pokoju panowała atmosfera poczekalni. Colin siedział na krześle przy kominku. Ciepły pled, wraz ze skulonym w kłębek kotem, okrywał mu kolana i nogi, spływając aż do podłogi. Colin uśmiechnął się ze znużeniem, lecz nic nie powiedział. Sophia siedziała na kanapie, pochylona do przodu. Ciało miała skulone nad źródłem swej energii - długim, bardzo cienkim cygarem. Nie ruszając się ani nie podnosząc wzroku wymamrotała:

- To jest Magda, moja przyjaciółka, która przyjechała mi pomóc. Nie mogę nic zrobić. Jestem w depresji.

Uścisnęli Magdzie rękę. Tessa, przechodząc obok, dotknęła ramienia Sophii i podeszła do Colina, by go ucałować.

- Sophio, moja ty biedna staruszk - rzekł Nick, dzielnie siadając przy niej. Pozwoliła mu ująć się za rękę. - To okropność: depresja. - Wzruszyła ramionami i cofnęła dłoń, Nick zaś ze smutkiem zwrócił się do Colina. - Ale cieszę się, że cię znowu widzę na tym krześle, mój stary.

Colin odpowiedział z pewnym wysiłkiem:

- A ja cieszę się, że widzę was oboje. - Ubranie i znajome otoczenie objawiło jego niezdrowy wygląd, czego nie było widać w nastawionym na aseptykę szpitalu. Skóra i oczy Colina miały zielonkawy odcień. - Co u Paula?

- Jest chory, że ominęło go rugby. Wiesz, że zwichnął nogę w kolanie? - Nick mówił pośpiesznie, jakby niepotrzebnie o czymś przypominał. - Bardzo chcieliśmy zobaczyć, jak gra z naszą drużyną w przyszłą sobotę.

- Wydawał się dość pogodny - dodała Tessa. - Był przejęty nowinami o rewii, którą napisał i ma wyreżyserować na koniec semestru.

- Wspaniale. A to jest list od Annabel. - Wzrok Golina powędrował ku kopercie, opartej o gzyms kominka. - Przeczytaj go, Tesso.

Wzięła kopertę z australijskim znaczkiem, otworzyła ją i zaczęła czytać. Od czasu do czasu śmiała się i odczytywała fragmenty na głos.

Znudzona zainteresowaniem, jakie wzbudzały w nich poczynania córki Colina, Sophia ziewnęła.

- Kochana, przynieś mi herbaty - ponagliła Magdę. - Ja sama nie mogę się ruszyć. Ta depresja mnie paraliżuje.

Tessa i Nick przyjęli jej słowa do wiadomości, bacząc, by na siebie nie spojrzeć.

- To twoja stara przyjaciółka? - spytał Nick, gdy Magda wyszła z pokoju.

- Poznałyśmy się przed mniej więcej sześcioma miesiącami. Ona też wyszła za Anglika. - Sophia sprawiała wrażenie, że połączyło je wspólne nieszczęście.

Popijając herbatę mówili o sprawach ogólnych. Rozmowa szła im niesporo. Sophia i Magda wymieniały długie, zamyślane spojrzenia. Colin od czasu do czasu wtrącał parę słów, lecz Tessa z niepokojem przypominała sobie, że był znacznie rozmowniejszy przez telefon w zeszły wtorek i jakże silniej brzmiał wtedy jego głos. Instynktownie unikali tematu powrotu Colina do zdrowia, lękając się, że jest to rzecz zbyt krucha, by o niej wspominać; dokładne analizowanie mogłoby ją zniszczyć.

Wreszcie Magda uniosła się do wyjścia i pochyliła nad Sophią, by ją ostentacyjnie objąć. Ponieważ Sophia nawet nie drgnęła, Nick odprowadził Magdę do drzwi.

- Mógłbym chwilę posiedzieć w gabinecie? - spytał zjawiając się znów i pozostając w drzwiach. - Chciałbym coś sprawdzić w twoim Freihofferze, Col.

Sophia sztywno powstała z miejsca.

- Pomogę ci.

- Ależ, proszę...

- Żaden kłopot.

Colin spuścił głowę i potarł ręką czoło.

- Daj sobie dziś spokój, Nick - nalegała Tessa.

- Porozmawiaj z Colinem. Praca może poczekać, na miłość boską. Chodź - przekonywała.

Nick wszedł i przysunął swe krzesło blisko Colina.

- Akademicy - szepnęła Tessa do Sophii, która opuściła swój pokazny zad na oparcie sofy, sprawiając wrażenie, że spoczywa tam jedynie chwilowo.

Tessę uderzyła atmosfera tymczasowości dostrzegalna w zachowaniu się Sophii. Kobieta ta przysiadła na oparciach krzesel, przycupywała na brzeżkach siedzeń, stawała w drzwiach jakby w oczekiwaniu, że pojawi się coś lepszego. Nie odcisnęła na tym miejscu swego piętna. Prócz znajomych kryjówek Colina - obszaru wokół krzesła przy kominku i gabinetu - pokoje wydawały się niezamieszkałe. To samo było na górze. Kiedyś, rozwścieczona, gdyż Colin lekceważąco wyraził się o jej sukniach, Sophia chwyciła Tessę za ramię i zaciągnęła do obszernej sypialni od frontu. Łóżko i znaczna część podłogi usiane były ciuszkami - falbaniastymi, lejącymi się, jedwabnymi strojami, jakie zazwyczaj okrywały obfite ciało Sophii. Dalsze ubiory zwisały z wysuniętych szuflad i wystawały z otwartych na oścież drzwi szafy. Na łóżku leżała walizka, druga była na podłodze, a kolejne znajdowały się w wykuszowym oknie; wypchane torby stały oparte o nogi toaletki. Pokój wyglądał jak splądrowany przez kogoś, kto wynosi się w wielkim pośpiechu. „Spójrz - krzyknęła Sophia, zdzierając z siebie suknię i wciskając drżące ciało w inną, bardzo podobną. Powiedział, że wyglądam w niej jak dziwka. Co to znaczy? Powiem ci: jest zbyt seksowna, a on się boi, że inni mężczyźni będą na mnie patrzeć. Kiedyś lubił, jak seksownie wyglądałam. (Bez wątpienia, pomyślała Tessa, gdy Sophia była lżejsza o parę funtów i nie tleniła swych niemal czarnych włosów). Wszystkie mogę oddać na dobroczynność i będzie musiał kupić mi nowe. Dobrze mu tak, sukinsynowi”.

Teraz Sophia wyraziła opinię zgodną z wcześniejszym komentarzem Tessy.

- Och, ci akademicy. Na ich widok dostaję gęsiej skórki. Dziś rano przyszedł jakiś John Elliott i chciał, żeby Colin pomógł mu w pracy doktorskiej. - Wstrząsnęła się i głęboko zaciągnęła cygarem. - Wyrzuciłam go - wycedziła, wydmuchując dym.

- Z miejsca - potwierdził Colin.

Zapadła niezręczna cisza, w czasie której Tessa rzuciła Nickowi ostrzegawcze spojrzenie: na miłość boską, dziś ani słowa na temat papierów. Colin nie zniesie następnej awantury. Nick zaś, z ponurym uśmiechem, dał jej poznać, że zrozumiał.

- Kici, kici - szepnął Colin, głaszcząc kota zakrzywionym palcem. - Dobrze jej tu.

- Ta cholerna kotka nie zostawia go ani na chwilę, odkąd wrócił - rzekła Sophia.

- I bardzo dobrze - odparł Colin.

Tessa i Nick zatopili spojrzenia w kotce i, z braku bezpieczniejszego tematu, chwalili jej przywiązanie. Po jakimś czasie Tessa doszła do wniosku, że powinna okazać żonie Colina nieco siostrzanych uczuć.

- Sophio, moje ty biedactwo. Jak myślisz, co cię tak przygnębia?

Niestety pytanie to podziałało rozwścieczająco.

- Słyszycie ją? - wybuchnęła Sophia, zwracając się do dwu mężczyzn. - Pyta, co mnie tak przygnębia. On (dźgnęła cygarem w stronę Colina, patrząc z pogardą na Tessę) jest jak dziecko - wymiotuje, moczy się, grymasi. Ale ja nie jestem pielęgniarką (cygaro porywczym ruchem wróciło ku jej piersi). Remisja - phi! Nie wiedzą, co mówią. Powinien być w szpitalu, gdzie mogą się nim zająć jak należy i doprowadzić do poprawy zdrowia. Jak mu się może tu polepszyć? To jest dom, na miłość boską. Mój dom, gdzie mieszkam. W tym całym zamieszaniu i smrodach nie mogę o tej historii zapomnieć ani na chwilę. Oszaleję z rozpaczy.

Tessa skoczyła na równe nogi.

- Colin, wróć z nami - nalegała, przycupnąwszy u jego stóp. - Będzie ci dobrze w Holly House. W tej chwili nie mam nic specjalnego do roboty - rzekła, zzymając się w duchu z powodu obietnic, poczynionych swemu wydawcy. - Nick przewiezie cię bardzo wygodnie. I nie martw się - w wiosce mamy bardzo dobrego lekarza. Przyjedź - błagała, pamiętając, by dyplomatycznie dorzucić: a Sophia tymczasem porządnie sobie wypocznie. Colin z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Nie mogę. Nie martwcie się. Za dzień, dwa nabiorę sił. A jeśli nie - cóż, Sophia ma rację - będzie mi lepiej w szpitalu. - Uśmiechnął się. - A zresztą i tak nie mogę zostawić Mruczki.

- Zabierz ją. Nick, powiedz mu, żeby przyjechał.

- Słuchajcie - rzekł Colin poważnie - naprawdę wolę zostać. Chcę, żebyście z Nickiem myśleli o mnie jak o kimś, kto... - Uniósł wzrok i utkwił spojrzenie w stojącej na gzymsie kominka fotografii, przedstawiającej go jako znacznie młodszego i zdrowszego.

- Był młody i piękny - dodała Sophia z goryczą. Tessa spojrzała w przeciwległy kąt pokoju.

- A może przyjadę jutro i posiedzę z Colinem, a ty sobie gdzieś wyjdiesz? Trochę się rozerwiesz.

- Nie mam siły. I tak przyjdzie Magda.

- Magda jest bardzo dobra - wykrztusił Colin i spuścił głowę.

- Męczymy cię. Lepiej już chodźmy. - Nick wstał i podszedł do niego. - Zadzwoń do nas, stary, kiedy będziesz miał ochotę nas widzieć. Tylko nie zwlekaj. - Gdy przycisnął przyjaciela do siebie nastąpiła wymiana pośpiesznie wymamrotanych zdań: - Przepraszam Nick. - Nie przejmuj się. Następnym razem pójdzie lepiej.

Sophia zaś, wcisnąwszy cygaro między zęby, zmobilizowała dostateczną ilość energii, by podnieść się i odprowadzić ich do wyjścia.

Przebywając spokojny odcinek drogi do Wychwood, Nick po omacku szukał dłoni Tessy. Podała mu ją i jechali dalej mocno ściskając się za ręce, póki światła uliczne nie zmusiły go do ponownego uchwycenia kierownicy.

Rozdział 12

W poniedziałek rano o wpół do dziewiątej exodus z Wychwood praktycznie dobiegł końca - dzieci poszły do szkoły, większość mężów i wiele żon udało się do pracy. The Glebe było opustoszałe z wyjątkiem domu pod numerem trzecim, gdzie pozostała Gloria Hennage, której niemożność stawienia się do pracy przy okienku rejestracyjnym przychodni lekarskiej w Fetherstone spowodowana była ciężkim zaziębieniem. Tylko emeryci, bogacze, bezrobotni, matki małych dzieci i ci, którzy środki do życia czerpali z uprawy roli albo też pracowali w domu (swoim bądź cudzym) pozostali na miejscu w ten poniedziałkowy poranek.

Nick Brierley opuścił Holly House tuż po ósmej, zrzedząc straszliwie, gdyż miał seminarium o dziewiątej trzydzieści.

- Pewnie nie wrócisz dziś na obiad - powiedziała Tessa.

- Eee, nie. Dziś wieczorem mam spotkanie programowe. Nie czekaj do późna. Pewnie pójdziemy do pubu.

Również Robert Storr wyjechał z Jasmine Cottage, co było rzeczą niezwykłą. Opuszczał dom na parę dni, by wziąć udział w naradzie dotyczącej prowadzonych przez niego interesów.

Farmy Hilltop, Thornton Lodge, Elm Tree, Manor Farm i posiadłość Pecków były ośrodkami krzątania już od wpół do szóstej rano. W chałupach i domach komunalnych mężczyźni zwlekali się z łóżek do udoju krów, karmienia świń i uruchamiania traktorów. W wioskowym sklepie, a zarazem urzędzie pocztowym, Brenda Varney pomagała listonoszce sortować listy i paczki, a „Pod Czerwonym Lwem” ziewająca Linda Maiden wylewała miskę mydlin na podłogę w męskiej toalecie.

Rose Fettle i Dolly Cloomb przybyły do Dworu. Same otworzyły sobie drzwi w pierwszej z dwu dobudówek, wystających pod kątem prostym z krańców oryginalnego elżbietańskiego domostwa. Od frontu wydawało się, że posiadłość przetrwała w niezmiennym kształcie - długa, piękna budowla z ciosanego szarego kamienia, o dzielonych kamiennymi słupkami gotyckich oknach. Dobudówki znajdowały się z tyłu. Pierwsze ich skrzydło zawierało biura, gdzie załatwiano sprawy domowe i gospodarskie, w drugim zaś, na przeciwległym krańcu domu, mieściła się sala bilardowa, basen i przebieralnia dla graczy w tenisa. Większości mieszkańców wioski znane były wnętrza tylko owych nowoczesnych przybudówek. W

sprawach gospodarskich zachodzono do pierwszej przybudówki, a gości biorących udział w imprezach, które Westbrookowie organizowali dla poparcia partii konserwatywnej, albo uczestniczących w miejscowych polowaniach zapraszano do sali bilardowej w przeciwległej dobudówce. Niektórzy obywatele Wychwood podziwiali te nowe udogodnienia, szczególnie basen, którego wystrój przypominał im o wakacjach spędzonych w Hiszpanii. Inni byli przerażeni. Tessa, wywiedziawszy się o kilku szczegółach, z niepokojem wypytywała, czy stare wnętrza pozostały nienaruszone. Eleanor Browne uspokoiła ją: dębowe boazerie, belki i podłogi pokryte tureckimi dywanami pozostawiono nietknięte, choć są może bardziej zakurzone niż dawniej, gdy lady Hawthrop zatrudniała cały orszak służących.

Zarówno krewni Dolly, jak i Rose pracowali u Hawthropów: mężczyźni na farmie, kobiety w domu. Obie rodziny zajmowały przylegające do siebie domki. Gdy ród Hawthropów wymarł i majątek sprzedano Westbrookom, Rose i Dolly były bardzo rade, że zdobyły pracę we Dworze. Była to bardziej kwestia lojalności wobec tradycji, domu i własnych przodków, niż czulej troski o panią Westbrook, która zawsze stawiała interes Dworu na pierwszym miejscu, a Probostwa i Holly House na drugim. Pani Westbrook była w istocie okropną chlebobawczynią, zawsze gotową przetrzymać kobiety po godzinach, przekupując je kilkoma zeszlými kanapkami i dzbankiem słabej herbaty. Na szczęście one same z czasem nabrały rozumu.

„Musimy lecieć do domu na obiad, pani Westbrook - mawiała zwykle. Dolly ma podać jedzenie panu Cloomb, a ja powinnam odebrać pranie” - tłumaczyła Rose. Czasami wynajdywanym powodem był odbiór paczki dla sąsiada czy też przywóz węgla. Te wymówki miały dać do zrozumienia, że się oddała, gdy minie ranek, zobowiązując ich pracodawczynię - jeśli sobie tego życzy - do zatrudnienia ich po południu na określoną liczbę godzin za ściśle ustaloną stawkę. „Kawał bolszewiczki” - oto jak Celia Westbrook czasami określała Rose Fettle.

Z punktu widzenia Celi kłopot polegał na tym, że w wiosce brakowało kobiet chętnych i zdolnych do posług. Prócz Rose i Dolly była tylko Debbie White (żona oracza, która przed zamążpójściem pracowała w hotelarstwie). W razie potrzeby pozwalała się zatrudnić jako kucharka czy też usługująca przy stole (choć ostatnio „Czerwony

Lew", wykazując typowy brak form towarzyskich, oderwał ją od Dworu, uwodząc za pomocą niesłychanie wysokiej płacy). Była też jeszcze nieszczęsna stara pani Bull, która wiele lat służyła we Dworze, lecz teraz stała się zbyt tłusta i kulawa, by poradzić sobie z czymś bardziej uciążliwym niż czyszczenie sreber i prasowanie. W każde środowe popołudnie pani Bull przenosiła ciężar swego ciała przez próg domku naprzeciwko Holly House i popychając wózek na zakupy - dla podtrzymania równowagi - telepała się po ulicy Kościelnej, by stanąć do pracy przy desce do prasowania pani Westbrook. Czasami, gdy nogi szczególnie jej dokuczały, a we Dworze odczuwało się rozpaczliwy brak świeżej pościeli, pani Westbrook przywoziła panią Bull własnym samochodem. Tessa ze zdziwieniem przyglądała się przez kuchenne okno, jak Celia przesuwająca panią Bull, która nie może zgiąć opuchniętych kolan, toteż trzeba ją wepchnąć do samochodu i przepchać na tylne siedzenie. Gdy Celia dźwigała, klęła i biegała koło samochodu, zawsze zdarzał się moment, gdy słupowate nogi pani Bull unosiły się do góry, odsłaniając spory fragment długich majtasów. Zabiegi te, powtarzane u celu podróży i prawdopodobnie znów przy powrocie, wyglądały na tak wyczerpujące, że Tessa dziwiła się, dlaczego Celia nie doszła do wniosku, iż prościej byłoby samej wszystko uprasować.

Odgłosy kłótni doszły Rose i Dolly, gdy tylko wyjęły czyste fartuchy z toreb na zakupy, przełożyły je przez głowy i związały tasiemki w mocne kokardy na plecach. Hałas doszedł do punktu kulminacyjnego w steku przekleństw, po czym major Westbrook chwiejnym krokiem wyszedł na korytarz, burknął coś do dwu kobiet i zniknął w biurze, gdzie załatwiano sprawy gospodarskie. Rose i Dolly zachowywały się tak, jakby był niewidzialny. Gdy się już oporządziły - buty zdjęte, kaptur na nogach - udały się do kuchni, gdzie akurat zdążyły przyłapać panią Westbrook, jak z zamachem ciskała do zlewu zwiniętą ścierkę.

- Strasznie się wścieka - powiedziała o mężu. - Nie miał czystej miski na płatki. Najwyższa pora, żebyście się pojawiły. Ominęłoby mnie sporo przykrości, gdybyście przyszły wcześniej.

- Umawialiśmy się na wpół do dziewiątej.

- No dobrze, weźcie się do roboty i umyćcie mi miseczkę i łyżkę. Muszę dziś rano zjeść owsiankę, jeśli mam sobie poradzić z moim koniem.

Rose rozejrzała się po kuchni, wyglądającej jak pobożowisko.

- Pewnie jest tego dużo więcej w jadalni i sali bilardowej? - spytała.

- Tak. I w salonie. Wczoraj wieczorem rozłożyliśmy się tam z kolacją.

- No dobra - rzekła Rose, zawijając rękawy. - Najpierw trochę tu posprzątamy.

- Może herbatki? - spytała Celia, machając czajnikiem.

- Nie, dziękujemy - odparła Rose, świadoma, że przyjmując więcej niż kubek neski na drugie śniadanie we Dworze, sama się prosi, by dołożyć jej pracy. - Zmywasz czy wycierasz? - zagadnęła Dolly.

Dolly wybrała zmywanie. Flegmatyczna z natury, wolała oprzeć się o zlew i skupić na pojedynczej czynności. Rose zaś, zwinna i niestrudzona, obkrobywała i ustawiała brudne naczynia, suszyła i polerowała do połysku czyste, po czym odkładała je do kredensów.

Niebawem pani Westbrook zostawiła je swoim zadaniom. Pracowały w przyjaznej ciszy, póki, po sprzątnięciu kuchni, nie nadszedł czas na obejrzenie jadalni. Tu pozwoliły sobie na chwilę wytchnienia, wydając okrzyki z powodu straszego bałaganu, cmokając z pogardą na widok nieprawdopodobnego marnotrawstwa, zastanawiając się nad tożsamością gości i nad tym, jak minął wieczór.

Następnie załadowały tace, zatargały je do kuchni i zaczęły wszystko od nowa.

Po godzinie Dolly zakręciło się w głowie.

- To od tej pary - rzekła, kurczowo chwytając się zlewu.

- Usiądź, złociutka. Nic się nie stanie, jak parę minut odpoczniesz.

Dolly posłusznie wytarła ręce i usiadła na drewnianym krześle przy stole. Rose zaczęła zmywać, energicznie jak nigdy dotąd, i pogrążyła się w myślach.

Dolly zawsze potrzebowała opieki. Rose pamiętała ją jeszcze ze szkoły - dużą, zmanierowaną dziewczynę, która później, jako nastolatka, opuściła Wychwood, by pracować całe mile stąd w jakimś wspaniałym domu. Gdy wróciła na wakacje, nagle, na krótki czas, objawiła się jako piękność. To ją zgubiło, myślała Rose, te jej zarumienione, pokryte meszkiem policzki, świeże jak róże, przez co wpadła w oko Arturowi Cloombowi i pomyśleć tylko, jak teraz

wygląda. Przypomniała sobie - nie po to, aby potępiać Dolly, lecz jako kolejny dowód, że przyjaciółka potrzebuje opieki - rozstanie Dolly z Arthurem pod koniec wakacji i potem, po czterech miesiącach, jej nagły powrót i pośpieszne małżeństwo.

W dzieciństwie Dolly zawsze była silniejsza i mniej podatna na wszelkie choroby, które tak często nękały Rose. Wydawała się też ód niej o wiele atrakcyjniejsza w młodości, a mimo to Rose wiedziała, że to właśnie ona z nich dwu ma w życiu więcej szczęścia. Posiadała bowiem dwa przymioty, których nie dostawało Dolly: bystry umysł i siłę woli. - Rose nie potrafiła się zdecydować, które z tych dwu błogosławieństw ceni wyżej. Bystry umysł kazał jej trzymać się z dala od wioskowych nieudaczników, takich jak Arthur Cloomb, a zająć się potulnym pracusiem Jackiem Fettle; siła woli pomogła jej w dążeniu, by coś osiągnął, a dzieci by zdobyły jeszcze więcej. Ich syn, John, zadziwił Wychwood, gdy dostał się na uniwersytet i poślubił fertyczną Gail Bultitude (ku wielkiemu zmartwieniu pani Bultitude, która nie od razu dała się przekonać, że wykształcenie uniwersyteckie tonuje stygmat wychowania w Orchard Close).

Przez ostatnie dwadzieścia lat syn miał dobrze płatne, kierownicze stanowisko w przemyśle naftowym w Calgary w Kanadzie, gdzie Rose dwukrotnie go odwiedziła. Jack Fettle, który żył jeszcze w czasie pierwszego wyjazdu Rose, odmówił wzięcia udziału w tak ryzykownym przedsięwzięciu, jakim była wyprawa za ocean. A zatem Rose pojechała sama i miała z tego wielką uciechę, spokojna o Jacka, gdyż zostawiła go z ośmiostronicową instrukcją i przyrzeczeniem Dolly, że będzie mu gotować. Jej córce, June, również powiodło się w życiu. Uzyskawszy dyplom nauczycielki wyszła za nauczyciela i pracowała teraz w szkole w Leamington Spa, gdzie wraz z mężem i córkami mieszkała w bliźniaku, wyposażonym w cztery sypialnie, ładny ogród i specjalnie według jej wymagań urządzoną kuchnię; w garażu stał jeden samochód, a drugi znajdował się pod daszkiem.

Podsumowując swe myśli Rose stwierdziła, że zawdzięcza to wszystko głównie sile woli. Przypomniała sobie, jak wpatrywała się w wojenne zaciemnienie, pragnąc, by mąż bezpiecznie wrócił do domu, jak zostawiała dziecko z matką, chwytając okazję do zarobienia niezłych pieniędzy w fabryce amunicji, jak stała nad dziećmi, gdy odrabiała lekcje i znajdowała odwagę, by chodzić z nimi w tak

porażające miejsca jak muzea i biblioteki, ani na chwilę nie tracąc z oka celu, którym było zapewnienie im lepszego życia. Nieszczęsna Dolly zaś w ogóle nie miała pojęcia, co to siła woli. Brała życie jak leci i pozwalała ludziom deptać po sobie. Szczególnie tym nicponiom swoim synom - Barry'emu, którego żona oczekuje piątego dziecka, a on nadal jest parobkiem u majora Westbrooka, Mickowi, często opisywanemu w miejscowej gazecie jako „nie posiadający stałego miejsca zamieszkania” oraz Pete'owi, który koczował gdzieś w przyczepie i nie sądził, by praca była rzeczą konieczną, lecz uważał, że matka ze swych zarobków powinna dawać mu regularne zapomogi.

- Lepiej ci? - spytała, gdy suszarki były już wypełnione. A kiedy Dolly podniosła się, dodała: - Chcesz to wszystko wytrzeć czy dalej zmywać?

- Chyba wolę zmywać. Ty się szybciej ruszasz niż ja, Rose.

O wpół do jedenastej Rose stwierdziła, że czas na przerwę. Zrobiły sobie po kubku kawy i zasiadły przy stole.

- Tak myślałam, że was złapię - zawołała Celia wchodząc. - Sama bym się napiła.

- Woda właśnie zawrzała - powiedziała Rose, nie ruszając się z miejsca.

- Skończyłyście tu? - spytała Celia, wsypując do kubka łyżeczkę kawy.

- Nie sprzątnęłyśmy jeszcze podłogi ani też nic na górze. Dopiero co skończyłyśmy zmywanie.

Celia westchnęła. - Było tego chyba dość dużo. Może potem zmienicie pościel? Powinam wsunąć coś do piecyka. Znajomy Gilesa przychodzi na lunch. Możecie dziś po południu zostać ze dwie godziny dłużej i doprowadzić do porządku podłogi?

- Chyba damy radę, co, Dolly? - Dolly skinęła głową. Celia zaniósła kubek na stół, po czym sięgnęła do kieszeni bryczesów po papierosy i zapalniczkę. Rose pchnęła ku niej popielniczkę.

- Była niezła zabawa w sobotę wieczór? - zapytała.

- Fantastyczna. Ale niedzielny lunch niespecjalnie się udał. Marne towarzystwo. Nie byliście na spacerze w niedzielę po południu?

Mimo przecząco sformułowanego pytania Celia oczekiwała jednak twierdzącej odpowiedzi, gdyż starsze pokolenie w Wychwood nadal lubiło iść na przechadzkę po niedzielnym obiedzie. Tradycyjnie

już promenada w Wychwood obejmowała całą ulicę Kościelną (gdy się z niej zboczyło, można było podziwiać ogrody w Peck's Lane i Honey Lane), część Manor Road - do przełazu, ścieżkę biegnącą przez dwa pola i skraj lasu do Fetherstone Road i stamtąd w lewo, z powrotem na ulicę Kościelną. Dawniej spacery uważano za wspaniałą okazję do wymiany wieści, rzucenia okiem na cudze ogrody i zasłony, obnaszania się z nową pozycją społeczną w wyniku zaręczyn czy narodzin potomka oraz popisania się nowymi strojami.

- Dolly była zbyt zmęczona po przywleczeniu do domu drzewa. Ale ja i June poszłyśmy na spacer. Córka przywiozła dziewczynki z Leamington. - Rose wspomniała o tym fakcie z tajoną dumą.

Celia wpatrywała się w swój kubek.

- Zauważyłyście jakiś ruch na Probostwie? Jakies zaparkowane samochody? - spytała mimochodem.

Rose zastanowiła się.

- Nie. Ale jeśli stały za drzewami, nie było ich widać z drogi. A dlaczego pani pyta?

- Tak sobie.

Zapadło milczenie, aż wreszcie Rose zapytała śmiało:

- Czy pani Addinbrook się polepszyło? Mówiła pani, że jest trochę załamana tymi wszystkimi kłopotami.

- O, znacznie się ożywiła. Złapała teraz nowego faceta. Ta upiorna historia z prasą... Uważam, że to nie w porządku: wypisują, co im się żywnie podoba i nic nie można poradzić. Wszystko to razem strasznie zaszkodziło dziewczynie na żołądek. Mdli ją jak diabli. A skoro o tym mowa, wymyjcie dokładnie ubicację na dole. - Przełknęła łyk kawy i poczuła, że czegoś jej brakuje. - Chyba zabiorę filiżankę do drugiego pokoju i przez dziesięć minut poczytam gazetę, zanim wezmę się do gotowania - oznajmiła i z wolna odpłynęła do salonu, kierując się w stronę barku z alkoholami.

Popłukały kubki pod kranem, po czym Dolly udała się śladami Rose na górę.

- Ściągnij brudną pościel, a ja powlekę czystą - rzekła Rose.

Na podeście Dolly skręciła w prawo i poszła korytarzem do pokoju Gilesa. (Giles był młodszym synem Westbrooków, niedawno skończył kursy rolnicze w Cirencester i mieszkał teraz w domu, zarządzając częścią majątku. Starszy syn, Piers, wyjechał kilka lat temu i objął gospodarstwo w Queensland).

Rose weszła do przestronnego, wentylowanego pomieszczenia na końcu podestu. Wybrała dwie podwójne i cztery pojedyncze poszwy oraz sześć powłoczek, zniosła je z powrotem na podest i ułożyła na blacie wysokiej komody w sypialni pana domu. Choć znaczna część rynsztunku Celi mieściła się w tym pokoju - wysoka szafa pełna była wieczorowych ubrań, toaletka zapchana słoikami kremów do twarzy i butelkami perfum - pani Westbrook w istocie spała gdzie indziej: w ciasnym boksie w głębi korytarza, gdzie mieściło się tylko pojedyncze łóżko, kredensik po brzegi wypełniony butelkami whisky i dżinu oraz rozlatująca się szafa, wypchana ubraniami, które nosiła na co dzień - poplamionymi bryczesami, dziurawymi swetrami i koszulami w kratkę. „Major Westbrook chrapie” - czuła się kiedyś w obowiązku wytłumaczyć. „Robi potworny hałas.” Rose pomyślała natomiast, że sądząc po odgłosach, jakie major Westbrook wydaje z siebie w pełni świadomości, ona przynajmniej nie może winić Celi.

Zdjęła pościel z łóżka majora, znalazła niedopałek cygara i wrzuciła go do kosza na śmieci, po czym, w każdej sekundzie oczekując Dolly, podeszła do okna, by spojrzeć ponad trawnikami, za niski płot, ku polom, na których pasło się stado owiec. Na framudze okna leżała lornetka (major Westbrook rozmieścił lornetki w paru pokojach na górze, by szpiegować pracowników bez względu na odległość, w jakiej się znajdowali). Kiedy tylko Rose wzięła do ręki lornetkę, natychmiast przypomniała sobie o nieobecności Dolly. Ze świstem łapiąc oddech wypadła z pokoju i popędziła korytarzem, a gdy - wetknąwszy głowę do boksu - stwierdziła, zgodnie ze swym przypuszczeniem, że jest pusty, pognąła dalej, na koniec korytarza, do pokoju Gilesa.

- Tak myślałam - oznajmiła. Winowajczyni stała bowiem przy oknie, niejako królując nad wszystkim, czemu się przyglądała. Dolly z lornetką majora była jak dziecko. - Któregoś dnia cię z nią przyłapie. Chodź, do tej pory powinnaś była zdjąć pościel z łóżka pani Westbrook.

- Ktoś tam siedzi na polu. Czeka. - Dolly poprawiła ostrość. - Aha, to pani Brierley. Cosik maluje. Ale ma widok nie za bardzo. Wszystko zasłania żywopłot.

- Pokaż - rzekła Rose. - Maluje dzikie róże, tepoto. Będzie z tego bardzo ładny obraz.

- Wkracza na cudzy teren. Major Westbrook kiedyś ją przyłapał i zapytał, czy wie, że wchodzi na ziemię będącą jego własnością. Słyszałam, jak opowiadała ó tym pani Storr. Pokładały się obie ze śmiechu.

- Nie wiem, co jest śmiesznego we wchodzeniu na cudzy teren, nawet jeśli się nie robi nic złego. Chodź, Dolly, na miłość boską. Zaraz będzie czas na obiad.

Wróciły do pokoju majora i rozłożyły czyste, podwójne prześcieradło.

- Ładnie pachnie, prawda? - zauważyła Dolly, gdy wygładzały je na materacu. Naciągnęły prześcieradło, by nie było ani jednej fałdki i ciasno poutykały rogi. - Lepiej tak niż jak zwisa.

- Bardzo ładnie, bez dwóch zdań. Zwłaszcza, jak ci ktoś inny wyprasuje.

- Biedna staruszka z tej Clary Bull. Nie wiem, jak ona wytrzymuje z tymi nogami jak pniaki. Masz głowę, że wcale nie jestem taka głodna, Rose. Czy to powłoczki?

- Tak, podaj mi jedną. Po drodze do domu wpadniemy do Brendy i kupimy sobie jakieś pyszności. Należy nam się coś ekstra po tym zmywaniu.

- I po dodatkowej popołudniowej robocie. Teraz ja kupuję. Moja kolej.

- Trzymaj swoją forszę, Dol. Ja stawiam.

Tessa metodycznie przypinała cztery wybrane szkice do dolnej krawędzi rysownicy. Odnotowała w pamięci, jak poruszają się jej ręce: powoli, celowo, jakby były odrębną, niezawodną częścią jej istoty. W żołądku czuła rozkoszne mrowienie, bowiem to stadium jej pracy stanowiło kulminację dni przygotowań, myślenia, planowania, szkicowania. Teraz, gdy uformował się jej już w głowie gotowy obraz dzieła, miała przed sobą jedyną w swoim rodzaju przyjemność wykonania.

W innych sferach życia mogła postępować na chybił trafił, sprawiając wrażenie istoty niezdecydowanej i roztargnionej. Jako malarka była inną osobą - zorganizowaną, konsekwentnie dążącą do celu. W szafie stojącej za jej plecami spoczywały setki gotowych do wykorzystania szkiców: wykonanych otwarcie na dworze i robionych cichcem rysunków przedstawiających sąsiadów. W przygotowywanej obecnie pracy pani Bull figurować będzie jako zbieraczka jagód; w

tym właśnie celu dziś rano zrobiła specjalne studium dzikich róż. Wielokrotnie rysowała panią Bull jej przysadzistą postać wychylającą się z bramy, by pogawędzić z przechodniami, albo kuśtykającą ulicą z wózcikiem do miejscowego sklepu. Tessa miała wspaniałą pamięć i potrafiła przechowywać w niej nieoczekiwane widoki, które po powrocie do Holly House przelewała na papier. Kiedyś, podejrzawszy w pewien księżycowy wieczór, jak Dolly Cloomb i Rose Fettle pędzą trzymając się za ręce, pośpieszyła do domu, by naszkicować i włączyć tę scenkę do obrazów ilustrujących historyjkę o wiedźmach.

Teraz jednak, myśląc tylko o pracy, którą miała przed oczyma, rozkładała swe przybory: pędzle - wiekowe i kształtne, miseczkę z czystą wodą, nową farbę, miękką ściereczkę. Czyniła to równie starannie, jak pielęgniarzka przygotowująca salę operacyjną. Następnie ujęła pędzel, zwilżyła go i rozprowadziła smugi wody. Potem patrzyła, jak papier napęczniał i stał się podatny. Nabrała farby na pędzel i nakreśliła pierwszą poziomą linię.

Gdzieś w głębi duszy Tessa wiedziała, że jej przyjemność nie może trwać długo. W końcu będzie musiała wyjść z pracowni i ponownie pograć się w zamęcie życia, które obecnie dręczyło ją bardziej niż zwykle. Świadomość tę można jednak czasowo zlekceważyć. Teraz liczy się tylko fakt, że praca idzie jej dobrze, czemu towarzyszy cudowne uczucie - uczucie, które nazywała szczęściem.

Gdy światło dnia przygasło, Maddy obeszła dom i zaciągnęła zasłony. Potem wyłożyła strój, w który miała zamiar się ubrać i napuściła wody do wanny. Cieszyło ją, że Roberta nie ma w domu. Będąc sama może się skupić na rozkosznych przygotowaniach, nie rozpraszając uwagi na nędzne podstępny, jak wymachiwanie notatnikiem z wykładem o pisaniu powieści, kłamliwe pogaduszki o kolegach z kursu, udawanie, że zastanawia się, czy w ogóle warto iść. Weszła do wanny i z pluskiem opadła na plecy. Kłęby piany pofrunęły w górę i utworzyły kopczyki wokół jej ciała. Zamknęła oczy. Usta miała suche jak pieprz, a żołądek kurczył się jej z podniecenia. Jeszcze tylko dwie godziny, pomyślała. Po wszystkich kalkulacjach, gdy czas jakby stanął w miejscu, wydawało się jej nierealne, że moment ów jest już bliski.

Boże, nigdy przedtem się jej to nie zdarzyło, a i teraz nie powinno się było wydarzyć i nie może trwać długo. Ale musi się jeszcze tego

trzymać przez jakiś czas, bo nie potrafiłaby zrezygnować. Działa na nią zbyt narkotycznie, jest nazbyt cudowne... Przypuszczała, że to właśnie szczęście.

Rozdział 13

Wielebny Timothy Browne podśpiewywał sobie gdzieś w głębi serca właściwie już od próby chóru, jaka miała miejsce w czwartkowy wieczór. Od czasu do czasu wymykało mu się z ust parę radosnych wersów:

„Przybywajcie z podzięką, śpiewajcie pieśń dożynkową.

Wszystko zostało zwiezione, nim zaczął się srogi mróz”.

Jednakże gdy tylko usłyszał swój głos, zaciskał usta, pomny na to, iż winien oszczędzać gardło ku większej chwale eucharystii niedzielnego poranka.

W sobotni wieczór kościół był pełen chętnych do pomocy wiernych. Proboszcz przestał maltretować kartki swego modlitewnika i poszedł zerknąć do leżącej na pulpicie Biblii. Nagle uwagę jego przykuły nogi pani Storr, która klęczała na podłodze, pracując nad swą kompozycją. Cofnął się, by móc podziwiać dzieło jej rąk, i stwierdził ze zdziwieniem, że jest ono niewiarygodnie pociągające i wprost natchnione przez Ducha Świętego. Nie mógł się powstrzymać, by nie zakrzyknąć radośnie:

- Tam ta - ta - tam, tam ta - ta - tam! Słowo daję, pani Storr, pięknie przybrała pani pulpit!

Gorąca aprobata wyrażona przez proboszcza przyciągnęła parę zazdrosnych spojrzeń, zwłaszcza pani Burrows, która uważała, że zdziałała cuda, układając wokół pulpitu jesienną kompozycję z rudbekii, a także Jane Bowman i Sarah Grace, ustawiających piramidy z warzyw na parapetach okien w nawie.

- Wszyscy pracują doskonale! - wykrzyknęła dyplomatycznie Eleanor, klasnęła pod brodą i zaczęła rozsyłać wkoło promienne uśmiechy.

Cierpki zapach chryzantem bił z głębi kościoła, gdzie na opartym na kozłach stole panie Frogmorton i Bultitude odcinały pąki i obrywały przywiedle płatki kwiatów, ofiarowanych przez ich mężów. Na krótko „Koreański wchód słońca” spoczął obok „Żółtego obszarpańca”, a dalej pani Frogmorton splotły się z ozdobnymi paprociami pani Bultitude.

Do kościoła weszła Tessa Brierley, trzymając w dłoniach udekorowany kosz z wysoką rączką, wypełniony barwnymi owocami.

Eleanor wypatrzyła ją i pośpieszyła naprzód.

- Och, Tesso, kochanie. Timothy, chodź no tu i zobacz. Jakież to zmyślne.

- I jakie smakowite - rzekł Timothy.

- Och, czyż nie będą się radować w domu starców, gdy kosz dotrze tam w poniedziałek rano? Nie można wprost oderwać od niego oczu. Jest idealny na nasze święto. Gdzie go postawimy?

- Może na szczycie chrzcielnicy? - zaproponował Timothy?

- Chyba tak. Ludzie ujrzą go, jak tylko wejdą za próg. Chodź tu i wnieś go, Timothy.

Wszystkie panie zgromadziły się wokół, gdyż Tessa nie stanowiła dla nich zagrożenia. Nie układała bowiem kwiatów, a kosz z owocami był w istocie pomysłem niezwykłym i atrakcyjnym.

- Jaki oryginalny - entuzjasmowały się.

- Po prostu uroczy - rzekła Maddy Storr.

- No cóż - Tessa odsunęła się, by popatrzeć na dzieła innych - trzeba przyznać, że to wspaniała wystawa.

- Obejrzyj mój bukiet w sanktuarium - nalegała Eleanor, trochę nieskromnie, jak pomyślał sobie Timothy, opacznie pojmując intencje siostry, której nie chodziło o pochwały dotyczące jej osoby, lecz o przyciągnięcie ulubienicy bliżej błogosławionego miejsca. (Gdy w czwartek poszła na herbatkę do Holly House, wyczuła, że za wesołością Tessy kryje się jakieś strapienie).

Tessa wyraziła podziw dla wysiłku Eleanor i zapewniła, że oboje z Nickiem zjawią się na jutrzejszych nieszporach. Słyszac ją, Timothy uczuł jeszcze większą radość. Cóż z tego, że Brierleyowie niezbyt gorliwie uczęszczają na mszę? Przynajmniej ruszyło ich sumienie, by pomóc w święcie dożynkowym. Chyba wiedział, dlaczego i składał dzięki, gdyż wszystko to było ziarnem do Bożego młyna.

- Jakże piękne są pieśni dożynkowe! Brzmia niczym hymny - zakrzyknął i z ożywieniem zaintonował melodyjną próbkę:

„Panie, wiemy, że nadejdziesz

I zabierzesz dzieci swe...”

Eleanor nagłym gestem położyła mu dłoń na rękawie. - Uważaj na głos, staruszku - napomniała go. Skarcony Timothy minął stalle dla chóru i powrócił do swego pulpitu.

Podczas gdy Eleanor gawędziła z innymi, Tessa odwróciła się i spojrzała na kościół. Dostrzegła stojącego na drabinie Richarda Grace'a, który usiłował umieścić plecione ze zboża laleczki na

zwieńczeniu kolumny, kilka pochyłonych i klęczących postaci, mgliście oświetlonych ukośnie padającym, październikowym słońcem, znajdującą się w prezbiterium Maddy, z którą się nie widziała ani nie rozmawiała od rana zeszłej niedzieli. Kiedy ktoś zawołał Eleanor prosząc ją o radę, Tessa skorzystała z okazji, by się oddalić. Zadowolona szła nawą, po czym przystanęła na chwilę i patrzyła, jak przyjaciółka oplata kłosa zboża i małe błękitne astrы wokół kolumny, na której wspierał się pulpit.

Maddy, pochylona nad robotą, kątem oka zauważyła zbliżającą się Tessę. Miała wyraźną świadomość jej obecności, a także panującego między nimi milczenia. Jednak nie była w stanie się odezwać. Przed paroma minutami, gdy dołączyła do grona osób chwalcących kosz Tessy, własny głos zgrzytnął jej w uszach, brzmiąc fałszywą serdecznością. Nie ufając sobie, iż znajdzie właściwy ton, udawała niebywałe skupienie. Nagle z przerażeniem stwierdziła, że odeszła ją zręczność. Jej ręce były jak spuchnięte. Łodyga kwiatu, którą manewrowała, nie chciała zgrabnie wejść na swoje miejsce.

- Nie wiem, jak ty sobie dajesz radę. Tyle roboty tutaj, a jeszcze wieczorem organizujesz kolację - zagadnęła Tessa.

Maddy z ulgą opuściła ręce na kolana. Spojrzała w górę i rzekła szybko:

- Znasz mnie. Najlepiej się czuję dopiero wtedy, gdy padam z nóg.

- A więc, powodzenia! Maddy spuściła wzrok.

- Do zobaczenia dziś wieczorem - rzekła Tessa.

Zaraz po powrocie Tessy do Holly House zadzwonił telefon. Urwis miotał się u jej stóp, szczeniem dając wyraz swej dezaprobaty z powodu pozostawienia go samego.

- Głuptasie - rzekła schylając się, by pogłaskać go po uszach. - Wyszłam tylko na parę minut.

Telefon wciąż dzwonił. Najwyraźniej Nick, gdziekolwiek był, nie miał zamiaru go odebrać. Odepchnęła psa i poszła podnieść słuchawkę aparatu, stojącego na parapecie kuchennego okna.

- Halo - zdążyła powiedzieć i - serce w niej zamarło.

Dźwięki, jakie do niej doszły, były niesamowite. Rozpoznała je dopiero po paru sekundach: łkanie, urywany oddech, beładnie rzucane słowa, zagłuszane gwałtownym płaczem.

Przełknęła ślinę, po czym znów odezwała się:

- Kto mówi? Czy mogę w czymś pomóc?

Wśród szlochów posłyszała imię, wypowiedziane zduszonym głosem.

- Sophia? Tu Tessa. Czy coś się stało Colinowi? Następne słowo, jakie zdołała pochwycić, brzmiało: szpital.

- Poszedł do szpitala? O to chodzi?

Rozległ się chrapliwy dźwięk. Sophia głośno wycierała nos.

- Wrócił tam dziś rano. Nie mógł wytrzymać bólu. Nie byłam w stanie mu pomóc.

- Może to i lepiej. Sama mówiłaś, że będzie mu wygodniej w szpitalu - przypomniała. Zaraz jednak zmartwiła się, czy ta uwaga, która miała tylko pocieszyć Sophię, nie zabrzmiała nietaktownie.

- Ale on ma mieć nowe badania - rozpaczła Sophia. - Nowe, cholerne badania.

- Słuchaj, przyjedziemy...

- Nie chcę was widzieć! - wrzasnęła Sophia. - Nikogo nie chcę widzieć. Na miły Bóg! Zamierzałam ci tylko o wszystkim powiedzieć.

- Cóż, dzięki. Na pewno nie życzysz sobie, żebyśmy przyjechali? A Colin?

- Dziś zabroniono odwiedzin.

- Rozumiem. Cóż, strasznie mi przykro, Sophio.

- No, myślę. Skoro Colina nie ma w domu, twemu mężowi nie będzie tak łatwo dostać się do jego papierów. Wy wszyscy z uniwersytetu jesteście tacy sami - myślicie tylko o swoich posiadach. Obcięli Colinowi pieniądze! Słyszałaś o tym? Chcieliby w ogóle przestać mu płacić, jeszcze zanim umrze. Nienawidzę twojego cholernego uniwersytetu! Śmierdzący interes! - Z tymi słowami rzuciła słuchawkę.

O, do diabła, jęknęła Tessa do siebie, przykucnąwszy i objąwszy kolana. Urwis trącił ją łbem, a gdy wciąż nie zwracała na niego uwagi, obrócił się, prezentując powabny swój ogon. Przyciągnęła psa do siebie i zatopiła twarz w jego kudłatym futrze na grzbiecie.

W tej pozycji zastał ją Nick.

- Co się stało? Był jakiś telefon? Siedziałem w ubikacji. Uniosła ku niemu wzrok. Przerażony, podniósł ją i zapytał ponownie:

- Co się stało?

- Colin jest w szpitalu. Robią mu nowe badania.

- Czy to była...?

- Sophia.

- O Boże.

Objęli się ramionami i mocno przytulili. W końcu śmierć go dopadnie - pomyślała Tessa - Colina, naszego przyjaciela i rówieśnika.

Rozłączyli się po dłuższej chwili.

- Nowe badania, co? Myślisz, że i następne operacje? Wzruszyła ramionami.

- Sądzisz, że on to wytrzyma?

- Kto to może wiedzieć?

Nick zrobił herbatę, po czym usiedli przy kuchennym stole, by ją wypić.

- Uważasz, że powinniśmy do niego pojechać?

- Sophia nas nie chce, a szpital na razie zabronił odwiedzin. Nawiasem mówiąc, jest na ciebie cięta z powodu tych papierów.

- Do diabła z papierami. Martwię się o Colina.

- Wiem, kochanie. Ja też.

O wpół do szóstej Tessa poszła na górę i otworzyła drzwi szafy. Spojrzała ponuro na kilka wiszących w środku sukien i w myśli zaczęła wytaczać przeciw nim argumenty. Kolacja dożynkowa - myślała - podobna jest do wiejskiej zabawy. Przywołała na pamięć salę z porozrzucanymi gdzieś snopami słomy, na których przysiedli wieśniacy. Tancerze galopowali parami lub trzymając się za ręce obracali się w kółko. Wiele kobiet ubranych było w dżinsy. Ten obraz tak silnie tkwił w jej pamięci, że chciała już zamknąć drzwi szafy. Uświadomiła sobie jednak, że w istocie kolacja dożynkowa to nie wiejska zabawa, a już na pewno nie odnosi się to do kolacji dożynkowej w Wychwood. Uczestniczyła już w wielu podobnych imprezach, na których mężczyźni starali się wyglądać schludnie i elegancko, kobiety zaś jak najładniej. Z westchnieniem - za nic bowiem nie chciała nikogo rozczarować ani zakłopotać - wyjęła suknię z granatowego sztruksu. Sięgająca wysoko pod szyję, miała bufiaste rękawy, wciętą talię i dół ułożony w fałdy; Tessa była pewna, że zyska uznanie. Pozostawiwszy ją na łóżku, poszła przygotować sobie kąpiel.

Nick wszedł do sypialni, gdy Tessa suszyła włosy.

- To wkładasz dziś wieczór? - spytał, wskazując na suknię.

- Tak. Chyba będzie odpowiednia, co?

- Jasne. Wspaniale w niej wyglądasz.

Już ubrana poszła obejrzeć się w lustrze. Stwierdziła, że poważny krój i dość mięsisty materiał są dla niej odpowiednie. Nick nie przesadzał też wcale, przypinając jej pod szyją kameę ciotki Winifredy.

Zespół przygotowujący kolację dożynkową pracował z mozołem w wiejskiej sali zebrań. Najbardziej ofiarne członkinie - pani Storr z Jasmine Cottage, pani Burrows z Old School House, pani Dyte z The Glebe oraz pani Joiner z Old Forge na Błoniach - były na posterunku już od godziny piątej. Później dołączyły do nich panie o odrobinę mniejszej determinacji - panna Browne z Probostwa i pani Grace z Pear Tree Cottage na Old Road. Wcześniej tegoż popołudnia Ken Tustin kierował pracą trzech mężczyzn, a mianowicie Roberta Storra, Malcolma Joinera i Roya Pecka, których zadanie polegało na poustawianiu krzesel i stołów oraz udekorowaniu sali snopami i kłosami zboża z farmy Pecków. W tym czasie Jane i Derek Bowmanowie jeździli po skromnych domkach i okazałych willach, zbierając składkowe jedzenie i pożyczając sprzęty kuchenne, by następnie przetransportować je na miejsce. Do podobnej mobilizacji dochodziło w wiosce trzy razy w roku: z okazji letniej ogrodowej fety połączonej z wiejską zabawą, kiermaszu bożonarodzeniowego organizowanego wraz z turniejem gry w wista oraz kolacji dożynkowej. W ciągu roku odbywały się też pomniejsze uroczystości, lecz owe trzy należały do największych świąt Wychwood. Każdy, kto pragnął uniknąć oskarżeń o brak lokalnego patriotyzmu, gotów był zrobić wszystko, byleby tylko wziąć w nich udział.

Eleanor uczuła zmęczenie zaraz po przybyciu do kuchni domu ludowego. Znalazszy się w smudze światła zmrużyła gwałtownie oczy, gdyż przedtem szła drogą pograżoną w mroku. Ciężko jej dziś było zrezygnować z wieczoru przy kominku, zwłaszcza że wcześniej pracowała tak ciężko przy dekorowaniu kościoła. Ostatnimi czasy dość często ubolewała, gdy okoliczności zmuszały ją do odbycia oficjalnych wizyt we wtorkowe wieczory, kiedy to jako jedyna przedstawicielka Probostwa uważała za swój święty obowiązek - szczególnie w obliczu braku obowiązkowości Dworu - uczęszczać na zebrania Klubu Kobiet.

(W przeszłości panie ze Dworu czy podobnej rangą rezydencji z zasady bywały przewodniczącymi klubu, a nawet i teraz uważano za

właściwe, by zasiadały w komitecie lub przynajmniej wykazywały zainteresowanie. Celia Westbrook stała jednak na stanowisku, że prędzej umrze niż spędzi wieczór z tak upiornymi babami). Naturalnie, czasy się zmieniły i nie jest już oczywiste, które damy winny kroczyć na czele, a które iść ich śladem. Niektóre zmiany wyszły klubowi na dobre - zapanowała żywsza atmosfera, poszerzył się krąg zainteresowań - inne zaś, zdaniem Eleanor, nie. Często wyraźnie przygnębiona słuchała sprawozdań niektórych członkiń („Gdy bladym świtem o piątej rano wasza delegatka opuszczała Wychwood, najmniejsze przeczucie nie ostrzegło jej, jakież doniosły ma przed sobą dzień...”), a przygnębienie to wzrastało, gdy musiała uczestniczyć w posiedzeniach na temat „Jak udekorować jajko” albo wysłuchać w całości ludowych przyśpiewek Wesołego Wikarego. Znosiła to jednak dzielnie jako wierna córka kościoła anglikańskiego i pragnęła tylko, by żyła jeszcze Winifreda, kochana Winifreda, która bardziej z przyjaźni niż z nakazów wynikających z jej stanowiska dyrektorki wiejskiej szkoły - i jedynej osoby zdolnej odegrać na pianinie akompaniament do „Jeruzalem” - chętnie dzieliła jej brzemię. Jakże przyjemnie było sobie potem trochę ponarzekać, mając pewność, że nie posuną się ani o cal za daleko. Na szczęście wszystko nie wyglądało już tak ponuro, jak przed dziesięcioma laty. Prócz Wesołego Wikarego i paru ekscentrycznych zapaleńców zazwyczaj na spotkania zapraszano rozsądniej szych mówców, co Eleanor przypisywała wpływowi pani Storr. Nie była z nią blisko - w istocie nie mogła sobie wyobrazić zażyłych stosunków z osobą, która wiecznie dokądś pędzi - lecz żywiła pełne uznanie dla jej stylu. Błysk w oku Maddy nasuwał myśl, że ona również nie trawi ozdabiania jajek i znosi tę potworność wyłącznie ze względu na członkinie w rodzaju Rose Fettle, która uwielbia zabawiać się skrawkami złotka, słojami kleju i mnóstwem brokatu. (Tym dziwniejsze, pomyślała Eleanor, że pani Fettle zdradza wyraźną wrogość wobec przewodniczącej). Maddy Storr potrafiła zaciekle walczyć o zapewnienie należytego miejsca mniej wybijającym się paniom. Eleanor zawsze przyklaskiwała jej w duchu, gdy ta nalegała, by z należytą uwagą wysłuchać Phoebe Peck lub zasięgała opinii Dolly Cloomb. Dlatego też była wyraźnie rada, że dziś wieczór właśnie pani Storr sprawuje rządy. Zresztą Maddy nigdy otwarcie nie manifestowała swej kierowniczej roli.

- Musi pani zapytać o to panią Burrows. Ona zajmuje się jedzeniem - oświadczyła przewodnicząca, gdy Jane Bowman przybyła z pasztecikami i chciała wiedzieć, czy należy włożyć je do piecyka. - Ale to chyba za wcześnie, jak sądzisz, Eleanor?

Eleanor Browne poczuła, jak Maddy dokładnie odczytała jej myśli. Z ulgą stwierdziła też, iż nikt nie będzie zasięgał jej opinii w obecności pani Storr, która znakomicie potrafi wydać natychmiastowy osąd, ani też - w razie dysputy podobnej do tej, jaka wybuchła w kościele między paniami układającymi kwiaty - nikt nie zawezwie siostry pastora do rozstrzygnięcia sporu. Takt Maddy był wprost niezwykły.

Jane Bowman, która wróciła do swego samochodu po desery, przygotowane przez Molly Whitton, wróciła do kuchni z niepewną miną.

- O Boże, mam nadzieję, że się nadadzą. Biedna staruszka z tej Molly. Albo wzrok jej się popsuł, albo całkiem zniedołężniała. Z początku nie chciała mnie wpuścić i upierała się, że przyszedłam po pieniądze za mycie okien. „Nic nie mam, młodzieńcze - mówiła - musisz przyjść w przyszłym tygodniu”.

- Ojej - rzekła Maddy, spoglądając na desery. - Prosiłam ją, żeby się w tym roku nie trudziła, ale wiesz, jak to jest. „Ależ pani Storr, kochana, ja zawsze przyrządzam desery”

- tłumaczyła mi Molly. Nie możemy więc zrobić jej przykrości. Właściwie - uniosła po kolei każdą z trzech szklanych mis, by od spodu przyjrzeć się ich zawartości

- niczego im nie można zarzucić. Tylko galaretka, kawałki owoców, krem, bita śmietana i mnóstwo bakalii. Na szczęście tych deserów nie da się spaskudzić, ale na wszelki wypadek sama parę przygotowałam. Molly była tak nieprzytomna na zebraniu klubu w zeszłym tygodniu, że nie byłam pewna, czy będzie pamiętać. A przy okazji, wzięłaś obrusy pani Erskine?

- Tak. Derek zawiózł je do Kena Tustina.

- Przelecę się więc tylko i rzucę okiem na stoły. Maddy zdjęła kombinezon - odsłaniając komplet

składający się z czerwonej spódnicy - spodni oraz czerwonej bluzki - i korytarzem pomaszerowała do sali. Czerwony strój wybrała po głębokim namyśle. Do jego zalet należało to, iż nikt go jeszcze nie widział z wyjątkiem pań z Klubu Kobiet (a to nie je pragnęła olśnić

dzisiaj wieczór). Poza tym miała go już przedtem na sobie, będzie więc mogła spojrzeć Robertowi w oczy i przysiąc, że to stary ciuch, którego nie zauważył wcześniej wyłącznie z powodu swojej mężowskiej ślepoty.

- Hej, jak się macie - zawołała wesoło do męskich przedstawicieli siły roboczej, odpowiednio dostosowując sposób bycia do stroju, i od razu stała się ośrodkiem uwagi.

Przekomarzając się z nimi i podziwiając ustawienie stołów - dwa długie ramiona, a na końcu ramię ustawione do nich poprzecznie - obrzuciła spojrzeniem salę i natychmiast oczy jej zapłonęły na widok przeszkody.

- Roy, w tym roku twoje włosy wyglądają prześlicznie. Och, spójrzcie, Phoebe wplotła w nie parę papierowych maków. Wspaniale! Ale chyba powinny stać na środku sceny. Marnują się tam w kącie. Spróbujemy coś poprawić. - Wskoczyła na scenę jak lekkoatletka. - Czy ktoś mi pomoże?

Nim Ken Tustin zdążył wyjąć fajkę z ust, jego pracownicy ruszyli damie z pomocą. Nie po raz pierwszy przewodnicząca Klubu Kobiet podważyła decyzję prezesa rady parafialnej, który wcześniej upominał wszystkich: „Pamiętajcie, że musimy zostawić miejsce dla zespołu z Cottiswick. Któryś z tancerzy może się o to przewrócić. Oni zdrowo wywijają”.

Kiedy już zdobne makami włosy przesunięto, Maddy zeskoczyła i pobiegła, by ocenić efekt z końca sali.

- Tak już lepiej. Tu jest punkt centralny. Zgodzisz się, Ken? Nie chcemy zmarnować wspaniałego dzieła Roya i Phoebe. Chodźcie, chłopcy, nakryjemy stoły obrusami pani Erskine.

Za dwadzieścia siódma w Holly House odezwał się telefon. Dzwonił Derek Bowman. Miał zorganizować przewóz taksówką tych wszystkich, którzy byli słabego zdrowia lub niedołążni. Odwożąc Molly i Dana Whittona do sali zebrań dowiedział się, że pani Bull zrezygnowała z uczestnictwa w dzisiejszej kolacji z powodu chwilowej niemożności posługiwania się nogami, a także trudności przy wsiadaniu i wysiadaniu z samochodu. Od razu pomyślał więc o Nicku, właścicielu dużego, sfatygowanego volva, a zarazem sąsiedzie pani Bull.

Nick chętnie zgodził się ją podwieźć. Tessa, do której należało volvo, zaproponowała jednak, by mąż wziął swój własny, mały samochodzik.

- Kiedyś już miałam kłopoty z wciśnięciem jej do mojego. Jest zbyt wysoki. Powinna móc usiąść swobodnie.

Gdy Tessa przechodziła na drugą stronę jezdni, Nick wyprowadził samochód. Oboje podeszli do domu pani Bull i zastukali do drzwi. Tessa odgadła, że Clara spodziewała się ich, gdyż ubrana była w najlepszą suknię - znali ten strój z innych uroczystości - a jej płaszcz i torebka spoczywały w pobliżu na krześle.

- Mówiłam, że nie przyjdę - zaprotestowała. - Nie lubię sprawiać kłopotu.

Nick był nieugięty.

- Nonsens, Kopciuszkule, wkładaj palto, pójdiesz na bal - żartował.

- Och, pewnie jesteś moją dobrą wróżką.

- Jestem księciem z bajki, pani B. Przybądź więc w karecie zaprzęzonej w konie.

Pozwoliła, by pomógł jej włożyć palto. W drodze do drzwi zawahała się jednak, jakby usiłując coś sobie przypomnieć.

- Chodźmy - rzekł Nick, odgadując jej myśli. - Nie będzie pani potrzebna podpórka.

Te słowa rozbawiły Clarę do łez. Śmiała się jeszcze, gdy usadowili ją na tylnym siedzeniu.

- Zostawiam cię - oznajmiła Tessa. - Nie zgub się. Pomaszerowała ulicą do Jasmine Cottage. Mijając ją

Nick zatrąbił, a pani Bull pomachała jej przez tylne okno. Prawdopodobnie Robert oczekiwał jej, gdyż skoro tylko pojawiła się przy bramie, drzwi domu natychmiast się otworzyły.

- Nicka nie ma? - zawołał.

- Podwozi panią Bull.

- Rozumiem. Wejdz na chwilę, Tesso.

- Powinniśmy pójść, na wypadek gdyby Nick potrzebował pomocy przy wyciąganiu jej z auta.

- W pobliżu będzie mnóstwo ludzi - nalegał. Robert skierował się do saloniku. Poszła za nim, czując się trochę nieswojo.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Później będzie morze alkoholu.

- Myślisz o tych ohydnych sikaczach?
- Maddy powiada, że czerwone nie jest złe.
- Ach, Maddy - rzekł Robert z namysłem.

Tessa odwróciła wzrok. Pragnęła już iść, lecz nie wiedziała, jak go do tego nakłonić.

- Zauważyłaś, że ostatnio z Maddy coś się dzieje? Popatrzyła nań w oszołomieniu, myśląc, że jeśli on wie, to już kompletna tragedia.

- Nie - odparła stanowczo. - Nic nie zauważyłam. Teraz Robert odwrócił wzrok. Tessa pragnęła go rozbroić. Nie chciała, by poznał prawdę. Nie byłoby wskazane, żeby Robert przez jakąś gafę przyspieszył kryzys.

- Nie wiem, o co ci chodzi - rzekła beztrosko. - Dla mnie to ta sama stara Maddy.

- Nie wydaje ci się trochę podminowana? Spięta?

- Nie bardziej niż zwykle.

- Powinnaś ją widzieć w domu. Przez dwie minuty nie może usiedzieć spokojnie. Którejś nocy obudził mnie straszliwy łoskot. Maddy nie było w łóżku, więc zszedłem na dół i zobaczyłem, że wyrzuca wszystko z szafek w kuchni. O wpół do trzeciej nad ranem!

- Boże - powiedziała Tessa, nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wyjęła wszystko z szafek kuchennych. - To rzeczywiście pewna przesada. Ale powiem ci coś, Robercie - dodała powoli, czując, że nie ma już nic do stracenia i postanawiając wprowadzić go w błąd. - Wiem, jak jest jej przykro z powodu wydatków, których narobiła. Powiedziała mi, że ograniczyłeś jej pieniądze na życie. Może stara się być nadzwyczajna, żeby to jakoś zrekompensować. Przecież nie daje rady wysprzątać szafek w normalnych godzinach. Za dużo ma na głowie.

- Tak uważasz? Naprawdę ma podłe samopoczucie?

- Dołuje - odparła Tessa, na tyle dając się ponieść fantazji, by użyć określenia ze słownictwa swego syna.

- Zdumiewasz mnie. Chociaż, jak się zastanowić, rzeczywiście czuła się dość nieswojo z powodu swego dzisiejszego stroju. Przysięgała, że nie jest nowy.

- A widzisz? Chodź. Pora, żebyśmy już poszli. - Zbliżyła się do drzwi.

Robert podążył za nią, głośno myśląc.

- Sądzę, że Maddy dokucza brak stałego zajęcia. Wciąż opowiada, jaka się czuje bezużyteczna i że powinna iść do pracy. Nie chcę, żeby poszła do pracy. Nie po tym wszystkim, co przeżyła na ostatniej posadzie. Przeszła załamanie nerwowe nim tu przyjechaliśmy.

- Tak, opowiadała mi o tym - rzekła Tessa, czekając, aż mąż Maddy zamknie frontowe drzwi.

- Praktycznie zarządzała całym interesem. Była wspaniała, Tesso.
- Oczy błyszczały mu w świetle lampy. - A potem ten młody głupiec... Do diabła, wyobrażałem sobie, jak wpadam tam i rozkwazam mu nos. Kiedyś doszedłem nawet do parkingu przed biurem.

- Chciałeś mu dołożyć? - Myślała intensywnie, nie będąc w stanie się ruszyć. Stała wpatrując się w niego.

- Właśnie. Ale wyszedł w towarzystwie paru kobiet i wsiadł do samochodu. Gong go uratował.

- Musisz ją bardzo kochać.

- No, oczywiście. - Wydawał się zdziwiony. - Idziesz? W milczeniu poszła za nim. Pod wpływem Roberta inaczej spojrzała na całą sytuację. Odczuła lęk o swego zbłąkanego męża. Przy bramie Robert podał jej ramię, lecz, zamiast je ująć, objęła go w talii jak dobra kumpelka. On zaś położył jej rękę na ramionach i tak przebiegli przez drogę, ku światłom i zgiełkowi domu ludowego.

Rozdział 14

Procedura wyglądała następująco: bilet uprawniający do wejścia na salę okazywano przy barze, tuż koło głównych drzwi, po czym gość bezpłatnie otrzymywał kieliszek wina (do wyboru było czerwone, białe, półwytrawne bądź wytrawne). Dalsze kieliszki i pełne butelki należało kupić. W wyniku tego przestrzeń między barem a stolikami wypełniona była co do centymetra wesołymi pijaczkami, wychylającymi bezpłatne napitki, co traktowali jako skromny początek. Wielu bowiem mężczyzn ścisnęło już w rękach zakupione butelki. Jednak przy stołach, gdzie wciąż stały zupełnie nietknięte kieliszki, zasiedli goście, którzy musieli być oszczędni - starsi oraz biedniejsi. Dla nich kieliszek wina stanowił ucztę. Tu zajęli miejsce Rose Fettle, Dolly Cloomb oraz Anne Seymore w towarzystwie Molly i Dana Whittonów. Davey Partridge, współprzewodniczący zespołu dzwonników, a zarazem ogrodnik z Rochford Estate, który nadal jeszcze pracował po parę godzin w ogrodach Wychwood, podszedł z kieliszkiem wina i usiadł obok Dana Whittona.

- Jak się masz, Dan - rzekł Davey.

- O, to ty Davey - odparł Dan.

Obaj starali się taktownie nie dostrzegać nawzajem swego dziwnego wyglądu. Siedzieli rozpromienieni w tych ich rzadko noszonych najlepszych ubraniach, krępujących ruchy, i z rozbawieniem przypatrywali się kieliszkom do wina o smukłych nóżkach, bez wątpienia pragnąc, by były to kufle piwa. Nieopodal Nick pomagał usadowić się pani Bull. Starszy mężczyzna o nobliwym wyglądzie podszedł i usiadł obok Annie Seymore. Był to emerytowany lekarz, doktor Erskine. Gotowość państwa Erskine do wzięcia udziału w podobnych imprezach i dołączenia do pomniejszych śmiertelników zawsze podziwiano w Wychwood. Często wspominali ją ludzie, pragnący zdyskredytować Dwór. Erskiniowie mieszkali w dawnym budynku gospodarczym w Home Farm na Old Street. Ich siedzibę powszechnie uznawano za najmilszy dom w wiosce. Podczas gdy doktor prawił staroświeckie komplementy siedzącym wkoło damom, pani Erskine stała gawędząc ze starszą panią Peck oraz jej dwiema synowymi, Rachael i Phoebe. Phoebe nie brała udziału w rozmowie, stała tylko z boku, mając wciąż uśmiech na twarzy. Czasami rozglądała się dookoła, uśmiechając się jeszcze szerzej. Tessa zaś - która obserwowała ją sącząc wino -

spostrzegła, że uśmiech Phoebe był nie tyle uprzejmością towarzyską, co odbiciem wewnętrznego podniecenia. Jej oczy były najjaśniej błyszczącymi punktami na sali.

- Jak się masz, Phoebe - zagadnęła Tessa, podchodząc do niej. - Wyglądasz wspaniale - rzekła zgodnie z prawdą.

Prosta ciemna spódnica i kremowa jedwabna bluzka mocno podkreślały ogorzałą cerę Phoebe, co w pierwszej chwili wyglądało dość niepokojąca, lecz niebawem zaczynało wywierać jak najbardziej korzystne wrażenie.

- Kapitalne, prawda? - spytała, wskazując na swój strój. - Poszliśmy z Maddy po zakupy. Wypatrzyła to u Dickinsa i Jonesa.

- Co ty powiesz, naprawdę? - rzekła Tessa, mając nadzieję, że w wyniku tej eskapady finanse Phoebe nie znalazły się w katastrofalnym stanie. - Chyba sporo zapłaciłaś.

- No, trochę. Ale Roy chciał, żebym kupiła coś szykownego.

- I spodobało mu się?

- O, taak - odparła Phoebe. - Czytam dzisiaj mój wiersz.

- Wiem. Bardzo się cieszę.

- Ja też. Dzięki temu moje wiersze zaczynają istnieć naprawdę - właśnie wtedy, gdy się je przeczyta ludziom.

- Z pewnością.

- Powiedziałaś go Maddy, gdy wróciłyśmy z zakupów. Chciała, żebym to sobie przećwiczyła.

- I co o nim sądzi?

- Uważa, iż jest dobry z wyjątkiem fragmentu mówiącego o tym, jak pies dopada królika. Obiecałam go opuścić, zważywszy że ludzie będą świeżo po kolacji.

- Bardzo rozsądnie. Nie masz nic do picia, Phoebe?

- Mam. - Skinęła głową w kierunku samotnej szklanki soku pomarańczowego, pozostawionej na stole. - Nie mogę pić wina, bo biorę proszki. - Powiedziała to bez zażenowania. - Och, czyż Maddy nie wygląda ślicznie?

Tessa odwróciła się. Maddy opuszczała właśnie jedną grupkę gości - z wyciągniętą jeszcze ku nim ręką, chcąc okazać, z jaką niechęcią to czyni - by gładko i radośnie zagadnąć następną. Jest w swoim żywiole, myślała Tessa, ustawiając nas wszystkich, zachęcając, upewniając się, że wszyscy zachowujemy się tak, jak sobie

zaplanowała i przy tym świetnie się bawimy, spełniając jej oczekiwania.

Maddy - rozglądając się po sali, by oszacować, jak szybko się wypełnia - pochwyciła spojrzenie Tessy i pomachała do niej. Zahamowanie, które odczuła na krótko dziś po południu, minęło całkowicie. Nigdy dotąd nie żywiła większego przekonania, że poradzi sobie absolutnie ze wszystkim.

Rose Fettle również utkwiła spojrzenie w Maddy. Łokciem trąciła Dolly w żebro.

- Popatrz na nią. Puszy się, jakby to była wyłącznie jej robota, jakby to ona fundowała. A przecież wszyscy płacimy niezłą forszę. Ma tupet!

- Jak przyjdzie nasza kolej na Boże Narodzenie, ludzie nie będą płacić - rzekła Dolly.

- Jasne, kochana. Na tym właśnie polega przyjęcie.

- Próbowalaś już wina?

- Jeszcze nie, Dol - warknęła Rose, odgadując, co kryje się za tym niewinnym pytaniem. - Jeśli teraz wypijesz, nic nie będziesz miała do kolacji. Chciałabym, żeby się już ruszyli. Brzuch mi przyrósł do krzyża.

Jak na życzenie, zaróżowiona z gorąca pani Burrows otworzyła okienko między salą a kuchnią i wysunęła głowę, by pochwycić spojrzenie Maddy. Przewodnicząca przerwała rozmowę i poszła szepnąć coś na ucho Kenowi Tustinowi.

- Panie i panowie - zawołał pan Tustin, uderzając łyżką w stół - uprzejmie proszę o zajęcie miejsc. - A gdy wreszcie ucichło szuranie krzesel, dodał: - Księżę proboszczu, prosimy bardzo.

Proboszcz zamknął oczy i zwrócił twarz ku górze. Zapadła cisza i wszyscy pochylili głowy, z wyjątkiem Maddy, która skorzystała z okazji, by sprawdzić liczbę gości.

- Szczodroblivy Panie, dziękujemy Ci za Twe hojne dary: dobre jedzenie, naszą szczerą przyjaźń i Twą nieustającą ku nam miłość. Amen.

- Amen - zawtórowali z radością.

- Czy mogę? - cicho spytała Maddy zwracając się do Kena Tustina, który skinął głową zgadzając się, by wytłumaczyła gościom, jak wydawane będą potrawy.

Jego zgoda nie miała i tak większego znaczenia, zważywszy że zupełnie się w tym wszystkim nie orientował. Maddy wstała i wyjaśniła, co przewidziano w menu: pieczony udziec wieprzowy z ananasmem i zestaw warzyw oraz łazanki dla wegetarianów. Poprosiła, by na dany sygnał grupowo podchodzić do okienka. Jeśli ktoś nie chce stać w kolejce, obsługujący gości pomocnicy zanoszą mu talerz. Wszystko poszło więc gładko pod delikatnym i żartobliwym nadzorem Maddy. Nikt nie ruszył się, nim nie nadeszła jego kolej. Potrzeby zaspokojono w miarę szybko.

Nick obchodził stoliki z jedną z kupionych przez siebie butelek, napełniając kieliszki pań, które przyszły bez męskiego towarzystwa. Dolly ujrzała go i szybciotko wychyliła swój kieliszek.

- To bardzo miło z pana strony, panie Brierley - rzekła z udaną skromnością.

- Dziękuję uprzejmie - powiedziała Rose. Patrzyła, jak napełnia się jej na pół opróżniony kieliszek, po czym pochyliła się ku Dolly i rzekła cicho: - Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz.

Dolly zajęła się kolacją z wyrazem świętej niewinności na twarzy.

Kiedy już większość noży i widelców spoczęła w spokoju, a do stolików ruszył zespół zbierający talerze, Maddy objęła nadzór nad kolejką po desery. Do wyboru były delicje sporządzone przez Molly Whitton i placek owocowy pani Frogmorton. Delicje cieszyły się większym powodzeniem. Do stolików niesiono wiele talerzy napełnionych trzęsącą się masą. Pani Frogmorton też zasiadła do takiej porcji (wybranie upieczonego przez siebie placeka byłoby bardzo nietaktowne, niemal tak samo, jak zgłoszenie własnej kandydatury do Klubu Kobiet), lecz niebawem odłożyła łyżkę i chwyciła się za gardło. Obróciwszy się na krześle, złapała za rękę Maddy, przechodzącą właśnie obok z talerzem delicji.

- Nie jedz tego - syknęła.

Maddy ze spokojem nadstawiła ucha.

- Wygląda jak brzoskwinia, ale to... marchewka - wyszeptała pani Frogmorton, nieomal dławiąc się tym słowem.

- To nie galaretka owocowa, ale galareta z jarzyn.

- O Boże - rzekła Maddy, rzucając spojrzenie Molly Whitton, która w spokoju ducha wciniała owocowy placek pani Frogmorton (kierując się w swym wyborze podobną zasadą). - Pewnie otworzyła niewłaściwą puszkę. Dajcie to tutaj - rzekła dyskretnie i szybko

zgarnęła talerze z powrotem do kuchni. - Jane, wyrzuć szybciotko galaretkę Molly i wyciągnij moją. Tę z wiśniami na wierzchu.

- Pośpiesznie wyskrobała zawartość talerzy do otwartej czarnej torby na śmieci, nałożyła masę deserową własnej roboty dla pani Frogmorton i powróciła na salę. - To będzie dobre. Sama robiłam - wymamrotała stawiając talerzyk. Po czym, demonstrując pogodny uśmiech, by uprzedzić wybuch hysterii, rozpoczęła inspekcję stolików. Gości przetykających kawałki warzyw z oznakami zadowolenia pozostawiła w spokoju, lecz jeśli tylko na czyjejs twarzy pojawiał się wyraz konsternacji, porywała talerz, obiecując, iż wróci za minutkę i błyskawicznie pojawiała się znowu z promiennym uśmiechem, sprawiając wrażenie, że przynosi dokładkę. W ten sposób straty ograniczono do minimum. Pocieszała się, że jeśli nawet ktoś narobi zamieszania, oczywista ślepotą Molly uchroni ją przed przykrym odkryciem.

Pod koniec posiłku proboszcz zawezwał panią Peck do wygłoszenia podziękowania. Maddy nie dołączyła do rzędu innych pań, skromnie przyjmujących wyrazy wdzięczności, lecz stanęła samotnie przy końcu stołów, z przodu sceny. Z tego miejsca mogła dawać przykład.

Phoebe wstała, podziękowała niezmordowanym pomocnikom, po czym zapowiedziała wiersz, napisany specjalnie na tę okazję. W tym momencie Maddy przebiegła po sali wzrokiem wyrażającym zadowolenie, a następnie spojrzała na Phoebe z zainteresowaniem i uwagą. Wiersz rozpoczynał się dobrze, lecz druga zwrotka groziła pewnym niebezpieczeństwem. Gdy poetka opisywała, jak siedząc okrakiem na koniu czuje jego pofałdowane mięśnie i rwącą siłę, Martin Smith z The Glebe, zakrywszy dłonią usta, powiedział coś do sąsiada, po czym obaj zachichotali. Szczęściem żona Martina kopnęła go, a żona jego sąsiada rzuciła nań mordercze spojrzenie. Wkrótce zresztą temat wiersza nabrał bardziej uniwersalnych wymiarów. Amazonka dojechała do pola, z którego sprzątało zboże, i przyglądała się pracy żniwiarzy.

Słuchacze hojnie nagrodzili wiersz brawami. Phoebe wróciła na miejsce nie posiadając się z radości. Jej małżonek, Roy, z dumą kłaniał się sąsiadom, a nawet stary Sam Peck, który, jak wieść głosi, wypowiadał ostre słowa pod adresem synowej, znalazłszy się w centrum uwagi mrugał oczyma i być może skorygował swą opinię.

Po uprzątnięciu ze stołów i napełnieniu kieliszków, Ken Tustin krzyknął gdzieś w głąb korytarza: „Gotowe!” i do sali wbiegli w podskokach „Śpiewacy z Cottiswick”. Byli wśród nich starzy i młodzi - mężczyźni w szerokich koszulach i prążkowanych, wiązanych w pasie spodniach, kobiety w chustkach i sutych spódnicach z dopasowanymi bolerkami. Przewodniczył im tłusty wodzirej, cały zaś pochód zamykali akordeonista i skrzypek.

- Zieleni się sitowie - zaśpiewali, zachęcając publiczność, by im wtórowała.

Przy dźwiękach pieśni wodzirej ukazał oczom zebranych ni mniej, ni więcej tylko... nocnik, który przedtem napełnił jabłecznikiem z pękatej flaszki. Całość oddał w ręce Glorii Hennage, pomógł jej wychylić nieco zawartości, a następnie przekazać naczynie sąsiadce. Krążący między stolikami nocnik wywoływał jęki przerażenia i wybuchy wesołości. Wielu lekko podochoconych gości, którzy wypili kieliszek lub dwa, po pociągnięciu z niego uczuło nagle, że ululali się na całego. Hałaśliwe oznaki radości dały się słyszeć zwłaszcza w pobliżu pani Bull. Niektórzy goście, jak na przykład Erskine'owie, z ostentacyjną brawurą posłusznie sączyli napój, przekazując naczynie dalej, lecz Eleanor Browne trzymała ręce na kolanach i wytrwale odmawiała wszelkim prośbom. Było coś w wyrazie jej twarzy - w minie nadzwyczaj dobrze ułożonego dziecka, które przypadkowo trafiło między wygłupiających się dorosłych - co powstrzymało zarówno jej sąsiada (pana Burrowsa), jak i tryskającego energią wodzireja od namawiania jej. Proboszcz schylił głowę, by oszczędzić panu Burrows widoku swego zażenowania, i choć sam powstrzymał się od skosztowania napitku, uroczyście przekazał „puchar” pani Frogmorton, słusznie zakładając, że stanie ona na wysokości zadania.

- Kto ich zaangażował? spytała Tessa Dereka Bowmana, siedzącego po jej lewej stronie, wskazując na członków zespołu.

- My, to jest komitet sali zebrań. Cud, że nam się udało. Są rozrywani.

Przed rozpoczęciem zabawy wodzirej wywiedziało się dyskretnie, z jakiej pary gości najłatwiej będzie sobie pożartować. Wybór padł na pana Tustina i panią Burrows. Teraz właśnie przysadzistą panią Burrows wyciągnięto na scenę i posadzono wodzirejowi na kolanach, on zaś odśpiewał serenadę i udawał, że zaleca się do swej damy. Śmiech, jaki wywołali, nie był pozbawiony złośliwości, gdyż pani

Burrows znana była jako osoba lubiąca zadzierać nosa. Mimo to weszła w nastrój zabawy z nieoczekiwaną werwą, wzbudzając powszechną wesołość. Potem przyszła kolej na pana Tustina. Podstępem wywabiono go od stolika i zmuszono do wystąpienia w roli niekompletnie odzianego żołnierza z piosenki „Żołnierzu, żołnierzu, czy mnie poślubisz?” Pod koniec każdej zwrotki wręczano mu kolejną część garderoby, którą musiał na siebie włożyć. Starsze panie dostawały ataków śmiechu na widok pana Tustina w obszernych kalesonach i okrągłym kapeluszu, inne zaś, jak Tessa, miały uciechę z widoku śmiejących się. Maddy pochwyciła spojrzenie przyjaciółki i mrugnęła do niej porozumiewawczo. Rozpoczął się koncert życzeń. Poproszono o zaśpiewanie „Jesionowego lasku” i „Irlandzkiej piosenki”. Wkrótce artyści i publiczność, o władnięci wspólnym duchem zabawy, śpiewali zgodnie na cały głos.

W końcu śpiewy dobiegły końca i ludzie podnieśli się z miejsc. Z wolna rozchodzili się do domów. Derek Bowman zaczął organizować powrotne kursy taksówką. Nick podźwignął panią Bull.

- Zabieram panią do domu. Ale ze mnie szczęściarz, co? - zażartował.

Tessa przyniosła płaszcz pani Bull, w który ją nie bez trudu wcisnęli. Staruszka zeszywniała od tak długiego siedzenia, wypła też kilka kieliszków Nickowego białego wina i schodząc ze stopnia zachwiała się niebezpiecznie. Nick schwycił ją i mocno przycisnął.

- Ta mała piła dziś... - zaśpiewał, uszczypnąwszy leciutko jej obwisłe podgardle nad gorsetem, aż zapiszczała.

Tessa uśmiechnęła się do Maddy, która dołączyła do nich w drzwiach.

- Robercie - rzekła Maddy - pojedź z Nickiem. Jestem pewna, że pani Bull bez kłopotu wsiądzie do samochodu, ale żeby ją stamtąd wyciągnąć, będzie potrzeba dwóch mężczyzn.

Z niejaką obawą - brakowało mu bowiem swobody Nicka w obcowaniu z płcią piękną - Robert zrobił to, o co go proszono.

Po uprzątnięciu stołów ludzie Kena Tustina zaczęli je składać i chować pod estradę. W kuchni ci sami ochotnicy, którzy ciężko pracowali, by przygotować kolację, teraz po niej zmywali. Eleanor Browne miała oczy rozwarte szeroko jak lunatyczka. Tessa, która została do pomocy, nie pozwoliła jej nawet podnieść ściereczki.

- Idź do domu, Eleanor. Cały dzień byłaś na nogach. Eleanor zawahała się.

- Czy to będzie okropne z mojej strony, jeśli pójdę? Właściwie chciałabym dopilnować, żeby Timothy wcześniej poszedł spać. Jutro czeka go ciężki dzień.

- Właśnie. Poproszę Nicka, by cię odwiózł, jak tylko wróci od pani Bull.

- Nie ma mowy. To tylko parę kroków.

W tym momencie do kuchni zajrzał proboszcz, lecz nie odważył się zapuścić zbyt daleko. Był zbyt starym wygą, by ryzykować zbliżenie się do kobiet zanurzających ręce po łokcie w gorącej wodzie albo energicznie dzierżących ścierki. Nigdy nie wiadomo, jak mroczne sprawy kryją się pod pokrywką tej niewinnej krzątaczki. W przeszłości dość często pakował się do kuchni probostwa z zamiarem pomocy, za co bywał nagradzany zapadającym natychmiast milczeniem i napiętą atmosferą. Toteż gdy Eleanor dyplomatycznie proponowała mu, by sprawdził, jak się rzeczy mają w saloniku bądź w zakrystii, chylił czoło przed jej kompetentną oceną sytuacji i z głęboką wdzięcznością wycofywał się.

- O, jesteś tu, Eleanor... - zaczął niepewnie.

- Już idę, Timothy. Dobranoc wszystkim. Mam nadzieję, że zobaczymy się jutro - dodała, napomykając o religijnej stronie święta.

Podążyli korytarzem i przez boczne drzwi wyszli na powietrze, w głębi ducha dziękując Bogu za uwolnienie w porę.

- Są cudowni - rzekła Sarah Grace. - Jak myślicie, ile mają lat?

- Koło siedemdziesiątki. Jestem tego pewna - rzekła pani Burrows. - Proboszcz może mieć siedemdziesiąt dwa, trzy, a jego siostra jest parę lat starsza. Zgadza się, Tesso?

Zanim Tessa zdążyła odpowiedzieć, odezwała się Maddy Storr.

- Nieważne, ile ludzie mają lat, ale jak się trzymają. Nikt się żywiej nie interesuje sprawami wioski niż proboszcz.

- Oczywiście. Młodszy od niego nie mają już dziś takiego wigoru.

- Ależ Edno, wiek nie ma tu naprawdę nic do rzeczy - przekonywała uparcie Maddy. - Uważam, że niesłusznie wywiera się nacisk na pastorów, by przechodzili na emeryturę w wieku siedemdziesięciu lat. Chyba nie należy się z tym aż tak śpieszyć, prawda?

Niezwłocznie przyznano jej rację.

- A więc może mniej mówmy o tym, jacy są cudowni. Nieostrożne słowa mogą czasem kosztować życie.

Tessa uśmiechnęła się sama do siebie. Maddy jest taka roztropna. Zawsze umie wszystko powiązać i przewidzieć konsekwencje, potrafi postępować rozważnie z tymi, którym brakuje jej przenikliwości. „Czy zdajesz sobie sprawę - powiedziała do Tessy pewnego ranka, kołysząc się na kuchennym, bujanym krześle w Holly House, po jakimś zebraniu rady parafialnej - że wielebny Timothy jest ostatnim beneficjentem mieszkającym na Probostwie? O tak, gdy Browne'owie odejdą, kościół je sprzeda. Stanie się „Starym Probostwem” jak Probostwo w Steeple Cheney, a jakiś rekin biznesu albo londyński makler kupią je i zmienią nie do poznania. Podobnie uczynili Eltonowie z Probostwem w Steeple Cheney. Właściwie Eltonom niczego nie można zarzucić - pozwalają chociażby Towarzystwu Ogrodniczemu na używanie ich ogrodu - ale nie zastąpią proboszcza. Jeśli zaś Kościół otrzyma pozwolenie na budowę, Probostwo stanie się kolejnym The Glebe. Na tym terenie można zbudować tuzin eleganckich willi albo dwadzieścia domków dla młodych małżeństw. Przeżywamy teraz złote dni, Tesso. Wspomnisz moje słowa. Powinniśmy bardziej troszczyć się o Browne'ów”.

Pani Burrows najwyraźniej poczuła się niesłusznie skarcona.

- Ależ ja wcale nie chciałam... powiedziałam tylko...

Jej głos zdradzał rozdrażnienie. Teresa spostrzegła, że pani Burrows była przemęczona i być może, po zalotach wodzireja „Śpiewaków z Cottiswick”, wyczerpana nerwowo. Twarz miała nabrzmiałą. Perłoworóżowy makijaż dawno już spłynął z jej policzków i osiadł w zmarszczkach wokół nosa i wydatnej brody.

- Zasłużyła pani na porządny odpoczynek - rzekła Tessa. - Przecież przygotowała pani fantastyczną kolację na tyle osób, a jeszcze po południu udekorowała pani ambonę. Nie wiem, doprawdy, jak pani to robi.

Pani Burrows - już nieco udobruchana - przyznała, że jest wykończona. Tessa poszła zatem do głównego holu poszukać jej męża.

- Pańska żona zrobiła o niebo więcej, niż musiała. Niech ją pan zabierze do domu i poczęstuje filiżanką kakao.

Państwo Burrows opuścili dom ludowy z uczuciami pokrewnymi tym, jakich przed nimi doznawali Browne'owie i przeszli parę kroków do Old School House, który znajdował się tuż obok.

Ken Tustin, Malcolm Joiner i Peter Dyte weszli do kuchni, by zameldować, że w głównym holu wszystko jest już w jak najlepszym porządku. Derek Bowman zgodził się zostać i pozamykać drzwi, toteż pan Tustin z ulgą wyszedł. Nick i Robert wrócili, by pomóc w zmywaniu i układaniu naczyń. Maddy, usiłując pobudzić wszystkich do czynu, oznajmiła:

- Jak skończymy, zapraszam do nas na kawę.

Tessa, która właśnie wręczała ścierkę Robertowi, zauważyła jego zrezygowany wyraz twarzy i parsknęła śmiechem. Robert też się roześmiał.

- Co was tak rozbawiło? - spytał Nick.

- Och, nic takiego - odparła Tessa.

- W takim razie, kochanie - powiedział Robert zwracając się do żony - może dobrze byłoby, gdybym poszedł do domu i nastawił czajnik.

Maddy łaskawie wyraziła zgodę.

Wreszcie wszystko zostało zrobione i mogli rozejść się do domów. Tessa czekała na zewnątrz, aż Derek Bowman zamknie drzwi. Tymczasem pozostali - Nick i Maddy, Sarah i Richard Grace, Jane Bowman, Dyte'owie i Joinerowie - przechodzili już na drugą stronę do Jasmine Cottage, który był oświetlony jak przycumowany statek; w porównaniu z nim latarnia uliczna rzucała słaby blask. W głębi ulicy, poza zasięgiem lampy, kryły się cieniste kształty domów i willi: czarne, przyczajone, wyczekujące. Derek wepchnął klucze do kieszeni i w ślad za innymi przeszedł na drugą stronę jezdni.

Dźwięki „Glorii” Vivaldiego rozbrzmiewały cichutko z adapteru ustawionego w salonie, gdzie Robert oczekiwał już ich z przygotowaną przez siebie kawą. Wyciągnęli się wygodnie na kanapach i dywanie, zrzuciwszy przedtem buty. Spoglądając w górę dostrzegli odsłonięte krokwie dachu. Widok surowych, kamiennych ścian, niezmierna wysokość pokoju i pełna prostoty muzyka z lekka ożywiła Tessę. Czowała, że jej zdolność postrzegania jest większa niż zwykle. Spostrzegła, iż Maddy w ogóle nie zauważa Nicka, on zaś obsesyjnie wodzi za nią oczyma. Było to po prostu śmieszne. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Tessa złękła się - Robert może coś

zauważyć. Jednakże mąż Maddy udawał tylko, że interesuje się gośćmi. W rzeczywistości o niczym innym nie myślał i nic nie słyszał prócz muzyki. Czy Maddy wie, jak intensywnie jest obserwowana? Czy ją to niepokoi? Tak. Paznokciami wpiła się w dywan niczym jastrząb szponami w ciało swej ofiary. Udawała odprężenie - odwrócona plecami do Tessy i wsparta na łokciu obok nietkniętej filiżanki kawy - lecz Tessa widziała, że to tylko poza. „Gdybym wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia...” - pomyślała leniwie. I, jak we śnie, uczyniła to. Nie myliła się. Maddy zerwała się z dywanu jak oparzona, podrzucając w górę filiżankę z kawą.

- Przepraszam, przepraszam. O Boże, tak mi przykro - lamentowała, gdy tymczasem mężczyźni biegali wokół niej ze ścierkami i wodą, by nie dopuścić do utworzenia się plam.

Tessa nie była w stanie się poruszyć. Siedziała mrugając oczyma, wstrząśnięta myślą, że zachowała się jak nieczuły bachor, który złapawszy robaka kłuje go, by zobaczyć, jak ten skacze.

- Nic się nie stało - rzekła Maddy, gdy nagłe zamieszanie już ucichło.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że jeśli zaraz nie pójde do domu, zasnę na tej wygodnej kanapie.

- Ależ proszę bardzo.

- Nie, nie. Chodź, Nick. Wracajmy.

Część druga
LISTOPAD

Rozdział 15

Maddy włożyła do koszyka przeznaczone dla majora Westbrooka notatki z ostatniego zebrania rady parafialnej i wyszła z domu. W wilgotnym listopadowym powietrzu unosiła się woń prochu, pozostała po odbywających się zeszłej nocy zabawach, upamiętniających Guya Fawkesa. Ten niemiłosierny zapach wzmagał ponury nastrój Maddy, kroczącej ogrodową ścieżką przez bramę i dalej ulicą aż do wyrębu, gdzie miała zaparkowany samochód. Cały wczorajszy dzień czuła się podle. Pracowała z szaleńczą energią - wysprzątała szopę w ogrodzie, wyniosła wory śmieci na wysypisko, zaszła do Kena Tustina, by omówić przygotowania do bożonarodzeniowego kiermaszu, zajrzała do Annie Seymore, by zapytać o zdrowie i pomoc jej odwrócić puchowy materac (czego Annie od czasu operacji nie była w stanie wykonać samodzielnie), przygotowała jedną z ulubionych potraw Roberta i pośpieszyła na zebranie rady parafialnej. W każdą z powyższych czynności wkładała całą duszę, lecz żadna z nich nie utkwiała jej tak żywo w pamięci, jak bląkające się po głowie wspomnienie dzisiejszego poranka, kiedy to umknęła przed Tessą. Myśl o tym zgasła wszystkie barwy dnia, jeszcze zanim dobiegł on końca, a każde osiągnięcie wydawało się drugorzędne.

Stwierdziwszy po wczorajszym śniadaniu, że w zapasach kuchennych występują pewne braki, wybrała się do sklepu. Przechodząc koło Błoni, ujrzała na przeciwległym rogu Tessę, gawędzącą z panią Bull. Tessa miała w ręce portmonetkę i najwyraźniej również szła do sklepu. Maddy błyskawicznie skręciła w Peck's Lane i niemalże kłusem pobiegła do domu. Znalazłszy się z powrotem w kuchni stała wpatrując się w ogród, odtwarzając w pamięci całą tę scenę i lękając się, że Teresa ją zobaczyła. Raz po raz zadawała sobie pytanie, dlaczego to zrobiła. Odpowiedź była przeraźliwie oczywista, ale też jeszcze bardziej niepokojąca niż całe zdarzenie. Jej wzrok padł na szopę w ogrodzie i - wyobrażając sobie panujący w środku brud i bałagan - postanowiła niezwłocznie ją uporządkować. Ta straszna robota będzie odpowiednią karą. Być może też pozwoli jej oderwać myśli od Tessy.

Niestety żadne z podejmowanych przez nią działań nie przyniosło jej zapomnienia. Piąty listopada pozostał ponurym dniem, a jego beznadziejność osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy Maddy - na polecenie rady parafialnej - udała się do majora Westbrooka. Miała

mu dostarczyć sprawozdanie z zebrania, w którym nie mógł uczestniczyć.

Ponieważ nienawidziła odwiedzin we Dworze, zdecydowała, że lepiej będzie tam pojechać niż pójść. Wyobrażała sobie, jak przebiega parę kroków do biura majora i natychmiast wraca do samochodu. Niestety, wizyta nie przebiegła zgodnie z planem.

Maddy przejechała szybko ulicą Kościelną (patrzac prosto przed siebie i starannie unikając widoku domów po obu stronach, a zwłaszcza Holly House), po czym skręciła w lewo w Manor Road i natychmiast w podjazd do Dworu. Samochód zazgrzytał na żużlu. Zatrzymała się tuż obok drzwi biura majora Westbrooka, wyjęła notatki z koszyka i wysiadła. Nie zdążyła przejść nawet paru kroków, gdy zatrzymało ją nagle, oszalałe szczekanie. Trzy psy myśliwskie o złotawej sierści wypadły gdzieś z pobliża stajni, demonstrując nieprzejednaną wrogość. Pies pędzący na czele doskoczył do niej. Zdołała umknąć za maskę samochodu, mimowolnie prowokując agresję zwierząt.

Z rękami w kieszeniach bryczesów i z papierosem w ustach pojawiła się skądś Celia.

- Spokój! - wykrzyknęła gardłowym głosem. Psy cofnęły się i ujadły już nieco mniej zajadle. - Powiedziałam, spokój! - ryknęła Celia. - Poszły precz!

Psy odbiegły, skomląc żałośnie. Maddy zrobiło się słabo. Przez moment - nim Celia podeszła bliżej, przyglądając się jej spokojnie i paląc wciąż papierosa - nie mogła przemówić słowa.

- Wie pani, one są całkiem nieszkodliwe - rzekła Celia z politowaniem.

- Mogę tylko powiedzieć - zdołała wykrztusić drżącym głosem Maddy - że mają fatalne maniery.

- To psy. Jeśli wyczują czyjś strach, zaczynają się denerwować.

- Mam głęboką nadzieję, pani Westbrook, że kiedy następnym razem będzie pani konno przejeżdżać koło mojego samochodu, postaram się zostawić pani dużo miejsca. Nie będę tak nieuprzejma, by podjechać blisko i wystraszyć konia. Względy dla bliźnich czynią życie przyjemniejszym, nie uważa pani?

Celia wyjęła papierosa z ust i strzepnęła go dokładnie (co było czynnością i tak zbędną, gdyż słupek popiołu osypał się już na jej zakiet). Oczy jej ciskały błyskawice. Po jakimś czasie zdała sobie

sprawę - nie była bowiem zbyt bystra - że z niej zakpiono. A Celia nie znosiła, jak z niej drwiono. Postanowiła więc dać Maddy nauczkę. Przebiegała myślą wszystkie, niejednokrotnie wypróbowane, sposoby na przywołanie do porządku zarozumiałców. Zdecydowała, że krótki pokaz dworskich wspaniałości powinien załatwić sprawę.

- Podobno ma pani zacięcie artystyczne - powiedziała ni stąd, ni zowąd. - Eleanor Browne chwaliła pani umiejętność układania kwiatów i tym podobne. Może wejdzie pani do środka i obejrzy moje nowe obrazy?

Cisnęła papierosa na żużel, przysypała go i pewnym krokiem ruszyła ku domowi.

Po chwili wahania Maddy podążyła za nią, oszołomiona do reszty.

Celia poprowadziła ją przez wykładane dębową boazerią pokoje, wypełnione mglistym światłem, wpadającym przez gotyckie okna. Od czasu do czasu wskazywała nonszalancko na tureckie dywany i stare gobeliny. Wyrzekała jedynie na rzeźbioną balustradę, skarżąc się, iż potwornie się kurzy. Wyjaśniła, że „obrazy”, które Maddy zaraz obejrzy, mają ożywić korytarz, prowadzący do nowo zbudowanej cieplarni.

- To tutaj - obwieściła Celia.

Otworzyła drzwi do przestronnego, widnego pasażu. Na ścianach pomalowanych na kremowo wisiało kilka obrazów, którym właściwie nic nie można było zarzucić. Były bez skazy.

- Co pani o nich sądzi? Są straszliwie drogie, ale bezwzględnie poprawne. Spece od botaniki ocenili je bardzo wysoko.

Maddy uczuła, jak serce w niej zamarło. Widywała już wielokrotnie obrazy wiernie przedstawiające rośliny. Niezmiennie wprawiały ją one w stan przygnębienia. Teraz też, spoglądając na tulipana, zastanawiała się, dlaczego tak dokładna kopia żywej natury razi swoją martwością. Koloryt obrazu pozbawiony był jakiegokolwiek intensywności, liście kwiatów wydawały się jakby wyczerpane wnikliwą obserwacją. Przyszło jej do głowy, że powstawaniu tej kompozycji nie towarzyszyło uczucie. Przedmiot obrazu postrzegano chłodnym okiem. Nie miało to nic wspólnego ze sztuką.

- No i co?

- Ładne ramy. Celia nie wydawała się zbita z tropu.

- Tak pani uważa? Zastanawiałam się właśnie, czy nie są brzydkie. A może powinny być pozłacane?

- O Boże, nie - jęknęła Maddy. Pozłacane by wszystko zrujnowały. Właściwie nie przepadam za czymś takim, choć nie wątpię, że obrazy te są dobre w swoim rodzaju.

- Spojrzała na zegarek. - Muszę lecieć. Odda to pani majorowi? - Wsunęła Celli notatki z zebrania rady parafialnej. - Niektóre sprawy powinien przemyśleć przed następnym spotkaniem. Czy pani psy będą się umiały zachować? - rzuciła przez ramię, kierując się do wyjścia.

- Pójdę z panią - rzekła z niechęcią Celia, czując, iż znów wystrychnięto ją na dudka.

- Mam nadzieję, że jak zawsze dostaniemy od państwa mleko na kiermasz bożonarodzeniowy? - spytała na koniec Maddy.

- Oczywiście, że tak - warknęła Celia, po czym dodała mimowolnie (podobnie, jak zrobiłby to każdy mieszkaniec Wychwood, wysokiego bądź niskiego stanu): - Zawsze dajemy mleko.

Maddy szybko przejechała przez wysypane żużlem podwórko, zjechała z podjazdu, zahamowała, skręciła raz i drugi, a następnie w szalonym pośpiechu popędziła do Holly House. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy o wszystkim opowie Tessie. Już opisywała tę scenę: straszliwe psy, uszczypliwe słowa i złośliwy uśmieszek Celii, jej własna riposta na temat grzeczności, ohydne „obrazy”, wyraz zawodu na twarzy Celii. Już delektowała się reakcją Tessy, współczującej jej z powodu ataku psów, radującej się ze zwycięstwa. Śmiech przyjaciółki, który spodziewała się usłyszeć, radośnie zadźwięczał jej w uszach, gdy zahamowała przed Holly House.

Co też ci przyszło do głowy? - uświadomiła sobie nagle. Co nieco się zmieniło. Nie pamiętasz? Wrzuciła bieg, przyśpieszyła, zaparkowała przy bramie Jasmine Cottage i wbiegła do środka.

W kuchni samotnie przyrządziła sobie filiżankę kawy. Zasiadła do niej przy stole, czując się kompletnie wyczerpana. Poranne wydarzenie we Dworze straciło cały sens, skoro nie może podzielić się wrażeniami z Tessą. Sięgnęła myślami wstecz, rozważając niezliczone przypadki, kiedy to przybiegały nawzajem do siebie, by przekazać sobie natychmiast jakąś smakowitą opowieść. Teraz życie stało się nagle mroczniejsze, jakby pozbawione słońca.

Podniosła się gwałtownie. Nie możesz mieć wszystkiego naraz, powiedziała sobie i wylała do zlewu kawę, która - jak jej się wydawało - miała gorzki smak.

Minął jeszcze jeden tydzień, a ona wciąż nie zamieniła z Tessą ani słowa. Przypomniała sobie, że nie rozmawiały ze sobą od czasu kolacji dożynkowej, która odbyła się więcej niż dwa tygodnie temu. Maddy była zdziwiona, że odczuwa to tak boleśnie. Przecież tak mocno przeżywa pozostałe wydarzenia zwłaszcza randki z Nickiem. (Usilnie starali się ograniczać swoje spotkania, niemniej stawały się one coraz częstsze, a przedzielające je dni Maddy spędzała głównie na oczekiwaniu i rozpamiętywaniu). Mnóstwo działo się też w wiosce. Maddy przewidywała, że z czasem między nią a panią Fettle dojdzie do scysji o przygotowanie przekąsek na kiermasz bożonarodzeniowy. Zasadniczo Rose powinna już była powiedzieć Tessie, jak chce to urządzić, jeśli Tessa ma jej pomóc.

Prawdę mówiąc, perspektywa utarczek z panią Fettle dodawała jej otuchy. Będzie się miała na czym skupić. Czym intensywniej myślała o wadach Rose Fettle, tym mniej niepokoiły ją trudniejsze do rozwiązania problemy: niebezpieczeństwo utraty Tessy, wstyd, że zdradza Roberta, a także ból towarzyszący jej rozważaniom o możliwości rozstania z Nickiem.

Już szła ogrodową ścieżką do Tessy, by opowiedzieć jej o swych kłopotach, gdy nagle zmieniła zdanie. Wyjaśnię jej wszystko przez telefon, postanowiła, po czym zawróciła do domu.

Rozdział 16

Tessa przypięła do rysownicy kartki z fragmentami tekstu. Niektóre zdania podkreślone były zielonym atramentem. Tak przedstawiał się wkład Larry'ego do nowej książki - każdy fragment będzie umieszczony oddzielnie na rozkładówce według projektu Tessy. Zazwyczaj podczas długich rozmów telefonicznych wspólnie obmyślali treść książki, po czym Larry pracował nad tekstem, Tessa zaś nad wstępnymi szkicami. Gdy tekst był już gotowy i podzielony, Tessa miała dopasować poszczególne zdania do ilustracji i opracować graficznie całą książkę. Codziennie, nim zabrała się do pracy, stawała przed przygotowanym ogólnym projektem, czytając, rozmyślając i wypróbując różne pomysły. Dziś rano przypięła obok arkusza czystego papieru następujący fragment tekstu:

„Tim podpełzł do okna. Rozchylił zasłony i wyjrzał na ulicę. Zobaczył plamy księżycowego światła i wielkie czarne kształty”.

Mijały godziny. Malowała ulicę Kościelną, tak jak jej się objawiła pewnej nocy, w zeszłym miesiącu, gdy stała patrząc w dół i usiłując zagłuszyć swe podejrzenia względem Nicka i Maddy. Twarz namalowana w oknie na górze - niewyraźna, zielonkawa i okrągła jak zamglona tarcza księżyca - mogła być jej twarzą. Przedstawiała jednak oblicze Tima - chłopca, który był głównym bohaterem książki.

Czy Maddy powiedziała, że to było w zeszłym miesiącu? - zastanawiała się. Myśl, błakająca się gdzieś po zakamarkach mózgu, nagle zaczęła nie dawać jej spokoju i sprawiła, że Tessie zadrżało serce. Odłożyła pędzel i odwróciła się, by spojrzeć na kalendarz. Boże, minęło pięć tygodni. Jeśli dodać jeszcze dwa, gdyż tyle czasu zajęło jej zorientowanie się w całej tej historii - siedem tygodni. A jednak nic nie wskazywało, że sprawa ma się ku końcowi. Wręcz przeciwnie. Nie tylko w poniedziałki Nick wracał do domu późno bądź znikał w nie wyjaśniony sposób o wszelkich porach. Sądząc z tego, co mówił Robert, zachowania Maddy również nie dało się przewidzieć. Nick, gdy go Tessa wypytywała, bronił się w sposób tak niemiły, że postanowiła więcej go nie zauważać. Nie było z tym kłopotu: praca ją pochłaniała, wprost ciągnęło ją do rysowania. Odwiedzała tylko Paula w weekendy, by wraz z Nickiem mogli mieć pewność, że syn wraca do zdrowia po kontuzji w czasie gry w rugby. Składała też regularne wizyty Colinowi, a poza tym przez trzy tygodnie wyłącznie pracowała. Czasami przemknęło jej przez głowę,

że Maddy nigdy nie dzwoni, ale myślała o tym bez żalu, gdyż nie znajdowała przyjemności w jej towarzystwie. Nie tylko dlatego, że wkradł się między nie fałsz. Ostatnio Maddy jakby straciła poczucie humoru, czepiała się drobiazgów, głądziła bez końca, nudząc Tessę, która czuła się wtedy nieswojo. Teraz znów Maddy dostała bzika na punkcie nieszczęsnej Rose Fettle - co jakoś wiązało się z poczęstunkiem na kiermaszu bożonarodzeniowym i przekąskami na turnieju gry w wista. Dwukrotnie dzwoniła do Tessy w tej sprawie. Na szczęście ostatnim razem Tessie zgodnie z prawdą udało się powiedzieć, że teraz nie może jej wysłuchać, gdyż wybiera się w odwiedziny do Colina.

- Dobrze - odparła ponuro Maddy. - Wpadnę na początku przyszłego tygodnia i wszystko ci opowiem.

Tessa z niecierpliwością wydeła policzki. Nie zawracaj mi głowy takimi głupstwami, pomyślała, z powrotem zabierając się do pracy.

Urwis drzemał na starym tapczanie w pobliżu drzwi pracowni i powarkiwiał od czasu do czasu przez sen.

- Cicho bądź - powiedziała. - Muszę jeszcze popracować przynajmniej dwie godziny.

Futrzany wzgórek na tapczanie dalej pomrukiwał, ale już tego nie słyszała. Oblewała księżycowym światłem dachówki namalowanego przez siebie domu, rozjaśniała lśniącymi plamkami liście drzew.

Maddy wbiegła po schodach i zastukała do drzwi Holly House. Nie usłyszała odpowiedzi. W środku grało radio. Nacisnęła klamkę i stwierdziła, że drzwi są otwarte. Pewna, że znajdzie Tessę w kuchni, otworzyła je na oścież i przywołała na twarz najpromienniejszy uśmiech. Nie zastała jednak nikogo, kto mógłby go docenić. Jej uśmiech zgasł nagle. Maddy zacisnęła usta i zmarszczyła brwi, zdradzając tym samym, jak bardzo napięte są jej nerwy.

Czekała samotnie, pełna niepewności. Wtem jej wzrok padł na porzucony na ławie wełniany kłęb, w którym rozpoznała stary sweter Nicka. Serce zaczęło jej szybciej uderzać. Przerażona własną głupotą chyłkiem przebiegła przez kuchnię i pochwyciwszy sweter zanurzyła w nim nos, wdychając zapach Nicka tak głęboko, aż jej płuca napięły się boleśnie. Drżąc przytuliła go do piersi, po czym niechętnie odłożyła na ławę.

Urwis przebudził się gwałtownie i zeskoczył na podłogę. Z miną psa, który uważa, iż powinien spełnić swój obowiązek, podszedł do

drzwi i stanął z wyciągniętym nosem, dając do zrozumienia, że coś jest nie tak. Ponieważ jego pani nie zareagowała, szczechnął ostro.

Teraz usłyszała. Nie domagał się przecież zrzędlawie psiego obiadu, lecz ostrzegał, że ktoś się tu kręci.

- Jesteś pewien? - spytała, zerkając znad rysownicy.

Szczeknął raz jeszcze, rzucił jej przeproszające spojrzenie i ponownie zaczął nasłuchiwać.

- Lepiej, żebyś się nie omylił - powiedział i poszła otworzyć drzwi.

Urwis śmignął na korytarz i popędził na dół, warcząc jak przegrzany silnik.

O rany! On to traktuje poważnie. Może na dole czeka na nią coś gorszego niż pukający do drzwi gość? Rozsądek mówił jej, że prawdopodobnie wracając dziś rano ze sklepu zostawiła odsunięty rygiel i jakaś przyjaciółka, może Maddy, Eleanor albo pani Frogmorton, wiedząc, że dom jest otwarty, weszła do środka. Oczyma wyobraźni widziała jednak buszującego po kuchni intruza i schodząc na dół miała nogi jak z waty. Wtem, przechodząc przez hol, usłyszała wrzask Maddy:

- Cicho bądź, idioto!

Tessa odruchowo schwyciła się za gardło.

- O Boże, to ty. Przez jedną straszną chwilę myślałam... - Pochyliła się i z uznaniem pogłaskała psa. - Zawsze tak robię - zostawiam drzwi otwarte.

- Nie wyłączyłaś radia - zauważyła Maddy.

- Mam teraz trochę roboty - rzekła Tessa, zamykając radio.

- Przeszkadzam ci. Jesteś zajęta.

- Na razie przestałam być zajęta, więc możesz napić się kawy. Chociaż to już prawie czas na lunch. Może zjesz zupę?

Maddy zawahała się. Nie zносиła zup z puszek, co - jak się słusznie domyślała - właśnie jej zaproponowano. Z drugiej strony bardzo jej zależało na pomocy Tessy w przygotowaniach poczęstunku na kiermasz bożonarodzeniowy oraz zakąskę na turniej wista.

- Chętnie. Tessa poszła do zmywalni i otworzyła puszkę zupy szparagowej. Przełała zawartość do rondelka i postawiła go na kuchence.

- Zjesz do tego bułkę? Mam bardzo dobre, z pełnego ziarna, od Laya.

- Tak, poproszę.

Tessa podgrzała zupę i włożyła bułeczki do piecyka. Maddy, która dobrze orientowała się w kuchni Holly House, wyjęła talerze i miseczki z kredensu oraz położyła na stole noże i łyżki.

Maddy zjadła zupę, zagryzając bułką, wypła łyk wody i surowo rozejrzała się wokół.

- Mam nadzieję, że mnie poprzesz, Tesso - zaczęła niespodzianie.

- O co ci dokładnie chodzi? - spytała z westchnieniem Tessa.

Maddy wyczuła jej brak entuzjazmu.

- Słuchaj, jeżeli masz za dużo na głowie... może powinnam poszukać kogoś innego do pomocy.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Tessa.

Sama myśl, że mogłaby uchylić się od pracy, którą wykonywała od pięciu lat, sprawiła, iż Tessa oderwała się od swych zajęć artystycznych i świeżym okiem spojrzała na sprawy wioski. W związku z każdą miejscową imprezą konkretne osoby miały do wypełnienia określone zwyczajem obowiązki, najmniejsze zaś odstępstwo od tradycji wywoływało domysły i komentarze. Niektóre zadania od lat związane były z poszczególnymi domami. Gdy Tessa wprowadziła się do Holly House, członek komitetu organizującego ogrodowy festyn niezwłocznie ją poinformował, iż „Holly House zawsze prowadzi stoisko z fantami”, który to obowiązek od tamtej pory Tessa solidnie wypełniała. Kiedy daną pracę wykonywano przez dwa lub trzy kolejne lata, wytwarzała się już pewna tradycja, toteż zwrot „pani X zawsze robi to i to” uznawano za niepodważalny pewnik. Inny, podobnie niezbity argument brzmiał: „Zawsze tak to robimy”. Gdy Maddy była świeżym przybyszem w Wychwood, osoba zajmująca się herbatką na kiermaszu bożonarodzeniowym uznała, że potrzebuje pomocnicy, a ponieważ poczuła sympatię do nowo przybyłej, zaproponowała jej to stanowisko. Przez pięć lat Maddy pracowała pod czujnym okiem pani Bowles, ucząc się wszystkiego, co się da o kanapce a la Wychwood (w tym o nadzieniu, które miało zastąpić kraba - co było wynalazkiem wojennym, lecz tak powszechnie lubianym i respektowanym, że stosowano je nadal - a także jak pokrajać kanapkę na trzy części, a nie na połowy, co uznano za nieporęczne). Pięć lat później, gdy państwo Bowles po przejściu na emeryturę zamieszkali w domku na południowym wybrzeżu, Maddy

została szefową kiermaszowych herbatek, a jej najlepsza przyjaciółka - zastępczynią.

- Oczywiście, że się włączę - oświadczyła Tessa.

- Zawsze to robię - dodała, jak przystało na prawdziwą mieszkankę Wychwood.

- Powinniśmy coś ustalić w sprawie tak zwanych resztek. Pamiętasz, jak to było? Najpierw Ken Tustin postanowił urządzić grudniowy turniej gry w wista w następny wieczór po kiermaszu bożonarodzeniowym. Wtedy ustalono, że gracze będą jedli resztki z kiermaszu. Następnie Rose Fettle zaproponowała, żeby zebrać dodatkowe jedzenie na potrzeby turnieju, a teraz sprawa jest już przesądzona - mamy zorganizować poczęstunek na kiermasz i zakąski na turniej. Liczą na to. Taka się już ustaliła tradycja.

Tessa poruszyła się na krześle.

- Wiem, no i co? Uśmiealiśmy się z tego w zeszłym roku.

Maddy skrzywiła się.

- Chodzimy na żebry, czy nie tak? Prosimy, by ludzie dali nam żywność - ciastka, ser, mleko i tak dalej - na tej zasadzie, że sprzedamy wszystko na jakiś cel. To jest oczywiste: my ofiarowujemy nasz czas, oni dają produkty, a ludzie to kupują, żeby zapłacić za nowy dach kościoła. Rzecz w tym, że nie płacą za resztki na wieczornym turnieju wista. Nazywają to „resztkami”, ale proszą, żeby na pewno były i żeby przygotować dostateczną ilość. To nieuczciwe. Coś mi tu brzydko pachnie.

- Ależ Maddy...

- Dobrze. Powiedz mi, dlaczego Rose Fettle i Dolly Cloomb miałyby wydawać miłe przyjęcie na koszt reszty mieszkańców, którzy dostarczają jedzenie za darmo?

Tessa pomyślała o ludziach, którzy regularnie uczęszczają na miesięczne turnieje wista: starszych, mniej zamożnych, głównie robotnikach rolnych, urodzonych i wychowanych w Wychwood, tak jak ich rodzice.

- To mi się wydaje dość nieszkodliwe - rzekła. Maddy poczerwieniała ze złości.

- Nie zgadzam się z tobą. Przykro mi, Tesso, ale powinnaś wiedzieć, że mówiłam o tym z Kenem Tustinem. Powiedziałam mu, że jeśli wieczorne przekąski nie będą płatne, przygotowujemy coś tylko do popołudniowej herbaty. Do diabła, Tesso, czy to nie przesada z

naszej strony, żeby prosić o darmowe żarcie dla Rose Fettle i jej podobnych? Co masz przeciwko opłatom? Przecież w tym wszystkim chodzi o nowy dach dla kościoła.

Tessa już chciała dodać, że równie ważne jest miłe spędzenie czasu na udanej imprezie, ale doszła do wniosku, że zmarnowała już dość czasu.

- Chyba masz rację - ustąpiła, choć nie była całkiem przekonana. Po prostu miała już po dziurki w nosie całej tej rozmowy.

- A więc zgadzasz się ze mną? - spytała poważnym tonem Maddy.

- Uhm. Tak. Niech będzie - mruknęła Tessa. Maddy odetchnęła z ulgą.

- Napijesz się herbaty czy kawy? - spytała Tessa.

- Nie, dziękuję. Phoebe ma do mnie wpaść po południu. Strasznie się czymś gorączkuje.

To już będzie was dwie, pomyślała Tessa, przyglądając się przyjaciółce. Dostrzegła czerwoną plamę na jej szyi i ukośną linię zaciśniętych ust. Dlaczego ona robi z tego taki problem? Dawna Maddy wymyśliłaby jakieś pomysłowe rozwiązanie, nie tracąc przy tym poczucia humoru.

- Nie zwracaj uwagi na Rose i Dolly - podsunęła nieśmiało. - Wymyśliły dla siebie urocze rólki - łaskawych gospodyń na bożonarodzeniowym turnieju wista. Założę się, że mają z tego mnóstwo uciechy.

- Dwie więdźmy - burknęła Maddy.

- No, chyba trochę przesadzasz.

- Tak je kiedyś namalowałam.

- O nie, moje więdźmy są miłe. To ty z nich robisz złe czarownice.

- Wyglądają na czarownice. Zawsze się razem trzymają. Gnają po ulicy ręka w rękę, mamrocząc i patrząc wilkiem...

- Ależ one wcale nie patrzą złym okiem.

- Wszystko jedno. Działają mi na nerwy.

- Najwyraźniej.

Boże, klóćcimy się, pomyślała Tessa, czując jak mrowie przebiega jej po plecach na widok płonących gniewem oczu Maddy. I to wszystko z powodu Rose Fettle i Dolly Cloomb. Spuściła wzrok.

Maddy zaś pośpieszyła się upewnić, czy utarczka nie zaszkodziła jej wcześniejszemu sukcesowi.

- No więc rada jestem, że zgadasz się ze mną w sprawie opłat za zakąski. Niebawem musimy zacząć zbierać oferty. Przypuszczam, że Brenda da szynkę. Ja, nawiasem mówiąc, upiekę ciasto.

- Ja na pewno nic nie upiekę. Przyniosę herbatę ekspresową.

- Wspaniale. - Maddy podniosła się i z uśmiechem poprawiła spódniczkę.

- Pomóc ci to zmyć?

- Za nic na świecie. Niech tu zostanie, póki nie będę zbyt zmęczona, żeby pracować.

- Cóż, dzięki za lunch. Pamiętaj, trzymaj się dzielnie, jak zobaczysz Kena Tustina.

- Jasne.

- Do zobaczenia, Tesso.

Gdy Maddy zamknęła drzwi, Tessa wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym podeszła i zasunęła rygiel.

Rozdział 17

- Na miłość boską, Dol, wiesz, która godzina? - spytała Rose, która zaszła do Cloombów przez drzwi od tyłu i ujrzała, że Dolly wcale nie włożyła płaszcza, chustki ani butów, lecz ciągle jeszcze robi coś z włosami, mając na nogach rozdeptane ranne pantofle.

- Przepraszam, Rose - wymruczała niewyraźnie Dolly. Spomiędzy jej zaciśniętych warg wystawały szpilki do włosów. - Miałam koszmarną noc.

- Wcale się nie dziwię. Po tej awanturze, którą zrobił wczoraj, jak wrócił do domu! Nie dał ci spokoju, co? - Zadała to pytanie ostrożnie, z niechęcią, gdyż ona sama czuła się niejako upokorzona faktem, że Dolly tak potulnie znosi brutalne traktowanie. W głębi duszy Rose zastanawiała się, czy zażyła przyjaźń z ofiarą małżeńskiej przemocy nie podważa jej własnej pozycji szacownej wdowy. Dlatego też przy każdej okazji chętnie nadmieniała, że Jack Fettle, nie żyjący od dziesięciu lat, w czasie ich małżeńskiego pożycia nigdy nie podniósł na nią ręki.

- Nic strasznego się nie stało - rzekła Dolly, wyszarpując ostatnią lokówkę (dała do zrozumienia, że tym razem jej nie uderzył) - ale o mało się nie podźwignęłam, jak go wciągałam po schodach.

- Trzeba było zostawić go na dole. Pośpiesz się, Dolly. Nie może nas dziś przetrzymać, zwłaszcza jeśli chcemy złapać autobus o dwunastej. (Jechały do domu towarowego w Fetherstone, by wybrać materiał na nową sukienkę, którą Rose obiecała uszyć Dolly na bożonarodzeniowy turniej wista).

- Tak dobrze? - spytała Dolly, nie licząc na odpowiedź twierdzącą. Nie miała czasu przejrzeć się w lustrze w holu.

- Ujdzie. Powinnaś mieć trwałą. Wiesz co? Zamówiłam Maisie do siebie, żeby mi zrobiła trwałą tuż przed turniejem wista. Przy okazji może zrobić i tobie. A nuż taniej nam policzy? O co znowu chodzi?

- Zgubiłam torebkę. Rose rozejrzała się.

- Tu leży! - wykrzyknęła, podnosząc ją z przysuniętego do stołu krzesła. - A teraz już chodź.

Dolly, zapinając w drodze guziki płaszcza, pośpieszyła za przyjaciółką.

Phoebe miotała się z drucianym koszykiem po wioskowym sklepie. Na ręce dyndała jej obszerna torba na zakupy. Phoebe była

dzisiaj rano wyjątkowo ożywiona i starała się wykorzystać każdą chwilę. Nigdy bowiem nie wiadomo, kiedy może spaść na nią smutek, przytłaczając ją coraz większym ciężarem, aż będzie się czuła tak jak wczoraj, gdy miała wrażenie, że całe jej ciało przeszywają kłujące igły. Może sprawiły to dodatkowe pigułki, które wzięła dzisiaj rano. Doktor ostrzegał, by tego nie robiła, ale nic ją to nie obchodziło. Teraz czuła się wspaniale, beztrocka jak szczeniak, leciutka jak piórko, rozbawiona i szczęśliwa jak dziecko. Rozpromieniona sięgnęła po puszkę ratatouille. Rata - co? - zaśmiała się w duchu i beztrocko wrzuciła ją do koszyka. Obróciła się, mamrocząc do siebie: „Wiem, na co mam ochotę - na taką czekoladową pomarańczę”. Rzuciła okiem na półki ze słodyczami, znajdujące się za plecami Brendy. Owszem, były tam, jak najbardziej. Poprosi o jedną, gdy podejdzie do lady po szynkę. Tymczasem musi wybrać coś dla dzieci na podwieczorek i dla Roya na kolację. Beztrocko wrzucała pudełka - małe, duże, gębczaste i twarde. Jeszcze parę puszek. Aha, może też słoik kawy.

- No proszę! - Brenda Varney pośpiesznie okrążyła róg lady. - Wiedziałam, że to ona. Wreszcie ją złapałam. Może pani tu podejdzie pani Partridge. Mam nadzieję, że będzie pani świadkiem. I pan, panie Whitton. - Szarpnięciem otworzyła torbę Phoebe i wyciągnęła puszkę łososia. - Widzicie? Okradała mnie całymi tygodniami, ale nie mogłam jej złapać. No, wreszcie mi się udało - krzyknęła, wymachując puszką.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich postać pani Frogmorton.

- Co się stało? - spytała zdziwiona i z wahaniem przystanęła w progu.

Nim Brenda zdołała odpowiedzieć, Phoebe umknęła. W miejscu, gdzie przed chwilą stała jak wmurowana, leżał na podłodze mały stosik: wypełniony druciany koszyk, torebka na ramię i duża torba na zakupy.

Maddy właśnie przygotowywała Robertowi lunch, gdy rozległo się głośne walenie we drzwi. Przestraszona wytarła ręce i pobięła otworzyć. Wpadła Phoebe i stanęła jak wryta, bezwiednie otwierając i zamykając usta.

- Wejź do kuchni. Usiądź - rozkazała. - A teraz powiedz: masz mi coś pilnego do zakomunikowania czy chcesz chwilę odpocząć.

Phoebe z trudem wykrztusiła parę słów, po których Maddy doszła do wniosku, że powinna ją dokładnie o wszystko wypytać.

- Mówisz, że stało się to teraz w sklepie? Phoebe, na pewno chodzi ci o nasz sklep, a nie supermarket w Fetherstone? Co za ulga. Słuchaj, czy wszystko dobrze zrozumiałam? Brenda Varney znalazła w twojej torbie puszkę łososia i oskarżyła cię o kradzież?

Phoebe złapała się za serce.

- Nie byłam w stanie myśleć. Nie wiedziałam, co robić.

- Zrobiłaś właśnie to, co należało. Przyszłaś powiedzieć o wszystkim mnie. - Podeszła do drzwi kuchennych i zawołała w kierunku schodów: - Robercie, czy mógłbyś zaraz zejść na dół? Phoebe - rzekła wróciwszy - muszę zobaczyć się z Brendą. Ty zostaniesz tutaj. Robert robi ci drinka.

Nim Robert zszedł, Maddy zdążyła już chwycić palto.

- Chcę, żebyś został z Phoebe, Robercie. - Robert cofnął się, czyniąc nieme błagalne gesty, ale Maddy ciągnęła bezlitośnie: - Zrób jej coś do picia. W sklepie zdarzył się mały incydent. Bezwzględnie muszę złapać Brendę, nim zamknie. I nie spuszczaaj jej z oka - szepnęła groźnie, podchodząc do niego blisko.

Idąc ulicą Kościelną Maddy całą drogę przeklinała Brendę Varney. „Głupia wiejska babo - myślała ze złością - czy ty nic nie rozumiesz? Chryste, przecież był już kiedyś straszliwy wypadek - pewna kobieta utopiła się, gdy ją oskarżono o kradzież w sklepie. Pewnie, gdyby ci to miało zaoszczędzić puszkę tuńczyka, nawet byś chciała, żeby Phoebe zrobiła podobnie, ty kretynko”.

Maddy doszła do Błoni. Widok Holly House po drugiej stronie pasa zieleni, spokojnego i uroczego, o migoczących światłem oknach, uświadomił jej ostro, że jest cała rozgorączkowana, a wrzący w jej sercu gniew jest wynikiem nie tylko najnowszego incydentu. Ostatnio często wzbierała w niej wściekłość - brała się z niczego, zmuszając Maddy, by się miotła w poszukiwaniu powodu, jakim mogłaby ją usprawiedliwić. To ciągle wydatkowanie bezużytecznej energii było dla niej takie wyczerpujące. „Jakiż, na przykład, będzie pożytek z wygłoszenia przemowy do Brendy Varney? Czy to rozwiąże problem Phoebe? Tracę zrzeczność” - pomyślała i z nagłą jasnością ujrzała, jak dawniej zabrałaby się do podobnej sprawy. Wizja ta dodała jej sił. Przywołała na usta przyjazny uśmiech i podeszła do drzwi sklepu.

Brenda przekreślała właśnie wywieszkę na stronę z napisem „Zamknięte”.

- Cieszę się, że cię złapałam - zawołała Maddy.
- Już zamknęłam - burknęła Brenda.
- Wolałabyś, żebym wpadła do ciebie do domu? Musimy porozmawiać. Przyszłam w sprawie Phoebe.

- Nie zdecydowałam się jeszcze...
- To dobrze - rzekła Maddy spokojnie i weszła do środka.

Rzeczy Phoebe i druciany koszyk nadal leżały na podłodze, tam gdzie je porzuciła.

Maddy wróciła do domu z torbami Phoebe, wciśniętymi pod pachę. Robert usłyszał jej kroki i pośpieszył otworzyć drzwi.

- Ćśś... ona śpi.

- Gdzie?

- Tu. - Robert wskazał kuchnię, gdzie Phoebe zasnęła z głową opartą na stole i rozchyłonymi ustami. Lekko pochrapywała.

- Jak poszło? - spytał.

- Chyba w porządku.

Usiedli na krzesłach naprzeciw Phoebe, przypatrując się jej i rozmawiając szeptem.

- Brenda nie pójdzie na policję. W każdym razie pani Partridge i pan Whitton - którzy byli wtedy w sklepie - raczej nie będą zeznawać. Wiesz, jacy są ludzie w wiosce. Nie powiedzą nikomu nic prosto w oczy, ale za plecami - to i owszem. Z tym będą kłopoty - z plotkami. Brenda chciała zabronić Phoebe wstępu do sklepu, ale powiedziałam jej, że nie bardzo może to zrobić. W końcu zgodziłyśmy się, że ja będę z nią przychodziła, dopóki się lepiej nie poczuje.

- To spore obciążenie.

- Mam nadzieję, że Tessa mi pomoże. I muszę pogadać z Royem. Większość zakupów robią w sklepie samoobsługowym w Fetherstone. Na razie niech wychodzą razem.

Roy na pewno się zgodzi. Nie mówi za dużo, ale zawsze był dla niej dobry i nie zwracał uwagi na swoją rodzinę.

- Tak, Roy to porządny facet.

- Też tak uważam.

Phoebe poruszyła się, lekko uniosła głowę, po czym znowu zapadła w sen.

- Dość często jej się to zdarza - rzekł Robert. - Czyżby z powodu prochów? Powiedziała mi, że wczoraj miała okropny dzień i dziś rano

wzięła dodatkowe pigułki, żeby polepszyć sobie nastrój. Biedny dzieciak. Czasami naprawdę chyba przeżywa koszmar.

- Och, Robercie. - Ujęła jego dłoń, spoczywającą na stole, i ucałowała ją.

- A to za co? - spytał, choć się domyślał.

Zdawał sobie sprawę, że był dzielny, bo stłumił swój niesmak oraz lęk przed ludzkim nieszczęściem i pozwolił Phoebe mówić. Sam czuł się dumny z tego wyczynu. Był ożywiony i odprężony jak po intensywnej gimnastyce. Ogarnęła go też dziwna czułość wobec Phoebe. Trzymając się z Maddy za rękę, miał wrażenie, że czuwają teraz wspólnie nad swym dużym dzieckiem, które wciąż przysparza im kłopotów. „Tak, tego nam brakuje - pomyślał. Poczucia wspólnoty. Dzieci muszą bardzo wiązać ludzi ze sobą”.

Jeszcze tego samego popołudnia Maddy wykręciła numer Holly House.

- Tesso, przepraszam, że przeszkadzam.

- Nic nie szkodzi.

- Chciałam cię o coś prosić.

- Tak - spytała ostrożnie Tessa, która podczas pracy starała się ograniczać swe kontakty towarzyskie.

- Właściwie chodzi o Phoebe - ciągnęła Maddy. - Dziś rano w sklepie doszło do nieprzyjemnego zdarzenia. Nie wiadomo, jakim cudem puszka łososia znalazła się w torbie Phoebe zamiast w drucianym koszyku Brendy. Brenda rzuciła się na nią. Nie wiem, czy inni klienci widzieli, co się stało, ale powstało spore zamieszanie i Phoebe przybiegła z tym do mnie. Robert zajął się nią, a ja poszłam uspokoić Brendę. Obiecała mi, że tym razem nie będzie robić szumu, ale wolałaby, żeby Phoebe nie przychodziła do jej sklepu.

- O rany. Paskudna historia.

- Też tak uważam. Będą gadać na Phoebe, co może jej strasznie zaszkodzić. Załagodziłam sprawę w ten sposób, że obiecałam przychodzić z nią po zakupy. Co o tym myślisz, Tesso?

- Bardzo słusznie.

- Chodzi mi o to, że jeśli z jakichś powodów nie będzie mnie w domu, gdy Phoebe wyjdzie do sklepu, czy może zająć do ciebie? To się może zdarzyć tylko od czasu do czasu, gdyż zakupy przeważnie robią wspólnie z Royem w Fetherstone. Ale gdyby coś wypadło...

- Powiedz jej, że bardzo chętnie z nią pójde.

- Już jej powiedziałam. Byłam pewna, że się zgodzisz. Dziękuję.

- W porządku. Aha, wiesz, co myślę?

- Tak?

- Dobrze się stało, że Phoebe przyszła z tym do ciebie. Nastąpiła chwila milczenia.

- Miejmy nadzieję, że tak - rzekła pośpiesznie Maddy. - Do widzenia.

Zarówno Tessa jak i Maddy dostrzegły, lecz nie do końca zrozumiały, tradycyjną ostrożność rodowitych mieszkańców Wychwood, gdy szło o wygłaszanie własnego zdania. Owa powściągliwość w mowie była głęboko uzasadniona, gdyż większość rdzennej ludności wioski - prawdopodobnie wszyscy, jeśliby sięgnąć wystarczająco daleko wstecz - była ze sobą spokrewniona. Wizja Wychwood posiadana przez autochtonów różniła się krańcowo od spojrzenia nowych przybyszów. Ci pierwsi nie uważali tej miejscowości za teren, na których znajdują się zarówno ich posesje z okazałymi domami, jak też nędzne chatki na dzierzawionym gruncie, przycupnięte na odległym krańcu wioski. Siebie samych nie dzielili na wykształconych lub nie, żyjących w biedzie lub też dostatnio. Zazwyczaj myśleli o sobie jako o różnorodnej grupie społecznej, składającej się z bliskiej rodziny, kuzynów, krewnych i sąsiadów, z którymi od stuleci dzieli się dołę i niedołę. Poza tą podstawową kategorią mieszkańców znajdowali się nowi przybysze, niezależnie od tego, jak długo zamieszkiwali okolicę - od lat czterech czy czterdziestu - co pozbawione było większego znaczenia i nie budziło specjalnego zainteresowania.

Wielu mieszkańców Wychwood miało krewnych w pobliskich wioskach. Podczas walnego zebrania Klubu Kobiet, członkinie stosunkowo niedawno przybyłe do tej okolicy było nieco zdumione widząc, ile pań nieśmiało wymienia uściski i zwraca się do siebie po imieniu. Na przykład Edie Partridge (której kuzyn, Dan Whitton, znalazł się w sklepie Brendy Varney, gdy zaistniała owa niezręczna sytuacja) ma siostrę zamężną za sklepikarzem w Steeple Cheney. Jej szwagrem jest Davey Partridge, mistrz bicia w dzwony, przez czterdzieści lat uznawany w Wychwood za najbardziej pożądanego kandydata na męża. Co więcej (pechowo z punktu widzenia interesów Brendy), matka Edie była z domu Peck. A zatem Brenda nie zdziwiła się, choć była oburzona faktem, że Edie i Dan okazali się ślepi i głusi.

W głębi serca przyznała, iż niepodobieństwem byłoby, aby ktoś z rodziny Partridge lub Whitton rzucił cień na nazwisko Peck.

Edie mieszkała na Orchard Close pod numerem pierwszym, usytuowanym na rogu ulicy, co pozwalało jej na dokładną obserwację otoczenia. Jej córka Gail (niezameżna matka pięciorga dzieci), zajmowała domek na najdalszym krańcu Close, pod numerem dwudziestym. Dlatego właśnie dzieci Partridge'ów tak często widywano na Orchard Close; krążyły bowiem między domami matki i babki. Obecnie Edie zajęła pozycję za siatkową firanką w saloniku. Jej poranne uczucie zażenowania niebawem przeszło w oczekiwanie. Choć do pewnych skłonności nie wypadało przyznawać się otwarcie w miejscu publicznym, można jednak było rozkosznie napawać się nimi w zaciszu domowym. Tak przyjemnego poranka nie miała od lat, a teraz przeczekawszy ze swą „tajemnicą” porą obiadową, niecierpliwie czekała chwili, kiedy wreszcie będzie się mogła nią pochwalić. Obserwowała bieganinę na ulicy i drżała ze strachu, by nie doszło do spotkań towarzyskich między tym krańcem wioski (gdzie mieszkała) a jej górną granicą (gdzie był dom Dana). Na szczęście, jak dotąd, wszyscy przechodnie byli mieszkańcami Orchard Close. Widząc przechodzącą panią Meers, Edie odczuła gwałtowną pokusę, którą jednak zdołała powściągnąć. Stella Meers była nudną kobieciną. Edie zmarnowałaby cały efekt, opowiadając jej wszystko jako pierwszej. Najchętniej Edie podzieliłaby się swą rewelacją z panią Fettle. Rose uważała się bowiem za bystrzejszą od innych i wściekłaby się jak rozjuszony byk, gdyby musiała ograniczyć się tylko do słuchania, nie mając możliwości przekazania dalej ciekawej informacji.

Gdy autobus z Fetherstone zatrzymał się na przystanku, a Rose i Dolly wysiadły, Edie była już zmęczona oczekiwaniem. Domyślała się, że pójdą pewnie do domu Rose, tam bowiem żaden chłop nie będzie im zawadzał. Patrzyła, jak postępują zgodnie z jej przewidywaniami: Rose wsunęła klucz do zamka i weszła pierwsza. Teraz odłożą paczki na stół w saloniku i przejdą do kuchni nastawić czajnik - pomyślała Edie i przewidziała trzy minuty na zagotowanie wody.

Rose napełniała właśnie imbryczek, gdy rozległo się pukanie. Wymieniły z Dolly pełne niepokoju spojrzenia.

- Otwórz, Dolly. Staraj się ich pozbyć.

Niestety flegmatyczna Dolly nie miała nic do gadania w obliczu nieuchronnego wybuchu Edie.

- Szkoda, że nie było was dziś rano w sklepie - wykrzyknęła, zmiierzając ze swą bombą prosto do kuchni. - Wiecie, kochane, to było coś okropnego. O mało co nie umarłam.

- Filiżankę herbaty? - zaproponowała Rose.

Edie była zdecydowana wygłosić swą opowieść dopiero wtedy, gdy usiądą wygodnie w saloniku.

- Mogę pomóc? Posłodzić, złociutka? Byłyście na targu? - dopytywała się.

Odpowiedziały jej krótko. Znały etykietę.

- Teraz możesz już to z siebie wyrzucić. Widać, że mało cię nie rozsadzi - rzekła Rose, kiedy wreszcie usiadły.

Relacji Edie wysłuchały w milczeniu. Dolly z pewnością wypowiedziałyby jakieś słowa współczucia pod adresem Phoebe, gdyby nie widok pozbawionej wyrazu twarzy Rose.

- Coś podobnego - rzekła tylko, gdy Edie wyczerpała temat.

- Ta dziewczucha jest stuknięta. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby skończyła w pudle - wybuchnęła Rose.

- Och, naprawdę uważasz, że może do tego dojść? To straszne dla biednego Roya.

- I dla dzieciaków. Co to za życie mieć matkę kryminalistkę?

- Pamiętacie pożar w stajniach?

- To nie wszystko. A talerze, które znikają z sali zebrań?

- Uważasz, że...

- Ja nic nie mówię. Ale kogo innego w okolicy złapano na gorącym uczynku?

- O Boże, nie mogę o tym myśleć.

I tak w trakcie rozmowy Phoebe stawiała się recydywistką, obciążoną coraz to nowymi przestępstwami.

Po wyjściu Edie, kiedy w kuchni płukały filiżanki, Rose dała upust swym najsilniejszym uczuciom w powyższej kwestii:

- Że też musiałyśmy jechać do Fetherstone akurat wtedy, kiedy coś się tutaj dzieje. Gdybyśmy tak nie leciały do autobusu, zaszłybyśmy do sklepu w drodze powrotnej. Zawsze w piątki wstępujemy tam po pączki.

Dolly, ze względu na którą wyruszyły w podróż, obawiała się, że Rose może mieć do niej pretensje. Powiedziała więc pośpiesznie:

- Ale świetnie się bawiłyśmy po drodze.
 - Równie dobrze mogłybyśmy się bawić każdego innego dnia, kiedy Phoebe Peck zachowywała się przyzwoicie.
- Dolly nie odzywała się, pozwalając, by cisza złagodziła gniew Rose. Niebawem też tak się stało.
- Myślę, że ci będzie pasować - odezwała się Rose.
 - Co? A, chodzi ci o materiał. Pewnie. Jest śliczny.
 - Dzisiaj zrobię wykrój. Jak ci uszyję sukienkę, muszę wykończyć lalki na kiermasz. Obiecałam parę pani Burrows na stoisko z zabawkami.
 - Masz do tego smykałkę, Rose. Ja dam garnek korniszonów.
 - Uważaj, żeby Arthur niczego nie zobaczył, wstrętny sknera.
 - Lepiej byłoby, żeby nic nie widział - westchnęła Dolly. - Ale i tak specjalnie mi nie zależy na tej imprezie.
 - Mnie też nie, Dol. Ani trochę.

Rozdział 18

Blask słońca wpadał przez odsłoniętą połowę okna, przecinając pokój na dwoje. Oświetlona część pełna była wirujących drobinek kurzu, które żadną miarą nie chciały osiąść na powierzchni plastikowych podłóg, krzeseł ani wózka na kółkach. Oświetlona połowa, gdzie leżał Colin i siedziała Tessa, poświęcona była sprawom o fundamentalnym znaczeniu: oddychaniu, zaspokajaniu pragnienia, unikaniu niewygody. Jak zaczynamy, tak też i kończymy, myślała Tessa, patrząc na spierzchnięte usta Colina i zastanawiając się, czy warto go niepokoić podsuwaniem naczynka z pić. Z pewnością skinie głową potwierdzająco, gdyż polecono mu często pić, lecz związany z tym wysiłek wyczerpie go i prawdopodobnie zmartwi. Zerknęła na zegarek, pozostawiony wiele dni temu na blacie nocnej szafki, i postanowiła odłożyć tę męczarnię jeszcze na dziesięć minut. Trzymając się za rękę, w milczeniu, przetrwali ten czas.

Przeciwny kraniec pokoju, gdzie słoneczny blask zacierał detale i nie widać było unoszących się pyłków kurzu, wydawał się Tessie symbolem życia, przeżywanego radośnie i beztrąsko, podczas gdy ten mroczny kąt odpowiedni był tylko na początek i koniec żywota. Najgorętszym pragnieniem Tessy była ucieczka do światła, życzeniem Colina zaś pozbycie się dolegliwości żołądkowych.

Podczas jej ostatnich odwiedzin, przed czterema dniami, Colin mówił bez przerwy, przez pół godziny starannie przemyślawszy przedtem, co chce powiedzieć. Myśli jego krążyły wokół własnych dzieci i pierwszej żony. Spędzili razem cudowne lata i nie mógł uwierzyć, że nie ma to teraz żadnego znaczenia. Prosił Tessę, by porozmawiała o nim z jego dziećmi, gdy następnym razem przyjadą do Anglii, a zwłaszcza, by przypomniawszy im dziecięce lata, może już zapomniane, które przeżyły razem z Tessą, Nickiem i Paulem. Pragnął też, by napisała do Lucy i przekazała jej przyjazne słowa: „Jestem szczęśliwy, wspominając wspólnie spędzony czas i często o was myślę”. Wysłuchała go i uroczyście przyrzekła postąpić zgodnie z jego życzeniem, czując ulgę, że może mu to obiecać bez wahania. We wcześniejszym stadium choroby prosił ją, by zaprzyjaźniła się z Sophią. Szczęściem, gdy przedstawiła mu trudności związane ze wspomnianym przedsięwzięciem, roześmiał się i dał jej spokój.

Dziś nie miał sił, by mówić. Był tak zatopiony w sobie, że Tessa czuła się jak natręt i zastanawiała się, czy jej towarzystwo jest mu pociechą czy też zawadą.

Mimowolnie narastająca w niej tęsknota za światłem kazała jej wstać. Puściła rękę Colina i podeszła do okna, znajdującego się na najwyższym piętrze budynku. Widać z niego było ponury dziedziniec, na który zleciały się szpaki.

- Ależ te ptaszyska hałasują! - wykrzyknęła, chcąc wytłumaczyć jakoś swe nagłe zerwanie się z miejsca. - Ciekawy widok, Colinie. Jest ich tu całe mnóstwo. Fruwają jak oszalałe. Wiatr tak śmiesznie nastroszył im piórka. W tym świetle widać dobrze ich barwy - nawet plamki opalizującej purpury i zieleni. - Uniosła rękę ku zasłonie, ale tym razem powściągnęła nagłą chęć odsunięcia kotary i wpuszczenia światła, by napełniło ono pokój i być może pobudziło w Colinie świadomość wykraczającą poza granice ciała. Opuściła dłoń i spojrzała na łóżko. Uśmiechał się słabo. Czy wolałby, żeby już poszła? Czy też to ona chce wierzyć, że Colin pragnie jej odejścia? - Czas, byś się znowu napił - oświadczyła, podchodząc do nocnej szafki. Wsunęła mu rękę pod głowę, uniosła ją i przyłożyła dziobek naczynka do splekanych do krwi ust przyjaciela.

Wyzwoliło ją przyjście pielęgniarki.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzekła z łobuzerskim uśmiechem - ale zaraz tu będzie doktor. Trochę panu ulży - pocieszyła Colina, a następnie, spoglądając na Tessę, dodała: - Jeśli chce pani poczekać - na drugim piętrze jest poczekalnia.

- Nie, nie. Pójdę już. - Spojrzała Colinowi prosto w oczy i rzekła z udaną wiarą w głosie: - Zobaczymy się za parę dni. Pa, kochanie.

Zebrała swoje rzeczy i skierowała się do wyjścia, nie oglądając się za siebie. Starła się zachowywać tak, jakby te wizyty miały trwać w nieskończoność. Doskonale zdawała sobie jednak sprawę, że Colin przypatruje się jej - być może po raz ostatni.

Na krytym parkingu ktoś wołał. Tessa nie wsłuchiwała się zbyt wiele. Po chwili jednak z przerażeniem rozpoznała w tym anonimowym wołaniu swe imię. Odwróciła się i rozejrzała dookoła. Ujrzała, jak betonowym korytarzem pędzi ku niej Viv.

- Tes...so... tak się cieszę... że cię widzę! - wołała w biegu.

Uściskały się serdecznie.

- Jak on się czuje? - spytała z troską Viv.

- Gorzej. Chyba bardzo cierpi. Gdy wychodziłam, miał przyjść do niego lekarz, więc chyba nie pozwolą go wam od razu zobaczyć. Ale na drugim piętrze jest poczekalnia.

Viv wstrząsnęła się.

- O Jezus, chyba wolę tu poczekać. Podziwiam cię, Tess, że przyszłaś sama. Ja bym nie dała rady bez Jerry'ego.

Mąż Viv właśnie zbliżał się do nich ociężałym krokiem.

„Chciałaś powiedzieć, że Jerry nie dałby rady bez ciebie” - pomyślała Tessa.

Jerry wyglądał na przytłoczonego troskami, co nie powinno nikogo dziwić po piętnastu latach dyrektorowania jednym z najbardziej nieobliczalnych wydziałów uniwersytetu. Na jego twarzy malowało się zmieszanie - jak zwykle, gdy miał do czynienia z emocjami nie związanymi z uczelnią. Ów stan zakłopotania był jego jedyną reakcją na wiadomość, że Lucy opuściła Colina. Podobnie też zachował się, gdy Tessa publicznie rozplakała się z powodu romansu Nicka z Janet Wainright, wydziałowym wampem. Natomiast Viv żyła namiętnościami i katastrofami, uległszy przemianie z rozmarzonej, leniwej kalifornijskiej dziewczyny w pełną poświęcenia matkę trojga dzieci i niezmordowaną orędowniczkę wzniosłych celów, takich jak: rozbicie nuklearne, walka z zanieczyszczeniem środowiska, a także uwolnienie więźniów politycznych.

- Miałaś wiadomości od Lucy? - dopytywała się Viv.

- Ostatnio w Boże Narodzenie. Annabel była latem, a Simon ma chyba zamiar przylecieć pod koniec semestru.

- Czy zdąży jeszcze zobaczyć ojca? - Viv wzruszyła ramionami. - Ale jestem bardzo rada, że Colin widział się z Annabel. Tęskni za dziećmi. Nie uważasz, że powinniśmy ich namówić do przyjazdu?

- Raczej nie. Są w college'u. W każdym razie Colin nie znosi zamieszania.

- W takim razie może przyjechałaby Lucy.

- Niemożliwe - rzekła Tessa.

- Jest całkiem pochłonięta mężem numer trzy - zauważył Jerry.

- Numer trzy - jak echo powtórzyła Viv, zerkając w stronę swego numeru pierwszego i jedyne. - Powiedz, czy uważasz, że brakuje nam w tym względzie inicjatywy?

Jerry zignorował ją.

- A jeśli Lucy rzeczywiście przyjedzie, Sophia dostanie ataku hysterii - dodał.

Wszyscy westchnęli przeciągle. Viv wtuliła głowę w ramię Tessy. (Tessa wiedziała dokładnie, co Viv teraz powie).

- Jak ten czas leci, Tess. Powinniśmy się częściej widywać.

Tessa uśmiechnęła się w duchu, że tak łatwo potrafi ją rozszyfrować. Zdawała sobie sprawę z jej nieuczciwości. (Prawda wyglądała tak, że Viv cały swój wolny czas poświęcała szczytnym celom). Uświadomiła sobie, że długie przerwy między ich spotkaniami nie mają właściwie znaczenia, bo gdy się już zobaczyły, błyskawicznie zaczynały czuć się ze sobą swobodnie, jakby nigdy się nie rozstawały. „Jednakże jej nie mogłabym się zwierzać, pomyślała Tessa. Czulałabym się winna kradnąc czas Amnesty International”.

- Tak. To smutne. Słuchaj, gdy wszystko się ułoży, musisz przyjść w niedzielę na lunch - rzekła głośno.

Tessa czuła się winna. Z pewnością dla Viv i Jerry'ego jej słowa „wszystko się ułoży” odnosiły się do Colina. Jej zaś szło o zakończenie romansu Nicka z Maddy. Dopóki bowiem ten szczęśliwy moment nie nastąpił, wołała, by bystre oczy Viv nie obiegały jej domowego zacisza.

- O ile pójdziemy do pubu. Pamiętaj, nawet nie myśl o gotowaniu.

- Dobrze. Słuchaj, będę już lecieć. Muszę nakarmić żarłocznego psa.

- Tę rozwydrzoną małą bestię?

- Urwisa - rzekła Tessa z wyrzutem.

Viv i Jerry ujęli ją pod ręce z obu stron i odprowadzili do samochodu.

- Mam wrażenie - odezwał się Jerry, który na dłuższą metę nie mógł zapomnieć o sprawach zawodowych - że może znalazłoby się wyjście w sprawie tych papierów. Znać Rogera Delzine'a? Był z Colinem w Birkbeck, gdzie współpracowali przy serii książek. Przyjedzie na nasz wydział w przyszłym tygodniu i naturalnie zobaczy się z Colinem. Obiecał też odwiedzić Sophię. Najwyraźniej jest jedynym spośród jego przyjaciół, którego Sophia lubi i uznaje. Colin już mu powiedział o naszym małym kłopotcie. Roger jest gładki w obejściu i może mu się powieść.

- To będzie ulga dla Nicka.

Ulokowali ją w samochodzie, jakby była cennym ładunkiem, i machali na pożegnanie, póki nie odjechała.

W drodze powrotnej, czekając na światłach, Tessa ujrzała w samochodzie Maddy, ustawioną w przeciwnym kierunku. Najpierw rozpoznała auto, a potem kierowcę. Gdy światła zmieniły się, ruszyła powoli, patrząc, czy Maddy zauważyła volvo. Niestety mały biały samochodek pomknął żwawo naprzód i Tessa, w jednym ułamku sekundy, zdążyła zaledwie uchwycić obraz przyjaciółki, która bez wątpienia tylko w nieznacznym stopniu była świadoma otaczającego ją świata. Potrząsała głowę i wypowiadała jakieś słowa - przypuszczalnie w rytm muzyki. Miała figlarną, rozbawioną minę. Tessa chciała zawrócić, pojechać za nią i krzyknąć: „Chwileczkę, poczekaj na mnie”. Ani przez chwilę nie pomyślała, że Maddy śpieszy na spotkanie z Nickiem. Zobaczywszy przyjaciółkę przypomniała sobie bowiem o pewnym dniu z zeszłego roku, który spędziła z Maddy w Oksfordzie.

Maddy prowadziła, śpiewając wesoło w rytm muzyki (tej, której nigdy nie słuchała w domu, lecz wyłącznie w samochodzie). Obeszły sklepy, przymierzając ciuchy, których nigdy w życiu by nie kupiły, po czym zjadły późny lunch u Gianniego i zrobiły się takie wesolutkie, że musiały później przejść całe mile w słońcu, przez ogrody botaniczne i Christ Church Meadow, aż wytrzeźwiały na tyle, by dojechać do domu.

- Pięćdziesiąt funtów? Wydałaś pięćdziesiąt funtów na lunch? - dziwił się Nick, gdy Tessa wyjawiała ten fakt.

- Wydałyśmy pięćdziesiąt funtów na nas dwie, głuptasie - powiedziała Maddy z naciskiem, by go uspokoić. - Ale nie mów Robertowi.

- Boże drogi, chyba oszalałyście.

- To szczególna okazja, prawda, Tesso? Nick coś podejrzewał.

- Co za szczególna okazja? - dopytywał się.

- Była to okazja szczególna sama w sobie - rzekła Maddy zimno, nie żywiąc zbytnej nadziei, że taki tępak coś zrozumie.

Tessa, uśmiechając się na to wspomnienie, uświadomiła sobie z żalem, że Maddy jedzie teraz na spotkanie z tymże tępakiem. Czuła wzbierającą w sercu gorycz.

Zdażyła tylko co wejść do domu, gdy zadzwonił telefon. Nie spieszna jej było go odebrać. Zatrzymała się nawet, by pogłaskać Urwisa.

- Halo - powiedziała wreszcie.

- Przepraszam, kochanie. Coś mnie zatrzymało. Nie przyjdę na obiad.

- Tak mi się właśnie wydawało. Zapadła cisza.

- O co ci chodzi? - spytał Nick. Doskonale wie, o co mi chodzi, pomyślała. Sam przed sobą udaje, że nie ma o niczym pojęcia. Wstrętny hipokryta.

- Och, o nic. Jestem przybita, bo całe popołudnie przesiedziałam u Colina - rzekła w słuchawkę.

- Jest źle.

- Paskudnie.

- Spróbuję przyjść możliwie wcześniej.

Głupio, irracjonalnie, mając w oczach obraz Maddy - pełnej zapału, podśpiewującej za kierownicą - pośpiesznie zapobiegła rozczarowaniu przyjaciółki.

- Nie musisz się śpieszyć. Nie będę na ciebie czekać. Chcę się wcześniej położyć.

- W porządku. W takim razie całuję cię mocno. - Pa! Nick. - Odłożyła słuchawkę.

Nakarmiła zwierzęta, opróżniła kubek na śmieci, odskrobała przypaleniznę z kuchenki, a nawet przebiegła dwie kondygnacje schodów, by ocenić pracę, którą dziś rano wykonała. Wszystko to jednak robiła w półśnie, w głębi duszy żywiąc przekonanie, że Nick jest nic nie wart. To przeświadczenie nawiedzało ją już w przeszłości i najsukuteoczniej dawało się rozproszyć poprzez uporczywe koncentrowanie się na zaletach męża. Tessa wyobrażała go sobie w różnych sytuacjach, na przykład gdy jest on miły dla otoczenia, wrażliwy lub zabawny. Jeśli jego dobroć okazywała się niewystarczająca, wzbudzała w sobie litość, rozmyślając o tragicznie osieroconym, jedenastoletnim Nicku, aż jej serce wypełniły uczucia bezpieczne i właściwe.

Jednak dziś wieczorem czuła się zbyt zmęczona, by zawracać sobie głowę podobnymi sztuczkami. Schodząc ze strychu zatrzymała się na podeście pierwszego piętra i wyjrzała przez okno na spowite mrokiem Błonia. (Falistość starych szyb nieco zniekształcała widok.

Gdy lekko przechylała głowę, cienie - które rzucała lampa uliczna - dygotały niespokojnie, zamierając natychmiast, gdy tylko nieruchomiała i czekając na jej następny ruch). Nagle uderzyła ją myśl, że nie powinna wstydzić się miłości do kogoś, kto nie jest całkiem doskonały. „Jesteś wykończona nerwowo z powodu Colina, powiedziała sobie, i w tym stanie nie powinnaś zmieniać decyzji”. Była pewna, iż lepiej ufać postanowieniom już powziętym. Prawdą jest, że romans trwa dłużej, niż się spodziewała, ale niebawem się skończy. Musi. A teraz winna tylko dalej w to wierzyć.

Rozdział 19

Z rękę przyciśniętą do serca (była bowiem nieco staroświecka) Eleanor wyznała, że wolałaby zjeść lunch „Pod Jeleniem” w Fetherstone. A zatem znalazły się w sali jadalnej, wyłożonej wyblakłą dębową boazerią. Wszystko, co znajdowało się w niej, świadczyło - włączając kelnerki i kartę dań - że czasy świetności tego przybytku należą już do przeszłości. Tessa myślała z żalem o jasnych wnętrzach, fachowej obsłudze i świetnej kuchni kilku miejscowych lokali, lecz Eleanor promieniała zadowoleniem.

- Jakże dawno tu nie byłam. Chwileczkę... Przyszliśmy tutaj z Timothyem z okazji moich urodzin. W zeszłym roku? Nie, jeszcze rok wcześniej. Masz pojęcie, w czerwcu ubiegłego roku minęły dwa lata. Naturalnie, często przychodziłyśmy tu z Winifredą, ale to było bardzo dawno temu.

Jedzenie, zgodnie z przewidywaniami Tessy, było paskudne. Mimo to Eleanor jadła z apetytem. Szczególną przyjemność sprawiło jej, gdy kelnerka, poniewczasie pędząc z sosem miętowym, nagle zwróciła się do niej jak do mile wspomnianego gościa. A kiedy unosząc do ust widelczyk z kawałkiem ciasta agrestowego zobaczyła przy odległym stoliku znajomego duchownego z małżonką, jej zadowolenie sięgnęło szczytów.

- Kanonik Topping z żoną - zakomunikowała Tessie. Mieszając w filiżance fusowatej kawy, Eleanor przypomniała sobie nowinę, którą chciała się podzielić:

- Przypominasz sobie z pewnością wszystko, co robiłyśmy w zeszłym roku na rzecz funduszu na remont organów - poranki przy kawie, wyprzedaż rzeczy używanych i ten uroczy obraz, przedstawiający furtkę, który nam dałaś na loterię. Z funduszu tego pozostała ładna sumka, a więc komitet postanowił - i wiem moja droga, że cię to uraduje - zamówić niewielką tabliczkę, upamiętniającą lata pracy Winifredy jako naszej organistki. Chodzi nam o dyskretną mosiężną plakietkę w dobrym guście, którą umieści się na froncie organów. Timothy poświęci ją którejś niedzieli w czasie nieszpórów, pod koniec tego miesiąca.

Zawiadomię cię, kiedy to będzie dokładnie, bo na pewno zechcesz być przy tym obecna.

- Chyba tak - zgodziła się z roztargnieniem Tessa, przygnębiona wizją mszy, podczas której bez słowa sprzeciwu będzie znosiła

katusze. Przypomniła też sobie podobne sytuacje, kiedy postępowała i zachowywała się tak jak powinna, a nie jak miała na to ochotę. Z rosnącą paniką widziała, jak posłusznie spełnia pragnienia innych ludzi i odczuła przemożną chęć powrotu do pracy w swej pracowni, gdzie będzie sama jedna, panująca nad wszystkim, zależna tylko od siebie. - Nie wiem, czy Nick... - zaczęła wykrętnie.

- Och, tym się nie przejmuj. Usiądziesz ze mną w naszej ławce. W końcu będziemy dwiema osobami najbliższymi Winifredzie.

Tessa uniosła głowę i uśmiechnęła się do Eleanor.

- Tak, będziemy.

Rose Fettle siedziała przy stole, wbijając szpilki w lalkę. Właściwie to, co trzymała w rękach, nie wyglądało na lalkę, ale niebawem miało przybrać jej postać. Należało tylko pozszywać poprzipinane szpilkami miejsca. Wyciągała szpilki, w miarę potrzeby, z wyszywanej koralikami poduszeczki, za którą kiedyś uzyskała pierwszą nagrodę w konkursie Klubu Kobiet. Kiedy już była wystarczająco zadowolona z zasadniczego kształtu lalki, pogrzebała wśród szpulek w starej puszcze, znalazła taką, jaka jej była potrzebna i oderwała kawałek nitki, którą - polizawszy na końcu i skręciwszy między palcami - zdołała zmusić do przejścia przez ucho igły. Następnie poprawiła się na krześle i przybrała wygodną pozycję.

Usiadła w zwykły dla siebie sposób: ramiona przylegające do oparcia krzesła, łokcie na poręczach, robótka blisko twarzy. Lubiała tę pozycję. Właśnie tak siadywała jako dziecko, gdy kazano jej cerować domową pościel, oraz jako młoda kobieta, szyciem zarabiająca na chleb. Usadowiwszy się wygodnie, z oczyma utkwionymi w kawałku materiału, snuła wspomnienia. Ostatnio coraz częściej wracała myślą do swych najmłodszych lat, spędzonych w Back End Row.

Czuła się wówczas małą dziewczynką, naprawiającą pościel przy rodzinnym stole.

Lubiła ten ich stary domek. W piecu płonął ogień i jęczała woda w poczeriałym czajniku. Na zewnątrz, na błotnistej ulicy, przejeżdżający wóz konny rozpryskiwał kałuże, koło okna z krzykiem przebiegły dzieci. Kątem oka widziała matkę, która - wzdychając i narzekając - wstała i zapaliła lampę, gdyż okno było małe, a światło dzienne anemiczne. Gdy czajnik zaczął się krztusić, matka zdjęła go z ognia, a Rose, krzywiąc się, poczuła cierpki zapach pokrytego sadzą żelaza, zmieszanego z wonią wykrochmalonej bielizny, którą właśnie

cerowała. Pomyślała o pani Lamb z ostatniego domku, która miała kocioł do gotowania bielizny i brała pranie sąsiadów. Ona mogła, gdyż była samotną wdową, myślała Rose. U nas, gdy mieszkaliśmy wszyscy na kupie - matka, ojciec, Bobby, ja, a do tego owczarek ojca w budzie i świniak w chlewie za drzwiami z tyłu - nie starczało już miejsca na kocioł. Pomyśleć tylko, ileż osób mieszkało w środkowym domku: pięcioro Tubbinsów z jednej strony i liczna rodzina Dolly z głupkowskim Jimem z drugiej. Tuż obok wszyscy Partridge'owie w jednym końcu szeregu domków i pani Lamb w drugim. Wszyscy wtłoczeni w to, co ona nazywa Jasmine Cottage.

Natychmiast przypomniała sobie zdarzenie, jakie miało miejsce w miejscowym sklepie. Czekala na swoją kolej do maszyny krojącej bekon, przed nią zaś Maddy Storr głośno komentowała życie nieszczęśliwych niegdyś gnieźdzących się w pomieszczeniach, które świeżo przebudowała na swój dom. „Po prostu jedno na drugim, biedactwa. Pośrednik powiedział nam kiedyś, że mogło ich być piętnaścioro czy szesnaścioro. Wspólna ubikacja i Bóg wie ile osób w jednym łóżku. Nic dziwnego, że były choroby i dzieci poczęte wśród najbliższej rodziny”.

Obraz jej własnego dzieciństwa, przedstawiony przez panią Storr, wstrząsnął Rose. Ciągle rozpamiętywała te słowa, obsesyjnie powtarzała je w duchu, wyrywkowo porównywała ze swymi wspomnieniami. Teraz przyznała, że owszem, były choroby - dwóch chłopaków Partridge'ów zakasało się na śmierć, a pani Tubbins już się nie podniosła po piątym dziecku. Z niechęcią myślała też o bracie Dolly, Jimie, słyszała bowiem, że jest jakiś związek między kretynizmem a brakiem świeżej krwi. Niestety przypuszczenie, iż słowa pani Storr oparte są na faktach, tylko wzmogło jej oburzenie i niechęć. To wina pieniędzy, które pozwalają kobiecie wiedzącej o wsi tyle co nic wkupić się w życie wioski, zmieniać wszystko na swój sposób, nie licząc się z obowiązującymi dawnymi zwyczajami.

Igła w jej dłoniach śmigła teraz coraz szybciej. Rose przygotowywała plan kontraktu, przypominając sobie wszystko, co było dobre w tamtych czasach: poczucie wspólnoty, miłe towarzystwo oraz zwyczajne, codzienne radości. Nie musimy garściami rzucać forsą ani też burzyć i wywracać wszystkiego do góry nogami, by mieć coś z życia. My umiemy się cieszyć tym, co mamy i z niczego potrafimy coś wyczarować. Na przykład ja i Dolly wyprawimy

przyjęcie dla całej wioski, wykorzystując resztki pozostałe z przekąsek na kiermaszu.

Lalka była gotowa. Dolly urwała nitkę i odłożyła igłę. Teraz musi się zastanowić, jak ją ubrać. Spojrzała na kredens, gdzie stał już rząd gotowych laleczek na stoisko z zabawkami pani Burrow, a potem znów z namysłem przyjrzała się zrobionej kukielce. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Ze złośliwym uśmieszkiem na ustach zaczęła grzebać wśród skrawków materiału, wyciągając kawałki we wszystkich odcieniach czerwieni.

Tessa i Eleanor siedziały w samochodzie przed bramą Probostwa. Tessa mówiła z ożywieniem, gdyż po porannej ulewie wyszło słońce, a jej dusza zawsze rwała się ku światłu. Jasność zalała całe Wychwood. Alejki, na których jeszcze tu i ówdzie połyskiwały kałuże, łagodnie parowały i lśniły. Liście na krzewach błyszcząły promiennie. Tessa zdała sobie sprawę, że bez względu na kłopoty, życie jest piękne.

Przejeżdżając przez wioską minęły grupkę ludzi, którzy wyprowadzili psy i przystanęli, by poplotkować.

- Gdy tylko zaświeci słońce, wszyscy natychmiast nabierają ochoty, by wyjść z domu - zauważyła Eleanor. - Twój piesek pewnie z niepokojem strzyże uszami, czy jego pani nie wraca. - O, popatrz - ciągnęła. - Land rover Phoebe Peck stoi przed domem pani Bull. To jej samochód, prawda? Ciekawe, jaki Phoebe może mieć interes do tej starej plotkarki. A skoro o tym mowa, to niedawno pani Frogmorton bardzo ostro wyrażała się o biednej Phoebe. Nie dziwiłam się, kiedy Rose Fettle mówiła o niej takie nieprzyjemne rzeczy, ale pani Frogmorton? Cóż za małostkowość. Bogu dzięki, że Brenda dała się namówić, by trzymać język za zębami. Chyba winnyśmy podziękować za to pani Storr. Wszyscy ludzie, pomyślała Tessa, uwielbiają babrać się w błocie. Podczas gdy Eleanor mówiła z ożywieniem, Tessa obserwowała samochód. Teraz zauważyła w nim kilku pasażerów. Przyszło jej do głowy, że choć Phoebe zaparkowała przed domem pani Bull, gdyż w tym kierunku ustawiony był pojazd, równie dobrze można by uznać, iż czeka przed Holly House.

- Phoebe chyba przyjechała do mnie - powiedziała do Eleanor.

- W takim razie musisz wracać. Dziękuję, Tesso, za uroczy lunch. Bardzo miło z twojej strony, że mnie zabrałaś.

- Powtórzmy to jeszcze - obiecała Tessa. Ruszyła w kierunku domu. Zrównawszy się z land roverem, wysunęła głowę przez okno.

- Hej. Na mnie czekacie? - spytała.

Phoebe skinęła głową. Obok niej, na fotelu pasażera, dwie małe dziewczynki podskakiwały i rozglądały się ciekawie.

- Odstawię tylko samochód - zawołała Tessa. Phoebe wysiadła z land rovera. Kiedy Tessa wróciła, dzieci biegały po schodach Holly House i zeskakiwały ze stopni.

- Wejdźcie - zaprosiła ich uprzejmie do środka. Phoebe wyglądała na zakłopotaną.

- Chciałam cię o coś prosić - zaczęła nieśmiało. - Maddy wyszła, a...

- Aha, chcesz iść do sklepu. Naturalnie. Chodźmy.

- To przez dzieciaki - wyjaśniła Phoebe. - Późno zabrałam je z przedszkola i obiecałam im za to lizaki, jak wrócimy.

- Lizaki, tak? - odezwała się Tessa do chichoczących dziewczynek.

Gdy tylko Phoebe weszła z Tessą do sklepu, zapadła gwałtowna cisza.

- Idźcie i wybierzcie sobie - powiedziała Phoebe, popychając dziewczynki.

- Dzień dobry, Brendo! - zawołała Tessa. - Dzień dobry, pani Meers.

- Dobry, dobry - niechętnie mruknęła Brenda. - Obsłużę te dwie, jeśli pani pozwoli - odezwała się konfidencjonalnie do pani Meers. Mogła też dodać: żeby się ich pozbyć, gdyż nie uległo wątpliwości, że to właśnie miała na myśli.

Pani Meers była niezwykle rada, że dzięki temu może opóźnić wyjście ze sklepu i wchłonąć każdy szczegół lizakowej transakcji. Brenda obeszła ladę i podniosła energicznie wieko lodówki.

- Czerwony, pomarańczowy czy czekoladowy? - spytała.

- Czerwony - odpowiedziały nieśmiało.

- Poproszę - dodała Phoebe, w myśl zasad dobrego wychowania, by podkreślić swą pozycję w wiosce jako pani Peck.

- Poproszę - wyszeptała każda z dziewczynek.

- Należy się trzydzieści pensów. - Brenda wyciągnęła rękę.

Phoebe odliczyła pieniądze.

- Dziękuję.

- To ja dziękuję - rzekła Brenda ze złością.

Tessa poczuła, że brakuje jej tchu. „Wredna małpa” - chciała już powiedzieć w drodze powrotnej do Holly House, ale - by nie ranić uczuć Phoebe - postanowiła udawać, że nie zauważyła grubiaństwa Brendy.

- Może napijemy się herbaty - zaproponowała.

- Wypaprzą wszystko lizakami.

- Nie szkodzi. Będziemy w kuchni.

- Póki będą jeść lizaki, mogą się bawić na schodach. Tessa robiła herbatę, a Phoebe siedziała zamyślona wpatrując się w kwiaty, schnące na gzymsie kominka.

- Jest bardzo miła, prawda? - odezwała się nagle.

- Kto? Maddy? - rzuciła na chybił trafił Tessa.

- Taak - odparła Phoebe, zdumiona, że można było mieć jakieś wątpliwości, o kogo chodzi. - I taka zabawna. Czasami mało nie pęknę ze śmiechu, gdy wyprawiamy się po zakupy. Przymierza zwariowane kapelusze.

- Tak, owszem - przyznała Tessa, przypominając sobie ich wspólne wypadki.

- Ale nigdy ich nie kupuje.

- Chyba nie lubi kapeluszy.

- Ja też nie. I ładna jest, prawda? Jak na swój wiek. Tessa uśmiechnęła się.

Zapadło milczenie, po czym Phoebe znów się odezwała:

- Była dla mnie bardzo dobra, jak miałam kłopot.

- Wiem. Czujesz się lepiej, Phoebe?

- Czasem tak, czasem nie. Zależy. Jak sobie porządnie pogalopuję na koniu, przeważnie robi mi się lepiej.

Przyszły dziewczynki i umyły buzie oraz ręce w zmywalni. Usiłowały bawić się z Urwisem, ale okazało się, że on wcale nie ma na to ochoty. Tessa pokazała im kilka torebek z lawendą, jakie zrobiła na kiermasz bożonarodzeniowy.

- Znowu przygotowujecie podwieczorek razem z Maddy? - spytała Phoebe.

- Oczywiście.

- My z Royem dajemy ser na kanapki.

- Dziękuję. Zapiszę to na liście.

- Chodźcie, panny, wracajmy do domu, zanim babcia pomyśli, że was utopiłam czy coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się nieporadnie do Tessy i dodała: - Dzięki, wiesz za co.

- Nie ma o czym mówić. Cześć, dziewczynki.

Żegnając się hałaśliwie zbiegły ze schodów i wskoczyły do land rovera.

Tessa patrzyła, jak odjeżdżają i zastanawiała się z niepokojem, czy Maddy zdaje sobie sprawę, że Phoebe coraz bardziej na niej polega.

Rose obserwowała z okna, jak Arthur Cloomb, powłócząc nogami (wieczorem był już półżywy, póki nie strzelił sobie drinka), wyszedł przed bramę swego domu. Po chwili naciągnęła palto, zasunęła rygiel i pośpieszyła na ulicę.

- Dolly! - zawołała, otwierając drzwi z tyłu domu Cloombów. - Jesteś tu, Dolly? - zapytała wszedłszy do kuchni.

Dolly grzała się przy kominku. Czekwała na tę okazję przez ostatnią godzinę, z każdą minutą coraz bardziej ziębnąc i sztywniejąc. Niemniej, gdy Arthur wyszedł, dorzuciła do ognia tylko jedną małą szczerpkę, nie chcąc wzniecać wielkiego żaru tylko dla siebie.

- Tak - odparła niechętnie. - Jestem tutaj.

- Poszedł sobie, co? Chodź do mnie, coś ci pokażę. O Boże, to ma być ogień? Postaw osłonę, kochana, i chodźmy porządnie się ogrzać. - Poszła do holu i zdjęła z kołka płaszcz Dolly.

Popędziły ulicą, kuląc się w paltach. Gail Partridge, skręcająca właśnie w Close, zobaczyła je (a właściwie dwa cienie) i pomyślała, że ani chybi znowu coś kombinują.

- O, to się nazywa ogień! - wykrzyknęła Dolly spojrzawszy na kominek. - Arthur strasznie skąpi na drewnie, szczególnie jak wychodzi wieczorem. - Podbiegła do kominka, wyciągając ręce.

- Siadaj, złociutka - powiedziała Rose, wielkodusznie popychając ją na swe ulubione krzesło. Jakiś czas siedziała spokojnie, czekając, aż Dolly odtaje, by umysł jej stał się bardziej chłonny, po czym uniosła się i podeszła do kredensu. - No i co o tym myślisz? - zapytała, powracając z najnowszą lalką.

Dolly zauważyła, że najświeższa lalka nie uśmiecha się głupawo, jak wszystkie standardowe wytwory marki Fettle, lecz ma zdecydowanie złośliwy wyraz twarzy. Rose rozchyliła delikatnie czerwoną spódniczkę lalki, by pokazać, iż jest zszyta w środku.

Dolly zapało dech w piersiach.

- O rany, Rose, toż ty ją zrobiłaś.

- Oto nasza pani przewodnicząca - potwierdziła Rose. -
Wypiłabyś filiżankę kakao?

Rozdział 20

Maddy postukała długopisem w szklanę z wodą i poprosiła zebrane o spokój.

Posłusznie zamilkły. Te, którym brutalnie przerwano w pół zdania, obiecały sobie resztę dopowiedzieć później, inne, które nie zdążyły dojść do słowa, z żalem zrezygnowały z cisnących się na usta komentarzy. Spojrzały ku stołowi na podeście, gdzie przewodnicząca w asyście swych urzędniczek wyjmowała plik papierów z dyrektorskiej teczki. Panią Davenport, sekretarkę, poproszono o przeczytanie protokołu z ostatniego zebrania, co wykonała należycie, zyskując powszechną aprobatę. Następnie wezwano skarbnika. Pani Joiner podniosła się i przeczytała proste zestawy liczb, gmatwając raport opisem swego samopoczucia oraz poczynąń rodziny Joinerów w trakcie sporządzania bilansu. Maddy od czasu do czasu pochylała się ku niej służąc pomocą, składając wyjaśnienia oraz tłumacząc niejasności na użytek reszty członków. Gdy przyszła kolej na samą przewodniczącą, Maddy wstała trzymając w ręku plik papierów i zakomunikowała w skrócie wszystko, co było do przekazania na temat korespondencji z grubymi rybami z innych klubów. Zachęciła członkinie, by liczniej brały udział w konkursach, a także poleciła kilka kursów i wycieczek. Poprosiła też o wsparcie dla ich nowego przedsięwzięcia, to jest o pomoc samotnym matkom mieszkającym w mieście.

Wywiązała się dyskusja. Niektóre z pań odniosły wrażenie, że przewodnicząca narzuca zbyt szybkie tempo. Pani Burrows przeciwstawiła się ostatniemu wnioskowi, oświadczając, że klub w Wychwood nie jest duży i należy się dobrze zastanowić, nim wezmą na siebie dalsze zobowiązania. Wiele członkin przyznało jej rację. Pani Fettle wyraziła pogląd, że ludzie na wsi też mają swoje problemy i zyskała żywy aplauz. Maddy z żalem zrezygnowała z dalszego omawiania problemu matek w mieście. Dziś wieczór chodziło jej tylko o to, by zebranie po prostu się odbyło, a członkinie podniosły ręce we właściwych momentach i pozwoliły jej wyjść dokładnie o wpół do dziesiątej.

Naturalnie trzeba też będzie sprytnie wpłynąć na prelegenta, który ma gościnnie wygłosić wykład. Na szczęście dzisiejsza pogadanka będzie ilustrowana slajdami. Ciemność pozwoli więc Maddy cichcem

doprowadzić zebranie do szybkiego finału, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Mówca był wyłącznie „zapchajdziurą” i występował jedynie za cenę zwrotu kosztów, w nadziei, że zjedna sobie klientów dla centrum ogrodniczego koło Fetherstone. Prelegentów, wygłaszających pogadanki bez honorarium, zapraszano głównie dlatego, by zaoszczędzić funduszy na opłacenie mówców, poruszających bardziej atrakcyjne tematy. Maddy wiedziała, że tego wieczoru może być pewna jednej rzeczy: kawa i herbatniki będą podane sprawnie i szybko. „Chcę stąd wyjść punktualnie” - zwierzyła się wcześniej Jane Bowman i Sarah Grace, dzisiejszym gospodyniom, młodym kobietom, które podadzą i sprzątną bez zamieszania. Co więcej, to właśnie Jane Bowman sprawowała w komitecie pieczę nad kluczem do domu ludowego, toteż można jej było powierzyć zamknięcie budynku.

Przedstawiono prelegenta, który miał wygłosić pogadankę na temat roślinności alpejskiej. Gdy poustawiano i uruchomiono sprzęt, zgaszono światło i mówca rozpoczął wykład, parę osób spośród publiczności potraktowało to jako sygnał do zagłębienia się we własne sprawy, a niektóre, jak na przykład pani Peck, do całkowitego wyłączenia się.

Eleanor Browne poddała się trapiącym ją wyrzutom sumienia - czuła, że jest marną istotą, sprawiającą Bogu rozczarowania. Przypomniała sobie, jak przed południem na Probostwo przyszła Edie Partridge z prośbą, by pastor odwiedził jej cierpiącego teścia, mieszkającego pod numerem drugim w Almshouses. Ponieważ Timothy'ego nie było wówczas w domu, Eleanor obiecała przekazać mu wiadomość. Niestety, nim zdążyła zrobić notatkę w specjalnie do tego przeznaczonym bloku na biurku Timothy'ego, zadzwonił telefon i w zamięcie dalszych spraw, które trzeba było zanotować, zapomniała o biednym panu Partridge. Pechowiec pozostawał w zapomnieniu aż do wieczora, to jest póki Eleanor nie przybyła do sali zebrań, gdzie natknęła się na Edie, raczącą zebrane panie relacją o nagłym pogorszeniu się stanu zdrowia teścia. (Wówczas nie było już sensu pędzić z tą wiadomością do domu, gdyż Timothy akurat prowadził klasę przygotowawczą do konfirmacji). Eleanor lękała się, że jej zaniki pamięci stają się patologiczne. Wybacz mi, Boże, modliła się, mając oczy zamglone łzami, gdyż wpatrywała się w zbyt jaskrawo oświetlony na ekranie pagórek pełen

szarotek, i - jeśli taka będzie Twoja wola - nie pozwól, bym stała się jak nieszczęsna ciocia Bo. Aby uniknąć podejrzania o niechęć do swej zmarłej krewnej, dodała: Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie. Pozbywszy się poczucia winy, zwróciła się ku następnemu zagadnieniu - odkupieniu grzechów. Jak zachować w pamięci pana Partridge'a, póki nie znajdzie się w bezpiecznej bliskości notatnika Probostwa? Musiała jakoś pobudzić swą pamięć. W którejś kieszeni miała ołówek i kilka skrawków papieru, jednakże - zastanowiła się - jeśli zrobi notatkę, czy może mieć pewność, że przeczyta ją w domu? Czy aby nie wyciągnie jej z kieszeni po wielu dniach, gdy imię Timothy'ego w kręgach Partridge'ów będzie zmieszane z błotem? Naturalnie, może zawiązać supeł na jednej z licznych chusteczek, które przy sobie nosi, ale znowu nie ma żadnej gwarancji, że go zauważy. Na co musi zwrócić uwagę po powrocie? Wyobraziła sobie, jak wchodzi do domu kuchennymi drzwiami, kierując się do garderoby, by zdjąć palto. I nagle wpadła na pomysł: przywiąże coś do suwaka swego palta (w którejś kieszeni musi mieć kawałek sznurka lub nitki). Ukradkiem zaczęła poszukiwania.

Teraz już Phoebe Peck leciutko pochrapywała. Rose Fettle, siedząca po jej prawej stronie, trąciła łokciem Dolly Cloomb. Pani Frogmorton, znajdująca się z jej lewego boku, mamrotała ponuro: - Boże, Boże - prosto w ucho pani Bultitude, która cmoknęła z dezaprobatą. Uznawszy kwiaty alpejskie za niezbyt fascynujące, wszystkie cztery damy zaczęły rozpamiętywać słynne wykroczenie Phoebe.

Sally Grace groźnie spoglądała na ekran, jak gdyby krajobraz szwajcarski był jej nienawistny albo też jakby dostrzegła na ekranie znajomą sylwetkę nauczycielki swego dziecka - złośliwej megieri, która dziś po południu niepochlebnie wyraziła się o zachowaniu małej Pipy Grace.

Slajdy przedstawiające florę alpejską nie przyciągnęły też uwagi pani przewodniczącej. Maddy upajała się swym szczęściem, gdyż cudownym zrzędzeniem losu tym razem on pierwszy zadzwonił. Był to fakt o ostrej wymowie erotycznej, nasuwający jej pewne refleksje odnośnie własnego postępowania: zdumienie z powodu ryzyka, na jakie się narażała (ona, która zawsze dbała o dobrą opinię), a także nowego, przeraźliwego odkrycia w swej świadomości, iż jeśli pragnie czegoś dostatecznie silnie - niechybnie po to sięgnie.

Usprawiedliwiała się, iż nie mając życiowego doświadczenia, nie potrafiła oprzeć się pożądaniu. Do tej pory знаła tylko umiarkowane rozkosze zmysłowe. Gdy dziewczęta w szkole i w biurze snuły się nieprzytomne, omdlewały i wpadały w histerię, sądziła, że przesadzają, chcąc uchodzić za bohaterki dramatu. Nigdy nie wyobrażała sobie siły tak potężnej. Zdumiewało ją, że namiętność mogła rozwinąć się w niej mimo posiadanej wiedzy o licznych wadach Nicka. Doskonale przecież знаła historię jego zdrad małżeńskich. Gdyby Robert, tak jak Maddy, słuchał wynurzeń na ten temat, nazwałby go kanalią. Rozmyślając o kłopotach Tessy, Maddy przyznała, że to właściwe słowo. (Mimo to zbyt długo nie zatrzymywała się myślą na zwierzeniach przyjaciółki, gdyż rodziły one bardzo niemiłe uczucia). Nick to człowiek czarujący, dowcipny, wrażliwy, lecz nie jest mężczyzną, z którym związałyby się kobieta rozsądna - ostrzegała w myślach samą siebie. Przerodzenie się ich dość burzliwej przyjaźni w nagły zmysłowy pociąg było zupełnym niepodobieństwem i to, jak domyślała się Maddy, przede wszystkim zauroczyło Nicka. Fascynowało go też poczucie własnej mocy, która rozpałała Maddy, po tylu latach doprowadzając do jej rozbudzenia. „Jesteś jak dzika kotka - dziwił się, gratulując sobie w duchu - kto by pomyślał”. Czasami wyobrażała sobie, jak jego namiętność zmienia się w nienawiść - w miarę jak rośnie jego lęk przed utratą Tessy i jak zaczyna sobie uświadamiać, że Maddy zdradza najlepszą przyjaciółkę. „Muszę to jakoś skończyć, byleby nie gwałtownie. I jeszcze nie teraz, Boże, jeszcze nie teraz” - pomyślała z rozpaczą. Ten cholerny facet nigdy nie przestanie głądzić. Przy świetle projektora zerknęła na zegarek. Do diabła, pięć po dziewiątej. Spokojnie wstała, zaczekała, aż prelegent zaczerpnie oddechu, po czym podeszła i szepnęła mu coś do ucha. (Jeśli o nią chodzi, może mówić tak długo, jak sobie życzy, oświadczyła, ale niestety robi się późno, a niektóre panie są już w podeszłym wieku). Chętnie zgodził się szybciotko przelecieć kilka ostatnich slajdów.

Gdy zapłonęły światła, Phoebe ocknęła się ze snu i usiadła prosto. Potargana, z wytrzeszczonymi oczyma, miała przestraszony wygląd zbyt wcześnie przebudzonego dziecka. Pani Burrows powstała z miejsca, chwytając się stojącego przed nią krzesła, i w imieniu zgromadzonych złożyła podziękowanie, co przyjęto oklaskami. Potem otwarły się drzwi i podano kawę z herbatnikami.

Była dziewięta trzydzieści. Nogi Maddy, które drżały jak galareta i ledwo dawały radę utrzymać jej ciężar, przeniosły nieszczęsną przez pokój, by mogła stanąć u boku Jane Bowman. Kiedy Jane ponownie obiecała, że dopilnuje, by wszyscy opuścili salę, po czym pozamyka, Maddy schwyciła swą torebkę na ramię i pobiegła ile sił w nogach. Siedząc już w samochodzie i szukając kluczyków uczuła, iż cała drży i obawiała się, czy będzie w stanie prowadzić. Niemniej jednak w ciągu paru sekund opuściła Wychwood.

- Gdzie jest Maddy? - zawołała Phoebe jak porzucone dziecko. - Nie mogła przecież tak po prostu pójść.

- Wybiegła jak opażona - oświadczyła pani Davenport, która widziała umykającą w pośpiechu Maddy.

- Dziwne. Zupełnie do niej niepodobne - powiedziała Phoebe.

- Chyba nie za dobrze się czuła. Była jakaś niespokojna. Nie mogła usiedzieć na miejscu - zauważyła pani Joiner.

Pani Frogmorton zirytowała się.

- Coś podobnego! A ja chciałam ją wypytać o nasze stoisko na kiermaszu bożonarodzeniowym.

- Jakie stoisko? - spytała pani Burrows, która prowadziła kiosk z zabawkami i nie chciała rozproszenia sił. - W zeszłym roku niczego takiego nie mieliśmy.

- Ale poprzednio było - przypomniała pani Bultitude.

- Racja. Kiedyś Maddy je prowadziła, prawda, Pat?

- Całymi latami zajmowała się tym pani Grieves.

- A Dolly robiła korniszony z jarzynami, specjalnie na nasz stragen - wtrąciła Rose.

- Widzicie? - triumfalnie wykrzyknęła pani Frogmorton, gdyż argument ten zanegował konieczność dalszej dyskusji.

- Zostawiła teczkę! - wrzasnęła Phoebe i z czułością przytuliła do piersi aktówkę Maddy.

Jak na komendę odwróciły się i popatrzyły na nią ze zdziwieniem.

- Zabiorę ją - powiedziała spokojnie pani Joiner.

- Przechodzę koło domu Maddy. Podrzucę jej.

- Nie, ja to zrobię - rzekła Phoebe.

Zebrane wokół niej kobiety poczuły się wyraźnie zażenowane zaistniałą sytuacją. Przypomniały sobie ostatni incydent, którego bohaterką była Phoebe.

- Ależ pani Peck - rzekła spokojnie pani Frogmorton, postępując naprzód i kładąc rękę na teczce.

Phoebe rozprawiła się z oponentką równie skutecznie, jak obeszlaby się z rozbrykanym ogierem.

- Odczep się. Ja ją biorę! - wrzasnęła.

Gdy pani Frogmorton utulała swe wzburzenie w ramionach przyjaciółek, Phoebe wybiegła z hallu i pomknęła ku bezpiecznej przystani, jaką było dla niej Jasmine Cottage.

Nick nie wrócił do domu ani nie zatelefonował. Jego obiad - fetuccini, które nie nadaje się do odgrzewania

- Tessa zaniósła do zmywalni i wyrzuciła do śmieci. Potem poszła na górę do pracowni, by przejrzeć szkice i notatki na jutrzejszy dzień. Przez następne dwie godziny nie myślała o Nicku. Nie dopuszczała też do swej świadomości faktu, że już czwarty wieczór z kolei urywał się, by zobaczyć Maddy. Przyszła tu, by pozbyć się złych myśli. Była pochłonięta pracą, a więc czuła się bezpieczna.

Dźwięk telefonu wstrząsnął nią gwałtownie. Odłożyła notatki i wpatrywała się w dzwoniący aparat. Niemożliwe, by był to Nick. Prawdopodobnie dzwonił Paul.

- Och, to ty Robercie - powiedziała po chwili wahania, podniósłszy słuchawkę. Głos jej drżał, a w gardle czuła nieprzyjemny skurcz.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział, gdyż Tessa długo nie odbierała telefonu i wydawała się wzburzona. - Nie wiesz przypadkiem, gdzie może być moja żona?

- Nie. Dlaczego pytasz? Zgubiłeś ją? - Ten wymyślony pośród ogarniającej ją paniki żart wydał się jej mistrzowski.

Roześmiał się uprzejmie.

- Naturalnie, dziś jest zebranie Klubu Kobiet. Powiedziała, że musi jeszcze potem gdzieś iść. Mógłbym przysiąc, że do Peck'ów, ale Phoebe właśnie przyszła z teczką Maddy. Najwyraźniej Maddy opuściła zebranie w strasznym pośpiechu, skoro zapomniała jej zabrać. Zastanawiałem się, czy mi się coś nie pomyliło i czy wy obie nie umówiłyście się, żeby dokądś pójść. Właściwie spodziewałem się, że to Nick odbierze telefon.

- Nie, dziś wieczorem nigdzie się nie wybieramy. Nie martwiłabym się zbytnio na twoim miejscu. Maddy może robić tysiąc najprzeróżniejszych rzeczy. Założę się, że jest zajęta w związku z

tymi diabelnymi przekąskami na kiermasz bożonarodzeniowy. Strasznie się nimi przejmuję. Uważa, że powinnam też tak szaleć, ale znasz mnie - nie lubię się przemęczać.

Ze zdumieniem zauważyła, że głos jej był spokojny i łagodny. A więc ma talent do wykrętów. Nigdy siebie o to nie podejrzewała. Szkoda, że to nie ona nałogowo wdaje się w romanse. Umiałaby je lepiej skrywać niż biedny stary Nick. Jednakże Robert zaraz wytrącił ją z błęgiego stanu zachwyty nad własną osobą.

- Tesso, czy mogę cię o coś zapytać? - spytał nieśmiało.

- Zależy o co - odparła niefrasobliwie.

- Chyba nie pokłóciłyście się z Maddy?

- O Boże, nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem - burknął z rozdrażnieniem. - Mniejsza z tym. Po prostu zachowuje się dziwnie. Ciągłe zmienia się jej nastrój. Raz jest słodka, a za chwilę kwaśna jak ocet. I uderzyło mnie, że wzmianka o tobie wyprowadza ją z równowagi.

- Coś podobnego... Ale, hm, prawdopodobnie chodzi o to, co powiedziałam, Robercie. Wiesz, ma mnie dosyć, bo się zbyt nie przejęłam tą historią z zakąskami. - (Boże, ależ to nieporadnie brzmi. Musi wymyślić coś bardziej przekonującego). - Nie chcę zawracać ci głowy szczegółami, ale cisną nas, żebyśmy wyzebrały też składkowe jedzenie na kolację po turnieju wista...

- Daj spokój, to już słyszałem. Prawdopodobnie masz rację. Przepraszam, że was niepokoiłem. Przepraszam ode mnie Nicka.

Gdy pożegnał się i odłożył słuchawkę, Tessa nie mogła już nie myśleć o Nicku. Siadła skulona, zastanawiając się, jak powiedzieć mężowi, by nie okazał zdziwienia, jeśli Robert wspomni o ostatniej rozmowie. Jak go do tego nakłonić, nie wzbudzając podejrzeń? A jeśli Robert zdecyduje się powtórzyć żonie wykoncypowane przez nią wymówki, jak Maddy na to wszystko zareaguje? Jakże pragnęła teraz odwołać swe nieporadne słowa, zachować się inaczej, odpowiadać spokojnie, krótko i niezobowiązująco. Powinna była tylko poinformować Roberta, że nie wie, gdzie jest Maddy i zignorować jego wszelkie wzmianki o Nicku.

To lęk kazał jej posłużyć się kłamstwem, lęk przed tym, co Robert może zrobić Nickowi. A także obawa przed zniweczeniem jej planu, gdyż Robert w żadnym razie nie dałby się przekonać, że trzeba cierpliwie poczekać, aż romans się skończy i będą mogli udawać, iż

nic się nigdy nie wydarzyło. Instynkt będzie mu podpowiadał, żeby wyrwać z tego Maddy i natychmiast zaprzestać wszelkich kontaktów z Brierleyami. O Tessie będzie miał równie złe mniemanie, co o jej mężu. Wiedziała, że choć jest dobry i poczciwy wyznaje tradycyjne poglądy i z pewnością uważa, że Nick może i nie byłby takim łobuzem, gdyby to, czego szuka, znajdował w domu. Westchnęła, zastanawiając się, jakże często mężczyźni obarczają winą za swe niepowodzenia wyłącznie kobiety.

Snując podobne rozważania Tessa podniosła się i stojąc odwrócona plecami do tablicy, do której przyczepiała szkice, wpatrywała się w odbicie swej głowy i ramion w czarnym szkle szyby. Zdawało się jej, że obraz ten tkwi tam od dawna. Tak jak sen wydaje się czymś stałym terytorium, opuszczanym tylko czasowo, by zająć się codziennymi sprawami, tak jej twarz zawsze pozostaje na szybie, nawet wtedy, gdy ona wychodzi z pokoju. Blaknie jedynie w świetle poranka. Obraz ten, absolutnie nieruchomy, zielonkawożółty, paraliżował ją spojrzeniem wielkich oczodołów i napawał lękiem. Patrząc w ciemność za oknem uświadomiła sobie, że nie będzie mogła liczyć na to, iż Robert weźmie udział w prowadzonej przez nią grze na przeczekanie, gdyż sama nie była już pewna jej skuteczności.

Phoebe czekała w swym samochodzie zaparkowanym przed domem ludowym. Usadowiwszy się bokiem na fotelu pasażera, oparła stopy o siedzenie kierowcy i opłótła ramionami łydki. Obserwowała Jasmine Cottage. Światło padało ukośnie znad frontowych drzwi i płonęło ciepłym blaskiem za licznymi oknami, w których zaciągnięto jasne zasłony. Robert ma pretensje, że Maddy wyrzuca pieniądze na ciuchy, ale nie zawraca sobie zbytnio głowy rachunkami za elektryczność.

Przed paroma minutami zapewnił ją, że Maddy nie ma w domu, gdyż nie wróciła jeszcze ze spotkania w klubie. Phoebe nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Była bowiem pewna, że padnie w ramiona Maddy, wręczy jej teczkę i usłyszawszy gorące podziękowania podzieli się z nią swymi uczuciami, zranionymi podejrzliwością członkiń klubu. Wszystko to widziała tak wyraźnie podczas swej ucieczki z domu ludowego, że umysł jej nie mógł poradzić sobie z nagłym unicestwieniem jej oczekiwań. Stała na progu, mrugając nerwowo oczyma. Z drugiej strony ulicy dobiegły ją przyciszone głosy. (Przyglądały się, oczywiście, by mieć pewność, że

oddała teczkę. Boże, nie może przecież teraz wrócić i stanąć z nimi twarzą w twarz). Gdy Robert pośpiesznie zamknął drzwi, umknęła pod rozłożysty krzew rosa mundi i przycupnęła tam w mroku, czekając, aż głosy umilkną, kroki oddalą się, a samochody odjadą. Raz czy dwa wyczulonym uchem posłyszała, jak wymawiają jej imię pośród słów: „wiedziałam”, „Brenda mówiła”, a także „Biedny Roy i dzieciaki”. Złośliwe krówska, pomyślała, wstrętne stare wiedźmy. Właściwie powinna była przyłożyć tej Frogmorton, a przy okazji dać innym parę kuksańców.

Niebawem w Wychwood zaległa cisza. Odgłosy przejeżdżających samochodów, tajemne szelesty, nagłe okrzyki, słabe porykiwania była - to były jedyne dźwięki. Wyprostowała się, wstała, bezszelestnym krokiem przeszła przez ulicę i wsiadła do land rovera.

Phoebe wciąż czekała na Maddy. Siedziała już dwie godziny, odliczając w myśli kuranty kościelnego zegara, bijące co kwadrans (zamilkną między północą a siódmą rano, gdyż wówczas zegar wybija tylko godziny). Nawet gdy wyszła na chwilę z samochodu, by rozprostować kości, nie odrywała wzroku od drzwi Jasmine Cottage.

Siedziała w tej samej pozycji, gdy samochodzik Maddy wreszcie nadjechał i skręcił w podjazd parę stóp od domu. (Maddy zazwyczaj zostawiała auto na zewnątrz, w alejce, Robert zaś w garażu). W jednej chwili wyskoczyła z land rovera i przeszła przez ulicę.

Maddy wyłączyła silnik, odpięła pas, wzięła torebkę na ramię z fotela obok i zamierzała wysiąść z samochodu.

- Gdzie byłeś? - spytała Phoebe, wyłaniając się nagle spomiędzy cieni.

Maddy, która właśnie podniosła się, raptownie znów usiadła.

- O Boże! Ty głuptasie! Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Gdzie byłeś.

Starając się zachować panowanie nad sobą, Maddy wysiadła z samochodu.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Czekałam na ciebie. Zostawiłeś teczkę. Znalazłam ją i zaniósłam Robertowi. Te stare babska myślały, że chcę ją zwinąć. Szkoda, że ich nie widziałas. Wszystkie patrzyły tak wstrętne. Ta Frogmorton chciała mi ją wyrwać, ale odepchnęłam babę. Jakbym ci kiedykolwiek coś zwinęła! Ze sklepu też nie chciałam nic wziąć. To przez te moje pigułki.

- Ćśś, wsiądźmy do samochodu. Pogadajmy sobie spokojnie.

- Dobrze.

Phoebe obeszła samochód dookoła. Maddy wsiadła z powrotem i pochyliła się, by otworzyć drzwi od strony pasażera. Phoebe usiadła obok niej.

- Ale o czym będziemy rozmawiać? - spytała.

- Hm? - mruknęła Maddy z roztargnieniem.

- O czym będziemy rozmawiać? - powtórzyła Phoebe.

- Aha. Zdaje się, że jak wyszłam, powstało małe zamieszanie. Chciałabym wiedzieć, o co poszło. Nawiasem mówiąc, zaniósłś teczkę Robertowi?

- Taak. Trochę się zdenerwował. Powiedział: „Więc nie jest z tobą?” czy coś w tym rodzaju. Gdzieś się podziewała, Maddy? Chyba nie byłaś z żadnym facetem?

- Co też ty mówisz! Nie, oczywiście, że nie. Moja przyjaciółka ma straszne zmartwienie i chciała się ze mną widzieć. Robertowi naturalnie wszystko się poplątało i myślał, że idę do ciebie.

- Och, to dlatego, że ja mam też zmartwienie - rzekła Phoebe bez najmniejszej urazy.

Maddy spieszyła się.

- Nie myślałam... Wiesz, jacy są mężczyźni: po prostu nie słuchają. Teraz powiedz, co zrobiłaś dziś wieczorem. Chyba nie popchnęłaś pani Frogmorton?

- Owszem. Tak się na mnie gapiły, że aż mnie ciarki przeszły. Kiedy poszłaś, zrobiło mi się smutno. Nie czułam się najlepiej. W głowie mi huczało. Potem znalazłam twoją teczkę. Zaniósę jej, pomyślałam, może musiała lecieć do łazienki albo zostawiła zapalony piecyk. Jeśli jej podrzucę tę teczkę, powie mi, dlaczego tak wyleciała i zaraz poczuje się lepiej.

- Och, jesteś naprawdę fajna - szepnęła Maddy. Wzruszona uścisnęła dużą, szorstką rękę Phoebe.

Zupełnie jak męska, pomyślała. Zbita z tropu, puściła ją gwałtownie. Pozostawiła jednak swą dłoń na jej kolanach. Samo to wystarczyło, by ułagodzić Phoebe. Rozparła się wygodnie.

- Cieszę się, że wszystko jest w porządku - wymamrotała uspokojona, po czym ziewnęła potężnie i spuściła głowę.

- Phoebe, śpisz? - spytała Maddy po chwili. Nie usłyszała odpowiedzi. Pochyliła się więc by zapiąć pasy, po czym zapuściła silnik.

Gdy samochód podrzucił kilkakrotnie na koleinach blisko farmy Pecków, Phoebe poruszyła się.

- Dokąd jedziemy? - spytała nieprzytomnie.

- Zabieram cię do domu. Roy rano przyprowadzi land rovera.

Roy usłyszał samochód i wyszedł na ganek.

- Myślałem, że będzie właśnie z tobą - powiedział do Maddy. - Dzwoniła Rachel z wiadomością, że w klubie było jakieś zamieszanie i Phoebe pobiegła do ciebie.

- Tak, Robert z nią rozmawiał. Ja na chwilę wyszłam. Gdy wróciłam, chciała pogadać. Strasznie długo siedziałyśmy w samochodzie. Dobrze jej zrobiło, że wszystko z siebie wyrzuciła, choć boję się, że to ją wyczerpało.

Wspólnie pomogli Phoebe wysiąść z samochodu i zaprowadzili ją do domu.

- Chyba już pójdę. Robert pomyśli, że uciekłam.

- To było bardzo miłe z twojej strony, Maddy.

Dziękując Bogu za Phoebe, Maddy wróciła do domu. Czuła, że znów odzyskuje dawną pewność siebie.

Robert, który wcześniej słuchając Beethovena obmyślał, jak za pomocą niewielu słów chytrze wydobędzie z żony prawdę, przyznał w duchu, że w decydujących sytuacjach traci nad sobą ponownie. Z pewnością ta jej poza niewiniątka (promienna mina i twarz zmęczona wyświadczeniem dobra bliźnim) ostatecznie wyprowadziła go z równowagi.

- Phoebe tu była - wypalił wściekły - a więc wiem, że do niej nie poszłaś.

- Oczywiście, że poszłam - powiedziała, opadając na fotel i przykładając rękę do czoła. - Boże, jestem wykończona. Właśnie pomagałam Royowi zaprowadzić ją na górę. Land rover dalej stoi przed naszym domem. Roy będzie musiał rano go zabrać.

Robert usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Powiedziała, że się wcześniej wyniosłaś cichcem. Ty zaś mówiłaś...

- Przestań marudzić, kochanie. - Jej wzrok padł na teczkę. - Och! Ależ ze mnie gapa. Jak mogłam o niej zapomnieć. Poleciałam

odwiedzić panią Knight. Marnie się czuła, a koniecznie chciała wiedzieć, czy się zgodzą na wycieczkę do Sandringham, więc obiecałam, że wpadnę do niej później i dam jej znać. Mówiłam ci o tym, kochanie. Gdybyś tylko słuchał uważnie.... Powiedziałam też, że mogę potem pójść do Phoebe. Naturalnie, już nie zdążyłam tego zrobić. Pani Cottrill przyleciała do pani Knight z nowiną, że Phoebe zaatakowała panią Frogmorton i uciekła z moją teczką. Wyobrażasz sobie? Od razu przyjechałam z powrotem i znalazłam nieszczęsną Phoebe koło naszego garażu. Strasznie długo nie mogłam jej uspokoić. Co, do diabła, powinnam powiedzieć pani Frogmorton? Tak więc widzisz, jak się dobrze bawiłam.

- Szkocką?

- Bardzo proszę. Miałaś przyjemny wieczór? - spytała leniwie. - O, nowa orkiestra. Jakaś dobra?

- Mają czyste brzmienie. Nie mam przekonania co do ich tempa.

- Dzięki. A więc wracamy do starego dobrego Christophera i wspaniałej Akademii?

- Trudno ich pobić. Maddy...

- Co znowu, kochanie?

- Czy nie angażujesz się zbyt w przyjaźń z Phoebe? Ona jest chora, potrzebuje fachowej pomocy.

- Potrzebuje też przyjaciół, Robercie, a to towar deficytowy. Po prostu robię, co mogę.

- Wiem kochanie. Ale za dużo na siebie bierzesz. Chodźmy jutro do jakiejś knajpki.

- Wspaniale. Jesteś słodki.

Tessy nie było w łóżku. Fakt ten - odkryty przez Nicka jakieś dwadzieścia minut po powrocie do domu - sprawił, że serce w nim zamarło. Zbiegł ze schodów, by przeszukać jadalnię i salonik. Swym podnieceniem zaraził psa, który nie odstępował go ani na krok.

- Gdzie ona jest, ty draniu?

Urwis wiedział i popatrzył na niego chytrze.

W pracowni, oczywiście, pomyślał z ulgą Nick i z powrotem wbiegł na schody. Przebywszy dwie kondygnacje znalazł się w korytarzu na strychu. Drzwi pracowni były uchylone, padał zza nich trójkąt przyćmionego światła. Okazało się, że rzuca go lampa umieszczona przy rysownicy. Na zdezelowanym tapczanie za drzwiami leżała Tessa, pogrążona w głębokim śnie. Z ulgą stwierdził,

że najwyraźniej zasnęła przez przypadek. Nie przykryta i całkowicie ubrana raczej nie podjęła decyzji o opuszczeniu małżeńskiego łóżka. Głowę złożyła na uszytej z różnokolorowych kawałków poduszce, jedną rękę skuliła pod brodą, a drugą opuściła bezwiednie z boku tapczanu. Miała nawet buty na nogach.

Moja najdroższa, szepnął w duchu, klękając obok niej. Jej twarz była blada. Długie rzęsy zakrywały podsinione, głęboko osadzone oczy, a ciemne włosy spoczywały na poduszce i tapczanie, jakby odrzuciła je do tyłu i natychmiast zapadła w sen.

Urwis odpychał go całym swym ciałem, zaznaczając swe prawo pierwszeństwa. Nick leniwie głaskał go po uszach, lecz pies nadal zachowywał czujność.

- Wiesz, ja też ją kocham - wymamrotał urażony.

Dzieląc swe uczucia z Urwisem chciał pozbyć się ogarniającej go depresji. Niebawem jednak zapomniał o psie, pogrążając się w olbrzymiej czułości, jaką w nim wzbudzała Tessa. Kłopot z jego miłością polegał na tym, że kochał żonę tak bardzo, aż sprawiało mu to dotkliwy ból. Podobne uczucie żywił do matki. Nie umarło ono wraz z jej śmiercią, a jedynie przygasło i osłabło z braku pożywki. Nieśmiało ujął w dłonie jej zwisające palce.

- Najdroższa wyszeptał - obudź się. Kark ci zeszywnieje, jeśli tu dłużej poleżysz.

Urwis zaskomlał żałośnie, uderzając łbem o tapczan. Obudziła się z jękiem.

- Która godzina? - zapytała ochryple.

- Po północy. Wróciłem jakiś czas temu - skłamał. - Nie chciałem cię budzić, ale potem pomyślałem, że wygodniej ci będzie w łóżku.

- Czuję się... strasznie. Och, nie znoszę spać nigdzie indziej niż w łóżku. Pewnie usiadłam na chwilę i zdrzemnęłam się. Będziesz musiał mi pomóc. - Wyciągnęła ręce w górę jak dziecko. - Podnieś mnie. Gdzie byłeś? - spytała. - Zrobiłam ci kolację.

- Przepraszam. Miałem mnóstwo spraw. Obawiam się, że przynoszę złe wieści - a może dobre: Colin znowu będzie miał operację.

- Nie - rzekła gwałtownie. - Nie mają prawa. To nieludzkie.

Usiadł niepewnie obok niej.

- Ależ Tesso, jeśli jest szansa...

- Nie ma. Oboje wiemy, że nie ma - powiedziała ze smutkiem.

Jednak gdy znalazła się w objęciach Nicka i poczuła na ramieniu bicie jego serca, straciła tę pewność. Mimo iż wiedziała o beznadziejnym stanie Colina, myśl o pustce, jaka mogła zapanować w jej życiu po śmierci przyjaciela, przerażała ją.

- Oczywiście masz rację. Powinni spróbować wszystkiego. Czy byłeś dziś wieczorem u Colina? - zapytała po chwili.

- Tak - odparł zgodnie z prawdą, gdyż czas przed spotkaniem z Maddy spędził w szpitalu. Korygując nieco prawdziwy przebieg wypadków, gdyż do Jerry'ego wpadł tylko na chwilę, ciągnął: - Potem poszedłem do Jerry'ego. Był strasznie przybity, choć panuje nad sobą, a ponieważ Viv wyszła, posiedziałem z nim trochę. Właściwie powinienem był do ciebie zadzwonić.

Źle go osądzałam, myślała, ujmując w dłonie twarz Nicka i szukając jego spojrzenia. Jakby prosząc o wybaczenie, z powagą ucałowała go w czoło.

Wzdrygnął się pod jej dotknięciem, wiedząc, że jest Judaszem (bardziej przez swoje cierpienie niż ten pocałunek). Jest zbyt ufna. Zawsze była zbyt ufna. Spostrzegawcza i bystra w tylu sprawach - wydawało się, że odgadła najdrobniejsze niuanse miłości, do której się kiedyś przyznał - zawsze była gotowa mu wierzyć, aż do następnego rozczarowania. Musi pozbyć się Maddy, pomyślał, choć trzeba będzie przeprowadzić to ostrożnie, gdyż - w przeciwieństwie do bohaterek innych jego romansów - brakowało jej doświadczenia. Maddy była wrażliwa, krucha jak cienkie srebro. Boże, ale z niego bydlę! Oto splugawił życie dwu kobiet, które, co gorsza, były bliskimi przyjaciółkami i wzajemnie stanowiły dla siebie podporę.

- Chodź, połóż się w łóżku - prosił.

- Gdybym była wierząca, całą noc modliłabym się za Colina - oświadczyła z westchnieniem. Podniosła się niezgrabnie i niechcący nastąpiła na psa. - Urwisku! - wykrzyknęła, klękając i podnosząc go. - Och, kochane maleństwo. Taka z ciebie wierna psina. Spójrz no tylko na niego

- zachęcała Nicka, gdy Urwis zaprzestawszy skomlenia kokieteryjnie przechylił łeb i przewracał ślepiami. - Czy serce ci nie topnieje, kiedy on tak patrzy?

- Nie wszyscy mogą mieć cztery słupowate nogi i puszysty ogon - poskarżył się Nick. - Niektórzy mieli mniej szczęścia przy narodzinach.

Tessa zanosila się od śmiechu. Rozbawieni i objęci czule ramionami poszli do sypialni. Za nim powlókł się ociężale Urwis.

Rozdział 21

- Wiedziałam - wykrzyknęła gniewnie Rose, patrząc na podbite oko Dolly. - Domyślałam się, że będą kłopoty, kiedy usłyszałam, jak wraca wczoraj wieczorem do domu. Co za draństwo!

Dolly, oparta plecami o kuchenną ścianę, nie odezwała się ani słowem.

- Dobrze, że masz dzisiaj tylko Holly House. Gdyby to był Dwór... - Rozejrzała się za paltem Dolly i wręczyła jej okrycie. - Pani Westbrook powiedziała, że jeśli to się powtórzy, powie majorowi, a pamiętaj, że on jest sędzią.

- Zabrzmiało to w jej ustach złowieszczo, lecz w głębi serca obu kobietom nie przyszło nawet do głowy, by którekolwiek z Westbrooków choćby kiwnęło palcem w obronie pracownika. - Chyba idziesz dziś rano do roboty? - (Dolly włożyła palto, lecz nie poczyniła żadnych innych przygotowań). - Zamówiłam ci trwałą. Będzie cię to kosztowało dziesiątaka, więc chyba przyda ci się forsa? A buty?

Dolly zrzuciła kapcie, a Rose poszukała w szafce jej wyjściowego obuwia.

- Mam nadzieję, że ten siniak zblednie do turnieju wista. Jesteś dla swojego chłopca za miękka, Dolly. Zawsze byłaś i będziesz. Masz wszystko w torbie?

Dolly wzięła torebkę ze stołu.

- No, chodź już, weź się w garść. Pani Brierley za bardzo nie będzie w ciebie orać - szczególnie, jak zobaczy tę śliwę. Nie jest takim ekonomem jak niektóre, co to je znamy. Ale też - dodała, najwyraźniej nie przypisując Tessie ekonomicznych praw, przysługujących Celi Westbrook - ona jest z tych, co to same posprzątają, jak ludzie nie zapłacą za jej obrazy. - Trącając Dolly łokciem, popychała ją ku drzwiom. - Po robocie zadzwonimy do Barry'ego. Może jest leniem, ale umie sobie poradzić z tatusiem.

Tessa była w kuchni, kiedy usłyszała wchodzącą po schodach Dolly. Otworzyła drzwi.

- Och, pani Cloomb! - wykrzyknęła wstrząśnięta, gdy Dolly zakłopotana zdjęła palto. - Biedactwo. Jakie to okropne. Zrobić pani filiżankę herbaty?

Dolly rozjaśniła się.

- Dobrze. Niech będzie - zgodziła się chętnie.

- Niech pani usiądzie. - Pośpiesznie nastawiła czajnik, przepłukała imbryczek i wyjęła kubki z kredensu. Schwyciła też puszkę z herbatnikami. - Proszę się poczęstować. Słodczyce dobrze robią przy szoku - nalegała, zapominając, że to ona dopiero co doznała szoku, podczas gdy Dolly miała kilka godzin, by się przyzwyczaić do swego wyglądu.

- No. Ja też o tym słyszałam - przyznała Dolly, wybierając lekkostrawny herbatnik czekoladowy. Osunęła się na krzesło i chrupała z zadowoleniem ciastko. Gdy Teresa naląła herbaty, Dolly oznajmiła: - Teraz mi lepiej.

Jej słowa podniosły Tessę na duchu. Pilnie przypatrywała się Dolly popijającej herbatę tak, jakby każdy łyk napoju miał własności uzdrowicielskie. Może i tak właśnie było, gdyż bez wątpienia Dolly nabierała rumieńców i rozgrzewała się. W nocy spała bowiem niespokojnie, z zaciśniętymi pięściami, a teraz odprężyła się po raz pierwszy od chwili powrotu męża do domu.

Tessa zastanawiała się, co robić. Uważała, że nie powinno to ująć Arturowi na sucho. Zaraz zadzwoni do Eleanor, a także do Maddy.

- Niech pani nie wstaje, zanim nie dojdzie pani do siebie - powiedziała zdecydowanym tonem, gdy Dolly zrobiła ruch, jakby chciała się podnieść. - Proszę chwilkę odpocząć. Należę pani jeszcze herbaty.

Doiły rozsiadła się wygodnie, a Tessa usiłowała znaleźć jakiś pogodny temat do rozmowy.

- Już prawie koniec miesiąca. Niebawem zacznie się przedświąteczna gorączka, a i kiermasz się zbliża - zagadnęła.

- I bożonarodzeniowy turniej wista - dodała Dolly.

- Właśnie.

- Pewnie razem z panią Storr macie teraz kupę roboty. Trzeba zebrać prowiant na przekąski. Rose ma nadzieję, że zostanie mnóstwo resztek dla nas na wieczór. Nie ma pani pojęcia, jak ludzie na to czekają. Zazwyczaj nie podajemy przekąsek na turniejach wista, tylko kawę, więc turniej bożonarodzeniowy będzie przyjemną odmianą.

- Spodziewam się. Hm, a więc Ken Tustin jeszcze z wami o tym nie rozmawiał?

- Nie - rzekła zdziwiona Dolly. - A miał coś do nas?

- Chyba tak. Pani Storr chce, żeby każdy wiedział, na czym stoi - w związku z tymi przekąskami i tak dalej.

- Och, Rose wie, na czym stoi. Niech pani się nie martwi.

- Jeszcze herbatnika?

- Już nie powinnam - rzekła Dolly, taktownie odsuwając się od puszki. - Może na drugie śniadanie. Teraz już czuję się lepiej.

- Niech się pani nie śpieszy - rzekła Tessa i poszła na górę do telefonu.

Postanowiła ostatecznie nie dzwonić do Eleonor, póki Rose Fettle nie opuści Probostwa. Po chwili namysłu wykręciła numer Maddy.

- Potwór! - wykrzyknęła Maddy, gdy usłyszała nowiny. - Powinno się go zaniknąć.

- Wiem. Ale co możemy zrobić? Jest dużo gorzej, niż ostatnim razem. Dolly ma wielki siniak pod okiem.

- Pewnie nic - rzekła ponuro Maddy. - Chociaż jedna moja znajoma, z którą prowadziłam stoisko Oxfamu w supermarkecie w Fetherstone, jest żoną kuratora sądowego. Może powinnam się z nią skontaktować.

- O tak, zrób to Maddy. A przy okazji chcę ci powiedzieć, że pani Cloomb wspomniała o przekąskach. Ma nadzieję, że zostanie mnóstwo resztek na kolację po turnieju wista. Wygląda na to, że pan Tustin nic jej nie wspomniał o opłatach za jedzenie.

- Do diabła. Jeszcze jeden cholerny niedołęga. Idę o zakład, że boi się zadrzeć z Rose Fettle. Mam nadzieję, że dalej mnie popierasz?

- Naturalnie.

- Więc pójdę i wszystko z nim wyjaśnię. Odkładając słuchawkę Tessa zastanowiła się, czy nie byłoby lepiej, gdyby trzymała buzię na kłódkę.

Celia Westbrook udała się na jedną ze swych rzadkich wypraw do miejscowego sklepu. Zapasy dla Dworu robiono głównie w dużej hurtowni, gdzie Celia wkręciła się fuksem. Bywała tam raz w miesiącu, zabierając ze sobą jakiegoś parobka, który pchał nieporęczny wózek wzdłuż pasaży zbudowanego z betonu i stali magazynu. Paki pokarmu dla psów w puszkach, paki pudeł z owsianką na śniadanie, paki zup. konserwowych i mrożonych filetów z dorsza upychano w land roverze wraz z tuzinami innych pudeł, gdyż Westbrookom nie zależało na kuchni zdrowej, wykwintnej, pełnej fantazji czy egzotycznej, lecz możliwie jak najtańszej i nie wymagającej trudu przy przyrządzaniu posiłków. Naturalnie ich dietę wzbogacała dziczyzna, upolowana we własnych posiadłościach, a

także mięso, mleko i jajka z własnej farmy. Od czasu do czasu Celia odkrywała jednak w spiżarni drobne niedobory: nie było sensu kupować całego opakowania paczkowanych orzechów włoskich, skoro potrzebowała zaledwie ćwierć funta. W takich chwilach, rozwścieczona i przeklinająca cały świat z powodu braku na nim służby oraz przygnębiona koniecznością tolerowania bezczelnych wiejskich sklepikarzy, którzy nie chcieli dostarczać towarów do domu, porzucała kuchnię oraz miche mąki, dokładnie wymieszanej z tłuszczem, jajkami, cukrem, daktylami (właściwie wszystkim z wyjątkiem tych przeklętych orzechów), wskakiwała na rower i pędziła do sklepu Brendy.

- ...bry, Brenda - powiedziała Celia, zmierzając pewnym krokiem ku ladzie. - Nie zajmę ci dużo czasu. Poproszę tylko cztery uncje włoskich siekanych orzechów.

Mówiąc: „Nie zajmę ci dużo czasu” dawała do zrozumienia, że spodziewa się, iż Brenda natychmiast przerwie obsługiwanie pani Joiner i obiegnie ladę, by podać orzechy. Nie rozczarowała się. Brenda poskarży się pani Joiner, lecz dopiero wtedy, gdy Celia znajdzie się w bezpiecznej odległości od sklepu. Mniej więcej dziesięć lat temu Brenda musiała zebrać całą odwagę, by wyjaśnić, że nie jest już w stanie pędzić do Dworu z pojedynczą rzeczą na każde wezwanie telefoniczne. Brenda dostała potem palpacji, pani Westbrook zaś, powodowana urazą, obywała się bez siekanych orzechów, słoika bulionu czy paczki wisienek w cukrze przez co najmniej sześć miesięcy.

- Brendo, podobno złapałaś złodziejkę na gorącym uczynku. W żadnym razie nie powinnaś była jej wypuszczać. Major ma w sądzie mnóstwo takich przypadków i powiedziałby ci, że absolutnie nie należy być pobłażliwą. Mam nadzieję, że następnym razem spełnisz swój obowiązek - przemówiła Celia, wypowiadając z emfazą poszczególne wyrazy.

- Spodziewam się, że nie będzie następnego razu - rzekła spokojnie Brenda.

- Gdyby ludzie mieli więcej obywatelskiego ducha, nie musielibyśmy polegać wyłącznie na nadziei. Ile? Siedemdziesiąt osiem pensów? To cud, że ten interes jeszcze działa - oświadczyła ze złością Celia.

- Dziękuję, pani Westbrook. Proszę, dwadzieścia dwa pensy reszty.

Wydawszy usta, Celia zgarnęła pieniądze i orzechy i bez dalszych ceremonii opuściła pośpiesznie sklep.

Ken Tustin, emerytowany urzędnik gazowni, zapalony ogrodnik, przewodniczący rady parafialnej Wychwood i komitetu domu ludowego, rozsiadł się wygodnie w saloniku swego domku na Fetherstone Road z filiżanką kawy w ręce i stosem katalogów nasion na kolanach. Przygotowywał zamówienie na wiosenne odmiany kapusty i uważnie studiował ich opisy, wahając się między „Wheeler's Imperial” a „Myatt's Early Offenham”. Usłyszawszy trzask frontowej bramy odłożył na bok katalogi, podniósł się i wyrzwał przez zmarszczone siatkowe firanki. Widok na ścieżce zelektryzował go. Po prostu zmienił ociężałego mężczyznę w sprintera, który popędził przez hol, kuchnię („Nie na mnie” - rzucił żonie) i dalej ogrodową ścieżką do szopy. Pani Tustin, która wałkowała ciasto, oniemiała ze zdziwienia. Gdy gong przy drzwiach wydał swój radosny, wzywający do otwarcia dźwięk, pani Tustin wpadła w panikę - upuściła wałek, wytarła ręce w fartuch, zerknęła przez hol na cień widoczny przez matowe szkło we frontowych drzwiach, po czym przebiegłszy kuchnię zatrzymała się na progu drzwi z tyłu domu.

- Ken! - zawołała scenicznym szeptem. - Mam otworzyć? Och, Ken.

U frontowych drzwi pilnie nasłuchiwała Maddy. To, co usłyszała, skłoniło ją do zajścia od tyłu.

Ken ostrożnie wyrzwał z szopy i gniewnie machnął do żony, gdy Maddy tymczasem obesła dom z boku.

- Ach, tu jesteście - wykrzyknęła, zbliżając się do nich. Nie chcąc kryć się dalej w ciasnej szopie, Ken wyszedł i stawiał gościowi czoła na otwartym polu.

- Mam wrażenie, że nie dotrzymał pan słowa, panie Tustin.

- Hm? - burknął, sięgając do kieszeni w poszukiwaniu ulubionej fajki z głogowego drzewa, która powinna przynieść mu spokój. Znalazłszy fajkę, wsadził ją do ust, zacisnął w zębach i pociągnął.

- Obawiam się, że tak. Pani Fettle ciągle odpowiada o resztkach, z których przygotowuje kolację podczas turnieju wista.

- Aha. - Wyjął kopciuch i uważnie przyjrzał się jego zawartości.

- Podjął się pan wyjaśnienia pani Fettle, że jeśli mam dostarczyć przekąski zarówno na południe, jak i na wieczór, trzeba będzie za nie płacić. W przeciwnym razie nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Mam nadzieję, że nie chce pan podstępem skorzystać z mojej pracy.

- Niech Bóg broni, pani Storr - rzekł, nabijając fajkę szczyptą tytoniu.

- A więc postawmy sprawę jasno: czy ma pan zamiar żądać opłat za wieczorne przekąski czy też nie?

- Oczywiście, że mam.

- I poinformuje pan o tym panią Fettle?

- Jak już powiedziałem, proszę to mnie zostawić - rzekł spokojnie, ubijając tytoń zapalką. - Zjrzę do pani Fettle, powiedzmy w przyszłym tygodniu, i pogadam z nią.

Maddy popatrzyła na niego zwięzonymi oczyma.

- W przyszłym tygodniu, panie Tustin? A dlaczego nie w tym?

- Po co ten pośpiech? Wszystko będzie załatwione. Maddy z westchnieniem odwróciła się, zamierzając już odejść, po czym znowu zwróciła się do Kena:

- Widzi pan, chodzi o zasadę. Celem naszego przedsięwzięcia jest zgromadzenie funduszy na remont dachu kościoła. Przy najmniejszym odstępstwie umyvam ręce od całej tej sprawy.

- Jak już powiedziałem, pani Storr, zrobię, co do mnie należy.

- Miło mi to słyszeć - rzekła na koniec Maddy i odeszła. Przechodząc koło kuchni zobaczyła panią Tustin i zawołała do niej przyjaznym tonem: - Ależ tu cudownie pachnie!

Pani Tustin uśmiechnęła się, mając nadzieję, że mąż nie będzie się na niej wyładowywał.

Na krótkim odcinku drogi, jaki Maddy miała do przebycia, wzdłuż Fetherstone Road do rogu ulicy Kościelnej, zaczęło w niej wzbierać poczucie winy. Aby mu przeciwdziałać, zabroniła sobie spoglądania na drugą stronę ulicy ku Orchard Close i kroczyła beztrąsko, z rękami w kieszeniach żółtego, krótkiego zakiecika. Uczucie to nie mijało. Zaczęła być na siebie zła. Gdy zbliżała się do rogu ulicy, usłyszała nagle dźwięk klaksonu. Kierowca, Derek Bowman, pomachał do niej i uśmiechnął się.

- Hej! - zawołała obróciwszy się, by uniknąć konieczności wyciągania rąk z kieszeni.

Ta wymiana pozdrowień wprawiła ją w wesoły nastrój. Tacy ludzie jak ja i Derek urobiliby sobie ręce po łokcie dla Wychwood, pomyślała, podbudowana poczuciem koleżeństwa, natomiast osoby w rodzaju pani Fettle niewiele są lepsze od tych, którzy żyją wygodnie, korzystając z cudzej pracy.

Nim skręciła w bramę domu, całkiem już pozbyła się dręczących ją wątpliwości. W każdym razie - i tu przypomniała sobie świadczący o kamiennym sercu Rose jej sprzeciw wobec zgłoszonego przez Klub Kobiet projektu pomocy matkom mieszkającym w mieście oraz wiele podobnych kłód, które przez lata pani Fettle rzucała jej pod nogi - ta kobieta mnie nie znosi. Powzięła tę niechęć, gdy tylko sprowadziłam się do Jasmine Cottage.

- No cóż, złotko - wyszeptała, wyobrażając sobie, że wiedźmowata Rose kroczy przed nią ścieżką. - Spokojna głowa - to uczucie jest wzajemne.

Dolly wpatrywała się w jasny ogień palący się na kominku.

- Mam nadzieję, że pani Storr niczego nie kombinuje - rzekła.

- O co ci chodzi? - spytała surowo Rose.

- O to, o co pani Brierley spytała mnie dzisiaj rano: czy pan Tustin mówił nam coś o przekąskach na nasz wieczór. Zaprzeczyłam, a ona na to, że pani Storr kazała mu się upewnić, czy wiemy, na czym stoimy.

W jednej chwili spokój beczynnego popołudnia, wypełnionego pićm filiżanek parującej herbaty i jedzeniem bułeczek oblaných masłem, został zburzony. Rose nie mogła już usiedzieć na miejscu. Wstała gwałtownie, podeszła do kredensu i wyciągnęła przybory do szycia.

- O co chodzi? - spytała Dolly.

- Ona chce nam wszystko zepsuć, ot co. Uważa, że przyjęte u nas zwyczajnie niewarte są nawet splunięcia. - Rose szła z takim zapamiętaniem, jakby jej życie od tego zależało. - Ale to się jej nie uda. Niech no tylko przyśle Kena Tustina - zaraz go ustawię. Niczego nam nie pokrzyżuje, bo jej, do cholery, nie pozwolimy.

Rozdział 22

W ogrodzie wszystko gniło. Żałobne pióropusze zeschniętych budlejników zwisały z butwiejących, rozmiękłych kępek zieleni, a przekwitłe główki astrów i hortensji, brązowe i kruche, same rozsypywały się na ziemię. Kwitło parę późnych róż, lecz ich jesiennym pąkom brakło świeżości. Przyszły na świat już nim znużone i Tessa czuła, że jej wysiłek idzie na marne, gdyż nic nie przywróci radosnego wyglądu rozkładającemu się ogrodowi. Od wielu dni świat spowijała szarość mgieł i czerń deszczu. Panująca ciemność omotała Tessę tak mocno, że trudno jej się było ruszyć, a nawet myśleć. W duszy nosiła narastające brzemię rozpaczy.

- Dlaczego tak dziwnie wykrzywiasz usta? - zaatakował ją Nick poprzedniego wieczoru. Jedna wypita kolejka „Pod Czerwonym Lwem” najwyraźniej go rozdrażniła.

- Wykrzywiam je? - spytała.

Dotknęła ręką warg i ze zdumieniem przekonała się, że Nick ma rację. Kąciki jej ust kurczowo przywierały do zębów. Mimo wysiłków, nie mogła uwolnić się od tego grymasu, a teraz, skoro skupiła na nim całą uwagę, czuła napięcie mięśni całej twarzy.

- Boże, ależ ty ponuro wyglądasz. Nie rób takiej miny.

- Nic nie poradzę. Może powinnam znowu zacząć ćwiczyć jogę? To mi zawsze pomagało się odprężyć.

- W każdym razie zrób z tym coś, na miłość boską. Stała teraz w saloniku przy oknie wychodzącym na ogród. Przyłożyła ręce do policzków i usiłowała rozluźnić napięte mięśnie. Zdumiewało ją, że smutek może aż tak wziąć nad nią górę, ściągnąć jej twarz i zrobić z niej jawny obraz nieszczęścia. Żeby tylko pogoda się poprawiła. Niestety była na to dość mała szansa. Tylko zawierucha mogłaby przepędzić taki bezmiar ciemnych chmur. Wyglądając na dwór, marzyła raczej, by wyszło słońce, niż żeby nastąpił kres jej kłopotów. Pragnienie słonecznego blasku wydawało się jej rozsądniejsze niż oczekiwanie na przemiany dokonujące się w ludziach.

Zaszła jednak pewna niewielka odmiana. Nick częściej teraz przesiadywał w domu. Gdy został pierwszego wieczoru, dodało jej to otuchy. Następnego dnia wieczorem rozdzwonił się telefon.

- Ja odbiorę! - krzyknął Nick, zrywając się sprzed telewizora, przed którym siedział rozparty. (Celowo ulokował się jak najbliżej Tessy. Wcisnął ją między siebie i oparcie kanapy, aby podrażnić psa,

zmuszając go do położenia się na podłodze, jeśli chciał być blisko swej pani). Zamiast podejść do telefonu stojącego na stylowym stolyczku, Nick pobiegł na górę do drugiego aparatu w sypialni. Powróciwszy na miejsce zachowywał się nerwowo: zgasił telewizor, wziął książkę, przekartkował, szyderczo przeczytał parę urywków, rzucił ją, po czym poszedł zrobić kawę. Telefon znów zaterkotał. Przypuszczalnie odebrał go w kuchni. Rozmowa musiała być pośpieszna, gdyż po dziesięciu minutach wrócił z kawą na tacy. Nieco później telefon znów się odezwał. Ponieważ Nick siedział nieruchomo, Tessa odłożyła książkę. To go zaelektryzowało.

- Nie fatyguj się. To na pewno do mnie. Słuchając stukotu jego stóp na schodach odwróciła się i patrzyła na brzęczący aparat. Gdy wreszcie umilkł, powietrze wokół zdawało się drzeć, jakby ledwo mogło pomieścić intensywność głosów tych dwojga. Wyobraziła je sobie: błagalne, pełne wzajemnych pretensji, zaklęć i zaprzeczeń. To wszystko, co mogła zrobić, by nie podnieść słuchawki i nie słuchać. Rozzłościła się. Jak Maddy śmie w ten sposób zakłócać jej spokój? Czy nie dość, że posiadała najskrytszą wiedzę o Nicku, którą Tessa w zaufaniu jej przekazała, by użyć jej dla własnej satysfakcji? Czyż nie dość, że uporczywie i podstępnie ciągnie go ku sobie? Czyż musi domagać się jego uwagi, której wzbrania się jej poświęcić, a przez to zakłócać spokój domu Tessy? Patrząc wokół stwierdziła, że pokój jak gdyby się skurczył. Cały dom był przesycony atmosferą rozdrażnienia i niepokoju. Kolejny wieczór przyniósł dalszą zmianę. Otóż tym razem, dla odmiany, Nick bezustannie telefonował. Otworzywszy drzwi do saloniku (które, ku jej zdumieniu, były zamknięte), znalazła męża ze słuchawką przy uchu.

- Och, przepraszam - powiedziała, gdy pośpiesznie ją odłożył - nie chcę ci przeszkadzać.

Opuścił pokój bez słowa.

Podobna sytuacja powtórzyła się godzinę później, gdy pobiegła na górę do sypialni po książkę: zeskoczył z wysokiego taboretu stojącego obok łóżka i upuścił słuchawkę, jakby go sparzyła. Za pół godziny znalazła go przy telefonie w kuchni.

Postanowiła zejść mu z drogi. Poszła z książką do łóżka, domyślając się, że będzie dzwonił do Jasmine Cottage, póki zamiast Roberta nie odbierze telefonu Maddy. (Miała głęboką nadzieję, że Robert nie nabierze żadnych podejrzeń). Później Nick przyszedł na

górze z ponurą miną i oznajmił, że skoczy do pubu na jednego. Sama siebie za to nienawidząc, podeszła do okna, by przekonać się, że istotnie zmierza przez Błonia do pubu.

W to sobotnie popołudnie jej rozmyślenia przy oknie w saloniku przerwał Urwis, który dawał znać, że ktoś jest przed domem. Okazało się, że była to Phoebe. Niemal ziściło się marzenie Tessy o słońcu - tak promienna była jej twarz.

- Ojej, wyglądasz dziś na bardzo szczęśliwą! - wykrzyknęła. - Wejdz.

- Bo jestem. Świetnie się bawiłam wczoraj wieczorem. Poszliśmy z Maddy do kina. Film był okropny, zupełnie idiotyczny, ale my o mało nie umarłyśmy ze śmiechu. Potem wpadliśmy do chińskiej restauracji. W drodze powrotnej nastawiłyśmy w samochodzie muzykę na cały regulator i śpiewałyśmy pędząc autostradą. Och, to było fantastyczne! Maddy miała doskonały humor.

- Coś takiego! Siadaj. Co to był za film? - dopytywała się Tessa.

Phoebe usiadła w drewnianym bujanym fotelu i na próżno usiłowała przypomnieć sobie tytuł, a także wytłumaczyć, dlaczego oglądanie koszmarnego filmu tak je ubawiło. Jej wyjaśnienia nie były konieczne. Tessa doskonale wiedziała, że towarzystwo Maddy potrafi wyrzucić taki sam efekt, co łyk szampana. Słuchała jednym uchem, kiwając głową, uśmiechając się i dziwiąc, dlaczego Maddy poszła do kina z Phoebe. Może chciała stworzyć precedens - w końcu musiała już wyczerpać najbardziej prawdopodobne wymówki. Po ostatnim wieczorze Robert nie będzie zdziwiony, jeśli Maddy wytłumaczy swą nieobecność wypadem z Phoebe. Nie dziwiła się już, że Nick był wczoraj zdenerwowany. Żadnego z jego uporczywych telefonów nie mogła odebrać Maddy. Chcąc ukryć swe wzburzenie, poszedł rzecz jasna do pubu. (Tessa nie odgadła, że Nick wychylił piwo równo w trzy minuty, po czym przeszedł od tyłu klubu na parking, stamtąd na Peck Lane, a następnie na ulicę Kościelną w pobliżu Jasmine Cottage, gdzie wkrótce odkrył brak samochodu kochanki na zwykłym miejscu, przed drzwiami garażu. Przekonał się, że Maddy nie było, a jej mąż, jak już wiedział, został w domu i pracowicie odbierał telefony. Dokąd, rozmyślał gwałtownie, poszła ta mała psotnica? W co się do diabła zabawia? Zawrócił przez pub - ku ogromnemu zdumieniu Lindy Maiden, stojącej za bufetem - i wyszedł na zewnątrz przez frontowe drzwi. Następnie przez Błonia wrócił do domu. Później, w sypialni,

ponury wyraz twarzy Tessy posłużył mu za pretekst, by dać upust swym uczuciom).

- No więc pomyślałam sobie - ciągnęła Phoebe - że mogłabyś mi pomóc wybrać coś, za czym Maddy naprawdę przepada.

- Dobrze. Spróbuję. Ile chcesz na to przeznaczyć? - Tessa uświadomiła sobie, że Phoebe chciałby kupić Maddy prezent, gdyż zeszłego wieczoru ta upierała się, by płacić prawie za wszystko. - Ja jednak za bardzo bym nie szalała, bo jej będzie głupio - dodała.

- Mniej więcej w granicach piątką? - zastanawiała się Phoebe.

- Góra. A teraz pomyślmy.

- Kwiaty są takie oklepane, a ona chyba nie jada czekoladek.

Tessa, usłyszawszy nagle hałaśliwe odgłosy komentacza sportowego, odgadła, że otworzyły się drzwi saloniku. Nick szybko przemierzył hol i z pochmurną miną wszedł do kuchni. Twarz mu się rozjaśniła, gdy ujrzał Phoebe.

- O, dzień dobry! - powiedział i rozluźniwszy zaciśnięte pięści włożył ręce do kieszeni. Rzucił parę miłych słówek i powrócił przed telewizor.

Tessie trudno się było skupić na wyborze prezentu dla Maddy. Skłonił ją do tego jednak wyraz zadumy na twarzy Phoebe.

- Coś oryginalnego - myślała głośno. - Coś niedużego i atrakcyjnego... Przypominasz sobie torebeczki z lawendą, które kiedyś pokazywałam dziewczynom? Zrobiłam je na kiermasz bożonarodzeniowy. Teraz też uszyłam dwie dość eleganckie torebki - tym razem z kawałków starych koronek, które zostawiła mi ciotka. Jedna ma iść na prezent. (Przeznaczony był dla Eleanor. Planowała dać go jej jutro po wieczornym nabożeństwie, na którym zostanie poświęcona tabliczka na organach, umieszczona ku pamięci ciotki Winifredy. Taką samą koronkową torebeczkę zrobiła dla siebie). Ale mogę ci dać drugą, jeśli chcesz.

- W takim razie będę ją musiała kupić.

- Dobrze. Możesz mi zapłacić, a ja dołączę te pieniądze do funduszu przeznaczonego na kiermasz. Trzy pięćdziesiątki, dobrze?

- Och, jesteś pewna?

- Absolutnie. Zaczekaj, pójdę po nią. Mam też ładną bibułkę, w którą można by ją zawinąć.

Gdy szła na górę do pracowni, usłyszała, jak zadzwonił telefon. Drzwi saloniku otworzyły się gwałtownie.

- Ja odbiorę! - wykrzyknął Nick, by ją uprzedzić.

Nie spojrzała w dół ani nie odpowiedziała, lecz nie zatrzymując się wchodziła po schodach. Niemal natychmiast usłyszała, jak drzwi saloniku ponownie się zamykają. W pracowni wyjęła z szuflady jedną z koronkowych lawendowych torebek i przyjrzała się jej z pewnym żalem - wzorek koloru kości słoniowej na brzoskwiniowej satynie: śliski, sztywny materiał. Z innej szuflady wzięła arkusz brązowej bibułki i błyszczącą brązową wstążkę. Z tym wszystkim wróciła do kuchni. Phoebe wpadła w zachwyty.

- O rany, to jej się na pewno spodoba. Ma taki dobry gust. Bałam się cokolwiek jej kupować, no wiesz, żeby nie wybrać jakiegoś paskudztwa. Ty masz głowę, Tesso. To jej będzie pasowało idealnie.

- Zawinąć?

- Poproszę. - Phoebe przypatrywała się jej z uwagą.

- Proszę bardzo!

- Och, dzięki, Tesso. Zaraz jej to zaniosę.

- Naprawdę? - spytała Tessa z powątpiewaniem, pamiętając, że Nick rozmawia przez telefon. Wtem usłyszała jego kroki w holu. - Im prędzej, tym lepiej - zgodziła się.

Phoebe była już w drzwiach. Sfrunęła wprost ze schodów.

- Pa! Tesso - rzuciła na pożegnanie.

- Do widzenia, Phoebe. - Tessa odwróciła się i zobaczyła stojącego tuż za nią Nicka.

- Dzwoniła Sophia - oznajmił.

- I co?

- Nie jest źle. Możemy go odwiedzić jutro po południu.

- Och, Nick!

- Nie mniej zbyt dużej nadziei - ostrzegł, choć jej wyraźny błysk pojawił się w jego zwilgotniałych oczach.

Rozdział 23

Tessa wyczuła; że Maddy i Nick osiągnęli pewien punkt krytyczny. Nie wprawiali się już wzajemnie w ekstazę i stracili gotowość do poniechania wszystkiego w imię namiętności; zaczęły się im przypominać dawne zobowiązania, wzbudzając żal, a nawet poczucie winy, przez co każde wydawało się drugiemu już nie tak absolutnie urocze i nie całkiem pełne oddania. Było to tylko przypuszczenie, lecz Tessa czuła, że się nie myli. Starła się pohamować rosnącą niecierpliwość.

Jechali z Nickiem do szpitala, by odwiedzić Colina. Padał deszcz. Włączone wycieraczki działały Tessie na nerwy: piszczały żałośnie, a ich nierówne, gwałtowne ruchy dawały do zrozumienia, że ich zadanie jest żmudne. Mają zbyt małą moc i są nadmiernie eksploatowane. Może bateria już się wyczerpuje, pomyślała odwracając głowę, by wyrzucić przez boczne okienko.

Na przedmieściach, po obu stronach szosy, stały domy z czerwonej cegły lub pokryte brudnoszarą sztukaterią. Wyglądały ponuro. Ani jedno okno nie było oświetlone.

- Cholerne niedzielne popołudnie - odezwał się Nick, wyrażając jej uczucia. - Cholernie żaloszny kraj. Zawsze, cholera, leje.

- Nie zawsze - sprostowała z pedanterią. - Nie uważasz, że trzeba coś zrobić z tymi wycieraczkami?

Gdy przybyli do szpitala, u Colina w pokoju siedziała już Sophia.

- Wyleczyli go - krzyknęła. - Spójrzcie na niego. To cud.

Tessa zastanawiała się, czy Sophia nie jest pijana. W zaróżowionej, obrzmiałej twarzy Colina z trudem dawało się rozpoznać znajome rysy. Jak przedtem od jego ciała odchodziły rozmaite rurki połączone z workami. Ręce Colina spoczywały bezwiednie wzdłuż boków. Nową rzeczą od czasu operacji była kroplówka z soli fizjologicznej, łagodząca nieco suchość ust, na których widniał teraz znajomy leniwy uśmiech. Ale czy go „wyleczyli”? Tessa skrzywiła się na dźwięk tego słowa.

- Niech Colin i Sophia pobędą dłużej razem - zaproponowała Nickowi, kiedy już się z nimi ucałowała. - Pójdziemy na herbatę i wrócimy później.

- Nie - rzekła stanowczo Sophia. - Muszę iść. Przychodzi pewien młody człowiek, żeby mnie rozerwać. - Oczy jej powiększyły się, przybierając szelmowski wyraz. Była wystrojona. - Nie wiedzieliście,

że go znam? To Holender. Na imię mu Pieter. Chętnie korzysta z koniaku Colina i moich cygar. Lubię, jak mnie odwiedza. Lepiej się wtedy czuję.

- Cieszę się - rzekła Tessa z zażenowaniem. Spojrzała na Colina, który uśmiechnął się przyjaźnie.

Rozsiewając woń Chanel, Sophia przesłała im gestem pocałunki i gwałtownie wypadła z pokoju.

- Spotkała go w tym klubie, gdzie poznała Magdę i innych. To jest klub dla wschodnich Europejczyków, więc nie bardzo rozumiem, skąd się tam wziął Holender. Życzę mu wszystkiego najlepszego. Sophia czuje się podniesiona na duchu - wyjaśnił Colin.

Słuchali jego słów w skupieniu. Od tygodni tyle nie powiedział. Jednak wszystko, co mówił, miało znaczenie drugorzędne.

- Kochanie, wyglądasz dużo lepiej - rzekła Tessa.

- Bezsprzecznie zrobili dobrą robotę - mruknął Colin. - Co słyszeć?

Dość chaotycznie opowiedzieli mu o rozmaitych swoich poczynaniach. Potem Nick przypomniał sobie coś ważnego.

- Słyszałeś, że osławiony urok osobisty Delzine'a tym razem nie zadziałał? Facet poszedł odwiedzić Sophię. Jej przyjaciółka, Magda, też była u was w domu. Wszystko szło wspaniale, póki Delzine nie wspomniał, że prosiłeś go o przejrzanie tych papierów. Wówczas Sophia narobiła wrzasku, poszła na górę tłumacząc się migreną, a Magdzie kazała go wyrzucić. W sumie byłoby to śmieszne, gdyby biedny stary Jerry tak strasznie tego nie przeżywał.

- Nie zwracaj głowy Colinowi - napomniała go Tessa.

- To idiotyczne. Spróbuję przemówić jej do rozumu.

- Nie ma sprawy. W najgorszym razie przekonamy radę bez tych dokumentów.

Weszła pielęgniarka. Popatrzyła z namysłem na Teszę.

- Mogę panią prosić na chwileczkę? Pani Brierley, prawda?

- Tak. Oczywiście - odparła i niepewnym krokiem podążyła za pielęgniarką.

- Pewnie chodzi o Sophię - westchnął Colin. - Możesz dać mi się napić, Nick?

Na korytarzu Tessa ledwo mogła nadążyć za pielęgniarką. Jej stopy wyprzedzały się wzajemnie ze zdumiewającą szybkością, a przy tym cały czas mówiła:

- Pani Sophia Petchel zatrzymała się na chwilę, by zamienić słówko z siostrą przełożoną. Była jakby w euforii. Siostra usiłowała delikatnie sprowadzić ją na ziemię. Chodzi o to, że pani Petchel nie powinna mieć złudzeń. Z profesorem Petchelem jest bardzo źle. Ona chyba nic nie rozumie: operacja miała głównie na celu przyniesienie mu ulgi... A oto i pani Petchel, tam, w ostatnim pokoju. - Do ich uszu zaczęły dobiegać straszliwe dźwięki. - Sądziłyśmy, że przyjaciółka... (O Boże, pomyślała Tessa). - Zostawiam ją pani. Jest z nią pielęgniarka.

Siostra odeszła. Tessa nie miała do niej pretensji. Zostawiła pielęgniarkę w spokoju, by robiła, co może. Sophia po prostu wyła. Od czasu do czasu przerywała wrzaski, odrzucała głowę do tyłu i chwyciła ustami powietrze. Włosy lepiły się jej do zapłakanej twarzy, czerwonej jak burak. Ujrzawszy Tessę, wyciągnęła do niej ręce i przywołała ją pstryknięciem palców. Gdy Tessa zbliżyła się nieśmiało, Sophia chwyciła ją, przycisnęła do siebie, po czym lekko odepchnęła.

Siła uczuć Sophii była obezwładniająca. Nagle Tessa zaczęła jej zazdrościć. Zapragnęła zachować się tak samo - odrzucić głowę do tyłu i wyrzucić z siebie swe nieszczęście. Sophia właśnie to robiła: uwalniała się od strachu i poczucia odrzucenia, oczyszczała duszę i ciało nie bacząc na szkody, jakich doznają ci, co muszą stać obok i patrzeć. Gdybyż mogła być taka jak Sophia. Jesteś zbyt poprawna, zbyt sztywna - myślała o sobie z pogardą.

- Sophio! - powiedziała ostro Tessa. Sophia nagle ucichła. Dyszała tylko, a przez jej otwarte usta, pokryte nitkami śliny, przebiegało drżenie. - Siadaj! - nakazała Tessa już nieco łagodniej.

Sophia usiadła. Po chwili rozejrzała się za torebką. Pielęgniarka podała jej torbę, po czym szepnęła Tessie, że odchodzi.

Sophia wyjęła lusterko, parę wacików, tonik i zaczęła zmywać sobie twarz. Robiła to niezwykle starannie. Następnie ponownie nałożyła makijaż. Na koniec rozczesła, podtapirowała i polakierowała włosy.

- Pewnie strasznie wyglądam - żaliła się. - Pieter będzie się dziwił, gdzie się tak urządziłam.

- Odprowadzę cię do samochodu.

- Po co? - spytała obcesowo, zatrzasnąwszy torebkę i wstając z miejsca. - Przyszłaś zobaczyć się z Colinem, więc idź do niego. Do widzenia.

Tessa opadła na krzesło i zamknęła oczy. Czuła się całkowicie wykończona.

Nick stosunkowo szybko wyczerpał wszystkie tematy do rozmowy z Colinem. Niewiele mógł mu przekazać ploteczek z życia uczelni. Milczał więc, zastanawiając się, dlaczego Colin tak dziwnie na niego patrzy. Niepokoiła go też różowa jak u niemowlęcia, rozdęta twarz przyjaciela.

- Mam nadzieję - odezwał się wreszcie Colin ze znużeniem - że nie wyprawiasz znowu tych swoich sztuczek. Chociaż obawiam się, że tak. Niezwykle gorliwie składałeś mi wizyty, stary, ale ich ilość nie była aż tak imponująca, jak to w prostocie ducha wyobraża sobie Tessa. Zauważa się te rzeczy - dodał przeproszającym tonem - jak się tu leży beczynnienie.

Nick spojrzał zaczepnie i burknął coś pod nosem.

- Nie myśl, że się skarżę. Jesteś fantastycznym facetem, ale...

- Ale co? - chciał się dowiedzieć Nick.

- Nie całkiem dorosłeś.

Nick czuł, jak krew tętni mu w uszach. W pokoju zaległa cisza. Umierający mają przewagę, myślał urażony, gdy objawiają swe ostateczne przemyślenia. Jakoś niezręcznie byłoby teraz ryknąć: „Bzdura!”.

- Wiem, że wszyscy to robią - przynajmniej tak się wydaje w naszej branży. Ale na miłość boską, Nick, czy Tessa nie jest warta czegoś lepszego?

- W porządku - ustąpił Nick po chwili milczenia.

- Byłem idiotą. Tyle, że tym razem to co innego.

Colin jęknął.

- Nie chodzi mi o to, że sytuacja jest inna albo że ja się zmieniłem. Absolutnie nie. Dalej jestem tym samym, słabym facetem, który za wszystko ponosi winę. Ale ona jest inna. Łatwo ją zranić.

- Obłąd. - Colin westchnął głęboko i odwrócił głowę do ściany. - Spójrz prawdzie w oczy: zranisz jedną z nich. Mam nadzieję, że nie Tesse. W istocie - dodał, zwracając znów wzrok ku Nickowi - odczułbym znaczną ulgę, gdybyś dał mi słowo, iż to nie będzie Tessa.

Nick wstał i włożywszy ręce w kieszenie podszedł do okna. Zaraz jednak wrócił, usiadł i powiedział:

- Masz moje słowo. - Po chwili pośpiesznie, jakby chcąc przed nim odkryć swą duszę, rzekł: - Nigdy nie mogłem znieść myśli, że miałbym stracić Tessę. To jeden z moich sennych koszmarów, dręczących mnie po nocach.

- Więc wyświadczyć sobie przysługę.

Po powrocie Tessy wszyscy troje z odmiennych powodów wzajemnie unikali swego wzroku. Tessa zajęła się drobiazgami, stojącymi na nocnej szafce. Nick narzekał, że pod łóżkiem jest kłęb kurzu, do czego by nigdy nie doszło przed dziesięcioma laty. Colin oświadczył jednak, że jest bardzo szczęśliwy z posiadania osobnego pokoju. Dziesięć lat temu trzeba było umierać na wspólnej sali. Po tych słowach zapadła pełna napięcia cisza. Przerwał ją Colin, opowiadając, że gdy umarł jego ojciec, nikt tego nie zauważył, dopóki funkcjonariuszka Ochotniczej Służby Kobiecej nie złożyła skargi, że stary pan Petchel nie tylko pominął milczeniem jej propozycję wymienienia mu książki w bibliotece, ale do tego jeszcze bardzo nieprzyjemnie się do niej wykrzywił.

Pielęgniarka, która wpadła do pokoju, by zmierzyć Colinowi temperaturę, była bardzo zaskoczona widząc, że się śmieją. Potem Colin przyznał, że jest zmęczony i Brierleyowie, roztrzęsieni odwiedzinami, opuścili szpital.

W samochodzie ich samopoczucie poprawiło się. Deszcz ustał. Tessa wyglądała przez okno, zadowolona, że idzie dziś do kościoła z Eleanor. Czowała ulgę na myśl, iż nie będzie zamknięta w domu z Nickiem i tym przeklętym telefonem. Nick, któremu dodała animuszu perspektywa ofiary, jaką niebawem poniesie i wizja przyszłych lat, spędzonych w absolutnej wierności, prowadził samochód, jakby go egzaminowano z tej sztuki: dawał sygnały, wyprzedzał i skręcał z podręcznikową precyzją. Płynność jazdy i poczucie panowania nad kierownicą pomogło mu poprawić mocno nadszarpnięty obraz własnej osoby. Zaczął nawet wierzyć, iż w sumie nie jest aż taką kanalią. Nabrał przekonania, że skoro zobowiązał się do porzucenia Maddy, nikomu nie zrobi krzywdy, jeśli odsunie ten straszliwy dzień, by łagodnie ją do tego przygotować i jak najlepiej wykorzystać ostatnie spotkania. Powiedzmy przez tydzień czy dwa. Jak się nad tym zastanowić, okres Bożego Narodzenia mógłby stać się kamieniem

milowym, kończącym ich znajomość, gdyż mnóstwo radosnych okazji nie pozwoli Maddy pogрузić się w smutku. Skoro podjął już decyzję, że postąpi słusznie względem Tessy, należałoby, na ile pozwolą na to okoliczności, jak najdelikatniej obejść się z Maddy.

Tessa przebierała się w sypialni.

- Wychodzisz? - Nick wydawał się tym faktem zdziwiony.

- Tak. Na wieczorne nabożeństwo. Proboszcz ma poświęcić tabliczkę ku czci ciotki Winifredy. Idę z Eleanor. Potem zaprosiła mnie na kawę. Przypuszczam, że nie będziesz chciał ze mną iść.

- Nie, nie. Idź z Eleanor, kochanie.

Mówił takim tonem, jakby wyrzekął się wykwintnego przyjęcia. Zaczął pogwizdywać, po czym urwał, jak gdyby przypomniał sobie o jakiejś pilnej sprawie, i pośpieszył na dół.

Będzie do niej dzwonił, pomyślała. Do diabła! Gdyby tylko zorientowała się wcześniej, mogłaby przewidzieć, kiedy dopadnie telefonu w saloniku i mniej więcej w tym samym momencie podnieść słuchawkę w sypialni. Postanowiła bowiem podsłuchiwać, kiedy tylko nadarzy się sposobność, nie widząc powodu, dla którego miałyby pozostawać w nieświadomości, skoro sprawa bezpośrednio jej dotyczyła. Ale teraz i tak nie było na to czasu. Biły kościelne dzwony.

Przejrzawszy się w lustrze zdecydowała, że musi się trochę podmalować i wybrała bladobrazową szminkę, by pociągnąć nią usta. Potem lekko wtarła ją w miejscach wokół kości policzkowych. Dodało to blasku jej oczom i skłoniło do dalszego podkreślenia urody. Sięgnęła po szary cień do powiek i czarny tusz do rzęs. Gdy zadbała o twarz, parokrotnie przesunęła palcami po włosach, falując je. Jej odbicie w lustrze wywierało tak korzystne wrażenie, że zaczęła się zastanawiać, czy trochę nie przedobrzyła i nie wyszykowała się bardziej na przyjęcie niż na wieczorne nabożeństwo. Nie chciała wprawiać w zakłopotanie Eleanor. Doszła do wniosku, że zwykły czarny płaszcz złagodzi nieco ogólne wrażenie i poszła przynieść go z szafy.

Gdy zeszła na dół, Nick zdawał się nie zauważać, jak Tessa ładnie wygląda. Wyszedł z saloniku i odprowadził ją do drzwi.

- Chcesz latarkę? - zawołał, gdy już schodziła ze schodów.

- Chyba nie. Ulice są dobrze oświetlone. Wyszedłszy z domu Tessa wkrótce zapomniała o mężu.

Zapach jesiennego Wychwood - dymu z palonego drewna, przejmująco wilgotnego powietrza - i bicie dzwonów przeniosły ją natychmiast w inne czasy. Wydawało się jej, że znowu jest jedenastoletnią dziewczynką o wyostrzonych zmysłach, urzeczoną magicznym urokiem wieczornych niedzielnych zebrań, na które będzie śpieszyć u boku ciotki Winifredy.

Słowa Tessy ogromnie podniosły Nicka na duchu. Powinna częściej wychodzić, stwierdził obłudnie, za dużo czasu spędza zamknięta w domu. Odczekał trzy minuty - stał w holu obserwując zegar - po czym włożył palto i wziął kluczyki. Gdy zbiegał ze schodków, przez bramę swego ogródka przechodziła właśnie pani Bull z córką.

- Hej, ślicznotko - zawołał do swej sąsiadki, a do młodszej kobiety zwrócił się z większą powściągliwością:

- Dobry wieczór, pani Turner.

- Chodź z nami, skarbie - powiedziała żartobliwie pani Bull.

- Spokojna głowa. Zawsze cnotliwie się prowadziłem. Teraz już za późno na cielesne uciechy.

- Ale do kościoła, ty zuchwalcze.

- Och, w takim razie proszę się za mnie pomodlić.

- Chodź i sam się pomódl.

- Nie dzisiaj, kotku. Pomódl się za mnie, a postawię ci jakieś bajeczne ciastko na kiermaszu bożonarodzeniowym.

- Och, ty kawalarzu! - wykrzyknęła zakatarzonym głosem i pokuśtykała dalej, wsparta na ramieniu córki.

Po przybyciu do kościoła Tessa wciąż pozostawała pod urokiem jesiennego wieczoru. Jego czar trwał nadal. Nawet już jako pani Brierley - biorąc książkę hymnów od pana Bultitude, odpowiadając na pozdrowienia znajomych, którzy kiwali do niej z ławek - była wciąż jedenastoletnią dziewczynką, którą ciotka pozostawiała w bocznej nawie, podczas gdy sama szła do zakrystii, by nałożyć strój, w jakim grała na organach. Wrażenie to pozostało nawet wtedy, gdy Tessa, mając poczucie niezwykłości całego wydarzenia, wsunęła się w ławkę Probostwa. Doceniała wyświadczony jej z tej okazji zaszczyt. Probostwo bowiem zawsze roztropnie baczyło, by nikogo nie faworyzować.

Przymknęła oczy udając, że się modli. Czas stanął w miejscu. Jak zawsze, tak i teraz, grały organy: spokojne, bliskie, śpiewne, znajome

jak jej własny głos; jak zawsze czuła ostry zapach świec i podmuch zimnego powietrza na czole, słyszała szelesty, trzaski i szczególną bliskość ciał wspólnie pogrążonych w ciszy. Wszystko było tak, jak ostatniej niedzieli i tysiąc niedziel wcześniej.

Eleanor uśmiechnęła się do wstającej z kolan Tessy. Wszedł chór, a za nim proboszcz. Msza zaczęła się odprawiać wedle znajomego wzorca - niezawodnego, podnoszącego na duchu. W oświetlonym kościele Tessa czuła się jak na jakiejś bezludnej wyspie. Na zewnątrz, w ciemności, rozciągała się morska kipiela - niespokojne miotanie się, nic nie znaczące i nie mające z Tessą nic wspólnego. Msza i poprzedzające ją ogłoszenia, dotyczące wydarzeń w Wychwood, groziły zakłóceniem jej nietykalności, lecz po pewnym czasie przestała zwracać uwagę na słowa i słyszała tylko uspokajający, łagodny głos, tak idealnie zharmonizowany z wyniosłym budynkiem. Ostatnie słowa proboszcza ocuciły ją, głosiły bowiem pochwałę Winifredy Hodson. Odczytano napis na pamiątkowej tabliczce. Głęboko wzruszona zebrała siły, by wysłuchać końcowego hymnu.

Nie musiała przekartkować śpiewnika. Rozpoznała pierwszy akord i już wiedziała, która to będzie pieśń:

„Zakończył się dzień, który nam dałeś, o Panie”. Tessie wydało się, że sam kościół musi powtórzyć jak echo te słowa i porywającą, żalną melodię. Od tak dawna bowiem tu rozbrzmiewały. Przed laty śpiewała je czując ból gardła, myśląc o samochodzie ojca zdążającym, by ją zabrać, o nieuchronnej bliskości poniedziałkowego ranka i szkoły, kiedy to nie będzie ciotki Winifredy ani Wychwood aż do następnej soboty. Teraz w ogóle nie mogła śpiewać. Jej dziecięcy smutek zdusiła żalność, przepelniona tęsknotą: za sobotami, które nigdy nie powrócą, za nieskomplikowaną miłością i szczerym uczuciem.

Po mszy zakradła się do prezbiterium, by zerknąć na mosiężną tabliczkę, która oznajmiała o zwyczajnych zdarzeniach z długiego posługiwania Winifredy Hodson jako kościelnej organistki. Później dołączyła w nawie do wychodzącego tłumu, ustawionego w kolejce do oddania książek z hymnami. Pan Bultitude z szacunkiem wziął od niej śpiewnik. Jego sposób bycia nie dopuszczał najmniejszej możliwości osłabienia powagi miejsca i sytuacji.

- Piękna msza. Sprawiałaby jej przyjemność - powiedział nieco żartobliwie.

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się Tessa, odchodząc na bok, by poczekać na Eleanor, którą zatrzymywały uściski wielu rąk.

Wreszcie Eleanor była wolna.

- Chodź, posiedzimy przy kominku. Napijemy się po kieliszku wina, żeby uczcić tę okazję - zaproponowała.

Znalazszy się na zewnątrz Eleanor zaświeciła latarkę i skierowała promień światła ku bramie Probostwa. Podążały uważnie porośniętą trawą ścieżką, biegnącą między nagrobkami.

Eleanor westchnęła i powiedziała z zadumą w głosie:

- Chyba wszystko wypadło tak, jakby sobie tego życzyła. Bez zbytej parady, a i Timothy trzymał się tematu. Tak, czuję, że Winifreda pobłogosławiła nas.

- Było idealnie - rzekła Tessa.

Część trzecia
GRUDZIEŃ

Rozdział 24

Tessa, wraz z biegnącym w ślad za nią Urwisem, minęła krytą dachem cmentarną bramę i poszła dalej ścieżką prowadzącą obok kościoła. Obserwując ją z boku Maddy uderzyło, że Tessa porusza się jakoś inaczej. Zazwyczaj chodziła lekko kołyszącym się krokiem, beztrudnie zwracając wciąż gdzieś głowę, by z zainteresowaniem przyjrzeć się porostom koloru morskiej zieleni i bursztynu, jaśniejącym na murze z szarego kamienia, albo promieniom światła, przeświecającym przez buczynę. Dziś, sztywno wyprostowana, uparcie wpatrywała się przed siebie, trzymając ręce głęboko w kieszeniach. Jedyne wietrzyk, unoszący długie, ciemne włosy Tessy, lękliwie i jakby niepewnie łagodził siłę jej zdecydowanego kroku.

Tak ponuro wyglądająca Tessa przeraziła Maddy. Nie chciała stanąć z nią twarzą w twarz. Właśnie wyszła ze sklepu i nie bardzo mogła wrócić tam ponownie. Pomknęła więc przez Błonia do „Czerwonego Lwa”.

- Czym mogę służyć? - spytała stojąca za bufetem Linda Maiden, jeżąc się na widok - jak jej się wydawało - nieprzyjaznej, pełnej krytycyzmu miny pani Storr.

Maddy przestała przyglądać się Lindzie i machinalnie podniosła wzrok ku półce, wyłożonej drobnymi paczuszkami.

- Poproszę orzeszki ziemne - rzekła z rezygnacją.

Tessa pochyliła się nad Urwisem, by przypiąć mu smycz, co wyrwało ją z transu i pozwoliło przypadkiem spostrzec umykającą Maddy. Widok ten nie wytrącił jej z równowagi, raczej odczuła ulgę na myśl, że nie będzie zmuszona z nią rozmawiać. Ostatnio żywiła względem przyjaciółki nader mieszane uczucia: gmatwaninę gniewu, niecierpliwości, litości, żalu, tak więc nie miała specjalnej pewności, czy zostało jej jeszcze trochę sympatii. Momentami zastanawiała się, czy miłość nie przeszła w nienawiść, choć nadal, od czasu do czasu, z udręką łapała się na tym, że czuje przypływ tęsknoty za dawną Maddy, której mogłaby się zwierzyć. (Czegóż by nie dała za możliwość wyrażenia grozy, z jaką obserwuje Colina, którego ciało rozkładało się od wewnątrz, jak gnijące jabłko? Komu innemu mogłaby to powiedzieć? Nie chciała martwić Eleanor, Nick zaś, podobnie jak Jerry i Viv, wziął już na siebie tyle, ile tylko mógł. Pozostała tylko Maddy...). Gdyby Tessa nie była tak przerażona i zaabsorbowana Colinem, mogłaby głębiej przemyśleć swe uczucia.

Być może doszłaby nawet do wniosku, że dawna przyjaciółka kosztuje ją zbyt wiele bólu i cierpliwości. Lecz na razie brakowało jej energii, by się nad tym zastanawiać. Żyła po prostu z dnia na dzień.

Rose dokonywała ostatnich poprawek przy swym eksponacie na konkurs Klubów Kobiet z całego hrabstwa (sekcja rękodzieła). Dziełem je rąk był collage przedstawiający dary lasu, przybrany haftowaną aplikacją, sama zaś autorka radowała się szlachetnym poczuciem przed czasem spełnionego obowiązku. Jutro wręczy wykonaną przez siebie kompozycję.

Na kredensie leżał cały rząd lalek, które obiecała sporządzić na stoisko, przewidziane na kiermaszu bożonarodzeniowym (lalka przedstawiająca panią przewodniczącą zajmowała pośród nich czołowe miejsce). Sukienka, którą uszyła dla Dolly, wisiała uprasowana w szafie na górze. (Nie w szafie Dolly, gdyż Rose stanowczo postanowiła trzymać ją u siebie aż do dnia turnieju wista. Jej decyzję spowodowała relacja Dolly o tym, jak Arthur po przepiciu pomylił kiedyś drzwi szafy w sypialni z drzwiami do łazienki). Dziś rano ona i Dolly zrobiły sobie trwałą.

A zatem wszystko, co należało zrobić, zostało wykonane akurat przed rozpoczęciem konkursu, który miał się odbyć w przyszłym tygodniu, a także kiermaszem bożonarodzeniowym i turniejem gry w wista, przypadającymi w osiem dni później.

Z przyjemnością dotykała włosów - delikatnych i silnie przylegających do głowy. Co jakiś czas, sięgając po nożyczki albo spoglądając na zegar, kręciła, potrząsała i kiwała głową, by się przekonać, że nie drgnął na niej żaden włos, loczek czy pojedyncze pasmo. Idąc do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty, umyślnie zboczyła do holu, gdzie podziwiała w lustrze swój schludny wygląd. Doszła do wniosku, że trwała podkreśliła jej osobowość. Była teraz, jeśli można się tak wyrazić, Rose Fettle pełną gębą. Niestety tego samego nie dało się powiedzieć o Dolly. Znajoma fryzura a la Cloomb - pasma włosów świeżo odwinęte z lokówek i zwisające nieporządnie - zniknęły całkowicie. W ich miejsce pojawiła się nieznośna jednolitość, nadająca Dolly dziwny wygląd łysego dziecka, któremu nałożono perukę. Przez fale przeświecała różowa czaszka, a parę cali skóry wokół linii włosów, zazwyczaj ukrytych, teraz odsłoniło się światu i wydawało się tym speszone.

- Włosy z czasem zmiękną - rzekła pocieszająco Maisie, pokazując Dolly rezultaty swych trudów w ręcznym lusterku.

- Rany boskie, mam nadzieję - rzekła przerażona Dolly.

Rose była pewna, że jej trwała będzie się trzymać jak należy. Starannie obliczyła, kiedy winna ją zrobić - na tyle wcześnie, by zmyła się pewna sztywność, lecz loki nie rozprostowały.

Rozsiadła się wygodnie. Collage był gotowy i dalsze majstrowanie mogłoby mu tylko zaszkodzić. Wypadł dobrze. Nawet ona, nastawiona tak samokrytycznie, dała mu wysoką ocenę. Zastanawiała się nad eksponatem rywalki. Jutro, gdy zanieśie collage do Jasmine Cottage, na pewno uda się jej na niego zerknąć. Czasami Rose w oka mgnieniu potrafiła ocenić, czy to ona czy też pani Storr odniesie triumf. Niekiedy jednak przedstawione prace zbyt się różniły, by można było wydać osąd. Najpiękniejsze chwile, prawie takie jak moment otrzymania nagrody, Rose przeżywała parokrotnie, gdy pani Storr wpatrywała się w jej dzieło, ujawniając nie tylko pełne podziwu zainteresowanie, które zwykła uprzejmość nakazywała wyrazić wobec cudzego eksponatu, co przelotną zazdrość i wyrażony w milczeniu szacunek.

Rose z rzadka odwiedzała Jasmine Cottage. Na ile mogła, unikała tej konieczności, jednakże czasami nic się nie dało zrobić. Pani Storr, jako przewodnicząca Klubu Kobiet, często organizowała w swym domu zebrania oraz składkową kawę, a gdy przeprowadzano jakieś zbiórki (tak jak teraz, przed zawiezieniem eksponatów na konkurs do siedziby hrabstwa), przewodnicząca nieodmiennie prosiła członkinie, by podrzuciły, co należało. Rose o mało nie zemdląła stojąc w miejscu, gdzie niegdyś znajdował się parter jej rodzinnego domu. Szewska pasja ogarniała ją na myśl, że teraz służy on Storrom za przedpokój. W najdalszym końcu znajdowała się niewielka garderoba, z boku schody, antyczna skrzynia, na której stał telefon, i parę półek na książki we wnęce, gdzie niegdyś stała kuchenka. Na podłogę z jasnych desek rzucono bladoniebieski skandynawski dywanik. Dom przedstawiał sobą rażąco niewykorzystaną przestrzeń, którą omiata się wzrokiem i omija. Rose miała wrażenie, iż Storrowie mówią do niej z satysfakcją: „Widzisz, co myślimy o twoim niepozornym domku? Jest taki maciupki, że po prostu przechodzimy przez niego w drodze do innych pokoi”.

Kiedyś znalazła się w ich holu sama. Pan Storr otworzył drzwi i poprosił, by weszła, a on tymczasem pójdzie po żonę. Rose stanęła na bladoniebieskim dywaniku i zamknęła oczy. Duchy tłoczyły się wokół niej, walcząc o trochę miejsca, by coś ugotować, zjeść, śmiać się, przekomarzać, snuć plany, żywić nadzieje, martwić się i płakać; przez dwie minuty w głowie Rose kłębiło się niczym w domu wariatów. Gdy otworzyła oczy, czuła, że nie tylko wygnano ją z tego miejsca, ale również znieważono, nie okazując należytego szacunku dla jej zmarłych krewnych.

Nigdy przedtem nie myślała o wolnej przestrzeni jako o oznace uprzywilejowania. Wspomniała, jak będąc na zorganizowanej przez Klub Kobiet wycieczce do Lincoln błędziła po katedrze. W głównej części budowli nie było krzesel ani ławek, tylko ogromna pusta przestrzeń, która wówczas uderzyła ją jako coś dziwnego. Po doświadczeniach w Jasmine Cottage zrozumiała, w czym rzecz: katedry budowano tak duże nie po to, by - jak niegdyś myślała - pomieścić wielką rzeszę wiernych, ale by przydzielić Bogu należną mu obfitość przestrzeni.

Naturalnie jej brat nie dopuszczał do siebie myśli, że mogliby czuć się skrzywdzeni. Gdyby Storrowie nie kupili tych domków - dowodził - i nie przerobili ich wedle swoich gustów, rozpadłyby się w kupę gruzu, jak większość starych chat w Wychwood. Ta niewątpliwa prawda nie zdołała jednak załagodzić gniewu Rose.

Nie o tym myślała jednak w tej chwili, lecz o swym collage'u - jak jego wspaniałość zdenerwuje panią Storr. Zaczęła sprzątać ze stołu wszystkie skrawki i przybory, których używała. Gdy już je upchnęła do plastikowych toreb i puszek, a całość porządnie ułożyła w bocznej szafce, poszła do kuchni, by zrobić sobie kubek kakao. Właśnie miała zanieść je do saloniku, gdy usłyszała charakterystyczny dźwięk. Zamknęła się klapka otworu w drzwiach, przez który wrzucano jej korespondencję lub gazety - a tego dźwięku nie spodziewała się usłyszeć tak późno wieczorem. Wyrzała do holu. Na wycieracze leżała koperta. Co to może być? Z lekką obawą poszła ją podnieść.

W środku koperty znajdował się wielokrotnie złożony kawałek papieru. Po rozwinięciu uniósł się z niego mdłosłodki zapach tytoniu. Rose przeczytała:

„Szanowna pani Fettle,

Niniejszym zawiadamia się, że przekąski w czasie turnieju wista będą płatne, podobnie jak poczęstunek na kiermaszu bożonarodzeniowym.

Z poważaniem K.R. Tustin"

Stała jak wryta, a serce waliło jej w piersiach. Z początku była oszołomiona, potem przepełnił ją ból, jak dziewczynkę, której ulubioną lalkę wyrwała silniejsza i bezwzględna koleżanka, na koniec - i dzięki temu wróciła do siebie - ogarnął ją gniew.

Zapomniała, że w kubku na kuchennym stole stygnie jej kakao. Na sztywnych nogach przeszła do saloniku i usiadła. Przeczytała karteczkę po raz drugi i trzeci, co jednak nie przyczyniło się do głębszego zrozumienia jej treści. Włożyła ją z powrotem do koperty, którą trzymała na kolanach. Wpatrywała się w ogień zbyt zaabsorbowana, by zauważyć, jak bardzo przygasa.

Oczywiście! To pani Storr pchnęła Tustina do działania. Pierwszą decyzją Rose było postanowienie pokonania rywalki. Dłużej musiała się już zastanawiać, jak tego dokonać. Cofnęła się myślą w przeszłość, szukając stosownych przykładów z własnego życia i przypomniała sobie, jak - gdy dzieci były małe - udawała pewność siebie, której w najmniejszym stopniu nie odczuwała, szczególnie w kontaktach z nauczycielami, bibliotekarzami i oficjalnymi przedstawicielami władzy. Często, by zyskać szacunek dla siebie i wszystko, co najlepsze dla dzieci, musiała blefować i stwarzać pozory wiedzy, jakiej w istocie nie posiadała. Teraz przyszło jej nagle do głowy, że może zrobić coś wręcz przeciwnego - udawać niewiedzę. Po prostu nigdy nie widziała tego listu na oczy. Ken Tustin dowie się tylko tyle, że leżała w łóżku zakopana pod kołdrą, gdy wsunął jej liścik przez drzwi (nie miał bowiem śmiałości powiedzieć jej tego w oczy). Koperta przeleżała na wycieraczce w holu do rana. Następnie, gdy Rose zeszła na dół i nie zapalając światła, by nie pokazywać się całemu światu w szlafroku, otworzyła drzwi, chcąc sięgnąć po butelkę z mlekiem, przeciąg musiał akurat porwać liścik, przez co Rose o niczym się nie dowiedziała. (Niesamowite, jak w niektóre poranki wiatr na Close potrafi dmuchnąć na człowieka, gdy się tylko wystawi nos). Uśmiechnęła się sama do siebie i kiwnęła głową, widząc już oczyma duszy, jak manewruje przez cały czas trwania kiermaszu i dobija do rozpoczęcia turnieju wista w błogiej nieświadomości jakichkolwiek zmian w ustaleniach. A potem, gdy będzie już za

późno, by ktokolwiek ją zastąpił, po prostu odmówi pobierania opłat za przekąski, wstrząśnięta samą myślą, że panu Tustinowi mógł przyjść do głowy pomysł brania pieniędzy za jakieś tam resztki. Pani Storr oczywiście nie będzie na miejscu, by mogła cokolwiek zrobić w tej sprawie, gdyż tacy jak ona - szykowni przybysze - nigdy nie obejmują patronatu nad turniejami wista.

Gdy Rose wyobraziła sobie scenę, w której udaje się jej wyjść zwycięsko z opresji, podarła kopertę na kawałki i wrzuciła je w najgorętszą część kominka, dźgając pogrzebaczem, aż się zapaliły, spłonęły i obróciły w popiół. Niemniej jednak część jej radości na myśl o turnieju wista również poszła z dymem. Teraz przyjemność oczekiwania została zmacona. Nie może też podzielić się swym zdenerwowaniem z Dolly, która, dopuszczona do sekretu nie potrafiłaby skutecznie przeprowadzić takiej intrygi. Mimo wszystko będzie wyglądać tego wieczoru z niecierpliwością i odniesie triumf. Nie dopuści, by tamta kobieta zepsuła jej przyjemność.

W rezultacie Rose nie zaniosała collage'u do Jasmine Cottage. Lękając się, że może paść jakaś uwaga dotycząca przekąsek na turnieju wista, co zniweczyłoby jej plan, oparty na udawaniu niewiedzy - choć całą brudną robotę pani Storr najwyraźniej zrzuciła na pana Tustina - Rose wysłała w zastępstwie Dolly.

- Ale ja nie chcę tam iść - rzekła Dolly.

- O, wielkie rzeczy. Jak często cię proszę, żebyś wyświadczyła mi przysługę?

- Ależ Rose, to wyjdzie niezręcznie. Może się zapytać, dlaczego sama czegoś nie zgłosiłam.

- Nie zapyta. Za bardzo będzie zajęta oglądaniem mojego collage'u. Koniecznie zapamiętaj, co o nim powie.

- Że też muszę tam łązić - jęczała Dolly, wpychając dzieło Rose pod pachę.

- Ostrożnie! Powiedz jej, że jestem niedysponowana.

- Co takiego?

- Niedysponowana! - ryknęła Rose zamykając drzwi. Maddy ze zdziwieniem dostrzegła Dolly na progu swego domu.

- Pani Cloomb! - wykrzyknęła, po czym - widząc, że podbite oko Dolly już nieco zbladło - dodała uprzejmie:

- Proszę wejść.

- Nie, nie, dziękuję, złotko. Przyniosłam tylko robótkę Rose. Ona jest niedysponowana.

- Oj, to szkoda. Nic poważnego?

- Trudno powiedzieć - rzekła tajemniczo Dolly, niepewna, jaki stopień nieszczęścia obejmuje pojęcie niedyspozycji.

Maddy rozwijała papier, skrywający dzieło Rose.

- Nie będzie miała nic przeciwko temu, że... - urwała nagle. - Boże, to jest dobre - rzekła bezbarwnym głosem, gdyż fakt, iż dzieło o takim stopniu mistrzostwa artystycznego, połączonego z doskonałością techniczną jest wytworem rąk stworzenia równie nieprzyjemnego i prozaicznego jak Rose Fettle, burzył jej obraz świata.

„Boże, to jest dobre” - powtarzała w myśli Dolly, zapamiętując usłyszane właśnie słowa, by powtórzyć je wiernie Rose.

- A pani jak się czuje, pani Cloomb?

- Nieźle, tylko ostatnio kręciłam się jak w kołowrocie, tyle miałam roboty z tym i owym... Chyba mogłabym dać pani garnek marynaty, ale obiecałam już pani Frogmorton.

Zbita z tropu Maddy powiedziała:

- W porządku. Dzięki za przyniesienie collage'u pani Fettle. Proszę jej powiedzieć, iż na pewno wygra nagrodę. I mam nadzieję, że się jej polepszy do wtorku.

- Pewnie, kochaneczko - rzekła Dolly, dziękując Bogu za to, że będzie mogła bezpiecznie dostarczyć marynatę pani Frogmorton. Po drodze do domu z rosnącym entuzjazmem powtarzała: „Boże, to jest dobre”.

- Boże, to jest dobre! - powiedziała wreszcie tonem pełnym podziwu.

- Tak po prostu? - Rose była podejrzliwa.

- Słowo honoru. To jej słowa. Powiedziała, że twoja praca wygra pierwszą nagrodę.

- Taak? Uważa więc ją za lepszą od swojej.

- Czy zrobiłaś już przynajmniej listę darowizn? - dopytywała się Maddy.

Tessa wbiła wzrok w kubek z kawą.

- Coś podobnego. Mamy nieco ponad tydzień. Sama to zrobię. Daj mi listę.

- Nie. Wyjdę dziś po południu.

Głos Tessy dźwięczał tak głucho, że Maddy poczuła się nieswojo.

- Pewnie jesteś zawałona robotą? - zapytała.

- Nie. Prawdę mówiąc skończyłam już książkę.

- Skończyłaś? - krzyknęła Maddy podrywając się z miejsca, ale ponieważ Tessa nie wstała z krzesła, usiadła z powrotem.

W kuchni zapanowała atmosfera zakłopotania. Obie poczuły się nią zbyt przytłoczone, by dalej prowadzić rozmowę. Każdej z nich nie dawała spokoju ta sama myśl. Przez ostatnie siedem czy osiem lat, ilekroć Tessa ogłaszała zakończenie pracy nad książką, Maddy z radością pędziła do pracowni, zakładając zgodnie z intencjami Tessy, że jest to zaproszenie do obejrzenia jej dzieła. Gdy dokładnie omówiły ilustracje, Tessa wyjmowała butelkę wina i zaczynały święcić prywatną uroczystość. Teraz, chcąc pośpiesznie pozbyć się uczucia zażenowania, jedna przez drugą powiedziały:

- Zrobie, co do mnie należy, gdy wyprowadzę Urwisa.

- Mogę to za ciebie załatwić.

Ich głosy zderzyły się i wypowiedziane jednocześnie zawisły w powietrzu nieodgadnione.

- Przepraszam.

- Nie, teraz ty.

- Chciałam tylko powiedzieć, że chętnie obejdę drugą połowę wioski. Pierwszą już zaliczyłam. Wiem, że jesteś zajęta odwiedzinami przyjaciela w szpitalu - rzekła Maddy.

- Nie dziś po południu. Jedziemy tam z Nickiem wieczorem. - (Przez ostatni tydzień - być może dlatego, że przypadek Colina okazał się beznadziejny - Nick nalegał, by odwiedzali go wspólnie. Maddy, znając z góry rozkład dnia Nicka, nic nie powiedziała). - Obiecałam, że pomogę ci przy przygotowaniu przekąsek i dotrzymam słowa. Zacznę dziś po południu. I tak jest zbyt duże błoto, by wędrować po polach.

- Skoro tak uważasz... Nawiasem mówiąc, wszystko jest już ustalone. Widziałam dziś Kena Tustina. Powiedział, że zawiadomił Rose Fettle. Musimy więc bezwzględnie zebrać dosyć jedzenia na wieczór i na południe. Ludzie, których odwiedziłam, byli bardzo hojni przynajmniej w obietnicach. Zazwyczaj dotrzymują słowa.

- O właśnie. Phoebe Peck obiecała ser. Jest na twojej liście.

- Tak, mam zapisane.

Zapadła cisza. Oczy Maddy błędziły po blacie stołu, jakby szukając bezpiecznego tematu do rozmowy. Tessa przyglądała się jej beznamiętnie, dziwiąc się, że tak jej nudno w towarzystwie przyjaciółki.

- Pewnie chcesz to wszystko dalej robić - odezwała się nagle, nie dbając, jaki wydźwięk mają te słowa.

Maddy oblała się rumieńcem i wstała.

- Tak, Tessa - mruknęła.

- A ja muszę zadzwonić do Larry'ego.

Maddy podeszła do drzwi, ale nagle zawahała się i odwróciła.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Oczywiście. Może jestem trochę przytłoczona tym wszystkim - odparła Tessa.

Teraz mogła się już tylko pożegnać.

- A więc do zobaczenia. Pa!

Schodząc ze schodów usłyszała, jak drzwi natychmiast się za nią zamknęły.

Zza rogu, od strony Błoni, wyłoniła się Phoebe.

- O, Maddy! Robert powiedział, że będziesz u Tessy albo też w sklepie.

Maddy skrzywiła się z niezadowoleniem. Phoebe pojawiała się na progu jej domu niemal codziennie.

- W przyszłym tygodniu będą grali fantastyczny film.

- W następnym tygodniu będzie mi się trudno gdzieś wyrwać - w poniedziałek mam zajęcia na kursie, we wtorek jest spotkanie w urzędzie hrabstwa, w jakiś dzień wypada zebranie podkomitetu rady parafialnej, w sobotę jest kiermasz.

- A więc nie każdy wieczór masz zajęty - rzekła Phoebe, pilnie licząc.

- No dobrze, zobaczymy.

Gorzej już nie mogło się złożyć. Rzeczywiście miała zamiar wykorzystać wypad do kina z Phoebe jako wymówkę, by wyjść z Nickiem, lecz ona zaczęła się zjawiać w Jasmine Cottage ni z tego, ni z owego i zamieniać parę słów z Robertem, co groziło zniweczeniem całego planu. Byłoby to katastrofalne, gdyż coraz trudniej przychodziło jej znaleźć pretekst do wyjścia.

- Dam ci znać. Pójdziemy, jak tylko uda mi się wyrwać. Może w środę.

- Wspaniale! - Phoebe stała na ulicy jak przykuta. Jej oczy błyszczały.

- Idę teraz do sklepu. Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję. Maddy! - zawołała przypominając sobie, co chciała powiedzieć. - Wysmażyłam wiersz na konkurs.

Maddy odwróciła się.

- Na konkurs hrabstwa? Sądziłam, że to cię nie bawi. Czyżby kolejny „Mój najdłuższy dzień?”

- Tym razem pomyślałam o naprawdę fajnym dniu, kiedy to razem pojechałyśmy do Leamington i mierzyłyśmy ciuchy. Żeby wiesz był dłuższy, opisałam, jak poszłyśmy do kina, a potem do chińskiej restauracji. Trochę zmyśliłam, ale trzeba wykorzystywać wyobraźnię. Przepiszę go na czysto, a potem ci podrucę. Są w nim takie zabawne kawałki. Skonasz ze śmiechu.

Maddy odwróciła głowę i wpatrywała się w Błonia. Z uwagą obserwowała ciężarówkę dostawczą z browaru i toczące się beczki, pokrzykujących mężczyzn, Lindę Maiden, stojącą w drzwiach z rękami na biodrach i demonstrującą swój biust. Nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć, by wyperswadować Phoebe ten pomysł, a jednocześnie nie zdenerwować biedaczki.

- Chętnie go przeczytam - rzekła z westchnieniem i poszła przez Błonia do „przybytku” Brendy.

Ken Tustin również zajęty był przygotowaniem do kiermaszu. Uporał się z pewnymi drobnymi trudnościami, jak sądził głównie dzięki temu, że zbyt wiele o nich nie rozpowiadał. Problemy są jak kurz - lepiej ich nie poruszać. Gdy dziś rano zaatakowała go pani Storr, starannie dobierał słów - nie powiedział, że rozmawiał z Rose Fettle, tylko iż się z nią „skomunikował”.

- Skomunikowałem się z panią Fettle. Teraz już wie, że przekąski na turnieju wista będą płatne, tak samo jak poczęstunek na kiermaszu.

- To dobrze. A więc wszystko w porządku. Mam nadzieję, że przyjęła to spokojnie?

Ken wymamrotał coś do fajki i pyknął z niej spokojnie. (Maddy odczuła taką ulgę, że mało co zauważyła. Jej pytanie było czysto uprzejmościowe. Zupełnie by jej nie obeszło, gdyby Rose tupnęła nogą, a przy tym nawet wbiła ją sobie w ziemię).

Teraz ambicją Kena było, by nie natknąć się na panią Fettle. (Właściwie nie miał zbyt dużych szans na spotkanie jej, gdyż Rose bardzo

pracowicie go unikała). Rozglądając się bacznie dokoła zachodził do innych ochotników, aby przekonać się, że beczka - z której wyciąga się niespodzianki - będzie gotowa do użytku (pan Bultitude) i że przygotowania do uruchomienia różnych stoisk są w toku. Sprawdził również, czy strój św. Mikołaja ciągle jeszcze pomieści Dereka Bowmana, po czym upewnił się, że pani Dyte uzyskała obietnice dobrych fantów na loterię i że gotowe jest ciasto bożonarodzeniowe (pani Joiner), którego wagę należało odgadnąć w konkursie. Poinstruował mężczyzn mających rozstawiać stoiska i pilnować drzwi, złożył też wizytę proboszczowi, do którego zadań należało oficjalne otwarcie kiermaszu, ogłaszanie wygranych, a także rozstrzyganie w sprawach jakichkolwiek zmian. W czasie rozmowy z pastorem przyszło mu do głowy, by wspomnieć o drobnych trudnościach w związku z przekąskami na turnieju wista, ale postanowił tego nie robić. Im mniej słów, tym szybsza złego naprawa. Rose nie pojawiła się dotąd u jego drzwi, a i w czasie składanych wizyt nie słyszał, by coś o tej sprawie szeptano. Widać pani Fettle postanowiła dać za wygraną.

Rozdział 25

„Jakże nic się nie zmienia” - myślała Tessa, idąc ulicą i trzymając na smyczy Urwisa, który ciągnął ją za sobą. Ta otaczająca niezmiennosc razila ją - wzgórek na chodniku niczym kretowisko, pokryty skorupą smoły, pełne kałuż pobocze drogi, gdzie samochody i ciężarówki rozjechały murawę, trybula leśna, rosnąca między kratami od dawna nieczynnej bramy Probostwa. Wszystko było tak bardzo znajome, iż wydawało się, że przechodziła tędy od zawsze. A gdzieś tam, znad ogrodowego muru, nadal prowokująco wystaje gałąź, z której spadł jej dziesięcioletni syn w czasie zabronionej mu wyprawy po kasztany. Naturalnie owej niezmiennosci należało się spodziewać, niemniej jednak dziś wydała się ona Tessie pozbawiona serca. Gdyby w którymś z domów wydarzyło się teraz nieszczęście lub od dawna rozgrywałaby się tam jakaś tragedia, na zewnątrz, na ulicach, nie widać byłoby żadnych jej oznak. Wioska nadal przyglądałaby się wszystkiemu beznamiętnie. Ludzie zachowywaliby się jak zwykle, robiąc te same mało oryginalne uwagi: „Muszę skoczyć do Brendy, zanim zamknie”; „Koszmarna pogoda, ale farmerzy chyba się cieszą”; „Jak się zastanowić, zabawa wczoraj wieczorem była całkiem niezła”.

W dawnych czasach, w chwilach wyjątkowych, mieszkańcy zaciągali zasłony na okna, bili w dzwony, zamykali sklep, burzyli powszednią niezmiennosc, zakłócali ją, dawali jej kopniaka. Ponura wizja nie ulegającego zmianom otoczenia jawila się Tessie niczym sen i nie było w tym nic dziwnego: Colin wypełniał jej serce i umysł, choć nie myślała o nim w sensie dosłownym; on po prostu był, w środku niej, gdzieś w podświadomości. Poczula pustkę w głowie, gdy Urwis - przystając nagle - zatrzymał ją gwałtownym szarpnięciem.

- Och, ty - powiedziała gniewnie, przyjmując sytuację do wiadomości i z rezygnacją zgadzając się na dłuższą „inspekcję” ulicznej lampy.

Kiedy już minęli cmentarz, Urwis zorientował się, co to będzie za spacer. Nie gonitwa przez furtkę, za którą rozciąga się swoboda pól i lasów, lecz przechadzka tuż przy nodze pani (z wyjątkiem spuszczenia ze smyczy na parę chwil, gdy dojdą do nieskoszonej trawy na skraju wioski), przechodzenie pod bramami, odgradzającymi terytoria innych psów, tropienie tras ich spacerów, pieszczoty, a nawet poczęstunki od właścicielek innych czworonogów. Jego własna pani na takich spacerach przyprawiała go o zdenerwowanie. Choć usilnie nad nią

pracował, nadal wykazywała brak właściwego zrozumienia psych zwyczajów. Na przykład, jeśli nie zachował w porę czujności i nie zarył się łapami w ziemię, potrafiła przemaszerować tuż obok obiektów psiego zainteresowania, nawet nie rzuciwszy na nie okiem. Gorzkie doświadczenie nauczyło go, że winien zawczasu roztoczyć nad nią kontrolę i zatrzymywać na trasie sporo przed pożądanym miejscem, bo tylko w ten sposób, da się panią powściągnąć w biegu, gdy on tymczasem będzie zbierał informacje, wnosząc własny wkład do skarbnicy psiej wiedzy. Niestety nawet na obsikiwanie lamp czy słupków bram niechętnie się godziła.

- Och, daj spokój. Nie waż się robić tej drugiej rzeczy - ostrzegła.

To ostatnie traktowała z pogardą, co zdradzało jej ignorancję. Gdy był już gotów, biegł truchtem naprzód, ciągnąc ją za sobą i czekając na następne, znajome miejsce postoju.

Kiedy Urwis zwiedził już nieużytki oddalone ćwierć mili od wioski, ciągnące się wzdłuż Manor Road, Tessa zawróciła i zaczęła chodzić z wizytami po domach. Serdecznie nie znosiła żebraczego aspektu tej działalności, której od niej oczekiwano, lecz zgodziła się poświęcić swój czas dla dobra ogółu.

- Ja daję herbatę - zdołała zawsze wtrącić.

Jej zażenowanie było zupełnie nie na miejscu. Zazwyczaj ludzie prześcigali się w oferowaniu darmowego jedzenia.

- Aha, poczęstunek. W zeszłym roku zrobiłam biszkopt kawowy. Czy teraz też by się nadał? - zaproponowała Molly Whitton, prowadząc Tessę na tył szeregowego domku, by pochwalić się swymi kogucikami.

Jeśli któraś z zagadywanych osób rozglądała się niepewnie, Tessa nie nalegała.

- Wiem, że to trudna sprawa. Pewnie inni przede mną też o coś prosili - mówiła, gdyż sama już była tym wszystkim udręczona.

Kilkoro starszych mieszkańców wspomniało o przekąskach w czasie turnieju wista.

- Na poczęstunek? Oczywiście, złotko. Przyślę wam pół tuzina jaj. Jak dla mnie, nie ma nic lepszego niż kanapka z jajkiem i rzeżuchą. Pamiętajcie, żeby zostało mnóstwo resztek na wieczór. My, starzy, liczymy na niezłą wyzerkę.

Słowo „resztki” niepokoiło Tessę. Najwyraźniej sprawa nie była tak prosta, jak sugerowała Maddy.

Do końca listy dobrnęła późnym popołudniem. (Pani Frogmorton koniecznie musiała poczęstować ją herbatą i bułeczkami, dała też Urwisowi zarcie z puszki, a pani Bultitude, któremu na widok Tessy zabłyśły oczy, zaprowadził ją do cieplarni). Wreszcie, dość znużona, zagoniła Urwisa do kuchni i ulicą Kościelną poszła do Maddy.

Mocno się zdziwiła, gdy wpuściła ją pani Dyte.

- Maddy zaraz zejdzie. Proszę wejść. Przestronny zazwyczaj hol zapchany był paczkami.

- Nasze eksponaty na konkurs - wytłumaczyła pani Dyte, podążając za spojrzeniem Tessy.

Trzasnęły drzwi, pośpiesznie zatupotały stopy i pojawiła się Maddy.

- Czy to się nada? - Wyciągnęła butelkę najlepszego portu, jakie miał Robert.

- Och, oczywiście. - Pani Dyte wzięła butelkę i odwróciła się do Tessy. - To na loterię. Nie chciałaby pani dać jakiegoś swojego obrazu na nagrodę?

- No, raczej nie. Ale mogę dać coś innego. A co macie prócz wina Maddy?

- Duże nagrody. Brakuje nam drobnych upominków. A może ofiarowałyby pani pudełko czekoladek?

- Dobrze - rzekła zimno Tessa, wściekła, że jej obraz uznano za nadający się na pomniejszą nagrodę.

Maddy z rozpaczą przewróciła oczyma i chcąc odplacić się pani Dyte, rzekła chytrze:

- Joan, pokaż Tessie swoją poduszkę. - Wyjęła duży pakunek ze stosu wyrobów zgłoszonych na konkurs i rzuciła nim w stronę pani Dyte, która go rozpakowała. - To jest coś, nie uważasz? - spytała niewinnie.

Był to zmalretowany czerwony plusz, uformowany w kształcie kota.

- Istotnie, bardzo oryginalne.

Joan Dyte wyglądała jak uosobienie skromności.

- Nie sądzę, by wygrał. Ale wygląda tak słodko w sypialni dzieci. Przecież trzeba okazać dobrą wolę. No to zostawiam panie z tym wszystkim. Czy mam wpaść po czekoladki?

- Nie, nie, podrzucę je, kiedy będę wyprowadzać psa. Joan wreszcie wyszła. Maddy wzięła Tessę pod ramię i powiedziała:

- A to bezczelna baba! Cieszę się, że nie zmarnowałaś dla niej obrazu. Ale pokażę ci coś dobrego. - Podeszła do stosu prac konkursowych, znalazła collage Rose Fettle i rozwinęła go. - Co o tym sądzisz?

- Dobrze!

- Owszem. Zgadnij, czyje?

- Pani Fettle?

- Właśnie. Ta kobieta mnie zastanawia. Takie skąpiradło z wiecznie ponurą gębą, a jednak...

- Ona pewnie uważa, że to ty jesteś skąpa. Maddy oburzyła się.

- Ale to właśnie ja zawsze staram się, żebyśmy okazywały wspaniałomyślność. Jestem pewna, że Rose Fettle temu zaprzeczy. Ona przegnałaby stąd wszystkich przybyszów.

- Pewnie dlatego, że życie w Wychwood to nie zabawa. A skoro o tym mowa, kiedy dziś po południu rozmawiałam z ludźmi, zobaczyłam sprawę przekąsek na turnieju wista jeszcze z innej strony.

- (Maddy z pochmurną miną odłożyła collage). - Niektórzy z ofiarodawców - głównie starsi - skorzystaliby na tym, gdyby wieczorem poczęstunek był bezpłatny.

- Ale większość z nich nie pójdzie na turniej gry w wista. Więc w czym problem? To przecież nie ma być zbiórka na jakiś zasiłek. Pieniądze zostaną przeznaczone na remont dachu kościoła.

- Chyba jest w tym coś więcej, niż podejrzewamy - dla starszych osób to okazja do dobrej zabawy...

- Kosztem innych. Według pomysłu i pod kierunkiem pani Fettle. Boże, ta kobieta to ani chybi czarownica. Dość spojrzeć na ciebie: raz wrzasnęła, a ty od razu kładziesz uszy po sobie.

- Nie spotkałam się z Rose Fettle - rzekła oburzona Tessa. - Orchard Close jest na twojej liście. Och - machnęła ręką - nie ma o czym mówić.

Wzajemnie unikały swego wzroku, przyglądając się pakunkom. ,
- Napijesz się herbaty? - spytała Maddy.

- Nie, dziękuję. Oto moja lista. Lepiej rzuć okiem, żeby czegoś nam nie zabrakło.

- Na miłość boską! Przestać się wściekać! Chodź i napij się herbaty - powiedziała i nie czekając na odpowiedź poszła do kuchni.

Tessa podażyła za nią bez entuzjazmu. - Przeczytaj to - rzekła rzucając jej kartkę papieru, po czym zaczęła napełniać czajnik.

Pierwszych parę linijek rozbawiło Tessę. Potem zaczęła się czuć nieswojo, jakby szpiegowała kogoś znajomego. Wreszcie dobrnęła do końca i położyła wiersz Phoebe na stole.

- Myślałam - rzekła Maddy, przynosząc dwa kubki z herbatą - że pęknieś ze śmiechu. Dla mnie to strasznie żenujące. Moje imię tak się wyróżnia. Pechowe imię. Spotkałaś kiedy jakąś inną Maddy? Zrobię wszystko, żeby nikt w Wychwood tego nie widział. Ale muszę zgłosić ten wiersz na konkurs. W jury na pewno znajdzie się ktoś znajomy. No trudno - westchnęła - przynajmniej komuś będzie wesoło. Tak wystarczy, czy chcesz jeszcze trochę mleka?

- Nie, dziękuję.

- Mogłabyś okazać mi trochę współczucia.

- Mam wrażenie - rzekła powoli Tessa - że sama się o to prosiłaś.

- O co ci, do diabła, chodzi?

- Poświęcałaś Phoebe mnóstwo uwagi. To się jej spodobało. Chciała spędzać z tobą coraz więcej czasu, zaczęła coraz bardziej na tobie polegać. To spora odpowiedzialność.

- Mówisz tak samo jak Robert - zauważyła Maddy, oblewając się rumieńcem. - Interesowałam się Phoebe odkąd zapisała się do Klubu Kobiet - usiłowałam dodać jej odwagi, pomóc, ujmowałam się za nią...

- I za to cię podziwiam. Ale ostatnio twoje zaangażowanie stało się zbyt osobiste. Wszystko byłoby w porządku, jeśli tylko ...

- No właśnie, co?

„Gdybyś tylko jej nie wykorzystywała” - miała Tessa na końcu języka, ale zabrakło jej odwagi, by to powiedzieć.

- Jeśli tylko nie rani się jej uczuć - wyjaśniła.

- Co za ostrożne podejście do życia! Czy mamy brać lekcje, nim zaprzyjaźnimy się z kimś, kto nie może dać sobie ze sobą rady? Robić dyplom z absolutnie bezpiecznego koleżeństwa?

Tessa poczuła się słusznie skarcona. Maddy zawsze chętnie poświęcała czas każdemu, kto tego potrzebował. Do niej samej to już się nie odnosiło.

- Przepraszam - wymamrotała, popijając powoli herbatę.

Z zaciekłością osoby, która zawsze stara się górować nad innymi, Maddy pośpieszyła natychmiast wykorzystać swą przewagę.

- I zgadzasz się ze mną co do przekąsek na turnieju wista?

- Och, na pewno masz rację. Jesteś ekspertem w sprawach wioski, a ja tylko odludkiem, który od czasu do czasu wysuwa głowę z domu, by ludzie nie zaczęli gadać. - Tessa wstała. - Muszę lecieć. Spotykam się z Nickiem w szpitalu o szóstej. A przy okazji - dodała idąc do drzwi - powiedziałam wszystkim, żeby przynosili jedzenie do ciebie, tylko od paru osób zabiorę je sama. Kanapki robimy tutaj, tak jak zwykle?

- Hm? - mruknęła Maddy, mając głowę zaprzątniętą własnymi sprawami. - Aha, oczywiście.

Nick wprowadził Tessę do pokoju, jak gdyby chciał pochwalić się swym dobrym uczynkiem. Nie mógł już dłużej rozmawiać z Colinem na temat swego małżeństwa, lecz za nic w świecie nie chciał, by przyjaciel do końca życia uważał go za drania; nie mogąc wyrazić skruchy, postanowił ją zademonstrować.

Trudno powiedzieć, czy Colin coś zauważył. Tessa przycupnęła przy jego łóżku i wzięła go za rękę. Nick siedział za nią, pochylony do przodu, podrywając się z rozpaczliwą gotowością przy najmniejszej okazji do okazania pomocy. „Podaj mi zlewkę” - prosiła Tessa od czasu do czasu lub też - „Podaj chusteczkę”. Gdy weszła pielęgniarka, skoczył na równe nogi gotów poruszyć góry, gdyby tylko poprosiła.

- Chyba trzeba zwilżyć mu usta - odezwała się Tessa do siostry.

Przyszła Sophia i natychmiast dała znak Tessie, by pozostała na swoim miejscu. Następnie chwyciła pudełko chusteczek, nerwowo w nich pogrzebała i rozszłochała się. Nagle Colin, leżący dotąd bez ruchu, stał się niespokojny. Tessa wystraszyła się nie na żarty.

- Col? Masz bóle? Bardzo ci dokuczają? - dopytywał się Nick, a gdy przyjaciel skinął głową, wyszedł pośpiesznie z pokoju.

- Dostał wszystko, co możemy mu dać - rzekła do Nicka pielęgniarka. - Tylko lekarz...

- Więc proszę sprowadzić lekarza.

- Ale doktor...

- Proszę go sprowadzić.

Dwadzieścia minut później przybył lekarz z pielęgniarką, niosącą naczynie pełne bandaży. Tessa, Nick i Sophia wyszli. Kiedy doktor z siostrą opuścili wreszcie pokój Colina, wsunęli się cichutko z powrotem i usiedli w milczeniu. Chory spał.

- Chodź - rzekł wreszcie Nick, obejmując delikatnie Sopię. - Zabieramy cię do domu. Pożegnaj się z nim.

Pozwoliła, by podprowadził ją do łóżka i posłusznie ucałowała męża. Nick ujął Golina za rękę. Tessa pocałowała go w czoło. Nie ociągali się z wyjściem.

- Pojedziemy twoim - zdecydował Nick. - Mój zabiorę później.

Zatrzymali się na podjeździe przed domem Petchelów. Drzwi otworzyła im Magda. Sophia przeszła obok niej bez słowa. Poruszała się szybko, mając oczy na wpeł przymknięte, a ręce sztywno wyciągnięte przed sobą. Zupełnie jak niewidoma, lękająca się przeszkody na drodze. Wkrótce zniknęła gdzieś w saloniku. Magda zatrzymała Nicka i Tessę w holu.

- Ktoś powinien z nią zostać dziś w nocy - powiedziała Tessa.

- Ja zostanę - oświadczyła Magda. Wciąż nie zapraszała ich, by weszli dalej.

- Ja tylko ... - zaczął Nick i przecisnął się obok Magdy, zmierzając do saloniku. - Czy mogę... - Tessa posłyszała jego pierwsze słowa.

Zaczekała. Nick wrócił po chwili, poczerwieniały na twarzy.

- Czy coś między wami zaszło? - spytała, gdy jechali z powrotem do szpitala, by zabrać samochód Nicka.

- Nic.

- Czymś się zdenerwowałeś.

- Zastałem u niej jakiegoś faceta. Był dość młody. Wyglądał na cudzoziemca.

- To pewnie ten Pieter.

- Siedział na krześle Colina, tak jakby był u siebie w domu.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Wreszcie zatrzymali się na parkingu. Wsiadając z samochodu Nick powiedział:

- Pójdę na moment do swojego pokoju. Zrozumiała, że chodzi o jego pokój na uniwersytecie.

- O tej porze? Jest prawie dziesiąta wieczór.

- Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Chciałbym posiedzieć chwilę w spokoju.

- A więc idź - odparła, wrzucając wsteczny bieg.

- Ja odbiorę - zawołała Maddy ostrym tonem.

Jej głos sprawił, iż Robert zadrżał cały. Nakładał właśnie płytę na adapter i nie mógłby postąpić wbrew woli żony, nawet gdyby chciał.

Przyciszył gramofon, po czym szybko podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho.

- Tak. - Nastąpiła pauza, po której jej głos przycichł. - Spróbuję - brzmiało następne słowo, jakie udało mu się pochwycić, potem znów: - Tak.

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki i odskoczył od drzwi. Jej stopy natychmiast zadudniły po schodach. Trzy minuty później - nie dłużej - zjrzała i rzuciła jakieś zdanie tak szybko i niewyraźnie, że nie udało mu się wyłowić poszczególnych słów. Chyba miało to coś wspólnego z Phoebe i jakimiś kłopotami.

- Co powiedziałaś? - spytał bezradnie, ale już jej nie było. Pośpieszył za nią i ujrzał, jak drzwi frontowe się zamykają. - Co powiedziałaś?! - krzyknął, otwierając je gwałtownie.

Wyszedł przed dom. Gdy dotarł do alejki, gdzie stały samochody, Maddy już odjeżdżała. Twarz miała skrytą w mroku, dopóki nie padło na nią światło latarni, kiedy wóz wytoczył się na ulicę.

- Maddy!

Okienko samochodu otworzyło się na cal.

- Zaraz wracam! - zawołała i ruszyła gwałtownie z miejsca.

Maddy odjechała. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Po paru minutach Robert doszedł do wniosku, że żona nie skręciła w prawo w kierunku farmy Pecków, lecz w lewo, na Fetherstone. Usiłował przypomnieć sobie odgłos oddalającego się samochodu, ale na nic to się nie zdało. Nie miał pewności. Klnąc siebie samego za to, że w porę nie słuchał dość uważnie, wrócił do domu. Jego kroki na żwirze dźwięczały nad wyraz głośno.

Nagranie skończyło się. Igła adapteru ślizgała się i przeskakiwała bezużytecznie. Robert zdjął i odłożył płytę. Potem usiadł i zapalił fajkę. Wreszcie, niemal wbrew swej woli, wstał, poszedł do holu i sięgnął po bloczek telefoniczny Maddy. Znalazł nazwisko Pecków i długo wpatrywał się w figurujący obok numer. Podjął decyzję i chwycił za słuchawkę.

- Roy, przepraszam, że przeszkadzam. Mówi Robert Storr. Czy przypadkiem nie ma u was mojej żony?

- Niestety, Robercie - wycedził z wolna Roy. - Tu jej nie ma. Poczekaj chwilę, zapytam Phoebe. - Szczerłość przebijająca z głosu Pecka budziła w Robercie obrzydzenie.

- Nie, nie fatyguj się. Maddy coś mi przekazała, a ja chyba nie dość uważnie słuchałem. Przepraszam, że cię niepokoiłem, stary. Dobranoc.

Kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Podeszedł do drzwi, wychodzących na tył domu, otworzył je i stanął w ostrym powietrzu, obserwując przelatujące przez ogród nietoperze.

- Niech to szlag - powiedział nagle do przykrytego na zimę krzewu morwy.

Wrócił zwawo do holu, gdzie bloczek Maddy nadal spoczywał obok telefonu. Tym razem poszukał numeru Brierleyów.

Wróciwszy do domu Tessa natychmiast pobiegła na górę, by przygotować sobie kąpiel. Gdy dotarła na podest, zaczął dzwonić telefon.

- Halo - rzekła bez tchu, chwytając słuchawkę w sypialni.

Nie usłyszała odpowiedzi. Pobiegła wzrokiem do okna (nie zaciągnęła jeszcze zasłon), ku czerni na zewnątrz i swemu własnemu odbiciu w szybie. Wiedziała, że nikt się nie odezwie.

Po chwili w Jasmine Cottage ktoś bardzo ostrożnie odłożył słuchawkę.

- Przykro mi, że umarł twój przyjaciel - rzekła Maddy, przybывая do Holly House następnego ranka, to jest w sobotę, z bukietem cieplarnianych frezji. - Spotkałam dziś rano Nicka, jak wyprowadzał samochód. Powiedział, że jedzie zobaczyć, czy żonie Colina nie trzeba w czymś pomóc.

- Tak - rzekła Tessa, biorąc kwiaty. Poszła do zmywalni, by włożyć je do wody.

- Pewnie będzie musiał wypełnić formularze. Zawsze jest mnóstwo formularzy. Właśnie wtedy, kiedy najmniej ci są potrzebne. Jeśli mogę coś zrobić, Tesso ...

- Dziękuję, ale chyba nie.

- Chciałam powiedzieć, żebyś nie martwiła się o poczęstunek. Poproszę kogoś innego. Nie chciałabym zawracać ci głowy.

- Ależ owszem. Nick właśnie dzwonił z wiadomością, że kremacja odbędzie się w piątek. Mogę więc zrobić to, co do mnie należy, w przyszłą sobotę.

- Słuchaj, nie miałam zamiaru ...

- Ale ja chcę brać w tym udział.

- Aha. No więc dobrze. - Po chwili znów odezwała się nieśmiało:
- A może zjadłabyś u mnie lunch?

- Raczej nie.

Maddy pokiwała głową, po czym podeszła do drzwi.

- A więc zobaczymy się w tygodniu.

- Dziękuję za ...

- Kwiaty? Nie ma o czym mówić. Pa! Tesso.

- Do widzenia.

Rozdział 26

To, iż Maddy zauważyła, jak Nick rano wchodzi do garażu, nie było sprawą przypadku. Specjalnie czekała przez całe dwadzieścia minut, spozierając zza cmentarnych cisów, by go ujrzeć.

Gdy o wpół do dziewiątej Brenda odwróciła frontem napis „Otwarte” na sklepowej wywieszce, ze zdziwieniem zauważyła na progu panią Storr, już gotową do wejścia. Z ręką przyciśniętą do piersi Maddy ogłosiła pilną potrzebę nabycia tabletek przeciw niestrawności. Jak oświadczyła rozbawionej Brendzie, przy okazji może też wziąć pół tuzina jaj i kostkę masła. Produkty te troskliwie ułożyła w koszyku. Dodawały jej one pewności siebie, gdyż stanowiły widomy dowód jej niewinności jako żony, przebywającej poza domem w sobotni ranek. Nie zaniósła jednak zakupów do domu. Umknęła w kościelną bramę i, wdzięczna za zasłonę mgły, skręciła w lewo, na ścieżkę biegnącą między dawniejszymi grobami, równoległą do ulicy Kościelnej. Skryta przed niepożądanym wzrokiem za wysokimi, potężnymi cisami obserwowała garaż Holly House. Dotkliwy ziąb przenikał przez jej boty, pozbawiając czucia palce u nóg; oczy i nos Maddy zwilgotniały, a z ust wydobywała się para. Pomyślała o szaleństwie poprzedniej nocy i zaczęła powtarzać w duchu, jak mantrę, raz po raz: „Proszę, niech wyjdzie sam, proszę, niech wyjdzie sam”.

Gdy zatelefonował zeszłej nocy (tak późno, tak nieoczekiwanie i rozpaczliwie pragnąc się z nią zobaczyć), jego głośno wyrażone pragnienie było odbiciem jej rozpaczki, która targła nią przez pięć ostatnich dni. Nie byli razem od zeszłego poniedziałku. (Przynajmniej ich cenne poniedziałkowe wieczory pozostały święte - ona bywała rzekomo na kursie pisania powieści, on udawał uczestnictwo w zebraniach). Powiedział jej wówczas o gwałtownym pogorszeniu się stanu zdrowia Colina i o ich - jego i Tessy - zamiarze wspólnych odwiedzin w szpitalu co wieczór, by móc się wzajemnie wspierać w tych tragicznych chwilach. Sytuacja wyraźnie nie pozwalała jej na protesty. Jęknęła tylko: „Och, Nick” - zrozpaczona, lecz niemal pewna, że długo bez niej nie wytrzyma. W miarę jak dni mijały, była coraz mniej o tym przekonana. Zaczęła się denerwować. W końcu, zeszłego wieczoru, Nick zadzwonił.

Jej pierwszym odruchem była myśl, by radować się dreszczem uniesienia, a jednocześnie - idąc za głosem rozsądku - odrzucić jednak możliwość spotkania o tak późnej porze.

- Boże, jakże ja za tobą tęskniłem - powiedział Nick.

- Brakowało ci mnie?

- Tak - odparła, nie będąc w stanie powiedzieć nic więcej.

- A więc przyjeźdź zaraz, kochanie. Jakoś to załatwisz. Proszę. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak bardzo ciebie potrzebuję.

- Postaram się. - Słabość, atakująca jej nogi, najwyraźniej przeszła do mózgu.

- Naprawdę? Przyjeźdź zaraz.

Podniecenie w jego głosie przesądziło o decyzji Maddy.

Głucha na wszystkie argumenty, rzuciła tylko krótkie „Tak”, odłożyła słuchawkę i pobiegła na górę, gdzie w ciągu dwóch minut przygotowała się do wyjścia. Schodząc na dół była nazbyt podniecona, by wymyślić, co ma powiedzieć Robertowi. Otworzyła po prostu drzwi saloniku, wybełkotała szybko parę słów i wybiegła. Wypadła z domu w takiej panice, jakby Robert był jakimś okrutnym tyranem, który mógłby ją ścigać, schwytać i na siłę zatrzymać. Świadomość dokonującej się ucieczki - gdy odkręciła okienko i krzyknęła: „Zaraz wracam” - była w niej tak silna, że skręcając za róg i naciskając sprzęgło parokrotnie głośno się roześmiała.

W pokoju Nicka prawie ze sobą nie rozmawiali. Dopadli się łapczywie. Zaraz potem zaczęli się kłócić.

„Czy to wszystko? - pytał sam siebie Nick. - Czy to wszystko? Cholera, człowieku, może w tej chwili Colin umiera!”.

„Mogłabym być szczęśliwa i bezpieczna, myślała z goryczą Maddy, gdybym tylko powiedziała, że to nieaktualne. Byłabym szczęśliwa wiedząc, że Nick mnie pragnie i jednocześnie bezpieczna z Robertem. Teraz muszę wypić to piwo”.

Narastało między nimi poczucie winy. Wzajemnie oskarżali się o brak zrozumienia. Nick zrobił się ponury, a Maddy zła. Chciał, żeby sobie poszła. Ociągała się, odwlekając moment niebezpieczeństwa. Wyraz jego twarzy (mina rozwścieczonego czymś młodocianego chuligana) do reszty wyprowadził ją z równowagi. Pognała do samochodu oświadczając, że nie ma pojęcia, kiedy się z nim znowu zobaczy i czy w ogóle do tego dojdzie. Jadąc do domu przez cały czas gimnastykowała umysł, by wymyślić przekonującą bajeczkę, jaką

mogłaby opowiedzieć Robertowi. Największą nadzieję pokładała w Phoebe, jedynej osobie, która ewentualnie mogłaby wezwać ją o tak później porze. Niestety mąż natychmiast wytrącił jej z rąk tę ostatnią deskę ratunku.

- Gdzie byłaś? Dlaczego nie mogłaś mi po ludzku wszystkiego wytłumaczyć, tylko wyleciałaś jak szalona? Odchodziłem od zmysłów. Zadzwoiłem do Pecków, by zapytać, czy cię tam nie ma.

- Co takiego? - krzyknęła, szukając ucieczki w wybuchu oburzenia. - Jak śmiesz wydzwaniać do moich przyjaciół i mnie sprawdzać? Do kogo jeszcze dzwoniłeś?

- Tylko do Pecków - odparł, zbyt osłupiały, by wspomnieć o Holly House i zbyt zawstydzony, by przyznać się, iż dzwonił do Tessy.

- Kim ty, do cholery, jesteś? Nie masz mnie na własność. Gdybyś nie był takim fajtlapą ... - trajkotała, aż dotarła do punktu, w którym mogła wykrzyzczeć swój zamiar: ponieważ nie może spędzić nocy z tak wstrętnym człowiekiem, będzie spać w gościnnej sypialni.

Robert chodził jej śladem, bezskutecznie protestując, gdy wpadła jak burza do ich sypialni, stamtąd do łazienki i dalej do sypialni gościnnej, gdzie w końcu zamknęła mu drzwi przed nosem i przekreśliła klucz.

- Parę godzin wytchnienia! - wymamrotała do siebie, przyjmując ten fakt z ulgą.

Siedziała na krawędzi łóżka i czekała, aż serce przestanie jej walić. Zesztywniała z zimna. Wreszcie, jak niezdarna staruszka, rozebrała się i weszła do łóżka. Przestało jej już tak strasznie zależeć na uspokojeniu Roberta. Leżała wpatrując się w mrok, wzburzona nękającym ją wspomnieniem kłótni z Nickiem. Spędziła noc w półśnie pełnym gorączkowych majaków. Obudził ją ptasi świergot. O siódmej wstała i zakradła się na dół, by zrobić sobie herbaty.

„Muszę się z nim zobaczyć, pomyślała, spoglądając przez okno na poranną mgłę. Muszę to wszystko naprawić”.

Przypomniała sobie przewidywania Nicka, że jego przyjaciel nie przeżyje nocy, a on sam spędzi dzisiejszy dzień pomagając Sophii uporać się z formalnościami. Czy Tessa pojedzie z nim? - zastanawiała się. Prawdopodobnie nie. Tessa, jak wywnioskowała Maddy, nie przepadała za żoną przyjaciela. Nick wspomniał, że żona Colina ma przyjaciółkę - również cudzoziemkę - która z nią mieszka.

Była przekonana, iż Nick pojedzie do miasta sam. Zachecona panującą na dworze mgłą, postanowiła przyczać się i na niego czekać. Wpierw jednak zdecydowała wpaść do sklepu, by usprawiedliwić jakoś swe wyjście tak wczesnym rankiem.

Gdy Nick zbiegł ze schodów Holly House - na szczęście sam - przyglądała mu się ze zdziwieniem kogoś, kto ściśle wyliczył swoje szanse, a jednak nie może uwierzyć, że jego koń wygrywa. Potykając się na ścieżce, odzyskiwała siłę w nogach, aż zdyszana pojawiła się w garażu.

- Hej! - zawołała na powitanie.

- Co tu robisz? - spytał. Ton jego głosu świadczył, że nie spotkała go przyjemna niespodzianka.

- Wysłałam po zakupy - rzekła podnosząc koszyk. - Zobaczyłam cię, gdy wracałam i postanowiłam cię zapytać...

Zrobił niezadowoloną minę.

- Co z twoim przyjacielem?

- Umarł. - Nick odwrócił się, by otworzyć drzwiczki samochodu.

- Bardzo mi przykro.

- Muszę jechać.

- Oczywiście. Nick, wczoraj wieczorem naprawdę się bałam wrócić do domu. Nic jeszcze Robertowi nie wyjaśniłam i dalej nie wiem, co mu powiedzieć. To wszystko nerwy. Przepraszam, Nick.

Spojrzał na jej spiętą twarz i złagodniał.

- Nie przejmuj się - powiedział.

- Zobaczymy się w poniedziałek? Dasz radę?

- Tak - odparł spokojnym głosem. - W poniedziałek będę mógł.

- Och, Nick - odetchnęła z ulgą.

- Muszę iść. - Przystanął wzruszony i mocno uściskał jej rękę, w których wciąż trzymała koszyk.

- W poniedziałek - wyszeptwała.

- W poniedziałek - powtórzył.

Maddy rozpromieniona pośpieszyła do domu.

- Boże drogi, gdzie znowu byłaś? - ryknął Robert.

- W sklepie - odparła krótko, stawiając koszyk na stole.

Obejrzał zakupy.

- Jajka i masło - zaśmiał się szyderczo, z niedowierzaniem. - Dziś sobota. Jedziemy do supermarketu.

- Możesz jechać, dokąd ci się podoba. Ja wezmę tabletkę na niestrawność, którą kupiłam u Brendy, potem w spokoju wypiję filiżankę herbaty i pojedę do kwiaciarni, by wybrać jakieś ładne pachnące kwiaty dla Tessy.

- Kwiaty dla Tessy? - krzyknął Robert, mając wrażenie, że jego świat zatacza się od jednego niepodobieństwa do drugiego.

- Jeśli już musisz wiedzieć - rzekła dając do zrozumienia, że o ileż wcześniej wytłumaczyłaby wszystko, gdyby dano jej po temu sposobność - ich bliski przyjaciel, o którego chorobie często ci opowiadałam, zmarł wczoraj wieczorem. To wszystko było ... okropne.

Powiedziawszy te słowa wsunęła tabletkę do ust i wyszła z pokoju.

Robert usiadł. Czy mówi prawdę? - zapytał sam siebie, podobnie jak dociekał tego już niejeden mąż. Czy ta tragedia tłumaczy jej pośpieszne wyjście wczoraj wieczorem? Czy to był telefon od Tessy? Ale Maddy nie pojechała w kierunku Holly House, lecz żwawo pomknęła w przeciwną stronę

- przypomniał sobie, nabierając coraz większych podejrzeń. Czy zatem, zastanawiał się nieśmiało, Tessa zadzwoniła skądinąd z prośbą o podwiezienie? Ale przecież nie mogła dzwonić z miejskiego szpitala, gdyż słyszał, jak odebrała jego telefon w Holly House w niespełna dwadzieścia minut po odjeździe żony. A zatem telefonowała skądś bliżej. A może samochód Tessy się zepsuł? Usiłował przypomnieć sobie, jak dźwięczał jej głos - zdyszany, gdy tylko podniosła słuchawkę, potem, kiedy się przedstawiła, bezbarwny i znużony. Zupełnie jakby wiedziała, że będzie to głuchy telefon. Wtedy nagle pochwycił go strach. Nicka nie ma w domu, uświadomił sobie, i myśl, która niegdyś błysnęła tylko i zaniepokoiła go na krótko, uderzyła go ponownie ze zdwojoną siłą. W głowie czuł nieznośny szum. Bardzo delikatnie - gdyż nie był w stanie się odezwać - odłożył słuchawkę.

Teraz nie był już niczego pewny. Skoro ich przyjaciel umarł, Nick absolutnie nie mógł, absolutnie nie mógł ... Maddy wróciła do kuchni i napełniła czajnik.

- Ja zrobię herbatę, jeśli czujesz się nie za bardzo - zaproponował.

- Dziękuję ci bardzo - odparła z ironią w głosie, zdziwiona jego uprzejmością.

Zrobił herbatę i zaniósł jej filiżankę.

- Pojechać z tobą?

- Nie, dziękuję. Chcę tylko wybrać kwiaty dla Tessy i zanieść jej. Teraz jest sama.

A więc Nick na dobre wyjechał z domu. (Wdowa nie może zostać sama i bez wątpienia potrzebuje pomocy). Zaczął dostrzegać, że zachował się jak łajdak. Gdybyż tylko zechciała mi wszystko wyjaśnić, nim wybiegła, pomyślał z żalem. Mimo wszystko jego samopoczucie poprawiło się.

- Dobra herbata?

- Wspaniała.

- Świetnie. - Wyniósł się cichcem, jakby ona też była w żałobie.

Po powrocie z Holly House Maddy zrobiła Robertowi doskonały lunch, choć sama niewiele zjadła.

- Słuchaj - powiedziała, jakby przejawów jego zdrowego rozsądku nie mogła uważać za rzecz naturalną - pamiętasz, że zgodziłeś się, żebym dziś po południu wzięła twój samochód?

Życie jest pełne zagadek. Obawa, iż wpadnie w którąś z nich sprawiła, że zaczął się gubić. Z trudnością próbował sobie coś przypomnieć.

- Naprawdę? - zapytał zdziwiony.

- Muszę przetransportować coś do ratusza. Chodzi mi o prace na konkurs.

- Naturalnie! - zakrzyknął. - A może pojedę z tobą? Jeśli ci pomogę, szybko się z tym uwiniemy i pójdziemy na podwieczorek do „Wesołego Łabędzia”.

- Wspaniały pomysł, Robercie - odparła. Czowała, jak ogarnia ją tęsknota za elegancką salą, głębokimi komfortowymi kanapami, kelnerkami w czepeczkach, przynoszącymi talerze pełne wykwintnych kanapek, za czajnikiem parującej herbaty Assam, za gorącymi bułeczkami, dżemem i śmietanką. - Pójdę z największą przyjemnością.

Gdy tylko wyruszyli, wyszło słońce. Wyglądało to na dobry znak. W czasie podróży wynajdywali bezpieczne tematy do rozmowy i nim przybyli do ratusza, całkowicie przywrócili dawny zwyczaj miłego zwracania się do siebie. Potem szybko przenieśli konkursowe prace i

ułożyli je na długim stole z napisem „Wychwood”, stojącym w sali na piętrze. Znajdowało się tam wiele podobnych stołów, oznaczonych napisami „Steeple Cheney”, „Erdingford”, „Spinney Compton” i tak dalej. Prace miały być wystawione przez tydzień, by mogły je obejrzeć członkinie innych klubów oraz publiczność. Klub z Wychwood planował wycieczkę do ratusza w przyszły wtorek zamiast normalnego zebrania.

Kiedy wszystko zostało ułożone ku zadowoleniu Maddy, a ona sama wymieniła uprzejmości z różnymi przedstawicielami miejscowej władzy, mogli wreszcie pojechać na obiad. Z centrum miasta udali się na parking tuż obok starego uroczego hotelu „Pod Wesołym Łabędziem”.

Wchodząc przez obrotowe drzwi Maddy ledwo dotykała ziemi. Przemknęła lekkim krokiem po puszystym dywanie, skinęła panience w recepcji, zostawiła tam Roberta, by zamówił dla nich herbatę i poszła do przesyconej wonią kwiatów, różowo - zielonej damskiej toalety. Parę chwil na poprawienie urody, wyrażenie uznania dla kosztownego mydła i była już z powrotem na korytarzu, gdzie czekał Robert.

Sala jadalna, w której z jednej strony ciągnął się rząd okien ze skrzydłami przesuwanymi pionowo, z drugiej zaś znajdował się bogato zdobiony, osiemnastowieczny kominek, urządzona była w tonacji żółtawopomarańczowej. Maddy wybrała kanapę, pamiętając, by sięść na niej zamasyście (Maddy była mała, a kanapa duża) i zanurzyła się w jej błogim komforcie. Gdy przyszła kelnerka z obficie wypełnioną tacą, Robert zerwał się, wziął parę poduszek i wsunął je Maddy pod plecy. Dokonał tego z niezmierną galanterią, podkreślając jej filigranową posturę. Wraz z kelnerką obdarzali ją czułym uśmiechem, dając Maddy odczuć, że jest kimś cenionym, chronionym i powszechnie kochanym.

Nastrój Maddy pogorszył się dopiero przy deserze, kiedy to Robert ze współczuciem spytał swym niskim głosem:

- Jak się miewa Tessa?

Zawahała się, nim ugryzła następny kęs ciasta.

- Hm. Jest znużona i jakaś odrętwiała. Jakby jeszcze się z tym nie pogodziła.

Uzmysłowił sobie, że takie właśnie wrażenie sprawiała zeszłego wieczoru, gdy zadzwonił do Holly House. Odstawił filiżankę, tknięty poczuciem winy.

- Zrobiłem coś głupiego. Sam nie wiem, co mnie napadło - powiedział zmieszany.

- Ale co, Robercie? - spytała Maddy, straciwszy nagle apetyt na migdałowe ciasto. Odsunęła talerzyk od siebie. - Co takiego zrobiłeś?

- Zadzwoniłem do Tessy wczoraj wieczorem. Nie patrz tak - nie rozmawiałem z nią. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, dlaczego odłożyłem słuchawkę. Ależ ze mnie drań. Naprzykrzać się jej w takiej chwili ...

Maddy zastanawiała się, czy będzie miała odwagę zaryzykować pytanie: „Co wtedy myślałeś?”, lecz Robert najwyraźniej go nie oczekiwał. Po prostu przygnębiony wpatrywał się w ogień na kominku. Jakie to dla niego typowe, że tak się przejął. Jest taki dobry i szlachetny, pomyślała z bólem w sercu. Łzy napłynęły jej do oczu i wezbrały niebezpiecznie. Przez chwilę nie mogła chwycić powietrza. Gdy wreszcie złapała oddech, był on krótki i urywany. Nie zdołała powstrzymać potoku łez. Po omacku grzebała w torebce.

- Co się stało, Maddy? O co chodzi?

- Chusteczkę - wykrztusiła.

Wziął jej torebkę i znalazł chusteczkę.

- Maddy ...

- Nic nie mów. Wypij herbatę.

Następne pięć minut poświęcone było ukryciu śladów jej płaczu przed każdym, kto siedział na tyle blisko, by to zauważyć. Nie odważyła się wstać i iść do damskiej toalety. Gdy podeszła kelnerka, proponując ponowne napełnienie imbryczka, Maddy gwałtownie schyliła się udając, że jest zajęta oglądaniem własnych butów.

- Nie, dziękujemy - rzekł z uśmiechem Robert. - Kochanie - nalegał zaniepokojony, przypominając sobie dawne załamanie nerwowe żony - musisz mi powiedzieć.

Maddy, nie mogąc podać mu prawdziwej przyczyny swego wzruszenia, rozpaczliwie starała się znaleźć jakieś przekonujące wytłumaczenie.

- To z powodu ich zmarłego przyjaciela. Ciągle o nim myślę. Był w twoim wieku, Robercie. To wszystko.

- Przyjaciel Brierleyów? Skinęła głową.

- Tak straszliwie długo umierał, nie pozostawiając im żadnej nadziei. Potworne.

- Maddy, najdroższa moja - rzekł czule Robert, ujmując jej rękę.

Wysoki zegar stojący obok kominka majestatycznie odmierzał sekundy. Maddy uspokoiła się. Robert poprawił jej poduszki i patrzył, jak znów opadła między nie wyczerpana. „Jest wykończona, pomyślał. Nie oszczędza się. Poczęstunek na kiermaszu organizowanym przez Klub Kobiet, kłopoty Phoebe, teraz jeszcze Tessa - nie mówiąc o wspaniałych potrawach, które dla mnie przygotowuje. Za chwilę zaproponuję, by wyszła na spacer nad rzekę i odetchnęła świeżym powietrzem, a potem zamówię dla nas stół. Zjemy tu obiad. Odpocznie porządnie i znowu wróci do siebie”.

Maddy, zatopiona w poduszkach niczym w miękkim kokonie, wpatrywała się w gzyms sufitu i myślała: „Nie powinnam mieć romansów. Nie jestem do tego stworzona. Nie zdziwiłabym się, gdybym postępując wbrew własnej naturze wpadła w jakąś straszliwą chorobę. W tym przypadku byłaby to wyłącznie wina Nicka. Przy swym przebogatym doświadczeniu powinien był wiedzieć, że się do tego nie nadaje. Należało zostawić mnie w spokoju”.

To najgorsze tygodnie mojego życia, stwierdziła Tessa, spoglądając z okna sypialni na spowity mgłą cmentarz. Miała jednak nadzieję, że jeśli tylko przetrwa złe dni, życie już nigdy nie będzie tak ponure i dokuczliwe. Dzisiejszego ranka, pierwszego ranka bez Colina, starała się uwierzyć w to ze wszystkich sił.

Dźwięk telefonu tak ją przestraszył, iż zachwiawszy się musiała uchwycić się ramy okiennej. Dzwonił Nick, by zawiadomić ją, że jest u Jerry'ego i Viv. Pytał też, czy dobrze się czuje i czy chciałyby przyjechać.

- U mnie wszystko w porządku. Powiedz Viv, że zadzwonię później.

Zeszła na dół. Mijając stół w holu poczuła intensywny zapach żółtoczerwonych frezji od Maddy. Wkrótce ostry ból żołądka przypomniawszy jej, że ostatni raz jadła u pani Frogmorton, to jest mniej więcej o wpół do czwartej poprzedniego dnia. Weszła do zmywalni, otworzyła dużą puszkę fasolki, ukroiła grubą pajdę chleba i nastawiła czajnik.

Gdy skończyła jeść, zza chmur wyszło słońce. Jaskrawe światło wlewało się przez kuchenne okno. Tessa spojrzała znad gazety,

opartej o stojący przed nią talerz, i zmrużyła oczy. Blask słońca zachęcał do wyjścia z domu.

- Urwis! - krzyknęła, wstając zza stołu, by przynieść boty i kurtkę. - Idziemy na spacer!

Na skraju lasu obejrzała się za siebie. Srebrzyste pasemka babiego lata unosiły się tu i tam. Mgła wyścielała całą dolinę. Tessa była rada, że znalazła się w pełnym słońcu. Przygięte do ziemi trawy lśniły w jaskrawym świetle dnia, a nagie, ciemne drzewa - ponure i bezkształtne, gdy wcześniej przyglądała się im z okna - teraz dumnie pięły się ku górze. Kościół w oddali połyskiwał jak zbielała kość.

W drodze powrotnej, nieoczekiwanie dla siebie samej, przywiązała smycz Urwisa do poręczy schodów przed kościelnymi drzwiami, zrzuciła kalosze w kruchcie i weszła do środka. Bezszelestnie minęła chrzcielnicę, podążając główną nawą ku ubranemu w adwentowy fiolet ołtarzowi. Promienie słońca przenikały przez witrażowe okno i malowały na kamiennej posadzce kościoła różnokolorowe plamy, mieniające się wszystkimi odcieniami czerwieni, zieleni, błękitu i żółci, niczym wrzucone do wody barwne klejnoty. Za każdym razem, gdy chmury zakrywały słońce, a wiatr targał gałęziami, kolorowe cienie na podłodze wirowały w zawrotnym tempie.

Eleanor, ujrawszy Tessę w samych tylko skarpetach na nogach, dzinsach i ciemnozielonej sztruksowej koszuli, zatrzymała się w progu zaskoczona. Tessa wyczuła, że ktoś się jej przygląda.

- Och, Eleanor! Chodź i spójrz tutaj - zawołała. Migocące na posadzce różnokolorowe plamy zdumiały Eleanor. Położyła rękę na ramieniu Tessy.

- Nigdy przedtem nic takiego się nie zdarzyło - wyszeptała. - To cud.

- Po prostu wcześniej tego nie zauważyłaś - rzekła ze śmiechem Tessa.

Eleanor wyprostowała się z godnością.

- Gdyby podobne zjawisko zaistniało wcześniej, na pewno bym je dostrzegła - powiedziała poważnym tonem.

- To niesamowite. Wprost hipnotyczne. Nie mogę oderwać oczu.

Zaskrzypiały drzwi i do kościoła wkroczyła pani Dyte, a za nią jej jedenastoletnia córka, niosąca naręczkę kwiatów. Och, przecież dziś

sobota - pomyślała Tessa, przypominając sobie, jak pomagała dekorować kościół ciotce Winifredzie.

- Dzień dobry, pani Dyte. Dzień dobry, Clare - zawołała Eleanor stłumionym głosem. - Dziś ona będzie układać kwiaty - zwierzyła się Tessie. - Ja oczyszczę mosiężne przedmioty.

- Mogę przyjść ci pomóc, jak tylko zaprowadzę Urwisa do domu i zmienię buty? - spytała Tessa, która nagle zapragnęła towarzystwa.

- Oczywiście. Pomożesz mi polerować pulpit. Zaraz zacznę rozkładać gazety.

Gdy wróciła, pani Dyte rozwijała właśnie z papieru kwiaty, którymi miała przybrać kaplicę Najświętszej Marii Panny. Eleanor była w zakrystii. Nałożywszy przedtem cienką warstwę pasty do czyszczenia mosiądzu, polerowała przyozdobiony wizerunkiem orła mosiężny pulpit, zza którego pastor odczytywał lekcje. Obie z Tessą usłyszały, jak mała Dyte zaczęła opowiadać swym przenikliwym, zdradzającym obłudę głosikiem o złym zachowaniu koleżanki ze szkoły.

- Nigdy więcej już nie będę się bawić z Pippą, mamusiu. Jest taka okropna. Kazano jej pójść do pana Ellisa, bo wyrysowywała na tablicy jakieś nieprzyzwoite rzeczy. Pani Miles była wściekła.

- Ciszej, kochanie. Podaj mi sekator.

Eleanor i Tessa - bardzo zadowolone, że nie mają jedenastoletniej córki - polerowały z zapałem pulpit.

- Nasz przyjaciel zmarł wczoraj w nocy - rzekła cicho Tessa, przerywając na chwilę pracę.

- Nie uwierzysz, ale byliśmy nawet temu radzi. Wiesz, to była taka ulga.

- Wiem. Znam to uczucie.

- Przykro jest nie mieć żadnej nadziei, gdy śmierć zagraża komuś tak młodemu, to znaczy za młodemu, by umierać. Ale cóż zrobić - westchnęła.

Ręka Eleanor opadła bezwładnie, a jej oczy zaszyły mgłą.

Kiedy chowały już swe przybory, Tessa - która w dalszym ciągu obawiała się zostać sama - poprosiła Eleanor, by wpadła do niej na herbatę. Eleanor zawahała się. Timothy, wezwany do starego pana Partridge, wróci do domu zmęczony i zgłodniały. W soboty szczególnie starała się o niego troszczyć, by mieć pewność, że brat przebrnie przez niedzielę w doskonałej formie.

- Wolałabym przyjść do ciebie kiedy indziej. Może w następnym tygodniu.

- W następnym tygodniu - powtórzyła Tessa niepewnie. Wizja przyszłego tygodnia dręczyła ją jak z mora, budząc złe przeczucia. - Prawdę mówiąc boję się trochę tych najbliższych dni. Tyle się będzie działo. Jutro jedziemy odwiedzić Paula. Naturalnie bardzo się z tego cieszę. Napisał rewię i jesteśmy zaproszeni na próbę. W poniedziałek idę do Larry'ego, mojego współpracownika, by mu pokazać ilustracje do nowej książki. W piątek pogrzeb, a w sobotę kiermasz.

- Masz sporo czasu w środku tygodnia.

- Rzeczywiście - odparła ze śmiechem Tessa, czując, iż ją przyłapano i zastanawiając się, jaką formę kontaktów towarzyskich lubi najbardziej. Doszła do wniosku, że zamiast umawiać się na wizyty, woli, gdy ludzie wpadają bez specjalnego uprzedzenia. Muszą ją wtedy przyjąć taką, jaka jest. Sama też chętnie dzwoniła do przyjaciółek z pytaniem: „Czy mogę wpaść?” - Może - dodała na głos - nie lubię się zbyt angażować.

- Mimo to angażujesz się bardzo - rzekła Eleanor. - Chociażby w sprawy Nicholasa, Paula czy też twoich przyjaciół. Miałam okazję się o tym przekonać. I jesteś pochłonięta swoją pracą.

- Masz rację - przyznała Tessa, przyjemnie zaskoczona. - Ale wierz mi, że ciarki mnie przechodzą na myśl o przyszłym tygodniu.

Obawa Tessy przed zbliżającym się pogrzebem była całkowicie uzasadniona: Sophia z pewnością dostanie ataku i wszystkim będzie trudno to znieść. Poza tym było jeszcze coś bardziej złowieszczonego. Miała przeczucie, że w najbliższym tygodniu rozstrzygnie się wszystko między Maddy a Nickiem. Właściwie była tego pewna.

- Czy coś się stało, Tesso? Potrząsnęła przecząco głową.

Eleanor - starając się zadowolić zarówno przyjaciółkę, jak i brata - klasnęła z radością w dłonie i zaproponowała:

- Chodź teraz do mnie na herbatę. Widzisz, czekam na Timothy'ego i muszę mieć pewność, że zje jak należy. Ale wiem, że byłby szczęśliwy ...

- Dziękuję - rzekła z wdzięcznością Tessa. - Bardzo chętnie.

Rozdział 27

Zebrały się na parkingu przed domem ludowym: właścicielki pojazdów i ewentualne pasażerki. Wszystkie kobiety zachowywały się z uprzejmą powściągliwością i przyjacielską bezceremonialnością. Niektóre z nich nie czuły się najlepiej. Na dworze było zimno. Na niebie jaśniały gwiazdy i owalna tarcza księżyca. Spodziewano się mrozu.

- Chodź, Saro! Siadaj obok mnie - zawołała Jane Bowman do swej przyjaciółki, pani Grace.

Gdy Sara usadowiła się na przednim siedzeniu, do środka samochodu wsadziła głowę Maddy.

- Chodzi o dwa miejsca z tyłu? Proszę bardzo. Pani Fettle, pani Cloomb - tu się panie zmieszczą - zaproponowała uprzejmie.

Rose niepewnie patrzyła na kanarkowożółte combi Jane Bowman. Paroletni land rover pani Davenport wydawał się jej bardziej odpowiedni. Wolałaby nawet, w razie konieczności, mini pani Burows. Pociągnęła nosem, po czym dała znać Dolly, by obesła samochód z drugiej strony i usiadła za Sarą. Sama zaś niechętnie zajęła miejsce za Jane.

- Wszystkie panie już wsiadły? - spytała Jane. Maddy dała jej znak do odjazdu.

Rose i Dolly siedziały wyprostowane, trzymając kurczowo torebki na kolanach. Przyjacielskiej pogawędki, jaką prowadzono na przodzie, słuchały z pustymi, zaciętymi twarzami, jak dwie stare zakonnice, którym przyszło otrzeć się o grzech. Od czasu do czasu młodsze kobiety przypominały sobie, że należy do nich zagadać, lecz ich wysiłki przynosiły mizerne rezultaty. Dolly trzymała buzię na kłódkę z obawy, by nie palnąć jakiegoś głupstwa, a Rose ograniczała się do zdawkowych uwag.

Na parkingu pozostała jeszcze Phoebe Peck.

- Maddy, mogę pojechać z tobą? Land rover tak strasznie się wlecze - spytała.

- Oczywiście. Kogo tu jeszcze mamy? Tylko ciebie, Eleanor? Dogonimy ich. - Przesunęła fotel kierowcy do przodu i skinęła na Phoebe, by usiadła z tyłu. Następnie pochyliła się, by otworzyć Eleanor drzwi od strony pasażera. - Boję się, że z tyłu nie jest zbyt wygodnie - zawołała, wjeżdżając w ulicę Kościelną.

Phoebe jednak wyglądała na bardzo zadowoloną. Przycupnęła bokiem na tylnym siedzeniu i oparłszy podbródek na kolanach nuciła sobie cicho. Dopiero gdzieś po pięciu minutach zamilkła.

- To była urocza melodia - zauważyła Eleanor. Maddy uznała ją raczej za żalostną i sądziła, iż Eleanor odezwała się, byleby coś powiedzieć. Gdy z tyłu nie dobiegał już żaden dźwięk, Maddy i Eleanor obejrzały się i zobaczyły, że Phoebe - której głowa zwisała i kiwała się w rytm jazdy - pogrążona jest we śnie.

- Sama chętnie poszłabym w jej ślady - rzekła Eleanor, tłumiąc ziewanie. - Pewnie przez to zimno.

- Ja też. Chociaż obiecałam, że będę miała oczy otwarte.

Eleanor skwitowała ten żart śmiechem, zrobiła jakąś uwagę na temat ruchu ulicznego, po czym zapadła w milczenie. Maddy była jej za to nieskończenie wdzięczna. Zastanawiała się bowiem, czy znajdzie dość siły, by podtrzymać rozmowę. Czowała się znużona i zmęczona nieustannym balansowaniem na linie. Wróciła myślami do ostatniego spotkania z Nickiem. Samolubny drań, powiedziała w duchu. Koszmarna strata czasu. Nie powinna była zgodzić się na jutrzejszą randkę. Zeszłej nocy, gdy tylko skończyli się kochać, spojrzął na zegarek. Udała, że tego nie widzi. Postanowiła trochę się z nim poprzekomarzać, gdyż zazwyczaj sprawiało im to tyle radości. Boże! Nie tak dawno temu większą część wspólnie spędzanego czasu pochłaniały im czułe zwierzenia, wyznania i zaskakiwanie się zabawnymi prezencikami. Ostatnio Nick raz po raz zerkał, która godzina.

- Wciąż spoglądasz na zegarek.

- Pomyślałem, że może powinienem dziś wrócić do domu wcześniej. Tessa była cały dzień u swego współpracownika, Larry'ego. Przejechała samochodem kawał drogi. Gdybym zdążył na czas, mógłbym przygotować kolację. Powiem, że zebranie zostało odwołane.

Znienawidziła go za te słowa. Obłudnik, hipokryta. Dostał to, czego chciał, byle szybciej, a teraz wyrywa się, żeby popędzić do domu jak grzeczny harcerzyk. I ani przez chwilę nie pomyśli, jaką krzywdę wyrządza Robertowi. Mój Boże, jak ten nieszczęśnik cierpiał w zeszły piątek i sobotę. A wszystko dlatego, że Nicholasowi Brierleyowi zachciało się nowej panienki. Postanowiła nie przeciągać sprawy.

- W porządku - krzyknęła, zrywając się z miejsca i chwytając palto. - Idź do domu i załóż fartuszek. Prawdę mówiąc, ten śmierdzący pokój działa mi na nerwy. Wszędzie wstrętne plamy po kawie.

Ich pożegnanie było tak przepełnione poczuciem wzajemnego wstrętu, że żadne z nich nie uważało za możliwe wspomnieć o następnym spotkaniu. Mimo to przez całą powrotną drogę Maddy martwiła się i rozmyślała.

Robert ucieszył się bardzo, widząc znów swą żonę w domu.

- Kochanie! Tak wcześnie wróciłaś.

- Owszem. Już mnie nudzą te moje zajęcia. Bądź tak dobry i nalej mi porządnego drinka.

Maddy wypila pośpiesznie zawartość kieliszka i zebrawszy wszystkie swoje siły starała się być miła dla męża. Źle spała ostatniej nocy i obudziła się wcześniej. Teraz paliła się ze wstydu, przypominając sobie pierwszą po obudzeniu myśl: „Kiedy go znowu zobaczę, o Boże, kiedy?” Czuła w środku dręczącą pustkę i przerażającą niepewność. W perspektywie miała godziny wyęźniania słuchu w oczekiwaniu telefonu.

Nick zadzwonił po południu.

- Tak, słucham.

- Jutro po południu, o tej samej porze i w tym samym miejscu, dobrze?

- Dobrze - odparła, odkładając słuchawkę.

Teraz, jadąc do ratusza ze śpiącą na siedzeniu Phoebe i drzemiącą Eleanor, wiedziała, że nigdy nie będzie w pełni zadowolona. Ulżyło jej (czy też raczej należałoby powiedzieć: poczuła się usprawiedliwiona), gdyż to Nick zadzwonił, by umówić się na randkę. Zarazem jednak wzdragała się przed nią. Zaczynała podejrzewać, że cena jest zbyt wysoka. Skręcając na parking z niepokojem stwierdziła, iż zawsze rozpaczliwie pragnie następnego spotkania, mimo że nie przynosi jej ono ukojenia. Niezdolna była jednak do przerwania tego absurdalnego biegu wydarzeń.

- Wysiadka! Koniec trasy! - zawołała wesoło, jakby nie miała innych spraw na głowie.

- Nie mam specjalnego przekonania do Steeple Cheney - oświadczyła Rose Fettle, gdy wchodziły do sali wystawowej.

Maddy rozejrzała się, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nikogo ze Steeple Cheney, po czym podeszła i ujęła za ramię panią Joiner.

- Co gryzie panią Fettle? - spytała, ponieważ Rose bezsprzecznie wyglądała na niezadowoloną. Jej wargi były zaciśnięte, a głowa lekko się trzęsła.

- Nie wie, co pani zrobiła ze zgłoszoną przez nią pracą. Nie ma jej na stole.

- Ależ musi być. Położyłam ją tam - rzekła Maddy i pobiegła sprawdzić, lecz niestety nie znalazła jej wśród innych eksponatów.

Na szczęście nadeszła pani Hesketh - Jones - gruba ryba z narodowego komitetu wykonawczego.

- Jeśli szuka pani tego cudownego collage 'u, to jest on - proszę spojrzeć - na głównej tablicy z informacją dla zwiedzających. Wywiesiliśmy tam parę najlepszych eksponatów. Trzeba, by ludzie docenili ich jakość.

- Och, wspaniale! A teraz proszę, by podeszła pani tutaj i każde słowo powtórzyła autorce pracy. Pani Fettle - przedstawiam panią Hesketh - Jones, która zajmuje się naszym rejonem i chciałaby coś powiedzieć na temat pani collage'u. I pomyśleć tylko - dodała radośnie, odwracając się bokiem do pani Joiner - że jeszcze nie dokonano ocen. Mam przecucie, że w tym roku nam się powiedzie.

Przez następne dwie godziny Maddy była całkowicie zaabsorbowana tym, co się działo dookoła i w rezultacie, gdy miała już wychodzić, czuła się bardzo rześko. Odciągnęła na bok Phoebe.

- Kochanie, obawiam się, że nie będziemy mogły pójść jutro do kina. Dzwonił Ken Tustin z wiadomością, że zebranie podkomitetu odbędzie się jutro wieczorem. Przepraszam, kotku. Jeśli film jest dobry, będą go jeszcze grali. Pójdziemy kiedy indziej, dobrze?

- Och - jęknęła strapiona Phoebe. - No dobrze, Maddy.

W drodze powrotnej Rose Fettle wydawała się całkiem odmieniona. Wyglądała niemal dobrotliwie. Dolly - która знаła Rose jak samą siebie - pomyślała, że wystarczy odrobinę ją pochwalić, by złagodniała i nie była złośliwa oraz pełna pogardy dla całego świata. Gdy Sarah Grace zaczęła jęczeć, że nauczycielka uwzięła się na jej Pipkę, Rose zamieniła się w słuch. Wysuwając szyję do przodu, zamierzała opowiedzieć o tym, jak wspaniale wychowała swoje dzieci. Nie mogła jednak wtrącić słowa. Pani Grace aż gotowała się ze złości. Opowiadała, że niemal co tydzień pani Miles wzywała ją do

szkoły, by omówić wykroczenia Pippy. Ostatnia skarga dotyczyła jakichś nieprzyzwoitych rysunków, które miała namazała na tablicy. Sarah była wstrząśnięta przekonawszy się, że sprawa ta jest powszechnie znana. Nawiązała do niej pani Dyte, gdy stały razem jedząc paszteciki z sałatką kartoflaną.

- Specjalnie bym się tym nie przejmowała - rzekła Rose, matka nad podziw bogobojnej trzódki. - Córka przechodzi teraz trudny okres, o którym tyle się czyta w książkach.

- Żeby tylko pani Miles nie rozgadała o wszystkim innym rodzicom - mówiła z gniewem Sarah do Jane Bowman. - Powiem jej to w oczy. Kłopot w tym, że Pippa strasznie mnie złości - te jej wygłupy, upokorzenia, które muszę przez nią znosić. Czasami chcę powiedzieć jej, żeby sobie radziła sama.

- Nie możesz tego zrobić! - wykrzyknęła Rose. - Jeśli matka jej nie obroni, to kto się za nią ujmie?

Sarah odwróciła głowę. Słowa Rose odzwierciedlały jej własne uczucia.

- Kiedyś miałam straszne kłopoty z Johnem. Nauczyciele mówili, iż się źle zachowuje, a ja wiedziałam, że po prostu mu się nudzi. „Zajmijcie go czymś - mówiłam - to nie będzie rozrabiał”. Poprosiłam, żeby zadawali mu pracę domową. Jeśli mała dostaje małego rozumu, niech ich pani zapyta, jak mają zamiar sobie z nią poradzić.

- Dziękuję, pani Fettle. Na pewno tak zrobię! - krzyknęła podniesiona na duchu Sarah.

Masz babo placek, pomyślała Dolly. Teraz już nic jej nie powstrzyma. Odtąd przez całe dni będzie tylko: mój John to albo moja June tamto. Nie przestanie mi teraz trzeszczeć nad głową, że moi za nic uczciwego się nie biorą.

Zatrzymały się na parkingu. Rose została jeszcze, by powiedzieć Sarah ostatnie słowa otuchy, a Dolly poczłapała wolno przed siebie. Rose dogoniła ją na zboczu Fetherestone Road, gdzie Dolly czekała, aż przyjedzie samochód pani Davenport, zdążający do Hilltoppark.

- Co cię napadło? - spytała.

- Och, nic takiego - westchnęła Dolly.

Pod numerem pierwszym na Orchard Close, w palcie narzuconym na ramiona, siedziała Edie Partridge obserwując ulicę przez okno. Pokój oświetlały jedynie przygasające węgle na kominku. Na dworze

było jaśniej. Pod uliczną latarnią skrzył się szron. Gdy Rose Fettle i Dolly Cloomb znalazły się w kręgu światła lampy, Edie Partridge skoczyła do drzwi i wybiegła na ulicę.

- Dolly, nie idź dalej - ostrzegła. - Chodź do mnie, złotko, opowiem ci, co się stało.

Z wahaniem poszły za nią. Wiedziały, że cokolwiek się zdarzyło, Edie wycisnie z tego, co się tylko da.

- Ale była awantura! Twój Arthur wrócił do domu i chyba był trochę nie w sosie - rzekła Edie delikatnie. - Jak się połapał, że wyszłaś, wpadł w szał. Walił w drzwi domów na całej ulicy, wrzeszczał i w ogóle zachowywał się skandalicznie. Nie wiem, co by ci zrobił, jakby cię dopadł. U naszej Gail był znajomy - Tony z Fetherstone. Oświadczył Arturowi, żeby się uciszył, bo Stella Meers - wiesz, która to - dostała hysterii i powiedziała, że ktoś powinien zadzwonić na policję. W każdym razie po jakimś czasie Arthur wrócił do domu i chyba się uspokoił. Frontowe drzwi u ciebie są uchylone, więc przypuszczam, że tam jest. Lepiej uważaj, kochana. Jest rozjuszony.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczne, serdeczne dzięki - wtrąciła Rose. - A teraz możesz iść spać, Edie, tym bardziej, że zabawa skończona.

- Rose - jęknęła Dolly, pędząc co tchu, by dotrzymać jej kroku. Rose bowiem straszliwie gnała ścieżką. - Co ja mam robić?

- Chodź ze mną, szybko, bo inaczej wszyscy będą się na nas gapić przez okna.

To wydawało się Dolly najmniejszym problemem. Rozglądając się z przerażeniem dookoła, w obawie czy Arthur jej nie wypatruje, pobiegła za Rose pod numer szósty.

- Włącz telewizor - rzekła Rose spokojnie, zapalając elektryczny kominek. Nie zrobiła tego wcześniej, gdyż nie przypuszczała, że będzie przy nim siedziała wieczorem.

- Zrobię dla nas kakao.

Znalazszy się sama w kuchni z drżeniem pomyślała, co zrobi, gdy Arthur wpadnie tu z rykiem. Nic rozsądnego nie przychodziło jej jednak do głowy. Dlatego też napomniała samą siebie: weź się w garść, przestań marudzić, zrób kakao, a potem się zastanowisz.

Dolly stała przed ekranem jak wmurowana, pochłonięta oglądaniem śmiałej sceny miłosnej z jakiegoś filmu. Gdy Rose weszła, Dolly pośpiesznie wyłączyła telewizor.

- Nie ma nic specjalnego - rzekła obojętnie.
- Nigdy nic nie ma. Proszę, twoje kakao. Herbatnika?
- O, tak.

Pokój nagrzewał się powoli. Rose pochyliła się i włączyła drugą grzałkę kominka. Wpatrywały się w rozżarzone pręty. Z czasem powieki zaczęły im coraz bardziej ciążyć.

Dwanaście uderzeń dochodzących z zegara z kukułką obudziło Rose. Energicznie wstała z fotela, podeszła do okna i wyjrzała z za zasłony. Na zewnątrz panowała ciemność. Uliczne światła, jak zawsze, zgaszono o północy.

- Dolly, obudź się - zawołała wyłączając kominek.

- Uważam, że powinniśmy pójść do ciebie i rozejrzeć się w sytuacji. Arthur nas nie zobaczy - jeśli w ogóle jeszcze nas wypatruje, w co bardzo wątpię - bo wszystkie światła są zgaszone.

Propozycja Rose, chcącej dotrzymać jej towarzystwa, wydała się Dolly tak wspaniałomyślna, że nie mogła przemówić słowa. Wstała i poszła śladem przyjaciółki, omijając jasne plamy księżycowego światła na drodze.

Frontowe drzwi domu Cloombów były rzeczywiście uchylone. Rose położyła rękę na klamce i powoli próbowała je otworzyć. Dolly zaparło dech w piersiach.

- Ani drgną, coś je blokuje - wymamrotała Rose. - To chyba on leży na podłodze. Zajdźmy od tyłu.

Dolly pogrzebała w torebce w poszukiwaniu klucza. Rose porwała go i pobiegła, by otworzyć kuchenne drzwi. Wślizgnęły się bezszelestnie - w obawie przed nagle „zmartwychwstałym” Arthurem - przemknęły przez kuchnię i weszły do holu. Dolly zapaliła światło.

Na podłodze leżał Arthur. Oddychał chrapliwie.

- A więc to tak - rzekła rozczarowana Rose. - Wcale się nie przekreślił.

Dolly westchnęła, widząc, że jej najgłębsze nadzieje obróciły się wniwecz.

- Pomóż mi go zaciągnąć na górę - poprosiła przymilnie przyjaciółkę.

- O nie! - krzyknęła Rose, świadoma swej pozycji. Była przecież żoną Jacka Fettle, zrównoważonego człowieka, który ledwo pozdrawiał Arthura Cloomba, nie mówiąc o tym, by kiedykolwiek

miał się do niego dotknąć. - Ja się do tego nie zniżę. Niech sobie leży, wstrętna świnia.

- Oby nigdy nie wstał - rzekła głośno Dolly.

Jej słowa prowokująco zawisły w powietrzu. Po kilku chwilach Rose - z wyrazem twarzy kogoś, kto wszystko przemyślał - zabrała się do dzieła. Spojrzała z namysłem na głowę Arthura, odwróciła się i uważnie popatrzyła na drzwi.

- Zgaś światło - poleciała.

Dolly przekręciła wyłącznik. Rose odczekała, aż jej wzrok przywyknie do ciemności, a następnie schyliła się i pociągnęła za róg wycieraczki. Arthur jęknął słabo, lecz pozostał nadal nieprzytomny i bezwładny.

- Jeśli wysuniemy ją trochę za próg - wyszeptała Rose - zaklinujemy nią drzwi. Będzie potworny przeciąg. - Dolly wysunęła rękę, po czym drżąc cała pośpiesznie ją cofnęła. - Chodzi o to, by trzymał w nim głowę przez całą noc.

- Taak - wycedziła szeptem Dolly.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby to go wykończyło. W jego stanie ... Wróc ze mną. Wszyscy słyszeli, jak groził, że ci sprawi manto. To się trzyma kupy - przecież nie mogłaś wiedzieć, że on tak leży. Rano przylecimy tu i wsuniemy wycieraczkę na miejsce.

- Och, Rose, jesteś bardzo mądra.

- Więc wyjdźmy kuchennymi drzwiami i ani słowa. Podążały ścieżką do domu Rose. Po drodze Dolly chichotała w duchu, oszołomiona możliwością spełnienia się jej marzeń. Odpowiedzialność za ich realizację wygodnie zrzucała na Rose.

O szóstej rano wstały, ubrały się pośpiesznie i przemknęły jak cienie po nie oświetlonej drodze. Po omacku dotarły na miejsce.

- Wspaniale - rzekła Rose. Pochyliła się i wyciągnęła spod drzwi wycieraczkę. Poprosiła Dolly, by uniosła głowę Arthura, a sama położyła wycieraczkę na dawne miejsce. Na koniec, zapaliwszy światło, dodała: - No i proszę: przyszliśmy i znaleźliśmy go.

Przyjrzały się Arthurowi.

- Wygląda strasznie, Rose. I rzezi.

- Lepiej leć do telefonu ile sił w nogach i zadzwoń po doktora.

Rozdział 28

- Kufelek piwa i dżin z tonikiem dla szanownej małżonki. Razem funt osiemdziesiąt - rzekł John Maiden, usilnie starając się trzymać wzrok z dala od Phoebe.

- Jeden dla ciebie - rzekł Roy, wręczając mu banknot pięćofuntowy.

- Serdeczne dzięki. - Odliczył resztę i nalał sobie kufel piwa. - Twoje zdrowie.

- Cicho tu dzisiaj.

- Z tyłu jest dość wesoło - rzekł wskazując w kierunku sali, gdzie nagle wybuchł gwar. Dochodziły stamtąd odgłosy mocnych uderzeń i ochryple okrzyki radości. - Turniej kobiet w kręgle. Nasze panie przeciw Spinney Compton.

- Powinnaś była się zgłosić - rzekł Roy do Phoebe. - Masz silne mięśnie i dobre oko. Widziałeś, jak rzuca strzałkami? - spytał Johna.

John, który nie miał ochoty oglądać Phoebe swobodnie krążącej po barze z garścią strzał, bąknął coś niewyraźnie.

Phoebe ze skromnym uśmiechem wpatrywała się w swój kieliszek. Obserwując ją Roy uznał, że słusznie zrobił namawiając ją, by wyszła dziś wieczorem, wysławszy przedtem dzieci do teściowej.

- Na co masz ochotę? - spytał, wskazując menu wypisane kredą na tablicy.

- Stek z frytkami i groszkiem chyba będzie niezły.

- Taak. John, dwa razy stek proszę.

- Już podaję!

- Gdzie chcesz usiąść, kochanie? - spytał uprzejmie Roy.

- Zostańmy tu, dopóki nie przygotują jedzenia - odparła Phoebe, siedząc na barowym stołku.

Roy zauważył, że jej skóra przybrała woskowy kolor, co nigdy nie rokowało dobrze. Źrenice oczu, wpatrzonych w butelkę sinożółtego advocata za barem, były rozszerzone. Miał nadzieję, że dżin nie zakłóci działania tabletek. Upierała się, że chce drinka. „Jeden nie zaszkodzi, przecież wepchnę w siebie jakieś jedzenie” - mówiła, a on nie chciał się spierać.

Wrócił John, uzbrojony w sztucce i przyprawy, które rozłożył na stole. Następnie, gęsto się sumitując, pośpieszył zaspokoić bardziej lukratywne zamówienia graczy w kręgle.

Otworzyły się drzwi i do środka wkroczyła pani Tustin, a za nią jej małżonek Ken.

- ...bry wieczór, Roy - powiedziała pani Tustin, po czym z wahaniem dodała: - Dobry wieczór, Phoebe.

- Co za miłe spotkanie - rzekł Ken. - Nie liczyliśmy na towarzystwo. Dziś środa. Czego się napijesz, Roy?

- Nie, ja stawiam - ofiarował się Roy, naciskając barowy dzwonek. - Piwko, tak? A co dla pani?

- Słodkie sherry, kochanečku. Co u ciebie, Phoebe? Phoebe nie zwracała na nią uwagi. Zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w Kenie.

- Powinien pan być na zebraniu.

- Kto, ja? - spytał Ken, spoglądając ze zdziwieniem na obecnych. Czując na sobie jej spojrzenie, roześmiał się nerwowo. - Nie dzisiaj, kochana, co stwierdzam z radością. Dziś wieczór ja i moja pani dogadzamy sobie, prawda, Margie?

Margie Tustin skromnie spuściła wzrok.

- Jakaś szczególna okazja? - spytał Roy.

- Rocznicą ślubu. Trzydzieści cztery lata.

- Jest co obchodzić, prawda, Phoebe?

- Ale powinien pan tam być. Dziś jest zebranie podkomitetu.

- Spokojnie, Phoebe. Ken wie, czy ma zebranie czy nie. Aha, John, kufelek piwa i słodkie sherry. Ken właśnie mówił, że obchodzą rocznicę ślubu.

- Ho, ho! - wykrzyknął John z przesadnym ożywieniem, niepokojąc się, czy nie oczekują po nim postawienia wszystkim kolejki.

Phoebe zeszła ze stołka.

- Wiem, że pan powinien być na zebraniu - powtórzyła zaczepnie. - Maddy powiedziała ... - Jej czoło wypogodziło się nagle.

- O, już wiem. Chyba zostało odwołane. Kurczę, Maddy pewnie mnie szuka.

- Phoebe! - ryknął Roy, gwałtownie wyciągając rękę, by uratować przewracającą się szklanę.

Phoebe z trzaskiem otworzyła drzwi. Pół sekundy później już jej nie było.

Gdy Robert ujrzał Phoebe na progu swego domu, poczuł, że odsłonięto zasłony, za którymi kryły się jego najgorsze obawy. Przed godziną Maddy wyszła oznajmiając, że jedzie z Phoebe do kina. A oto

stał przed nim widomy dowód jej kłamstwa. Instynktownie chciał pozbyć się Phoebe.

- Co tu robisz? - spytał ostro.

- Zebranie zostało odwołane. Czy jest Maddy?

- Słuchaj no ... - zaczął Robert i urwał.

Phoebe nie interesowało, co Robert ma do powiedzenia. Stojąc na błękitnym dywaniku, rozglądała się po holu.

- Gdzie ona jest? - zapytała, jakby Robert trzymał Maddy gdzieś w szafie. Następnie, tracąc cierpliwość, pomknęła do saloniku, wybiegła z niego, przepchnęła się obok Roberta i weszła do jadalni. - Maddy! - ryknęła gniewnie, wpadając do kuchni. Gdy z powrotem wbiegła do holu, Robert pochwycił ją i krzyknął szorstko:

- Uspokój się!

Oderwała jego rękę z siłą, która zbiła go z tropu.

- Powiedziała, że nie możemy iść do kina z powodu tego zebrania. Ale go nie ma. Zostało odwołane. Właśnie widziałam Kena Tustina.

- Ale ona wyszła - wrzasnął Robert, ledwo zachowując panowanie nad sobą. - Lepiej więc będzie, jak sobie pójdziesz.

Phoebe doszła do wniosku, że Robert zachowuje się tak wrogo, gdyż zamierza pokrzyżować jej plany. Odwróciła się więc na pięcie i popędziła na górę.

Tego było już za wiele. Robert, który pragnął, by żona tu i teraz była świadkiem jego gniewu i - jeśli Bóg da - ułagodziła go, nie mógł znieść, że ktoś inny też jej potrzebował i ciskał mu to w twarz, wyrzaskiwał w same uszy. Pobiegł za Phoebe i chwycił ją za ramię.

- Chodź - rozkazał, ciągnąc ją siłą do najbliższej sypialni. - Wejdz. Rozejrzyj się. Nie ma jej tu, prawda?

- Wepchnął ją do następnej. - Zobacz więc tutaj. Znowu pech? - Kopnięciem otworzył drzwi łazienki. - Spróbuj tu. Nic z tego? A więc chodź dalej, nie możemy pominąć gabinetu. I tu jej nie ma? No cóż, to już cały dom. A więc ... - Pociągnął ją za sobą i wskazał na schody. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

Phoebe kręciło się w głowie. Róg ściany, słupek przy schodach, rama obrazu - wszystko straciło ostrość i nieco się zamgliło. Znaczenie słów zaczęło jej umykać.

„Na Boga, robi wrażenie strasznie tępej” - pomyślał, zaciskając palce na ramieniu Phoebe. Obrócił jej twarz ku sobie. - Słuchaj, ty jej

potrzebujesz i ja jej potrzebuję. Niestety - wymawiał każde słowo z przesadną emfazą - nie ma jej tu. Rozumiesz? Wyparowała.

„Wyparowała”. Dla Phoebe było to straszne słowo. Ojciec użył go tego dnia, gdy wróciwszy ze szkoły do domu nie zastała matki. „Wyparowała. Dała nogę ze swoim kochankiem. Lepiej zakasz rękawy, dziewczyno, i posprzątaj ten bałagan”. Słowo to często słyszała w latach swego niespokojnego dzieciństwa. Podobnie powiedziano o jej kucyku („Wyparował. Przyszedł facet i zabrał go, jak byłeś w szkole.”) i alzackiej suczce („To cholerne psisko działało mi na nerwy. Cały dzień szczekało i skomlało. O nic mnie nie pytaj. Wyparowała”). Phoebe zrozumiała, że nie może zostać ani minuty dłużej tu, w tym domu, gdzie słowo „wyparowała” dźwięczało jej w uszach. Wywinęła się z uścisku i zbiegła po schodach. Pędząc przed siebie w noc, rzucała bez związku pojedyncze słowa: Maddy ... mama ... Rocket ... Jess ...

Jej zamierający lament dobiegł uszu Roberta. Wstrząsnął nim i napełnił go przerażeniem. Zrozumiał, że postąpił jak tyran. Bezzwłocznie zapragnął wszystko naprawić i upewnić się, iż Phoebe nic nie grozi. Nie odważył się jednak wybiec za nią i pędzić przez wioskę, wołając jej imię. Przyszło mu to nawet do głowy, lecz skoro przez lata praktykował zachowywanie się jak należy, ostrożność przed wystawieniem się na widok publiczny weszła mu w krew. Zamknął więc frontowe drzwi i podszedł do telefonu.

- Czy to ty, Tesso? Mówi Robert. Słuchaj, Phoebe może być w drodze do ciebie. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jeszcze nie dotarła, prawda? No więc, jeśli przyjdzie, zatrzymaj ją. Jest zupełnie wytracona z równowagi. Zadzwoń za parę minut.

Usiadł na drewnianej skrzyni i ukrywając głowę w dłoniach dziwił się, że jego troskę o Maddy przesłonił teraz inny kłopot. Do przyścia Phoebe zaabsorbowany był wyłącznie kłamstwami Maddy i pragnieniem jej natychmiastowego powrotu - tak bardzo, że zlekceważył i zelżył Phoebe. Teraz, chory na samą myśl o tym, jak wpił palce w jej ramię i wrzeszczał na nią z pogardą, gorączkowo troszczył się o nieszczęsną dziewczynę.

W Holly House Tessa kołysała się w przód i w tył w bujanym fotelu, powtarzając sobie w myśli: „Nie wytrzymam. Naprawdę nie jestem w stanie znosić tego dłużej”. Po jakimś czasie zerwała się z krzesła, by podnieść słuchawkę stojącego na parapecie telefonu.

- Nie ma jej u mnie Robercie. O co chodzi?

- O Maddy, oczywiście - odparł z westchnieniem. - Nie wiem dokładnie, co teraz kombinuje, ale okłamała mnie i na dodatek zawiodła Phoebe. Niestety również ja przed chwilą zachowałem się wobec niej po grubiańsku. Jeśli jej się coś stanie...

- Zaraz do ciebie przyjadę. Jeżeli Phoebe tu idzie, na pewno ją spotkam po drodze. Będę u ciebie za minutę.

Urwis obserwował ją uważnie. Pomachał ogonem, mając nadzieję, że rozproszy jej złe myśli.

- Psy wszystko wyczuwają - wymamrotała półgłosem Tessa.

Urwis wyciągnął się na podłodze jak długi, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Niestety wszystko na próżno. Jego pani odmaszerowała. Zabrała palto, kluczyki od samochodu i wyszła trzasnąwszy drzwiami. Zniechęcony wpatrywał się w nie uporczywie z nastawionymi uszami i przechyloną głową. Wyteżał słuch za jej cichnącymi krokami, póki całkiem nie ucichły.

- Nicka pewnie nie ma w domu - rzucił Robert z ostrożną nonszalancją, nim zdał jej relację z wizyty Phoebe.

- Nie, nie ma - odparła z wahaniem Tessa.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Nagle odezwali się jednocześnie:

- Ciekaw jestem, czy ...

- Jak dawno temu wyszła?

- Mniej więcej przed dwudziestoma minutami.

- Zadzwoń na farmę Pecków. Jeśli jej tam nie ma, przynajmniej ostrzeżesz Roya.

W domu Phoebe nikt nie odbierał telefonu.

- Powiedziała, że spotkała Kena Tustina? - dopytywała się Tessa.

- Tak, z całą pewnością.

- Gdzie to mogło być?

- Może w pubie. Oboje zerwali się na równe nogi.

- Przepraszam, że cię w to wciągnąłem - wysapał Robert, gdy niemal biegiem pędzili ulicą Kościelną. - Wiem, że masz teraz ciężkie dni. Po prostu nikt inny nie przychodził mi do głowy.

- Nie przejmuj się. Dobrze, że o mnie pomyślałeś.

W sali jadalnej restauracji „Pod Czerwonym Lwem” Tustinowie kończyli właśnie posiłek tortem szwarcwaldzkim i kawą po irlandzku.

- Zgadza się - rzekł Ken. - Wybiegła. Dostała bzika na punkcie jakiegoś zebrania. Powiedziałem jej, że nic takiego nie miało dziś miejsca, a ona po prostu poleciała. Prawda, Margie?

Pani Tustin, zgrabnie niosąc do ust potężną porcję ciasta, skinęła potwierdzająco głową.

- Roy był zmartwiony - wspominał Ken. - Właśnie zamówił jedzenie. Niestety musiał wyjść, by jej poszukać. No i dwa steki się zmarnowały, jak powiedział John, co postawiło go w dość niezręcznej sytuacji.

Dziękując mu pośpiesznie wyszli i powrócili do domu przez Błonia.

- Powinniśmy chyba podjechać na farmę Pecków - rzekła Tessa.

- Ja pojedę. Nie ma potrzeby, żebyś ty ...

- Ależ oczywiście, że zajrzę tam z tobą. Weźmiemy mój samochód.

Nadal nie było wozu Nicka, co oboje milcząco odnotowali, gdy Tessa wyprowadziła volvo. Przejeżdżając koło Jasmine Cottage, nie zauważyli też samochodu Maddy. Tessa skręciła w prawo w Fetherstone Road i zwolniła, by zjechać w lewo, w drogę do farmy Pecków. Z przeciwnej strony zbliżał się pojazd z włączonym prawym kierunkowskazem.

- Land rover - odgadł Robert, wnioskując z blisko osadzonych przednich świateł. - Prawdopodobnie Roya.

Tessa zatrzymała się na drodze. Land rover zahamował za nią. Nim zdążyli rozpiąć pasy, Roy był już przy ich samochodzie.

- Jest z wami Phoebe? - spytał zdenerwowany.

- Niestety nie, Roy. Szukamy jej.

- Przyszła do mnie mniej więcej przed godziną - rzekł Robert. - Chciała rozmawiać z Maddy. Była dość wzburzona. Obawiam się, że nie bardzo jej pomogłem. Wybiegła.

- Znowu ją wzięło - westchnął Roy, opierając się o samochód. - Widziałem, że to się zbliża. Narastało już od tygodni. Ale i tak mieliśmy dobrą passę.

Tessa spodziewała się, że zaraz powie: „Nie można narzekać”.

- Myślisz, że jest chora? - zapytała.

- Taak, pigułki nie działają. Wszystko jej się płacze w głowie. Zaniedbuje dzieciaki - zawsze tak się zaczyna. Wróciłem do domu, ale jej nie zastałem. Wpadłem więc do matki, sądząc, że tam poszła. A

nuż martwiła się o dziewczynki? - pomyślałem. - Powinienem był wiedzieć, że prędzej pomyśli o koniu, niż o dzieciach.

- Koń! - wykrzyknęła Tessa. - Ależ oczywiście. Phoebe z pewnością ...

- Nie zaglądałem do stajni - przyznał Roy. Tłukąc się po wybojach, czym prędzej dotarli na podwórze.

Phoebe była w stajni. Przy świetle podwórzowej lampy usiłowała osiodłać konia. Sądząc z jej wyglądu, nie wróciła do domu prostą drogą. W jej włosach tkwiły drobne patyczki. Twarz miała podrapaną i brudną.

- Phoebe - odezwał się Roy. - Zostaw go, kochanie. Nie możesz jeździć po ciemku.

Nie słuchała go, dalej mocując się ze sprzączką.

- Proszę cię, Phoebe - przemawiał pieszczotliwie, zbliżając się do niej ostrożnie z wyciągniętymi rękami, jakby była nieujarzmionym zwierzęciem. Gdy jej tylko dotknął, uderzyła go z całej siły, aż rozciągnął się na ziemi. Natychmiast rzuciła się na niego, zadając mu ciosy pięściami, stopami i głową. Jej atak był głębokim wstrząsem dla Roberta i Tessy, zbyt odległym od ich dotychczasowych doświadczeń, by mogli pozwolić sobie na interwencję. Przyglądali się biernie. Wreszcie Robert wziął się w garść i przydusił własnym ciałem wierzgające nogi. Nim Roy oswobodził się, Phoebe opadła z sił.

Usadowili ją na krześle w kuchni. W czasie gdy Tessa napełniła miskę wodą i obmywała Phoebe, Roy zadzwonił do szpitala.

- Przyjadą po nią - oświadczył. - Nie wiem, jak dałbym sobie bez was radę. Naprawdę nie mam pojęcia - ciągnął łamiącym się głosem. - Wiecie, ona wcale tego nie chciała. Jest łagodna jak baranek. Muchy by nie skrzywdziła. Taka się robi tylko wtedy, jak ją to nachodzi.

Robert uścisnął jego ramię.

- Nie przejmuj się, stary. Cieszę się, że ją znaleźliśmy. Wiesz, byłem dla niej ostry ... Mam nadzieję, że mi wybaczy, jak dojdzie do siebie.

- To moja wina. Nie powinienem był wychodzić z nią dziś wieczorem. Wiedziałem, że nie jest z nią dobrze. Bogu dzięki, żeście się w porę zjawili.

Tessa, wycierając ręcznikiem bezwładnie leżącą Phoebe, pomyślała: „Mówią, jakby przeżyli katastrofę. Bezustannie opowiadają o swej winie i wdzięczności”.

- Roy, może zajmę się twoją twarzą? - zaproponowała nieśmiało.
- Masz coś do dezynfekcji? Aha, Robercie, zrób nam kawy.

- Proszę bardzo - rzekł Robert, skwapliwie korzystając z okazji, by być użytecznym.

W drodze powrotnej Robert milczał. Odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy. Gdy Tessa skręciła w ulicę Kościelną i zwolniła, by zatrzymać się przed jego domem, zerknął, czy wóz Maddy stoi przed garażem. Tessa zrobiła to samo. Niestety nic nie dostrzegli.

- Jedź dalej - zaproponował Robert. - Odprowadzę cię do drzwi i wrócę pieszo.

Roześmiała się na te słowa i zahamowała przed jego bramą. Światło latarni po przeciwnej stronie ulicy wlewało się do środka samochodu.

- Zawsze dawałam sobie z tym radę - chodzi mi o samodzielne powroty do domu. A ty jesteś wykończony. Idź do łóżka.

Odpiął pas, lecz nie wykonał żadnego dalszego ruchu.

- Będzie mi się śniła - powiedział ponuro.

- Maddy?

- Phoebe.

Tessa zorientowała się, że Robert chce porozmawiać. Wyłączyła silnik.

- To dziwne - zaczął. - Cały czas, gdy była u mnie w domu, lekceważyłem ją. Uważałem, że skoro mnie drażni, trzeba się ostro za nią wziąć, pozbyć się jej, a potem skupić na ważniejszych sprawach. A teraz prześladowuje mnie każdy moment tej wizyty. Widzę ją i siebie, nas oboje miotających się na podeście schodów. Ciągle mam to przed oczyma. Biedny dzieciak. Zastanawiam się, gdzie ona teraz jest, jak się czuje? Mam nadzieję, że w szpitalu nie narzucają przesadnego reżimu i nie są dla niej zbyt szorstcy.

- Chyba nie. Roy kiedyś mówił, że jest tam prawie jak w domu.

- Może będziemy mogli ją odwiedzić, Maddy i ja.

Zapadła długa cisza. Żadne z nich jej nie zauważyło, żadne nie posłyszało drobnych kroczków dziecka, przystającego na chwilę i biegnącego dalej (nie było to oczywiście dziecko, lecz obracający się liść, który z szelestem pędził wiatr). Robert zmagął się z trzema ostatnimi słowami: „Maddy i ja”, zastanawiając się, czy coś takiego jeszcze istnieje i czy teraz nie jest już „Maddy i ktoś inny”. Umysł

jego skupił się na imieniu żony. Co powinien jej powiedzieć? Jaka będzie jej reakcja?

Tessa rozmyślała: Robert nie jest idiotą, musi wiedzieć. Nawet jeśli nie ma pewności, gdy tylko Maddy wróci do domu, szybko wydobędzie z niej nazwisko. Pomyślała też, że musi przebrnąć przez pogrzeb Colina. Samotność smagnęła ją takim spazmem bólu, że łzy napłynęły jej do oczu. Walcząc z nimi modliła się, by Robert sobie poszedł.

- Robercie... - szepnęła.

Drgnął i odwrócił się ku niej.

- Ja ... - urwała w pół słowa. Głos jej drżał. Zapomniała, co chciała powiedzieć.

- O co chodzi?

- Jestem u kresu wytrzymałości - wykrztusiła, a łzy płynęły jej strumieniami. Gorączkowo szukała chusteczek.

Robert zdębiał. Znał to na pamięć. Słyszał podobne słowa już przedtem, ale nie chciał przyjąć ich do wiadomości. To nie mgliste przypuszczenie. „Ktoś inny” był faktem, konkretną osobą.

- Tak mi przykro, Robercie.

Było mu jej żal. Jednak dla niego samego obecność w życiu Maddy innego mężczyzny zmieniała wszystko. Teraz nie będzie musiał działać skrycie. Może skupić się na rywalu, przyszpilić go, zelżyć, zniszczyć. Nawet sama Maddy zeszła na dalszy plan.

Tessa wytarła nos.

- Chciałam ci powiedzieć, błagać cię o jeszcze parę dni. W piątek jest pogrzeb. Nie wytrzymałabym... - urwała i znów wybuchnęła gwałtownym płaczem.

- Od jak dawna wiesz? - spytał krótko.

- Co? - Otarła oczy. - Och, od tygodni.

- Więc dlaczego, do diabła, nic nie mówiłaś, niczego nie zrobiłaś, nie powstrzymałaś ich?

- Nie mogłam ich powstrzymać! - krzyknęła. - Podobnie jak ty. Wtrącanie się i wyklócanie zepchnęłoby ich na pozycje obronne i doprowadziło do zniszczenia naszego małżeństwa. A ja nie chcę ich stracić, ani jej, ani jego. - Przestała płakać. Mówiła teraz spokojniej. - Gdy zdarza się coś takiego, stoimy przed wyborem. Możemy oskarżać, żądać, stawiać jedno za drugim ultimatum albo też ...

możemy po prostu ... przeczekać. - Jakże niezdarne są moje słowa, pomyślała. Robert musi mną pogardzać.

Nagle Robert z podziwem zrozumiał, do jakich poświęceń gotowa jest Tessa. Przyjął jej taktykę, ponieważ sam wolałby raczej umrzeć, niż stracić Maddy. Myśli te sprawiły, że ucisk, jaki czuł w piersiach, stał się lżejszy. Jego gniew powoli ustępował.

- Przypuszczam, że skoro znasz ich tak dobrze, są to rozsądne rachuby.

Odmieniony ton jego głosu dodał jej otuchy. Mocno zacisnęła ręce na kierownicy.

- Nick nigdy mnie nie zostawi - to wiem na pewno. I dam głowę, że Maddy nawet przez myśl nie przejdzie, by cię opuścić. Tak, owszem, wykalkulowałem sobie, iż to się musi wypalić. Przyznaję, że parę razy omal nie straciłem panowania nad sobą. Ale jakoś wytrzymałem. To się skończy, jeśli nie będziemy się wtrącać. Teraz już niewiele brakuje.

- Skąd wiesz?

- Wyczuwam to.

- A więc prosisz mnie, bym nic nie robił? Jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Będziesz musiał jej powiedzieć o Phoebe - tego się nie da uniknąć. Ale niczego nie przyśpieszaj. Poczekaj jeszcze tydzień. Sama też tego dłużej nie zniosę. Parę dni, dobrze?

- To wbrew mojej naturze, ale dobrze. Spróbuję wytrzymać jeszcze parę dni.

- Och, Robercie, dziękuję - rzekła Tessa drżącym głosem.

- Odstawię cię jednak do domu - zdecydował. - Właściwie lepiej będzie, jak poprowadzę.

Robert zajął miejsce za kierownicą. Tessa przesiadła się na fotel pasażera i ścisnęła ręce kolanami. Czy kiedykolwiek przestanie drżeć? Podjechali do Holly House. Robert odstawił samochód do garażu, podczas gdy Tessa czekała na schodach, aż przyniesie jej kluczyki. Wkrótce powrócił i pomógł jej otworzyć drzwi.

Urwis przywitał ich głośnym szczekaniem. Nie zwracali na niego uwagi, wpatrując się w siebie w świetle latarni. Gdy Robert pochylił się, by pocałować ją w policzek, przylgnęła do niego na moment.

- Dziękuję - szepnęła.

- Dobranoc - powiedział cicho. Tessa uniosła głowę i ujrzała, że w oknie domku naprzeciwko poruszyła się zasłona.

- Koniec z nami.

- Co powiedziałaś?

- Właśnie zauważyłam, iż w oknie pani Bull drgnęła stora.

- No to wpadliśmy - rzekł, schodząc ze schodów. Na dole odwrócił się, uniósł na pożegnanie rękę i zaczekał, póki nie zamknęła drzwi.

Tessa wciąż pogrążona była we śnie. Rankiem wprawdzie przebudził ją dźwięk budzika, a potem słyszała, jak Nick wstał i poszedł do łazienki, gdzie jak zwykle pojękiwał, chlapał i strasznie hałasował, lecz mimo to dalej nie mogła się otrząsnąć ze snu. Zapadała w majaki i wydobywała się z nich, a wielkie znużenie przygważdżało jej ciało do łóżka. Gdy telefon na nocnym stoliku zadzwonił nagle, Tessa z trudem przekroczyła granicę między jawą a snem. Obudziła się, lecz była zbyt oszołomiona, by się poruszyć. W łazience ustało hałaśliwe chlapanie. Nick - mając ręcznik na szyi - wypadł z wrzaskiem. („Wrzask" to właściwe słowo, pomyślała kuląc się Tessa).

- Ja odbiorę. Czekam na telefon - krzyknął i pomknął na dół.

Sophia? - zastanawiała się. Roy w sprawie Phoebe? Maddy? O Boże, czyżby Robert nie dotrzymał obietnicy?

Usiadła. Nagle, zupełnie bezwiednie, zrobiła tak, jak niegdyś zamierzała: wzięła telefon, by podsłuchać jego rozmowę. Ów błyskawiczny impuls, który nie zezwolił na wahanie ani drżenie palców, przyniósł jej natychmiastowy sukces. Gdy podniosła słuchawkę, usłyszała trzask na linii, po czym Nick powiedział ostrożnie:

- Halo.

- Och, Bogu dzięki! Umarłabym, gdybyś to nie ty odebrał. Nick, wszystko się skomplikowało zeszłej nocy.

Serce skoczyło Tessie do gardła.

- Co się skomplikowało?

- Powiedziałam Robertowi, że jadę do kina z Phoebe. Otóż ona miała zeszłej nocy jakieś załamanie nerwowe - trzeba ją było odstawić do szpitala. Robert zostawił mi karteczkę.

- Więc cię o nic nie zapytał?

- Nie. Poszedł spać. - (Tessa odetchnęła z ulgą).

- Nigdy przedtem tego nie robił. Całą noc się głowiłam, żeby wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, a tu, niech ja skonom, Robert wstał o szóstej i wyniósł się. Przed wyjściem wsadził głowę do sypialni, zaproponował mi filiżankę herbaty i powiedział, że ma ... zebranie w Londynie. Pierwsze słyszę. Boję się, Nick.

- Nie bardzo wiem, co mógłbym zrobić ...

- Możesz, do cholery, ze mną porozmawiać.

- Nie teraz.

- Ale dziś wieczorem.

- Słuchaj, umówiliśmy się - powiedział Nick przez zęby - że dopiero w poniedziałek. - (Jest wyraźnie tym wszystkim znępany, pomyślała Tessa).

- Musisz mi pomóc. Może powiem, że samochód mi się zepsuł i musiałam wzywać pomoc drogową.

- To dość podejrzane.

- A widzisz? Trzeba to przemyśleć. Nie mam zamiaru sama się z tym borykać.

- W porządku. Pogadamy chwilę, jak będę dziś wieczorem wracał do domu. O wpół do siódmej „Pod Wawrzynem” w Erdington.

- Dobrze.

- Do zobaczenia.

Jego nagłe, zaskakująco pozbawione czułości pożegnanie sprawiło, iż Tessa omal nie dała się przyłapać na gorącym uczynku. Odłożyła słuchawkę i położyła się z zamkniętymi oczyma. Gdy Nick wrócił do pokoju, wyczuła, że uważnie się jej przygląda.

- Wyglądasz dziś na bardzo zmęczoną. Miałaś pracowity wieczór? Myślałem, że skończyłaś już książkę - zagadał, usiłując okrężną drogą wywiedzieć się, czy Tessa wie o historii z Phoebe.

- Phoebe przepadła gdzieś zeszłej nocy. Roy zamartwiał się na śmierć. Pomagałam jej szukać. Znaleźliśmy ją w stajni. Musiał jednak odesłać ją do szpitala.

- Biedny stary Roy.

- I biedna Phoebe.

- Tak. Napijesz się herbaty?

- Chętnie. Aha, dzwonił Paul. Chyba rozmyślał o Colinie. Bardzo go przecież lubił. Pytał, czy powinien przyjechać na pogrzeb.

- Teraz idzie ta jego rewia. Zresztą nie byłoby to zbyt taktowne. Ani Annabel, ani Simon chyba się nie zjawia.

- Tak właśnie myślałam. Powiedziałam Paulowi, że Colin chciałby, aby żył swoim życiem.

- Słusznie.

- Możesz odsunąć rygiel? - zawołała. - Wkrótce może przyjść pani Cloomb. Chyba nie zdążę się ubrać.

Gdy Dolly przybyła do Holly House, Tessa, już ubrana, robiła sobie grzanekę. Usłyszała ją na schodach i otworzyła drzwi.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem.

- Dziś nie mogę sprzątać.

- Tak?

- Arthura strasznie rozłożyło. Jest w szpitalu.

- No tak, to rzeczywiście nie może pani zostać.

- Wczoraj rano tak go wzięło. Musiałyśmy wezwać lekarza i sprowadzić karetkę. Pani Burrows zawiozła nas samochodem. Byłam tak roztrzęsiona, że Rose musiała pojechać ze mną. Nie poszłyśmy sprzątać do Dworu i pani Westbrook mówi, że musimy to nadrobić dzisiaj, bo przyjeżdżają jacyś tam posłowie na lunch. Będzie wielka feta.

- Rozumiem - rzekła Tessa, rozkładając ręce. - Cóż mogę zrobić? Bardzo mi przykro z powodu pana Cloomb.

- Taak. Mówią, że nie ma specjalnych nadziei.

- O Boże! Jeżeli mogłabym w czymś pomóc - podwieźć czy coś w tym rodzaju...

- Dzięki, złotko. Czas na mnie. Rose zawiadomiła właśnie Probostwo. - (Zostałyśmy z Eleanor na lodzie, pomyślała Tessa z rozbawieniem). Dolly zbierała się do odejścia. - Do zobaczenia w sobotę.

- W sobotę?

- Na kiermaszu.

- Rzeczywiście. Ale co z ...

- Przyjdę, spokojna głowa. Nie mogę wystawić ludzi do wiatru.

W ten oto sposób żona pokazała ci, gdzie twoje miejsce, Arthurze Cloomb, pomyślała Tessa zamykając drzwi. Zjadła grzanekę, wypila herbatę, po czym zastanowiła się, czyby nie posprzątać. Nie teraz, zdecydowała. Później.

Ogarnęło ją poczucie bezcelowości istnienia. Gdy Celia Westbrook przegalopowała na swym koniu, Tessa stała apatycznie przy kuchennym oknie. Celia jak zwykle gapiała się bez żenady. Ich

oczy spotkały się, lecz żadna nie obdarzyła drugiej uśmiechem ani też nie dała najmniejszego znaku, że ją spostrzega. Wstrętna, ordynarna baba, powiedziała w duchu Tessa. Przypuszczała, że Celia musi czuć się zadowolona z pozbawienia Holly House sprzątaczk. Przypomniała sobie żartobliwe powiedzonko Maddy: „...szanowanie, pani dziedziczko”, które doskonale oddawało despotyczne zapędy Celi. Właśnie z myślą o Maddy Tessa gwałtownie podeszła do drzwi i zasunęła rygiel. Wziąwszy wszystko razem pod uwagę wołała dziś rano nie słuchać wykrętów o wzywaniu pomocy drogowej ani żadnych innych wymówek. Obeszła dom i wyłączyła telefony. Następnie poszła do pracowni, gdzie najpierw przejrzała stos szkiców. Urwis - wiedząc, czego się można spodziewać - wskoczył na sofę i usadowił się na niej, wpatrując się w Tesę. Tak jak oczekiwał, przypięła jeden ze szkiców do rysownicy i zaczęła rozkładać farby. Cicho powarkując zamknął ślepie.

Rozdział 29

Na Marlborough Avenue nie było gdzie zaparkować. Nick jechał wolno, wymieniając nazwiska właścicieli samochodów, których rozpoznał i martwiąc się, że nie wytropił czarnego BMW wicekanclerza. Pod koniec alejki, natrafiwszy na jedyne wolne miejsce, szybko zahamował, a Tessa wyskoczyła, by go nakierować. Gdy już bezpiecznie zaparkowali i zamknęli drzwi samochodu, postawili kołnierze i trzymając się pod ręce spieszenie podeszli do domu pod numerem sto osiemnaście. Ostry wiatr targał drzewkami laurowymi, którymi wysadzona była alejka. Słońce rzucało oślepiający blask na białe kamyki żwiru. Zerknąwszy ku drzwiom ujrzeli, że ktoś stoi w środku: młodzieniec o krótko ostrzyżonych włosach, w muszce. (Muszka? - zdziwił się Nick, po czym rozpoznając Holendra Sophii wytłumaczył ją sobie cudzoziemskim pochodzeniem jej właściciela).

- Dziękuję, że państwo przyjechali - powiedział z powagą młody człowiek. - Pani Petchel jest w salonie.

Dołączyli do kolejki przybyłych, pragnących powitać wdowę. Dom był przegrzany i wypełniony ludźmi w zimowych ubraniach. Sophia miała na sobie błyszczącą czarną suknię z falbankami przy dekolcie. (Jest bardziej odpowiednia na coctail niż pogrzeb - pomyślała Tessa i oczyma duszy ujrzała uśmiezek Colina). Para z przodu odsunęła się i Sophia zwróciła ku nim swe wielkie, zażawione oczy.

- Czy tu jest dość ciepło? - zapytała. - Mam kłopoty z ogrzaniem tego domu.

- Wystarczająco ciepło - rzekła Tessa i odsunęła się, by zrobić miejsce Nickowi, dla którego Sophia poczuła nagłe uwielbienie.

Wdowa pojękiwała, tak że nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wziąć ją w ramiona. Owionął go zapach jej włosów, a muskularna pierś zaczęła mu się szybciej poruszać, gdy miękkie ciało przylgnęło doń nagle jak ciepła, nieco wilgotna poduszka. Gdy się wyplątał, Sophia przyssała się do kogoś innego.

- Kim jest ten facet przy drzwiach? - zabrzmiał mu w uszach znajomy głos.

- O, jak się masz, Vernon. To chyba fatygant Sophii. Cudzoziemiec.

- Daje się zauważyć - rzekł Vernon. - Muszę powiedzieć, iż goście dopisali. Wiesz, że profesor Stern jest w jadalni?

- Stern? - wykrzyknął Nick, na którym ta wiadomość zrobiła wrażenie. - To ładnie ze strony staruszka. Musi mieć już chyba pod osiemdziesiątkę. Czy to nie on był opiekunem Colina w Cambridge?

- Owszem. Świetnie się trzyma. Idziesz się z nim przywitać?

- Jasne. Miejmy nadzieję, że zjawi się wicekanclerz. Chciałbym, żeby zauważył jego obecność.

- To by wydziałowi nie zaszkodziło. Z trudem przecisnęli się przez tłum w holu.

- Czy to nie John Amery rozmawia z Rogerem? - spytał Nick.

- No nie. Naprawdę? Boże drogi, chyba masz rację. Ach, to wspaniale.

W salonie Tessę pochwyliła Viv.

- Hej, jak się masz? Czy to nie obrzydliwe? Ci wszyscy faceci patrzący tylko, który jest większą szychą i ilu luminarzy Colin zdołał zgromadzić.

- Wiem. Siedzą jak na rozżarzonych węglach, czekając, aż wicekanclerz się pojawi.

- Obiecał Jerry'emu, że przyjdzie do krematorium. Słuchaj, widzisz tę przerażoną kobietę, o tam?

- Z Howardem?

- Aha. Krostowaty młodzieniec w okularach to jej syn. A ona jest siostrą Colina. Jego jedyną krewną na pogrzebie. Czy to nie smutne?

- Bogu dzięki, że Howard się nimi zajmuje - rzekła Tessa, stwierdzając, iż nie mogliby się znaleźć w lepszych rękach. Z gładkiego, solidnego Howarda - świeckiego kaznodziei - emanował spokój.

- Myślisz, że to z powodu Sophii jest tak przerażona? Tessa wzruszyła ramionami.

- Może. Albo ze względu na tłum.

- Bzdura! Założę się, iż to przez Sophię. O, cześć, Liz.

- Cześć, Liz - jak echo powtórzyła Tessa, zwracając się do doktor Elizabeth Court, koleżanki Nicka i Jerry'ego.

Gdy Liz i Viv zajęte były rozmową, Tessa błędziła wzrokiem po pokoju. Stojąca przy oszklonych drzwiach Elaine, wieloletnia sekretarka Colina, rozmawiała z jakimś mężczyzną. Tessa uniosła dłoń, a gdy Elaine skłoniła się, jej rozmówca odwrócił się, by spojrzeć

na Tessę. Odniosła wrażenie, że ją rozpoznał - skinął głową i uśmiechnął się. Czy znam tego człowieka? - zastanawiała się Tessa. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go spotkała ani odszukać w pamięci jego nazwiska. Nagle spostrzegła uderzający błękit jego oczu i zabiło jej serce. Uświadomiła sobie coś miłego - że kiedyś go poznała i szczególnie polubiła. Miała właśnie podejść i zacząć rozmowę, gdy Viv ujęła ją pod ramię.

- Liz ma trochę zaczerwienione oczy.

- Naprawdę?

- Nic dziwnego. Wiesz, że miała romans z Colinem?

- Aha, oczywiście, po tym, jak go Lucy zostawiła. Biedna Liz.

Nick, wymieniwszy parę miłych słówek ze znakomitością w jadalni, stanął w drzwiach przypatrując się tłumowi. Wszyscy mężczyźni wyglądali tak dziwnie w swych stonowanych garniturach. Rzucali wyważone uwagi i zachowywali się powściągliwie. (Tylu naukowców i żadnej awantury!). Nick zauważył z zadowoleniem, że wydział psychologii stawiał się w komplecie, by oddać hołd swemu najświetniejszemu koledze. Dołączył do Jerry'ego, który stał przy kominku z ręką opartą o gzyms, tuż obok fotografii Colina.

- Jak się masz, stary. Spory tłum - zagadnął.

- Nick, to ty. Bogu dzięki.

- Przyjechał profesor Stern. To miłe, nie uważasz? Zrobił to ze względu na Colina. Rozmawiałeś z nim?

- Nie, ale David powiedział, że tu jest.

- W jadalni. A John Amery rozmawia z Robertem Delzine.

- A tak. Przyszedł na lunch.

- Zauważyłem, że ta baba szczelnie zamknęła drzwi gabinetu. Ale skoro dom jest pełen ludzi, może później uda się nam z tymi papierami.

- Na miłość boską - rzekł Jerry, rozglądając się nerwowo - za wszelką cenę musimy dbać o dobry humor Sophii. Wicekanclerz może później przyjść.

- Więc się go spodziewasz? - Na pewno pojawi się w krematorium.

- Dobrze. A Delzine wygłosi mowę?

- Nie martw się, dobrze go ustawiliśmy.

- Świetna okazja dla wydziału. Colin by pierwszy to zauważył.

Obaj lekko drgnęli, gdy doszedł ich głos z holu.

- Panie i panowie! - zawołał młody Holender, a kiedy przez dom przebiegł nakazujący ciszę szmerek, młodzieniec oznajmił: - Przybył karawan.

- Podjedziemy naszym wozem - wyszeptał Jerry. - Gdzie są dziewczyny?

- Przy oknie. Zawołam je.

Żałobnicy wolno skierowali się do drzwi. Po dwoje, troje lub czworo usadowili się w samochodach i wyruszyli przez miasto do krematorium.

Kaplica była przewiewnym pomieszczeniem. Panował w niej błogi nastrój doczesnego spokoju. Kremowe ściany, jasne deski, czyste szkło okien: sceneria stosowna do współczesnych pożegnań.

Usiedli w milczeniu. Nowo przybyli wchodzili na palcach i ostrożnie przemykali się ku ławkom i krzesłom. Rozbrzmiewały szepty, w miarę jak wnętrze zaczęło się wypełniać i coraz trudniej było znaleźć miejsca siedzące.

Gdy przybył wicekanclerz, zebrani pochyłili głowy. „Przyjechał” - popłynął wzdłuż rzędów szmer.

Pojawiła się trumna. Zgromadzeni powstali. Roger Delzine podszedł do pulpitu. Przypomniał, że Colin uważał się za wolnomysliciela, a zatem ceremonia będzie uczczeniem jego życia. Najpierw zebrani usłyszą nieco muzyki - jeden z ulubionych utworów Colina.

Kiedy rozbrzmiały pierwsze cikliwe akordy, niektórzy poczuli grozę, niektórzy zaś zdumienie.

- Boże, co wicekanclerz sobie o tym pomyśli - zmartwionym głosem powiedział Jerry do Nicka, przysłoniwszy dłonią usta.

- Niema się czym przejmować. Jest geografem - wymamrotał Nick, sugerując, że jest mało prawdopodobne, by przy takim wykształceniu wicekanclerz odróżnił Bacha od Gounoda.

Był oburzony ze względu na zmarłego przyjaciela. Dlaczego nie Ave Maria? - pomyślał. To sprawka Sophii. Muzyka bezsprzecznie poruszyła wdowę. Z pierwszego rzędu dochodziły rozdzierające łkania.

Przemówienie Rogera Delzine'a sprawiło, że wszyscy poczuli się lepiej. Niczego nie pominął - żadnej wydanej książki, żadnego referatu wygłoszonego na międzynarodowym sympozjum, żadnego artykułu czy notatki w prestiżowym kwartalniku; każdą pozycję

umieścił w spisie wraz z pełnymi podziwu komentarzami wybitnych specjalistów, łącznie z ich przewidywaniami co do znaczenia danej pracy w przyszłości. Chryste Panie, Colin - myślał Nick - przy takim życiorysie tam w górze potracą głowy ze szczęścia. Już słyszę Świętego Piotra: „Wejdz, chłopcze. Wstępna rozmowa nie jest konieczna. Szef powiada, że Katedra Psychologii Metafizycznej jest twoja!”

Po przedstawieniu Colina jako znakomitości, z którą do niedawna byli związani, wielu członków wydziału doznało głębokiego wzruszenia i z przyjemnością wyobrażało sobie, jakie to zrobi wrażenie na reszcie obecnych. Następnie Delzine zapowiedział przeczytanie fragmentu jednego z ulubionych utworów Colina. Okazało się, że będzie to „Burnt Norton” T.S. Eliota.

Treść utworu nazbyt silnie poruszyła doktor Elizabeth Court, dawną kochankę Colina. Jej stłumione łkania były nad wyraz przenikliwe. Tessa miała nadzieję, że Sophia nie poczuje się urażona. Niebawem płacz dał się słyszeć z różnych stron kaplicy. Przy końcu odczytywanego wiersza, na dany znak, zebrani powstali, rozchyliły się zasłony i trumna z ciałem Colina pograżyła się w niebycie.

Teraz pragnęli już tylko możliwie szybko wyjść. Powszechnym marzeniem było uciekać z tego miejsca na łeb, na szyję i napawać się życiem. Niestety musieli dreptać w kolejce, by podziwiać kwiaty, uściskać dłoń Delzine'a i ucałować skąpaną we łzach wdowę.

Tessa przeżyła całą uroczystość jak we śnie. Teraz wstrząsnął nią na nowo widok smugi dymu.

- Boże drogi, spójrz na to! - rzekła do Nicka.

- A czego się spodziewałaś? - spytał szyderczo, pragnąc sprzeczeki. - Fajerwerków?

- Wiem, o co chodzi Tessie - łagodziła Viv. - To mogło trochę razić...

Skierowali się do bramy. Po drodze zauważyli między rododendronami doktor Court, która utulała swój żal w ramionach jednego z młodych, nieetatowych wykładowców wydziału psychologii.

Jerry zahamował.

- Tam jest Liz. Strasznie rozpacza. Mogłaby się do nas wcisnąć.

- Jedź dalej, idioto - rzekła Viv. - Po co jej my, skoro ma jego.

Jerry wyjechał przez bramę i na obwodnicy włączył się w sznur kopiących samochodów. Siedzieli w milczeniu, tając w sobie niepokój wywołany myślą o Liz Court i aktywnym życiu, które toczyło się dalej, gdy oni nadal odprawiali pogrzebowy rytuał.

- Szampan! - zawołała skrzekliwym głosem Sophia. - Wszyscy musimy napić się szampana. Taki jest zwyczaj w moim kraju.

- Miły obyczaj - rzekł Nick, gdy wraz z Jerryem dołączyli do tłumu otaczającego stół, przy którym jakiś inny przyjaciel Sophii rozdysponowywał zalecony trunek.

Powrócili do żon - niosąc w dłoniach po dwa kieliszki - i wszyscy czworo pośpiesznie zaczęli pić. Niebawem jednak mężczyźni odeszli, by pozalać interesy. Należało teraz zrećźnie zakomunikować komu trzeba orędzie wydziału. Podkreślało ono bezcenny wkład katedry psychologii w podniesienie prestiżu uniwersytetu, a w związku z tym bezwzględna konieczność obsadzenia wakującego po Colinie profesorskiego stanowiska, które nie powinno przepaść, jak to się stało z wakatami na niektórych innych fakultetach.

- Nie wiem jak ty, mała, ale ja chętnie bym się tego jeszcze napiła - oświadczyła Viv. - Daj mi swój kieliszek.

- Och, dzięki - rzekła Tessa. Z wolna powędrowała do saloniku, mając nadzieję, że znajdzie mężczyznę ze zdumiewająco błękitnymi oczyma, którego wcześniej widziała rozmawiającego z Elaine. Rozczarowana, gdyż nie udało się jej go odnaleźć, wróciła do holu i weszła do kuchni, by się przedstawić siostrze Colina. Niestety okazało się, że nie jest to takie proste. Elaine, kurczowo trzymająca się syna, bez przerwy spoglądała na zegarek, a gdy Viv wróciła z napełnionym kieliszkiem Tessy i zaproponowała, że przyniesie również i jej, Elaine odmówiła gwałtownie.

- Zazwyczaj nie pijemy, a taksówka może przyjechać w każdej chwili. Nasz pociąg odjeżdża wkrótce.

Gdy wszedł Howard, ogłaszając przyjazd taksówki, Elaine nerwowo stuknęła Sophię w ramię.

- Hm, musimy już iść, Sophio ...

Sophia odwróciła się. Nozdrzami wypuszczała dym z cygara.

- Tak - rzuciła pośpiesznie, wcale nie zasmucona.

- Nic tu po was.

Tessę, która się temu przyglądała, chwyciła gwałtowna chęć, by ją jakoś zatrzymać. Wydawało się jej, że Ignac do siostry Colina może

uchwycić się jego samego. Gdybyż tylko spotkała się z Elaine gdzie indziej, w innym otoczeniu, chociażby w Wychwood. Wyobraziła sobie, jak Elaine wygodnie zasiada z filiżanką herbaty w kuchni Holly House. A może mogłaby za nią pobiec i wziąć jej adres? Nie.

Ulga Elaine z powodu odjazdu była widoczna. Niech zatem nieszczęsna kobieta umyka bez przeszkód.

- Strasznie głupia baba - rzekła Sophia do otaczających ją gości. - Pijcie do dna. Butelek jest mnóstwo. Wyśmienity szampan, prawda?

- O, tak - zapewnili ją - doskonały.

- Jest też jedzenie - powiedziała Magda, stojąc przy zlewie i myjąc kieliszki.

- Właśnie - przytaknęła głośno Sophia, przechodząc do holu. - Na stole w jadalni.

Myśl o Wychwood i własnej kuchni, w której tak dobrze się czuje, zasmuciła Tessę. W żołądku poczuła ucisk, jakby z głodu. A może to tęsknota za domem? - zastanawiała się, gdy ból przeniknął do serca. Otworzyła usta, z których wydobył się szloch. Doszła do wniosku, że powodem tego jest brak powietrza i pomyślała, czy by nie wymknąć się do ogrodu. Tymczasem do kuchni powrócił Howard.

- Obawiam się, że śmierć Colina jest ciężkim przejściem dla Sophii. - Obdarzył Magdę najuprzejmiejszym z uśmiechów. - Czy mogę poprosić panią o szklanek wody? - zapytał, a gdy odparła: „Jasne” i wzruszywszy ramionami wręczyła mu pełną szklanek, odwzajemnił się określeniami: „Wyborna”, a także „Niezwykle orzeźwiająca”. Następnie odwrócił się do Tessy, która uśmiechała się doń znad wysokiego, smukłego kieliszka. - Udajmy się zatem do jadalni - oświadczył.

Tessa stwierdziła, że ucisk w żołądku nie był spowodowany głodem. Bez entuzjazmu zjadła vol - au - vent z grzybami i schrupała krakersa posmarowanego masłem.

- Kawior, moja kochana, jest najlepszy. To się nazywa uroczystość, czyż nie? - Sophia poczerwieniała na twarzy. Jej dekolt, drżący z podniecenia przy każdym okrzyku czy geście, ociekał potem.

Do diabła z jedzeniem, pomyślała Tessa, chodzi o to, żeby się zalać. Gdy opróżniła kieliszek, czuła, że wszystko układa się w spójną całość. Napięcie i kłopoty ostatnich miesięcy zyskały właściwe proporcje. Takie jest życie, kochana, i o to chodzi, powiedziała sobie

przylączając się do gromadki gości, stłoczonej wokół stołu z szampanem.

Viv, sącząca już z nowo napełnionego kieliszka, odsunęła się od stołu. Była w towarzystwie amerykańskiego rodaka, którego słuchała z wyrazem niedowierzania, co - na wyczucie Tessy - nie wróżyło dobrze.

- Co to znaczy „bojownicy o wolność”? - nagle zapytała z szyderstwem w głosie, niemal przygważdżając mężczyznę do ściany. - Jesteś z CIA, czy co?

Tessa odwróciła wzrok.

- Sophia wspaniale się trzyma - zagadnęła stojącą obok kobietę

- Prawda? - z entuzjazmem potwierdziła rozmówczyni.

- Musiała się strasznie napracować.

- O tak, niewątpliwie. - Tessa patrzyła, jak butelka szampana wędruje po pokoju. Zaniepokojona, że może zabraknąć dla niej alkoholu, zaczęła gwałtownie się przepychać. Wyciągnąwszy rękę zdołała wyprzedzić sąsiadkę. Została nagrodzona: trzymała w dłoni chłodny, napełniony kieliszek. Przytknęła wargi do chłodnego szkła, na języku czuła igielki, a w żołądku rozplywające się przyjemne ciepło. Odwróciwszy się wpadła na Nicka.

- Jak się masz, kochanie. Powiedz mi, kiedy będziesz miał dosyć.

Skrzywił się, jakby powiedziała coś niestosownego.

- Dosyć? Dopiero przyszliśmy.

Skarcona (ale w końcu do czego w domu się śpieszyć?) powędrowała do saloniku. Było tu gwarno, lecz mimo pozornej swobody czuło się napięcie. Tessa rozejrzała się wokół. Miała wrażenie, że niknie, podczas gdy wszyscy inni olbrzymieli. Głosy rozmawiających wokół gości dudniły jej w uszach, rozsadzając czaszkę.

- Przynajmniej wicekanclerz zjawił się na ceremonii.

- Przyjechał z nami tutaj, ale nie na długo. Ma zebranie o szóstej. Miło sobie pogadali ze Sternem.

- Zdaje się, że Delzine przedstawił go Amery'emu. Niestety, Sophia wtrąciła się i wszystko zepsuła - prawdopodobnie przyśpieszyła jego odjazd. Ale jedno można jej zapisać na plus - ten szampan. Niezły trunek, nie uważasz, Brian?

- Brakuje mu głębi Guinnessa, ale ujdzie.

- Naturalnie wicekanclerz mówił o wakacie na wydziale ekonomii. Tamta katedra już od miesiący nie ma kierownika.

- I raczej nie zostanie obsadzona. Czym oni się zajmują? Trzecim światem. Nie, nie, nasz przypadek jest bezdyskusyjny. Nie zapominajmy, że mówimy o fotelu akademickim, który zajmował Colin Petchel.

W salonie pojawił się Howard i nie zdoławszy zyskać należnego swej osobie zainteresowania, postanowił sam zwrócić na siebie uwagę zebranych.

- Dziś fotel ten świeci pustką - rzekł kaznodziejskim tonem, kiwając głową z powagą mędrca.

Idąc za jego wzrokiem spojrzeli w kierunku kominka, gdzie stał fotel Golina z wysokim oparciem. Zamilkli, zażenowani tak ożywioną dyskusją na temat foteli akademickich, podczas gdy fotel, którego widok chwycił za serce, nie zwrócił dotąd ich uwagi. David Yardley - młody, przebojowy pracownik wydziału, który za punkt honoru uważał demonstrowanie przy każdej możliwej okazji, jak dalece starsi koledzy nie robią na nim wrażenia - natychmiast w nim zasiadł.

- Ostatni raz widziałem siedzącego w nim Colina ...

- zaczął, lecz nie zdołał dokończyć.

- Ty, w tym fotelu! - wrzasnęła Sophia, roztrącając gości na boki, by go dopaść. - Wynoś się! Nie masz najmniejszego prawa tu siadać - oznajmiła wściekła.

- Wierzycie temu człowiekowi? W nocy przed operacją Colina wkręcił się do jego pokoju i zażądał wydania o sobie opinii!

- Sophio - protestował David, cofając się z uniesionymi rękoma - zrozum, proszę ... Colin nalegał, bym starał się o tę posadę. Bardzo mu na tym zależało. Powiedział, żebym napisał cokolwiek, a on się pod tym podpisze.

Sophia odrzuciła głowę do tyłu.

- Wy wszyscy jesteście chorzy! - ryknęła. - „Przeczytaj moją rozprawę, Colinie”, „Wystaw mi opinię, Colinie”, „Szepnij słówko w sprawie wydziału takiemu to a takiemu, Colinie” - i tak ciągle, przez cały czas jego choroby aż do śmierci.

- Ależ Sophio, wszyscy jesteśmy przyjaciółmi Colina.

Nie zauważyli kotki Colina, która kręciła się między nimi, po czym wskoczyła na jego fotel i zwinęła się tam w kłębek. Spostrzegła

to jedynie Tessa, lecz ów widok przygnębiał ją, toteż odwróciła się i wyszła z pokoju.

Uczucie mglistej zaledwie własnej egzystencji całkowicie opanowało umysł Tessy i nurtowało ją przez cały czas. Mnóstwo ludzi. Przez chwilę krążyła między nimi, póki jedna z pracownic wydziału, którą słabo sobie przypominała, nie zaczęła jej wypytywać.

- Nad czym pani teraz pracuje, pani Brierley?

Tessa zdołała wypowiedzieć kilka oklepanych frazesów, a gdy uwaga rozmówczyni zwróciła się w inną stronę, dołączyła do stojącej obok grupki gości, usiłując wzbudzić w sobie zainteresowanie. Nagle usłyszała słowa: „Daj mi parę dni. Jeszcze tylko parę dni i usunę zaległości” - mówił ktoś obok niej. Z jakiegoś powodu słowa te wywołały w niej panikę. Odwróciła się, jakby coś sobie przypominając, i zdecydowanym krokiem pomaszerowała do jadalni. Tu zatrzymała się, zbита z tropu. Starzec, wzbudzający taki respekt, siedział na kanapie pod wykuszowym oknem, otoczony gronem wniebowziętych słuchaczy. Śmiał się tak piskliwie, że Tessę bolały uszy. Może jednak by coś zjadła. Przynajmniej byłoby to jakieś zajęcie. Przypatrując się resztkom jedzenia, w poszukiwaniu znośnego kaska, wybrała odrobinę mrożonej leguminy. A więc to by było na tyle, pomyślała, gdy już zjadła i potarła jedną o drugą lepkie ręce, by je oczyścić i strzepać okruszki. Bez celu rozglądała się dookoła. Na stoliku z trunkami, z otwartej i poniechanej butelki szampana cicho uchodziły bąbelki. Niemal z litości podeszła ku niej i zgubiwszy własny kieliszek znalazła inny, po czym zaczęła do niego nalewać, cierpliwie czekając, aż opadnie piana, nim naleje następną porcję. W istocie jest to całkiem nieszkodliwy napój, który - na ile mogła się zorientować - nie wywoływał u niej żadnych skutków i równie dobrze mógłby być szczególnie smakowitą lemoniadą. Tessa poczuła jednak zmęczenie i postanowiła przysiąść na krześle w jadalni.

Viv, która z ożywieniem tłumaczyła coś grupie gości w holu, zobaczyła Tessę i skinęła na nią.

- Tesso, chodź tu - poleciła. - Powiedz im. Przecież jesteś artystką. Zarabiasz na tym pieniądze. Proszę cię, Tesso, powiedz im.

Niestety nie wyjaśniło się, co miała powiedzieć, gdyż Viv prawie nie przestawała mówić, a inni byli zbyt rozgorączkowani i wojowniczo nastawieni, by ustąpić. Tessa uśmiechała się i sączyła swój trunek.

- Pani jest oczywiście Tessą Brierley - usłyszała głos z prawej strony.

Gdy się odwróciła, zatłoczony hol zawirował jej trochę przed oczyma, a korowód twarzy przesuwiał się wokół niej, jakby była w środku, a oni na skraju karuzeli. W końcu przedostała się doń. Nareszcie! - to mężczyzna o zdumiewająco niebieskich oczach. Przyglądając mu się z bliska stwierdziła, że ich błękit jest rzeczywiście bardzo intensywny, że ma też czarne rzęsy i brwi oraz czarne kędzierzawe włosy (co prawda nieco rzednące). Takie szokujące połączenie: niebieski z czarnym. Kiedy poczyniła owo spostrzeżenie, wiedziała, że nie jest to myśl nowa, gdyż nurtowała ją już wcześniej (jak stała przed obrazem olejnym, przedstawiającym wyłącznie plamy błękitu, przemieszanego w mniejszym lub większym stopniu z czernią, składające się na omroczony nocą widok domów towarowych - hipnotyczny, absorbujący, pełen napięcia). Gdy go sobie przypominała, mężczyzna ciągnął:

- To ty namalowałaś portret Colina, prawda? Ten, który wisi w jego gabinecie na uczelni. Nazwał go „Colin i kicia”. Bardzo zabawny, uroczy obraz.

- Pamiętam cię! - wykrzyknęła Tessa, czując jak poszczególne składniki otoczenia tracą swą ostrość i zacierają się. - Byliśmy kiedyś razem na obiedzie. Ben ...

- Goodwin. Byłem w Birkbeck razem z Colinem i Rogerem.

- Tak, Ben Goodwin - zgodziła się, wyraźnie zadowolona, że odświeżył jej pamięć. - Byłeś z Julie...

- To stara historia.

Dlaczego, zastanawiała się, jego ręce zwisają bezwładnie, skoro wszyscy dookoła trzymają w dłoniach talerze bądź kieliszki? Wygląda tak smutno i obco.

- Napij się tego co ja - zaproponowała, wyciągając swój kieliszek. - Na stole jest otwarta butelka.

- Zbierałem się właśnie na pociąg do Londynu.

- Ależ nie ma mowy. Pociągi do Londynu odchodzą przecież co chwila.

Roześmiał się i przez chwilę odwzajemniał jej badawcze spojrzenie.

- Racja. Pozwól, że napełnię twój kieliszek. Nie odchodź.

Ben oddalił się na chwilę. Tessa słaniała się na nogach. W pustce, którą po sobie zostawił, nie było nic, na czym mogłaby się skoncentrować. Jego powrót sprawił jej ulgę. Namaluję go, postanowiła, a pomysł ten zrodził się pod wpływem tkliwego impulsu. Wdzięczności? Podziwu? Nie, czegoś więcej - tęsknoty, nieomal miłości. Wypiła z podnieceniem, po czym zaczęła wpatrywać się w pewne szczegóły jego twarzy i notować je w pamięci: wachlarze zmarszczek w kącikach oczu, żyłki na policzkach jak nitki malinowego koloru, pogodny wyraz ust. Mówił bez przerwy. Jak to cudownie spotkać wreszcie kogoś, z kim zupełnie swobodnie można by porozmawiać o Colinie. Czas się rozciągnął. Teraźniejszość dominowała z wielką siłą, przedtem i potem stało się mgliście nierzeczywiste. Miała uczucie, jakby przegadała z nim pół życia. Wtem nagle poruszenie w tłumie pchnęło ich ku sobie. Położył rękę na jej ramieniu. Tam już pozostała. Teraz już nie rozmawiali, lecz śmiali się, czując swe oddechy. Ogarnęło ją drżenie, zakłuły tajemne, promieniujące energią igiełki. To właśnie ujarzmiło Nicka i Maddy, pomyślała.

- O Boże, gdyby tylko ... - zaczęła, po czym na poły osłupiała, próbując usunąć obraz mężczyzny, który zdawał się wypełniać cały jej świat, zakryła oczy dłonią.

- Gdyby tylko? - Odstawił kieliszek. Jego dłoń, spoczywająca na ramieniu Tessy, z wolna przesuwała się na środek jej pleców. - Co chciałaś powiedzieć, Tesso?

Obracając się i rozglądając dookoła zaczerpnęła powietrza, a jej piersi uniosły się i otarły o jego ramię.

- Gdybyśmy tylko mogli dokądś pójść - wymamrotała pośpiesznie.

Zamyślił się.

- Wszyscy są tacy rozgorączkowani, że może nikt nic nie zauważy. Gdybyśmy teraz chyłkiem przedostali się na schody...

- I poszli na górę? - dokończyła Tessa. Wyobraziwszy sobie tę scenę wybuchnęła śmiechem. - Lepiej będzie trzymać się za ręce czy też schylić się i przebiec? Musieliby być rzeczywiście rozgorączkowani, żeby tego nie widzieć.

- Och, Tesso.

- Och ... Ben. - (W samą porę przypomniała sobie, jak ma na imię).

Palce, wędrujące wzdłuż pleców Tessy, dodały jej energii.

- Jest jeszcze gabinet - wybełkotała. - Który dziś, zdaje się, stanowi strefę zakazaną.

- Tak?

- Na końcu korytarza, za rogiem. Ludzi jest tam niewielu. Może gdybyśmy przeszli zupełnie obojętnie, moglibyśmy ... - Szybkim ruchem - pragnąc dowiedzieć się, jakie to uczucie - musnęła ustami jego wargi.

- Chodź! - powiedział zdecydowanym tonem. Wziął od niej pusty kieliszek i postawił obok swojego.

Jak we śnie odwróciła się, by wskazać mu drogę. Przytrzymała rękę na jego dłoni, spoczywającej na jej biodrze, po czym chyłkiem przemknęła do przodu, skręciła za rogiem, wreszcie dotarła na miejsce. Odwróćni plecami do drzwi gabinetu uważnie spojrzeli w korytarz. Tessa położyła dłoń na klamce.

- Gotowa? - wyszeptał.

Nacisnęła klamkę i tyłem weszła do środka. Pośpiesznie wsunął się za nią, zamknął drzwi, przyciągnął ją do siebie i przycisnął wargi do jej ust.

Zbyt późno uświadomiła sobie, że pokój jest oświetlony.

- Sekundę - wyszeptała, usiłując obrócić się w jego ramionach.

Źródłem światła, jak się zorientowała, była lampa stojąca koło kominka, przy którym klęczał Nick, sięgając papiery z dolnej półki szafki ustawionej we wnęce. Wtem drzwi otworzyły się i na progu stanęła Sophia.

- Złodziej! - krzyknęła, zapalając główne światło i rzutem oka oceniając sytuację. - Patrzcie wszyscy! Złapałam złodzieja! - Wybiegła naprzód i schwyciła papiery. - Na gorącym uczynku! Z niej, z jego żony, nie spuszczałam oka, odkąd zobaczyłam, jak przemyka się ukradkiem przez hol. (Przy tych słowach Tessa oparła się o ścianę i zamknęła oczy, Ben spojrzął na zegarek i cichcem zaczął się wycofywać, a Nick zrobił parę kroków w kierunku Tessy). - Miała pecha, bo jej mąż już tu był i szperał w moich rzeczach. To złodziej. A ona jest dziwką - zakończyła triumfalnie Sophia, określwszy Brierleyów krótko i precyzyjnie.

- Posłuchaj, Sophio - rzekł niepewnie Nick - te papiery są własnością wydziału. Colin powiedział mi, że tu je znajdę i z całą

pewnością pozwolił mi je zabrać. Gdybyś nam tak cholernie nie bruździła, nie musielibyśmy robić tych podchodów.

- Zgadza się - powiedział Jerry, wysuwając się do przodu i wyciągając rękę. - Daj nam je, Sophio. Bądź rozsądna ze względu na biednego Colina.

Sophia przycisnęła dokumenty do piersi.

- Ze względu na biednego Colina, he? - szydziła. Oczy się jej zwęziły i z powagą pokiwała głową. - Wy zawsze widzicie tylko biednego Colina i straszliwą Sophię. Dobry, miły, mądry, cudowny Colin. Szkoda, że poślubił tę wstrętą, straszliwą, cholerną jędzę. A zatem, przyjaciele - dodała (a głos jej wcale nie brzmiał przyjaźnie) - poczekajcie tu chwilę, coś wam pokażę. Małą niespodziankę.

Kroczyła posuwistym krokiem, zostawiając za sobą smugę perfum. Śledzili ją wzrokiem, zafascynowani stukającymi po schodach sandałami na wysokich obcasach, nogami w czarnych połyskujących pończochach i podrygującymi pośladkami, okrytymi jedwabiem. Gdy stracili ją z oczu, posapywania i dudnienie na górze świadczyły o jej tam obecności. (Jedynie Tessa, bezwładnie spoczywająca na krześle, Nick, który nią potrząsa i sycząc zadawał jedno i to samo pytanie, formułując je w różnoraki sposób, oraz Ben, który uciekł, by złapać pociąg do Londynu - tylko ta trójka pozostała nieświadoma aktualnych poczynań Sophii). Nie na długo pozbawieni zostali jej widoku.

- Widzicie! - krzyknęła, zatrzymując się zdyszana na małym podeście na zakręcie schodów i przyciskając do siebie wielki stos pism. - Gdy biedny dobry Colin leżał w szpitalu, próbowałam coś zrobić z tym domem. Muszę jakoś żyć. Może wynajmę pokoje. A więc sprzątałam sypialnię. Wszędzie papiery - całe pudła. A w jednym... to! - Rzuciła na ziemię kolorowe czasopisma. - Spójrzcie! Popatrzcie, jak wasz cudowny Colin lubił spędzać wolny czas. - Jeden z magazynów upadł okładką do góry, ukazując swój tytuł - „Miss Chłosty”. Straciwszy cierpliwość, Sophia gwałtownie rzuciła im pod nogi wszystko, co trzymała w rękach (w tym, jak z zapartym tchem zauważył Jerry, owe cenne i nieosiągalne papiery wydziału). - Idźcie do diabła! - ryknęła. - Pieter, wyrzuć ich! Jestem zmęczona, rzygać mi się chce, idę do łóżka. - Z tymi słowami odwróciła się i stukając obcasami po schodach zniknęła na podeście. Tym razem usłyszeli hałas zatrzaskiwanych drzwi.

Jerry szybkim ruchem pochwycił papiery wydziału. Przez chwilę nikt nie miał ochoty się odezwać: cała ta niestosowna literatura zbijała ich z tropu. Chwała Bogu, że wicekanclerz odjechał - takie uczucia przeważały, a niektórzy sami sobie zadawali pytanie, czy przez ten incydent nie pójdzie na marne kawał solidnej roboty, którą odwalili dziś po południu. Bo jeśli to się rozniesie ...

Ku powszechnej uldze Roger Delzine zgrabnie wziął sprawę w swoje ręce. Zgarnął egzemplarze „Miss Chłosty” i przerzucił je z dobrotliwym uśmiechem.

- Oczywiście - powiedział - Sophia niezbyt dokładnie zrozumiała, w czym rzecz. Nie oskarżam jej o celową próbę wprowadzenia nas w błąd, ale wszyscy państwo powinni wiedzieć, że wraz z Colinem od lat prowadziliśmy badania nad osobowością masochistyczną. - Leniwym gestem wyciągnął inny magazyn. - Tak, tak, znam to na wylot. Jest na swój sposób użyteczne. Do badań.

- Badania, aha, badania - mówili sobie nawzajem. Miękkie brzmienie tego słowa działało chłodząco na rozgorączkowane umysły, jak przyływ na rozgrzany piasek. Teraz zrozumieli. „Badanie” to wyraz ważki, budzący zaufanie, oznaczający niezależność i godny szacunku trud; wymawiali go często i za każdym powtórzeniem zyskiwali większą pewność siebie.

Niepostrzeżenie pojawił się Pieter z naręczem palt.

- Dziękuję, i dobranoc. Pani Petchel jest zmęczona.

Jerry wziął swoje palto, lecz go nie założył. Przyciskając je do piersi, pobiegł do gabinetu. Za nim, wolniejszym krokiem, podążyła Viv.

- Nick! Mam je - syknął, rozchylając nieco marynarkę, by pokazać odzyskane papiery, które przyciskał do serca. Jego zazwyczaj matowe oczy błyszczały. - Nie widziałeś niesłychanej awantury, którą wywołała Sophia. Zrzuciła ze schodów kupę śmieci, a z nimi te papiery - była chyba tak wściekła, że nie wiedziała, co robi - potem poszła do łóżka, dając mi sposobność zgarnięcia ich. Teraz się zabieram. Pomyślałem tylko, że powinieneś wiedzieć.

- To wspaniale, Jerry. Dobra robota - powiedział Nick bezdźwięcznym głosem.

Jerry odszedł, lecz Viv jeszcze się ociągała.

- Tesso, nic ci nie jest? Nick - powiedziała, odciągawszy go na bok. - Nie bądź dla niej zbyt ostry. Więcej dała z siebie Colinowi w

czasie jego choroby niż którekolwiek z nas. Nie oszczędzała się i jeszcze nie może dojść do normy - widziałeś w krematorium, jak ten dym wytrącił ją z równowagi. I jeszcze coś - wyszeptała. - Trochę sobie popiła. Jak i my wszyscy. Więc bez drak, dobrze? Zabierz ją do domu. - Pa, kochanie, zadzwonię do ciebie - podniosła głos, zwracając się do Tessy. - Och, dobranoc Roger - rzekła wpadłszy na niego w drzwiach. - Miałaś ładną przemowę.

- Dziękuję. Dobranoc.

Wyprawiwszy większość gości bezpiecznie za próg, Delzine oświadczył, że odprowadzi Brierleyów i sam również odjedzie.

- Przyniosłem nasze palta. Sophia poszła na górę nieco przemęczona. - Westchnął i przyłożył wytworną dłoń do czoła. - Obawiam się, że niejednokrotnie błędnie interpretuje sytuację. Winniśmy dołożyć wszelkich starań, by nie zdołała wyprowadzić nas z równowagi.

- Słusznie - rzekł Nick, pomagając Tessie nałożyć palto. - Uważam, że w ogóle jest cholernie męcząca. Ale trzeba przyznać, że stary Jerry wykazał się godnym podziwu refleksem.

- W istocie - przyznał Roger, gdy przechodzili do holu. - Proszę przekazać Sophii nasze najgorętsze pozdrowienia - powiedział do Pietera, który przytrzymał drzwi.

Pieter skłonił się lekko i życzył im dobrej nocy. Następnie zamknął frontowe drzwi i wrócił do saloniku.

- Chcesz coś zjeść? - spytała Magda niewyraźnie, pałaszując kawałek wędzonej kiełbasy.

- Nie, dziękuję.

Przy barku nalał sobie trochę brandy do sporego kielicha, po czym spędził kota z fotela Colina i sam objął go w posiadanie.

Na górze podłoga sypialni usłana była ubraniami. Znajdowały się wśród nich rzucone bezładnie sandały, skrecony biustonosz, zwinięta w kłębek błyszcząca suknia, stos rajstop i majtek. W łóżku, które niegdyś dzieliła z Colinem, leżała Sophia z twarzą zatopioną w poduszkę: łkała, drzemała, budziła się gwałtownie i znowu zapadała w sen.

- Słowa nie powiem o tym, że zrobiłaś ze mnie durnia przed całym wydziałem. Byli tam pewni wybitni faceci, którzy w innych okolicznościach ewentualnie mogliby okazać się dla mnie przydatni. Ani słowa na ten temat. Po prostu chcę wiedzieć... - urwał, dotarłszy

do odgałęzienia drogi, którą wyjeżdżało się na autostradę. Zerknął w lusterko i wcisnął się za ciężarówkę. - Po prostu chcę wiedzieć - powtórzył, wyjeżdżając na pas szybkiego ruchu - czybyś to z nim zrobiła?

Parsknęła, zatykając ręką usta. W jej gardle bulgotał śmiech.

- Zrobiłabyś? - ryknął, starając się na nią spojrzeć. Z twarzy biła mu wściekłość. Walił rękami o kierownicę. - Chcę wiedzieć, do cholery!

To ją do reszty wytrąciło z równowagi. Śmiała się tak strasznie, że musiała poluzować pas na obolałych żebrach.

- Och, Nick - wykrztusiła wreszcie - jesteś taki ... śmieszny.

Rozdział 30

- Proszę cię, Maddy. Zeszłego wieczoru spotkałem się z tobą, gdy chciałaś porozmawiać, więc przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić. Miałem okropne przejścia, jestem zrozpaczony. Ziemia usuwa mi się spod nóg.

- Nie teraz. Jest późno i ostatnio zbyt wiele ryzykowaliśmy. Prawdę mówiąc wolałabym, żebyś nie dzwonił.

- Musiałem - nie rozumiesz? Słuchaj, powiem ci, w czym rzecz: Tessa skompromitowała się na oczach całego wydziału.

- A co się właściwie stało?

- Przyłapałem ją z jednym facetem.

Maddy zaniemówiła.

- Nie wierzę ci. Nie Tessa.

- Owszem, Tessa.

- O Boże!

- Widzisz? Koniecznie muszę o tym porozmawiać.

- Nie dziś wieczór, Nick. Jutro. Będę skonana po kiermaszu, ale może wykroję godzinę.

- Jesteś kochana. Aha, Maddy ...

- Tak?

- Nie uważasz, że dźwięk w słuchawce jest jakiś dziwny?

- Nie zauważyłam - rzekła ostrożnie Maddy.

- W porządku. Jutro o ósmej. W tym samym miejscu co poprzednio.

- Dobrze. Dobranoc.

Odłożyli słuchawki. (W swoich pokojach Tessa i Robert zrobili to samo). Maddy, schodząc na dół, usłyszała muzykę w saloniku i z ulgą ujrzała Roberta dokładnie w takiej pozycji, w jakiej go zostawiła - usadowionego w fotelu, gdzie ołówkiem zaznaczał coś w grudniowym numerze „Gramophone”. Uniósł wzrok, gdy podeszła i stanęła przy nim.

- Chyba pójde już spać - rzekła.

- Tak wcześniej? Ach, prawda, jutro masz bardzo męczący dzień - zrobić tyle kanapek...

Maddy nie ruszyła się, po prostu dalej stała, bezmyślnie bawiąc się paskiem od spodni.

- Ciekawe, jak się miewa Tessa - powiedziała nagle. - Tessa?

- Wczoraj był pogrzeb ich przyjaciela.

- A tak.

- Może czuć się trochę przybita. Uważasz, że powinnam do niej zadzwonić?

- Na pewno będzie chciała odpocząć. A zresztą i tak obiecała jutro do ciebie przyjść.

- Masz rację - rzekła ochoczo, chwytając się tej wymówki. - Może powinnam jej powiedzieć, żeby nie zrywała się za wcześnie?

- Nie uważasz, że sama może o tym zdecydować? - spytał z figlarną miną.

- Hm. W takim razie, dobranoc, Robercie. - Szybkim ruchem pocałowała go w czoło.

- Dobranoc, kochanie.

Wróciwszy do sypialni usiadła przy toalecie. Z lustra wpatrywały się w nią szarozielone oczy. Każdy włoszek na głowie był na swoim miejscu, utrzymując kształt i nachylenie, jakie nadała mu dziś rano. Makijaż wyglądał jednak trochę nieświeżo, gromadził się bowiem w zmarszczkach wokół nosa i ust. Energicznie gimnastykowała te części twarzy, przekrzywiając je z boku na bok, po czym uważnie przyjrzała się ich odbiciu. Pod nosem padał niepokojący cień, toteż pochyliła się na bok i zapaliła małą lampkę, która błyskawicznie go zlikwidowała, nadając Maddy promienny wygląd słodkiego elfa. Twarz miała delikatną i pustą jak porcelanowa figurynka. Wyobraziła sobie rysy Tessy, wyglądającej z pozoru na istotę niebezpieczną. Jakże zwodniczy jest wygląd, pomyślała Maddy, gdyż to ja jestem niebezpieczna, w żadnym razie Tessa. A jednak gdyby okazało się, że właśnie Tessa (artystka, jak to się mówi - bohema) jest cudzołożnicą, wieś nie wzdrygnęłaby się z takim pełnym przerażenia zdumieniem, z jakim przyjęłaby podobną rewelację w odniesieniu do Maddy. Gdyby ona, Maddy, „zawsze zadbana”, „szykowna pani przewodnicząca” pozwoliła ludziom przekonać się, do czego naprawdę jest zdolna, spowodowałoby to niechybnie trzęsienie ziemi.

- Co się z tobą stało, Tesso, dzisiejszego popołudnia? - zapytała swe odbicie w lustrze.

Myśl, że jej przyjaciółka mogła „skompromitować się z facetem”, jak to ujął Nick, nie dawała jej spokoju. W czasie ich długiej i zażyłej przyjaźni nieraz rozmawiały na podobne tematy. Tessa przyznała, że parokrotnie czuła na to ochotę i miała też ku temu sposobność. „Ale kiedy wszystko przemyślałam, nie pasowało mi to do wyobrażenia,

jakie mam o sobie" - wyjaśniła. Jej słowa niesłuchanie rozbawiły Maddy. „Może za dużo przemyśliwasz" - zasugerowała. Owa skłonność do refleksji stanowiła zasadniczą różnicę między nimi. Gdy Maddy bardzo czegoś pragnęła, celowo odpędzała od siebie niewygodne myśli. Któregoś dnia, na przykład, gdy chęć posiadania spranych jedwabnych spodni i bluzy ogarnęła ją w trakcie oszczędnościowych zakupów, po prostu spuściła zasłonę na stan swojego konta. To samo było z Nickiem. Nagle poczuła, że musi go mieć i postanowiła nie myśleć o konsekwencjach. U Tessy natomiast pożądanie zawsze musiało wytrzymać próbę drobiazgowych rozważań. Gdy miała na coś ochotę (i tu Maddy przypomniała sobie reakcję Tessy na strój z firmy Anny Belindy, w którym jej było niesłuchanie do twarzy), kalkulowała i rozważała wszystkie za i przeciw. W przeciwieństwie do Maddy, Tessa potrafiła wyrzec się rzeczy, których mocno pragnęła, nie wpadając w zbytnią rozpacz (jak to miało miejsce w przypadku stroju od Anny Belindy).

Co zatem, na miłość boską, zmieniło Tessę w zuchwałą hedonistkę? Prawda, mogła czuć się przygnębiona po kremacji przyjaciela i wyczerpujących miesiącach jego choroby. Ale mimo wszystko... Myśl, że Tessa „skompromitowała się przed całym wydziałem" z jakimś mężczyzną, była dla Maddy bardziej wstrząsająca niż jakikolwiek aspekt jej własnego zachowania w ostatnich tygodniach. To właśnie świadomość, że Tessa postąpiła wbrew własnej naturze, tak nią wstrząsnęła. W każdych innych okolicznościach, gdyby Maddy dowiedziała się o czymś podobnym, natychmiast udałaby się do Holly House, lecz teraz nie mogła tak postąpić, skoro wieść o wszystkim pochodziła od Nicka. A jeśli Tessie rzeczywiście przytrafiło się coś niepokojącego, jakie to dziwne, że nie przybiegła po pociechę do Jasmine Cottage (co tak często czyniła w przeszłości na przykład gdy odkryła, że Nick ma romans z koleżanką z wydziału albo kiedy zachorowała ciotka Winifreda).

Czym prędzej zakryła twarz rękoma. Oczywiście Tessa nie przybiegła ze swymi kłopotami do Jasmine Cottage z tego prostego powodu, że to ona, Maddy, była ich przyczyną. Bzdura, powiedziała sobie, sięgając po pudełko kremu oczyszczającego. Bez wątpienia pogrzeb wyprowadził ją z równowagi. Ludzie często dostają bzika na pogrzebach - to fakt powszechnie znany. Pobiegnęła do łazienki i

obmyła twarz pod kranem, po czym zdjęła ubranie i weszła pod prysznic.

Gdy już wyszorowała się do czysta i wytarła do sucha, pozostało jej tylko wejść do schludnego łóżka. Maddy ogarnęła panika, gdyż wiedziała, że sen nie przyjdzie. Przypomniawszy sobie, że Robert trzyma gdzieś trochę pastylek nasennych, wysunęła szufladę w jego nocnym stoliku i zaczęła w niej grzebać. Z tabletką na języku pobiegła do łazienki i połknęła łyk wody; śmieszne, pomyślała, że nigdy jeszcze tego nie brałam, ani razu, mimo wszystkich przejść ostatnich tygodni.

O siódmej rano Maddy zbudziła się gwałtownie. Usiadła i spojrzała na zegarek, po czym znowu się położyła. Nie pamiętała, by kiedykolwiek rozbudziła się tak raptownie - w okamgnieniu przechodząc od snu do pełnej przytomności. Potem przypomniała sobie pastylkę nasenną i uznała, że ona jest przyczyną jej dziwnego samopoczucia. Wskoczyła z łóżka i niezwykle spieszenie zaczęła się ubierać.

- Co się tak śpieszysz? Która godzina? - bezbarwnym głosem zapytał Robert.

- Siódma.

- Przecież dziś sobota - zaprotestował po chwili.

- Dziś będzie kiermasz - rzekła, wciągając sweter przez głowę. - Och, lepiej śpij! - warknęła i zamknęła za sobą drzwi łazienki.

- Ojej, mnóstwo już zrobiłaś - rzekła Tessa. - Przepraszam, że nie przyszedłam wcześniej.

- Spodziewałam się ciebie dużo później. Musisz być wykończona.

- Co mam robić?

- Rozsmarujesz masło, a ja pastę.

- Dobrze. Ten nóż się nada?

- Tak. Masło powinno być już miękkie. Więc wczoraj wszystko przeszło spokojnie?

- Kremacja była udana, jeśli o to ci chodzi.

- Przepraszam, Tesso.

- Wybacz, to ja stałam się opryskliwa. Cieszę się, że już jest po wszystkim i tyle.

- Wyglądasz trochę mizernie.

- Naprawdę? Ty też nie sprawiasz olśniewającego wrażenia.

Maddy natychmiast pomknęła do ozdobnego lustra na końcu kuchni, co wywołało głośny śmiech Tessy.

- Właśnie tak myślałam. Miałam dziś rano trochę podpuchnięte oczy - zaczęła się tłumaczyć Maddy. - O to ci chodziło?

- Niezupełnie - odparła Tessa.

Ulicą zbliżał się traktor. Zatrzymał się przed domem.

- To człowiek od Celi Westbrook. Przywiózł mleko - krzyknęła Maddy pędząc do drzwi. - Nie tutaj! - wrzasnęła. - Po drugiej stronie. Boczne drzwi domu ludowego są otwarte.

- Powiedziała, że tutaj - rzekł mężczyzna.

- No to źle powiedziała. Chcemy, żeby je dostarczyć do kuchni domu ludowego, na co by pani Westbrook sama wpadła, gdyby się nad tym z pół sekundy zastanowiła.

- Dobra. - Podniósł bańkę z mlekiem i truchtem przebiegł z nią przez drogę.

- Identycznie postąpiła w zeszłym roku - rzekła Maddy, wracając do kuchni - a ten człowiek zostawił bańki tutaj, zanim zdążyłam go złapać i powstrzymać.

- Jak myślisz, ile bochenków powinnam pokroić?

- Och, jeszcze kilka. Teraz, kiedy przekąski na turnieju gry w wista są płatne, musimy mieć pewność, że będzie co sprzedawać. O Boże, pani Partridge idzie do nas. Jeśli tu wejdzie, nigdy się jej nie pozbedziemy. - Śmignęła do drzwi, by zatrzymać gościa w progu.

Tessa wytrwale smarowała chleb, przysłuchując się głosom dobiegającym od frontowych drzwi. Nie zauważyła, że do kuchni wszedł Robert.

- Jak się masz, Tesso.

- Witaj, Robercie - rzekła zakłopotana.

- Filizankę kawy?

- Tak, poproszę.

Nastawił czajnik, wsypał trochę płatków kukurydzianych do miseczki, z której zawsze jadł śniadanie, nalał mleka i zaczął jeść. Gdy woda w czajniku zawrzała, Robert wstał i zrobił kawę.

- Cukru? Mleka?

- Tylko mleka.

- Tesso, dobrze się czujesz? - zapytał stawiając obok niej filizankę.

Umilkła. Potem, spoglądając beznamiętnym wzrokiem na Roberta, powiedziała:

- Prawdę mówiąc mam gigantycznego kaca.

- Biedactwo. Wzięłaś coś, żeby się go pozbyć?

- Nie. Wypiłam tylko mnóstwo wody i zjadłam jedną suchą grzanekę.

- Chwileczkę. - Wyszedł i wrócił z butelką brandy. - Wleję ci trochę do kawy. - Proszę bardzo. To cię przywróci do normy. Pomoże ci przebrnąć przez ranek.

Ujrzała, że uśmiecha się przyjaźnie. Na pewno nie zacznie jej przypominać, jak mało mają czasu.

- Usiądź na parę minut i odpręż się - dodał łagodnie.

- No proszę - rzekła Maddy, gdy po powrocie stwierdziła, że próżnują. - Ładne rzeczy. A gdzie moja kawa?

- Poszła i przyniosła sobie filiżankę. - Edie Partridge przytargała bardzo apetyczne ciasto - duże, czekoladowe.

- Nie usiadła, by wypić kawę, lecz postawiła ją obok siebie na stole i bardzo energicznie zaczęła trzeć ser. Gdy już cały kawałek był starty na wiórki, odezwała się do Roberta:

- Czy nie pora, żebyś poszedł i trochę im pomógł? Trzeba poustawiać stoiska, wyładować przywiezione rzeczy. Jeszcze trochę, a zaczną padać z nóg.

Westchnął, odstawił pustą filiżankę i wyszedł, zostawiając je pogrążone w pracy.

Była za dziesięć trzecia. Tessa, siedząc w kuchni domu ludowego, spojrzała na zegar na ścianie i pomyślała, że czas stanął w miejscu. Na ladach przy ścianach poustawiano talerze pełne kanapek i różnego rodzaju ciast - dwa talerze kanapek z serem i ostrym sosem korzennym, dwa z szynką, dwa z jajkiem i rzeżuchą i dwa z przysmakiem Wychwood

- fałszywym krabem; dalej talerze ciasta czekoladowego, kawowego, rolady z daktylami i orzechami włoskimi, trójkątne placuszki z jęczmiennej mąki i kruche ciasteczka, a wszystko to owinięte folią. Na podłodze pod ladami stały kosze z dalszymi zapasami. Filiżanki i spodeczki ustawiono pod wewnętrznym oknem do kuchni, razem z cukiernicami, dzbankami mleka, plastikowymi łyżeczkami do herbaty, stosami papierowych serwetek. Za Tessą, na

maszynce spirytusowej, podgrzewała się z szumem kawa w olbrzymim dzbanku.

Po tylu godzinach przygotowywania kanapek, bieganiny tu i tam, po symbolicznym lunchu i ciągłych okrzykach: „Doprawdy wspaniała pasta, pani Tustin!”, „Ach, pani Meers, ależ smakowicie wygląda to ciasto!” - z niecierpliwością wyczekiwała oficjalnego otwarcia kiermaszu, którego miał dokonać proboszcz. Obawiała się jednak, że ten moment nigdy nie nadejdzie - zbyt długo go wyglądano, zbyt starannie poczyniono do niego przygotowania. Kuchnia, jej zawartość i sama Tessa po prostu zastygły w niemym oczekiwaniu.

Otworzyły się drzwi i wkroczyła Maddy, mająca na sobie błękitny kombinezon i satynową złotą bluzkę. (Tessa nie przebrała się. Zapobiegła temu jej znajomość rzeczy

- nim zostanie podana ostatnia herbata, ubranie obsługi będzie nosić liczne ślady popołudniowego zajęcia; o wiele lepiej, rozumowała, zostać w starych dżinsach, które łatwo uprać, i znoszonej koszuli syna).

- Chyba wszystko gotowe - zameldowała Maddy.

- A co z dzbanem do podgrzewania kawy? Mam nadzieję, że dziś po południu ten drań będzie działał jak należy.

Trzymając filiżankę pod dziobkiem odkręciła kurek i dzban zasyczał ostrzegawczo jak wąż, który zaraz straci cierpliwość. Tessa postanowiła trzymać się od niego z daleka.

- Dolly! Już późno. Jesteś gotowa?

- Prawie. Szukam chustki na głowę.

Rose weszła drzwiami od tyłu. (Mimo iż Arthur był w szpitalu, ona i Dolly z przyzwyczajenia nadal pomijały frontowe wejście). Zajrzała do saloniku i zastała tam Dolly, grzebiącą w szufladzie. Ujrawszy przyjaciółkę Rose wyciągnęła rękę i dotknęła swoich włosów. Jej trwała była sztywna niczym tektura falista.

- Za bardzo szalejesz ze szczotką, Dolly, w tym kłopot. Ale i tak jest lepiej niż było.

- Tu jest . - krzyknęła Dolly, wyciągając spomiędzy płataniny starych listów i włóczki kłębek różowego nylonu. Strzepała go i starannie założyła na głowę. - Zdejmę, jak tylko dotrzemy na miejsce.

- W szpitalu wszystko w porządku? - spytała ostrożnie Rose.

- Nie byłam długo. Powiedziałam Barry'emu, że muszę wrócić do domu na drugą. U Arthura po staremu. Ciągłe ma rurkę w ustach. Wygląda koszmarnie.

- Nie wiem, czemu jej nie wyjmą i nie zakończą jego męczarni. - (I naszej też, pomyślała Rose, ale tego nie powiedziała). - No to idziesz? Jak teraz wyjdziemy, akurat zdążymy na czas. Ktoś już uciszy proboszcza i wydawanie przekąsek będzie szło na całego. Chcę mieć pewność, że przygotowały ile trzeba dla nas na wieczór. Aha, Dolly, nie trzaskaj dziobem w sprawie poczęstunku. Cokolwiek powiedzą, udawaj głupią. - Roześmiała się chrapliwie. - To dla ciebie żaden problem, masz dużą wprawę.

Poszły gęsiego ogrodową ścieżką.

- Brr. Ale zimno, co? - zagadnęła Dolly.

- Hm - mruknęła Rose, tak spięta, że pytanie do niej nie dotarło.

Przebiegła myślą wszystko, co musi zrobić: kupić prezenty dla wnucząt, sprawdzić, czy kobiety podające przekąski zostawiły dość jedzenia, żeby starczyło na wieczorny poczęstunek, a jednocześnie pilnować się, by nic nie wspomnieć o opłatach. Gdyby jednak doszło do najgorszego i ktoś poruszyłby tę kwestię, cóż, uda wstrząśniętą i zdumioną. Ma przewagę. Wie bowiem, co się szykuje, oni zaś - biedni głupcy - myślą, że ustąpiła jak baranek.

Eleanor zadawała sobie wiele trudu, by z każdym zamienić choć słówko. „Pamiętaj, żebyś ze wszystkimi porozmawiał” - napominała brata po drodze do domu ludowego, gdyż Timothy zdradzał chętkę do odprężenia się i miłego spędzenia czasu, zapominając o głównym celu. Timothy otworzył kiermasz uroczystą mową, stając się od razu ozdobą zgromadzenia. Eleanor zdziwiłaby się, gdyby było inaczej. Teraz zaś żartował sobie jak gdyby nigdy nic z grupką mężczyzn. Pochwyciwszy jej spojrzenie niebawem odszedł, by dobrodusznie podroczyć się z kobietą, obsługującą najbliższe stoisko, a następnie dołączył do kolejki przed beczką z prezentami i rozbawił dzieci do łez. I, naturalnie, z entuzjazmem pochłonie podwieczorek, pomyślała Eleanor. Wiedziała już, że poważniejsze rozmowy z każdym z przybyłych spadają wyłącznie na jej barki. Wędrowała zatem od stoiska do stoiska - jak czyniły to niegdyś jej matka i ciotka - jedną rzecz chwając, poświęcając chwilę zadumy innej, usiłując przypomnieć sobie szczegóły z życia prywatnego, o które możnaby zagadnąć. Prócz wypełniania obowiązków względem obsługujących

stoiska, trzeba było przywitać mnóstwo kłębiących się w hallu pojedynczych gości, z których niejeden pragnął odciągnąć ją na bok. Lecz Eleanor ani przez chwilę nie zapomniała, jakie stoi przed nią zadanie. Trzymając rękę na pulsie, gdy tylko udało jej się zakończyć pogaduszki z przypadkowym rozmówcą, wracała do głównego nurtu swych zajęć - tak jak teraz do rozmowy z Sarah i Richardem Grace, którzy z pomocą córki Pippy obsługiwali jedno ze stoisk, nazwane kramem z rzeczami prawie nowymi.

Stoisko Grace'ów w istocie oferowało nieco przedmiotów o wartości antykwarycznej. Eleanor wyraziła podziw dla kilku wystawionych tam eksponatów, lecz nic nie kupiła. (Zakup w jednym stoisku wymagałby kupienia czegoś w każdym, a na to nie pozwalał budżet Probostwa).

- Bardzo podobało mi się twoje solo na flecie w czasie szkolnego koncertu, Pippo - rzekła. - Powiedziałam potem proboszczowi: „Musimy poprosić Pippę, by zagrała na Festiwalu Dziewięciu Kolęd. Myślisz, że mogłabyś wykonać „W żłobie leży?”

Pippa zarumieniła się, natomiast jej matka nie posiadała się wprost z zadowolenia.

- Ależ z wielką chęcią, prawda, kochanie? - oświadczyła pani Grace.

- Spójrzcie! To by się mamie spodobało - rzekł Roy Peck, pokazując na szpilkę do krawata, ozdobioną końskim łbem.

- O, witaj, Roy! - zawołała Eleanor. - Alice i Melanie, jak się macie? Wszystko dobrze?

- Powiedzcie „dzień dobry” pannie Browne - nalegał Roy. - Szukają prezentu dla Phoebe. Później pojedziemy ją odwiedzić. Mogę to obejrzeć? - spytał wskazując na szpilkę.

Richard podał mu srebrny drobiażdżek. Dziewczynki przyjrzały mu się z uwagą.

- Ładne?

Z powagą skinęły głowami.

- Dobrze, bierzemy to. - Sięgnął do tylnej kieszeni. - Ile?

- Wyceniliśmy ją na dziesięć funtów, Roy. Spójrz, ma próbę. Ale skoro to dla Phoebe ...

- Nie, nie, dziesiątak może być. Mama jest tego warta, nie uważacie, dziewczynki?

- Jak się czuje Phoebe? - spytała Eleanor.

- Wraca do siebie, dziękuję. Na Boże Narodzenie powinna być w domu.

- Tak się cieszę. Pozdrówcie ją ode mnie. Phoebe na pewno będzie zachwycona prezentem.

Pani Davenport, która z błogim uśmiechem przypatrywała się tej scenie, odciągnęła na bok swą przyjaciółkę, panią Wilkins.

- Słyszałaś coś podobnego? Tylko dziesiątka za cechowaną srebrną broszkę! I chcieli wziąć jeszcze mniej. Zawsze mówiłam: prędzej umrą, niż powiedzą przyzwoitą cenę.

- Wiem, raczej oddadzą towar za darmo. Ciasto, które zrobiłam na letnią fetę - sześć jajek, pół funta masła, nie mówiąc o prądzie - wycenili zaledwie na trzy i pół funta! Powiedziałam im, że to za mało. „Och, nie możemy żądać sklepowych cen, pani Wilkins” - bronili się. „A dlaczego to? - spytałam. Domowe zawsze lepsze niż kupne. Moglibyście doliczyć premię”.

- Masz rację. Ale tak to jest w tej wiosce.

Tłum członkiń Klubu Kobiet zgromadził się przed stoiskiem z zabawkami.

- Widziałaś lalki pani Fettle? - spytała pani Burrows zwracając się do Brendy Varney. - Spójrz na tę czerwoną. No dalej, podnieś ją - namawiała uważnie wypatrując, czy przypadkiem nie zjawi się niespodziewanie pani przewodnicząca.

- Och! - jęknęła Brenda ze złośliwym błyskiem w oku. - Hej, Pam, rzuć tylko na to okiem!

Niebawem spora gromadka pań pchała się, by zerknąć na lalkę. Chichotały na widok jej zbyt szerokich spodni, wysuwały przypuszczenia co do powodów zbolącej miny kukiełki.

- Szybko, idzie proboszcz - syknęła pani Burrows i lalkę wsunęła z powrotem między inne.

Rose i Dolly dotarły do okienka, gdzie wydawano przekąski. Rose z zadowoleniem stwierdziła, że zajmuje się tym pani Brierley, pani przewodnicząca natomiast znajduje się na tyłach kuchni, gdzie walczy z parującym dzbankiem.

- Do diabła! - wrzasnęła Maddy.

- Słucham? - skomentowała jej słowa Rose, unosząc brwi, po czym zwróciła się do Tessy: - Macie tu duży wybór, kochana. Ani chybi zostanie dla nas mnóstwo na wieczór.

- Starczyłoby dla całej armii.

- No, no, kochana, to miło. Poproszę dwie filiżanki herbaty. I co jeszcze byś chciała, Dolly? Fałszywego kraba, jajko i rzeżuchę? Dwa razy proszę. A może ciasto?

- Czy są takie ciasteczka z wisienkami, jakie były w zeszłym roku? - spytała Dolly.

Tessa rozejrzała się.

- Nie jestem pewna. Chodzi pani o te?

- Nie, tamte były okrągłe. O, te smakowicie wyglądają. Czy są dobre?

- A skąd pani Brierley ma wiedzieć? - krzyknęła Rose.

- Chcesz takie czy nie?

- Mogą być.

- Dwa? - spytała Tessa. - Razem będzie funt dwadzieścia, pani Fettle.

- Funt dwadzieścia! - na cały głos powtórzyła Rose.

- Cieszę się, że dziś wieczorem nie będziemy musieli tyle płacić.

W kuchni zapanowała chwilowa cisza.

- Wiesz, Maddy, chyba źle oceniłaś panią Fettle - odezwała się Tessa. Przed chwilą, kiedy kupowała kanapki i ciastka, była niezwykle uprzejma. Zapytała, czy wystarczy wszystkiego na wieczór.

- To miło - rzekła, gdy ją uspokoiłam.

- Naprawdę? - powiedziała Maddy w zamyśleniu, niosąc świeżo napełniony czajnik. Słowa Rose wydały jej się nieco dziwne w świetle proponowanych opłat. Odwiązała fartuszek. - Wracam za sekundę - rzuciła w biegu.

Proboszcz przypatrywał się Kenowi Tustinowi, zagłębiającemu rękę w beczce z prezentami.

- Przepraszam, panie Tustin - rzekła Maddy. - Mogę zamienić z panem słówko? Gdy rozmawiał pan z panią Fettle, czy jasno postawił pan sprawę, że poczęstunek w czasie turnieju wista będzie płatny?

Ken potrząsnął swą nagrodą i zdmuchnął z niej trochę trocin.

- No więc tak czy nie? - krzyknęła Maddy. Proboszcz sprawiał wrażenie zatroskanego, pan Bultitude gapił się z otwartymi ustami, a parę osób podeszło bliżej, chcąc dowiedzieć się w czym rzecz.

- Czy moglibyśmy omówić to w kuchni? - zaproponował Ken, gestem zapraszając ją, by poszła pierwsza.

Maddy była wściekła.

- A więc? - spytała, zamykając drzwi od kuchni.

- Proszę o jasną odpowiedź. Czy pan w ogóle z nią rozmawiał?

Ken pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu fajki.

- Napisałem do niej - powiedział w końcu i włożył fajkę do ust. -
A czy zrozumiała w czym rzecz, trudno mi powiedzieć.

Zaległa cisza.

- Poproszę dwie herbaty - zawołała Edie Partridge przez okienko.

Tessa - która stała odwrócona do okienka plecami, słuchając toczącej się w kuchni dyskusji - obróciła się, lecz nim zdołała sięgnąć ręką do czajnika, Maddy przybiegła i zatrzasnęła drzwiczki.

- Przepraszamy, zamknięte - warknęła przez szparę.

- Maddy! - zaprotestowała Tessa.

- Słyszałaś go. - Rzuciła pogardliwe spojrzenie na Kena. - I wiesz, co ci powiem? Raczej zapłacę za to całe cholerne żarcie, niż pozwolę się wykiwać tej sprytniej wiedźmie. - Chwyliła koszyk i zaczęła upychać w nim prowianty.

- Maddy, co ty wyprawiasz?

- Pakuję jedzenie. Potem podliczę, ile to wszystko warte i cisnę im forszę.

- Nie możesz. Ludzie na sali chcą coś zjeść. Maddy oderwała kawałek folii.

- Trudno - odparła, owijając nią talerz kanapek.

- Ken Tustin może się pożegnać z przekąskami.

Otworzyły się drzwi i zajrzał proboszcz.

- Czy coś się stało? - spytał.

Ken wskazał mu gestem, by pozostał na zewnątrz, po czym wyszedł i udał się z proboszczem na naradę.

Tessa obserwowała miotającą się po kuchni Maddy. W rogu stało jedno krzesło. Usiadła na nim zmęczona.

- Chcesz trochę ciasteczek? - dopytywała się Maddy. - Niektóre dadzą się zamrozić. Na przykład ten czekoladowy biszkopt. - Odwróciła się, ssąc umazany czekoladą palec. - No, chcesz?

Tessa patrzyła zafascynowana, jak zaróżowiona na twarzy i ciągle jeszcze perorująca chwyta za nóż i zręcznie kroi tort na pół.

- Ja go zrobiłam, więc daję ci połowę, dobrze? Ale co, do diabła, począć z tymi wszystkimi kanapkami? Jakoś nie widzę Roberta zjadającego się fałszywym krabem. Tak czy tak, zawinę je. Byle tylko ta wiedźma ich nie dostała. Nabiegałyśmy się koło nich,

naharowałyśmy i Rose Fettle nie będzie dzięki nam odgrywać roli dobrej pani.

Rose, która straciła Dolly z oczu, wytropiła ją, gdy ta wracała od stoiska z zabawkami pani Burrows. - Chyba tego nie kupiłaś! - krzyknęła, widząc Dolly z lalką przedstawiającą Maddy Storr.

- Myślałam, że będzie ładnie wyglądać u mnie na kominku - powiedziała Dolly z zawstydzoną miną. - I pośmiejemy się.

- Ty tępoto! Dałabym ci ją, gdybyś mi tylko powiedziała. Ile od ciebie wzięła? - spytała, lecz nie czekała już na odpowiedź. Gdy ujrzała, że zbliżają się do niej Ken Tustin z proboszczem, ogarnęło ją straszne przeczucie.

- Pani Fettle, hm, możemy prosić na słówko? - powiedział Ken, biorąc ją pod ramię.

Rose uwolniła się z jego uścisku i uchwyciła się ramienia przyjaciółki, szukając u niej oparcia.

- Przejdźmy tutaj, jeśli pani pozwoli. Rose dała się odprowadzić na bok.

- Przypomina sobie pani mój liścik, w którym dokładnie omówiłem sprawę opłat za poczęstunek?

- Pański liścik? Żadnego listu nie dostałam. I nie wiem nic o pobieraniu opłat za poczęstunek! - wykrzyknęła. - Zawsze był darmowy. Gdybyśmy z panią Cloomb wiedziały, że chce pan za niego brać pieniądze, powiedziałybyśmy z miejsca, iż nie ma pan co na nas liczyć. Bo to wbrew naszym zasadom, czyż nie, Dolly? Nie mogłybyśmy zrobić czegoś podobnego - patrzeć jak biedni, starsi ludzie odmawiają sobie wszystkiego, podczas gdy jest tyle resztek. Będzie pan musiał znaleźć sobie kogoś innego, kogoś o twardym sercu. - Po tych słowach stojąca obok Dolly zaczęła pochlipywać. Rose zniżyła głos i dodała: - Panie Tustin, nie spodziewałam się, że może pan tak zdenerwować Dolly. Jakby nie było, jej mąż jest w szpitalu i może w każdej chwili umrzeć.

- Pani Cloomb, najmocniej przepraszam, naprawdę nie chciałbym przysparzać pani trosk. Cóż, pani Fettle, wiem, jak ludzie wyglądają podobnych uroczystości... Obie panie w ostatnich latach wprowadziłyście na nasze bożonarodzeniowe turnieje prawdziwie świętecznego ducha. Chodzi tylko o to, że... O Boże, księżę proboszczu, to drażliwa sprawa.

- Ot, mamy dylemat - rzekł Timothy. - Czy mogę coś zaproponować?

- Ależ tak, bardzo proszę.

- Przekonajmy się, czy dobrze zrozumiałem w czym rzecz. Jak sądzę, na turniejach gry w wista pobierana jest opłata wstępu?

- Tak. Płaci się przy drzwiach.

- I tradycyjnie podczas turnieju podawany jest poczęstunek?

- Zgadza się.

- W takim razie można uznać, że opłata za poczęstunek wliczona jest w cenę biletu wstępu?

- Oczywiście.

- Tak - uśmiechnął się do siebie, podziwiając swą przebiegłość. - Radzę ci, idź do pani Storr i powiedz: „Dziś wieczorem opłata za poczęstunek pobierana będzie przy drzwiach.” Nic więcej tylko to.

- Cudownie - wykrzyknął Ken i natychmiast pobiegł korytarzem do kuchni, jakby zwłoka mogła osłabić moc tych słów. Na progu zatrzymał się, wyprostował z godnością i donośnym głosem oznajmił: „Opłata za poczęstunek pobierana będzie przy drzwiach”. Ponieważ nie było odpowiedzi, a kobiety tylko się weń wpatrywały, powtórzył komunikat.

- To znaczy, że pani Fettle z - zgodziła się? - wyjąkała Maddy.

Pomny instrukcji, Ken skinął tylko głową.

- Nie sądzą panie, że teraz moglibyśmy napić się herbaty?

Tessa odzyskała wreszcie głos.

- Oczywiście, panie Tustin. - Podbiegła do okienka i gwałtownie je otworzyła. - Wznawiamy normalną obsługę - ogłosiła radośnie i zwracając się do Maddy dodała:

- Lepiej to wszystko rozpakuj, i to szybko.

W holu zamarł handel. Na stoisku z produktami spożywczymi został tylko słoiczek sosu chutney i blady placek z owocami. Chutney opadł w słoiku, a zakrzepła warstewka na wierzchu zdradzała jego zdezaktualizowaną datę przydatności do spożycia. Jakość placka zaś była sprawą tak żenującą, że gdyby pani Frogmorton udało się przeforsować oznakowanie straganu napisem „Stoisko Klubu Kobiet”, ten wypiek w ogóle nie zostałby dopuszczony do sprzedaży. Stoiska z zabawkami i kartkami świątecznymi świeciły pustkami. Pani Burrows poszła na herbatę, a małżonkowie Brownie, uprzednio para sprawnych sprzedawców, zaczęli się kłócić i powarkiwali na siebie z

rozognionymi twarzami. Beczka z prezentami, jak przekonało się o tym parę rozzłoszczonych dzieciaków, nie kryła już żadnych niespodzianek. Święty Mikołaj zdejmował brodę w męskiej toalecie, w stoisku państwa Grace brakowało pięciu funtów, a ich córki Pippy nigdzie nie można było znaleźć.

Gościom nie chciało się jednak wracać do domu. Powoli pili herbatę przy stolikach lub plotkowali w małych grupkach. Klientelę przy okienku stanowili głównie zmęczeni i głodni sprzedawcy ze stoisk. Obsługiwanie ich i gawędzenie z nimi - na przykład z panem Bultitude - wróciło Tessie dobre samopoczucie. Nieomal zaczynała się już dobrze bawić. Wcześniej musiała sama siebie zagrzewać do pracy. Potem, po wrzaskach Maddy, nie mogła się na niczym skupić. Teraz czuła się jak obudzona ze snu, który przyniósł jej wypoczynek. Życie toczy się dalej, pomyślała.

Odniósłszy, jak sobie wyobrażała, wielkie zwycięstwo, Maddy nie przestawała mówić. Kiedy podchodził klient, milkła na chwilę, po czym podejmowała wątek na nowo.

- Jak z tego widać, trzeba się uprzeć. Naturalnie wyobrażały sobie, iż stracimy nerwy. Na to liczyły. Myślały, że skoro wszystko przygotowaliśmy, nie będziemy wiedziały, co z tym zrobić. Ale im pokazałyśmy. Dałyśmy im nauczkę. Chciałabym zobaczyć, jakie teraz mają miny.

Tessa podeszła do worka na śmieci i wrzuciła do niego na pół zjedzoną kanapkę.

- Zamknij się - powiedziała.

Maddy rozejrzała się, przypuszczając, że Tessa ostrzega ją przed czyjąś obecnością, lecz okienko było puste, a drzwi do kuchni zamknięte.

- Co takiego? - zapytała.

- Powiedziałam wyraźnie: zamknij się - rzekła wolno Tessa, rzucając brudny talerz do wody, w której Maddy zmywała naczynia.

Niechęć do dawnej przyjaciółki przyprawiła ją o nerwowe drżenie. „Dam jej w łeb, jeśli powie jeszcze słowo” - pomyślała i wyszła z kuchni, by poszukać brudnych naczyń w części jadalnej.

Dolly i Rose wracały pośpiesznie do domu, mając jeszcze w uszach przymilne słówka Kena Tustina.

- Panie już wychodzą? Ale zobaczymy się dziś wieczorem? Dobrze? Miło mi to słyszeć. Zamieniłem słówko z... pewną kobietą i

mogę panie zapewnić, że będziemy postępować w tym samym trybie, co zwykle. Rozumieją panie, do czego zmierzam? To dobrze, gdyż nikt lepiej niż panie nie umie stworzyć takiego miłego nastroju. A więc zobaczymy się później. Pozwolą panie, że otworzę drzwi...

- To miłe, co pan Tustin powiedział, czyż nie? - rzekła Dolly rozmarzonym głosem.

Rose nie czuła się na siłach, aby jej odpowiedzieć. Właśnie odkryła, że pierwszą rzeczą, jakiej pragnie, jest to, aby się wypłakać. W tym celu chciała jak najprędzej znaleźć się w zaciszu domowym, gdyż pozwalała sobie na łzy tylko w zupełnej samotności. - Wejdiesz na momencik?

- Nie, chciałabym przez chwilę zostać sama, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dobrze się czujesz, Rose?

- Jasne, że tak. Muszę tylko trochę odpocząć. Zajdę po ciebie za kwadrans ósma.

- Niech będzie - zgodziła się Dolly.

Rose otworzyła bramę i podreptała ścieżką do domu. Czuła się wykończona i stara.

Kiermasz zakończył się. W kuchni należało już tylko posprzątać. Dlaczego wszyscy muszą tu wchodzić, zastanawiała się Maddy, kiedy tak bardzo chcę porozmawiać z Tessą.

- Cudowny poczęstunek, moje kochane - wykrzyknęła Eleanor, odkładając rzeczy nie tam, gdzie trzeba. Ona też starała się być pomocna.

W korytarzu rozległ się perlisty, donośny śmiech.

- Mam nadzieję, że Timothy nie jest zmęczony - rzekła Tessa. - Przecież jutro niedziela.

Eleanor upuściła ścierkę i złapała się za głowę.

- Zapomniałam! Na miłość boską, o czym ja myślę? On całe popołudnie nadwyreżał głos. Nie będziecie miały mi za złe, że sobie pójdę? Jane wam pomoże.

Do diabła, myślała Maddy. W każdej chwili ktoś może wejść, powiedzieć, że Tessa wygląda na zmęczoną i przepadnie moja ostatnia szansa. A ona bynajmniej nie wygląda na zmęczoną, przeciwnie - sprawia wrażenie, jakby odżyła. Robi to celowo. W ten sposób chce pokazać, że nie zależy jej na naszej przyjaźni. Co ja zawiniłam? Wiedziała, co sądę o opłatach za poczęstunek, przyznała mi rację,

była świadkiem, jak zrobili mi świństwo. Więc dlaczego zwraca się przeciwko mnie?

- Prawdę mówiąc - rzekła Jane Bowman - martwię się. Pippa zniknęła, a Sarah straciła głowę. Czy bardzo byłoby wam nie na rękę, gdybym...

- Oczywiście, że nie. Idź zaraz. Sarah cię potrzebuje.

- Dziękuję. Dobranoc.

To już chyba koniec procesji do kuchni - pomyślała Maddy. Z holu dobiegały męskie głosy. Składano stoiska i ustawiano stoły na wieczorny turniej. Maddy zdjęła fartuszek, złożyła go i odezwała się:

- Tesso... - Tak?

- Powiedz, co ja takiego zrobiłam? Mam pozwolić, żeby znów zawracała mi głowę? - pomyślała Tessa, wstawiając ostatni stos talerzy do kredensu. Wyprostowała się i popatrzyła przenikliwie na Maddy.

- Nie poznaję cię - rzekła.

- Nie poznajesz mnie?

- I nie bardzo chcę. Mam cię serdecznie dosyć - tego, co się z ciebie zrobiło. Gdybyś mogła słyszeć siebie dziś po południu, jak oczerniałaś tę nieszczęsną staruszkę, jak się z niej wyśmiewałaś. Zawzięłaś się, że jej pokażesz, co? Moje gratulacje, piękny cel. A wszystko to tylko po to, żeby za wszelką cenę dokuczyć komuś, kto ma tak niewiele. To wyjątkowa niegodziwość.

- Niegodziwość? - Maddy nerwowo zamrugła oczyma. - Jeśli już mówimy o nickszemności, to czy nie należałoby tak nazwać raczej postępowania Rose Fettle? A kto chce zagarnąć fundusze przeznaczone na remont dachu kościoła, nie mówiąc o jedzeniu, na które wszyscy się składali?

- Żebym tego więcej nie słyszała! - oburzyła się Tessa. - Wiesz, twój sposób rozumowania jest nienaganny, bez dwóch zdań, ale wszyscy czujemy, że coś tu nie gra. Nikogo nie przekonałaś. Wszyscy chcą, żebyś się po prostu zamknęła. Nie widzisz tego? I co się takiego stanie, jeżeli paru staruszków na emeryturze trochę się rozerwie na koszt innych? Nikomu to nie wadzi. Jeśli im tego żałujesz, jest prosty sposób - idź na turniej i spakuj, co twoje. Boże, dlaczego muszę ci to wszystko mówić? Parę miesięcy wcześniej zrozumiałabyś o co chodzi i uśmiełabyś się. Zwariowane stare Wychwood - powiedziałybyś. Zmieniłaś się, Maddy - ciągnęła już ciszej. - Ostatnio jesteś ślepa na

wszystko z wyjątkiem tego, czego sama chcesz. Nikogo nie oszczędzasz... wykorzystujesz ludzi. Zobacz, co zrobiłaś Phoebe.

- Tego już za wiele. Jestem dobrą przyjaciółką Phoebe, czego nie można powiedzieć o większości mieszkańców tej wioski.

- Owszem. Byłaś przyjaciółką Phoebe, Annie Seymore, mnóstwa z nas. Kiedyś. Zrobiłaś krzywdę Phoebe, wykorzystując ją niecznie do własnych celów. Przyznaj, że tak było!

Twarz Maddy stała się kredowobiała. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W kuchni panowała złowroga cisza - jedyny odgłos dochodził z ciekącego kranu. Odwróciła się do ściany i przytrzymała się krawędzi lady.

- A ta twoja energia - rzekła cicho Tessa - cudowna, wzbogacająca życie. Poprawiała ludziom samopoczucie. Kochałam cię za to. Ale ty zużytkowałaś ją wyłącznie w jednym celu... - Urwała w pół zdania. Jeszcze minuta i cała sprawa wybuchnie niczym wulkan. Schyliła się pod ladę w poszukiwaniu torebki. - Myślisz, że znajdą wszystko wieczorem? - spytała, obrzucając spojrzeniem przykryte folią talerze z ciastkarni i plastikowe pudełka pełne kanapek, przygotowane dla Dolly Cloomb i Rose Fettle.

- Co? O tak, na pewno - rzekła Maddy, nadal kurczowo trzymając się lady.

- A więc w porządku.

- Tesso... - zaczęła z wolna Maddy odwracając się. Ale Tessy już nie było.

Rozdział 31

Robert był coraz bardziej zaniepokojony. Maddy już od godziny leżała w wannie. Podszedł do schodów i zatrzymał się, patrząc w górę i zastanawiając się, co robić. Czyż nie była umówiona z Nickiem o ósmej? Wcześniej wspomniała też coś o spotkaniu z jakąś działaczką z Klubu Kobiet.

Niepokój narastał w nim od czasu zakończenia kiermaszu w domu ludowym. Robert pomagał Kenowi Tustinowi i innym ustawiać stoliki do gry w karty na wieczór.

Wyszedłszy na korytarz między salą główną a kuchnią usłyszał podniesione głosy - Maddy, jak mu się wydawało, i bezsprzecznie Tessy. Wycofał się, po czym, w pięć minut później, ujrzał jak bocznymi drzwiami wybiega Tessa. Robert pośpieszył za nią, ale zniknęła mu z oczu na ulicy Kościelnej. Maddy nadal była w kuchni.

- Idziesz do domu? - zapytał.

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

I rzeczywiście, pomyślał, od tamtej pory robiła i mówiła niezwykle mało - przebrała się, obejrzała wiadomości w telewizji i usmażyła jajecznicę.

- Nie jestem głodna. Odkąd wstałam dziś rano z łóżka, widzę tylko jedzenie - rzekła i poszła na górę wziąć kąpiel.

- Uwierzyłem ci, Tesso Brierley - powiedział do siebie szeptem. - Mam nadzieję, że się nie omyliłem. - Wyobraził ją sobie: masa ciemnych włosów, blada twarz, spokojne, niemal smutne oczy - i stwierdził, iż nadal jej ufa. Pobiegł na górę i zawołał pod drzwiami łazienki: - Chyba nie utonęłaś, co? - Starał się, by głos jego zabrzmiał lekko i beztrąsko.

Usłyszał plusk wody.

- Za minutę wychodzę - zawołała Maddy.

Księżyc jaśniał wysoko na niebie. Na chodniku skrzył się mróz. Dolly i Rose trzymając się pod ręce pędziły ulicą. Z ust wydobywały się im kłęby pary, widoczne w świetle narożnej latarni. Wkrótce znalazły się przed domem ludowym, widniejącym w ciemności niczym rozświetlony okręt.

- Och, będzie cudownie, Rose.

- Zapewne, Dolly.

Gdy zeszła na dół, zastała go w kuchni. Odkrobywał z patelni resztki jajecznicę.

- Robercie...
- Hm?
- Możesz mi dać butelczynę czegoś dobrego?
- Myślałem, że masz spotkać się z przewodniczącą waszego regionu.

- Odłożyłam to. Proszę cię, Robercie. Tessa jest sama. Potrzebuję czegoś specjalnego, żeby poprawić jej humor.

- Dobrze. - Wytarł ręce, poszedł na górę i wrócił z butelką najlepszej brandy. - Wspomniała dziś rano, że ma kaca, więc na twoim miejscu nie ryzykowałbym wina. Ale kropelka tego nie zaszkodzi. - Postawił butelkę na stole.

- Och, Robercie, dziękuję.

- Ale pamiętaj, przynieś z powrotem to, czego nie wypijecie.

Roześmiała się i podbiegła, by go pocałować.

- Jesteś równym facetem - powiedziała przymilnie. Włożyła palto i chwyciła butelkę. - Nie licz, że wrócę późno. Przemyślałam wszystko i doszłam do wniosku, że miałeś rację. Za dużo na siebie biorę. W przyszłości będę robić dużo mniej.

W milczeniu odprowadził ją do drzwi.

- Wyjrzyj tylko! - zawołała. - Jasno jak w dzień!

- Tessa na pewno jest w domu? - krzyknął, gdy szła już ścieżką.

- Musi być! - odkrzyknęła i popędziła przed siebie, jakby biegła komuś na ratunek.

Robert spojrział w ślad za nią. Mknęła jak strzała połyskująca w świetle księżyca.

„Proszę, bądź w domu” - błagał w myślach Tessę.

Jedynym dźwiękiem rozbrzmiewającym w Holly House było tykanie zegara w holu - donośne, miarowe, uspokajające. Tessa wsłuchiwała się w nie z uwagą. Urwis leżał obok niej na sofie, zwinięty ciasno w kłębek. Lewą stroną ciała przywarła do oparcia sofy i pochyłona lekko w przód oplótła ramionami kolana. Tylko zegar i pies do towarzystwa, myślała, wyobrażając sobie Nicka i Maddy pijących piwo w pubie w Erdington. Celowo odtworzyła w głowie ten obraz, usiłując wzbudzić w sobie poczucie osamotnienia. Jakikolwiek doznanie przyniosłoby jej ulgę, ale nadal miała w duszy tylko pustkę.

Tik - tak, tik - tak flegmatycznie tykał zegar. Po czym jak gdyby zebrał się w sobie i zafurkotał. Za chwilę przeżyjemy trochę emocji,

obiecał, uderzę bowiem osiem razy. Tessa czekała. I oto nadeszły: osiem uderzeń niczym bicie dzwonu - dość pośpiesznych, jak na ów pełen godności, starodawny czasomierz.

Nagle Urwis zerwał się, zaskomlał i błyskawicznie przebiegł przez dywan.

- Dobrze, dobrze - mruknęła, gramoląc się z sofy. Otworzyła drzwi. Za progiem stała Maddy z butelką brandy w ręce.

- No, wejź - powiedziała Tessa.

Nick siedział skulony w samochodzie na parkingu w Bay Tree. Spóźnia się, pomyślał, ponieważ ja przyjechałem za wcześnie. Zawsze tak jest.

Tessa poszła do Jasmine Cottage wczesnym przedpołudniem. On zaś nie mógł znaleźć sobie miejsca i wciąż spoglądał na zegarek. Liczył godziny nie dlatego, iż tęsknił za Tessą, lecz za rozmową o niej. Z tego powodu zatelefonował do Marchmondów. Miał nadzieję, iż zamieni słówko z Viv, a nawet że przyjaciółka go zaprosi, by dokładniej omówić wczorajsze zachowanie Tessy.

- Viv jest w Londynie - oznajmił Jerry pogodnie. - Na demonstracji. Słuchaj, Nick, dzięki papierom Colina nasza sprawa jest bezsporna. Przyjeźdź i sam zobacz. Ty też możesz znaleźć się w kolejce do fotela kierownika katedry.

- Przykro mi, Jerry, jestem strasznie zajęty. Chciałem tylko zapytać o coś Viv. To może poczekać.

Po południu pojechał na uniwersytet, by trochę popracować, lecz niebawem stwierdził, że zbytnio dokucza mu głód. Nie jadł przecież lunchu. Na terenie uniwersytetu (nieszczęsne miejsce) wszystko było pozamykane, podjechał więc do śródmieścia i zaparkował koło dużego domu towarowego; tu także nie było gdzie zjeść - z wyjątkiem opustoszałej kawiarenki, w której stawiali już krzesła na stolikach. Wreszcie, zdesperowany, wszedł do knajpki, gdzie sprzedawano hamburgery. Pełno w niej było wyrostków, błazeństwami usiłujących wypełnić sobotnie popołudnie. Zaniósł swoją porcję do stolika pod oknem i wyglądał na zewnątrz, starając się nie zwracać uwagi na wysoki młodzieży. Za dużo kieszonkowego, myślał, wspominając cięższe czasy. Przełknął smakujące plastikiem jedzenie i wypił letnią kawę. Wychodząc ujrzał przypadkiem swe odbicie w lustrze - facet w podniszczonym ubraniu, ze zniecierpliwieniem przeciskający się przez tłum dzieciaków. Teraz domyślał się już, że Maddy zawiodła go na

całej linii; było dziesięć po ósmej. „Wyśmienite jedzenie, piwo z beczki” - głosiła tablica z drugiej strony parkanu. Postanowił to sprawdzić. Maddy zna jego samochód i zgadnie, gdzie go szukać. Zdecydował na wszelki wypadek zostawić karteczkę pod wycieraczką. Wyciągnął pióro i znalazł skrawek papieru. „Poszedłem na piwo” - napisał.

Maddy biegła do Holly House lękając się, że nie zastanie Tessy. Gdy ją ujrzała, odczuła wyraźną ulgę, lecz mimo to nie potrafiła gładko przejść do rzeczy.

- Chciałabym wszystko naprawić - wykrztusiła z trudem.

Tessa spojrzała na butelkę brandy.

- Dla kogo to?

- Dla nas. Poprosiłam Roberta o jakieś wino, ale zaproponował brandy ze względu na twojego kaca.

- A więc mamy to wypić we dwie?

- Jeśli się zgodzisz.

- No to chodź. Poszukam kieliszków. Zaprowadziła ją do jadalni, skąd wzięła dwa pękate kielichy, a stamtąd do saloniku, gdzie postawiła kieliszki na niskim stoliku i zajęła miejsce na sofie.

Maddy nalała sobie brandy, wręczyła też napełniony kieliszek Tessie i usiadła w fotelu naprzeciwko.

- Zachowałam się jak świnia - powiedziała cicho, wpatrując się w swego drinka. - Wszystko, co powiedziałaś, to prawda. Zrobię, co będę mogła, żeby to naprawić.

Tessa po trochu sączyła alkohol ze swego kieliszka.

- Myślałam o nas - odezwała się znów Maddy. - Najbardziej na świecie zależy mi na tym, żebyśmy były przyjaciółkami.

- Może - rzekła wreszcie Tessa - mogłybyśmy wrócić do punktu, gdzie znajdowałyśmy się przedtem. Nim wszystko między nami się popsuło. Kiedy to było? We wrześniu? Powinnyśmy cofnąć się do tamtych dni.

Maddy odetchnęła z ulgą.

- Naprawdę możemy?

- Warto spróbować. Wszystko jest możliwe. Świadomość jasno wytyczonego celu uspokoiła je.

- Jadłaś już kolację? - spytała Tessa. - Bo ja nie i umieram z głodu.

- Też nic nie miałam w ustach.

- Zróbmy sobie coś - rzekła Tessa zrywając się. Maddy poszła jej śladem. - W zamrażalniku mam pizzę. Możemy też usmażyć omlet. A chciałabyś zapiekanekę z serem?

- Zobaczę, co masz w kuchni - powiedziała Maddy.

Jedzenie w przypadkowo odkrytej knajpce okazało się więcej niż znośne.

- Muszę przyjść tu z żoną - powiedział Nick właścicielce. - Ta wegetariańska moussaka na pewno przypadnie jej do gustu.

Wspomniął o Tessie z zupełnym spokojem, gdyż było już po dziewiątej i nie miał najmniejszych obaw, że wejdzie Maddy i w ten sposób zniszczy obraz małżeńskiego ładu, który - jak dał gospodyni do zrozumienia - panuje w jego stadle. Maddy wystawiła go do wiatru. Poczuł, iż w najmniejszym stopniu go to nie obeszło. Tak czy tak, wieczór przebiegł zadziwiająco przyjemnie.

Wracając do Wychwood czuł się ożywiony i uwolniony od swych lęków. Podpełzały z wolna, lecz teraz towarzyszyło im nieco zdrowego rozsądku. Doszedł do wniosku, że tylko z jedną osobą warto rozmawiać o Tessie - z nią samą.

- Mam nadzieję - rzekła Maddy, jedząc z apetytem risotto - że Rose Fettle i Dolly Cloomb spędzają cudowny wieczór. Może bawią się równie dobrze jak my.

Tessa uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona ze słów przyjaciółki.

- Wyobrażam je sobie - ciągnęła Maddy - jak ubrane w najlepsze sukienki chodzą od stolika do stolika, wciskając wszystkim smakowite kąski: „Jeszcze kanapkę z fałszywym krabem, panie Tustin?"; „Ach, panie Whitton, musi pan spróbować tych migdałowych ciasteczek"; „A może kawałek tortu, pani Bull?" Przyjmowanie opłat za poczęstunek zrujnowałoby im cały wieczór.

- Zabawne, że to mówisz - rzekła Tessa z pełnymi ustami. - Dziś po południu pani Bull była mocno rozczarowana nie znalazłszy Nicka. Powiedziała, iż obiecał kupić jej kawałek tortu.

Po sekundzie wahania Maddy bez trudu poradziła sobie ze wzmianką o Nicku.

- Biedna staruszka, pewnie całe popołudnie miała przez to zepsute. Ale chyba teraz to nadrabia, robiąc słodkie oczy do Kena Tustina. Tessa - rzekła po chwili - pamiętasz, jak chodziłyśmy na kurs jogi?

- Tak, świetnie się bawiliśmy.

- Może znowu do tego wrócimy? W ośrodku sportowym w Fetherstone można ćwiczyć jogę w poniedziałki wieczorem.

„W poniedziałki wieczorem!”, pomyślała Tessa i rzekła: - Dobrze, spróbujmy. Na pewno będzie świetnie.

Właśnie piły kawę w saloniku, gdy Urwis cicho zaszczekał i trzasnęły drzwi garażu. Maddy pobladła, lecz Tessa mówiła coś dalej, nie przerywając sobie. W domu rozlegały się odgłosy szybkich kroków, które gwałtownie milkły w drzwiach salonu.

- Co ona tu robi? - zapytał wojowniczo Nick, ujrawszy Maddy.

Tessa spojrzała na męża z niechęcią..

- Zjadliśmy razem z Maddy kolację. Było bardzo przyjemnie - jak za dawnych czasów. Mamy zamiar znowu zacząć ćwiczyć jogę. Prowadzą zajęcia w Fetherstone w poniedziałkowe wieczory.

- Muszę iść - rzekła Maddy.

- Odprowadzimy cię, prawda, kochanie?

- Chyba tak. Czyja jest ta brandy?

- Roberta - odparła Maddy. - Pożyczył mi. Resztę musimy zanieść z powrotem.

Poszły do zmywalni po pałta.

- Idziesz, Nick? - spytała Tessa.

- Za moment - odpowiedział, zbiegając na dół do garderoby.

Czekały na Nicka przed domem. Po przeciwnej stronie drogi Dan Whitton z małżonką wyciągali panią Bull ze starego samochodu Daveya Partridge'a.

- Hej, jak tam udał się turniej gry w wista? - zawołała Maddy.

- O, świetnie, złotko - odparła pani Whitton - i muszę powiedzieć, że poczęstunek był lepszy niż kiedykolwiek. No nie, Dan? Chociaż szkoda, że pierwszą nagrodę musiała wygrać para ze Steeple Cheney. Nie mam, broń Boże, pretensji, ale oni zawsze wygrywają.

- Nieważne - rzekł Dan. - Za to ty dostałaś nagrodę dla najgorszego zawodnika, moja droga.

Okazało się, że mówił o pani Bull.

- Nagrodę dla najgorszego! - zaśmiała się. - Jak ją zwał, tak ją zwał, dla mnie to tabliczka czekolady. - Odwróciwszy się dostrzegła Nicka, który właśnie zamykał za sobą drzwi. - Tu cię mam, ty łobuzie. A co z moim tortem?

- Najwyraźniej obiecałeś, że postawisz jej kawałek tortu na kiermaszu - przypomniała Tessa.

Z udaną rozpaczą chwycił się za głowę.

- Pani Bull! - zawołał - czy może mi pani wybaczyć? Wynagrodzę to. Już wiem: jutro wpadnę do pani przed lunchem i pójdziemy na piwo do „Lwa”.

- W niedzielę? - krzyknęła zgorziona. - Nigdy! Ale możesz mnie zaprosić do pubu w każdą sobotę. Ja piję słodkie sherry - dodała.

- Jak pani sobie życzy, pani Bull.

- Tylko nie zapomnij.

Tessa i Maddy ruszyły z wolna, trzymając się pod rękę. Nick słyszał, jak się z niego naśmiewają.

- Zaczekajcie! - zawołał doganiając je.

Wsunął rękę pod wolne ramię Tessy.

- Dopadła cię. Tak, jak nic zabulisz za stek, frytki i ciastko czekoladowe - żartowała Maddy.

Szli wolno środkiem drogi. Tessa przyciskała ich mocno do siebie. Nie mogła uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Spojrzała na księżyc. Wydawało się jej, że na jego krągłym obliczu widnieje uśmiezek. Śmieję się, ile chcesz, pomyślała. Nic mnie to nie obchodzi!

Kilku maruderów ociągało się jeszcze z opuszczeniem domu ludowego.

- Dobranoc, dobranoc - wołali do siebie.

We wszystkich oknach Jasmine Cottage świeciło się światło. Maddy ujrzała, że drzwi wejściowe są uchylone i przypomniała sobie, iż wybiegła bez klucza. Robert zawsze o wszystkim pomyśli. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że przecież przyprowadziła ze sobą Nicka. Zostawiła ich i pobiegła naprzód, by uprzedzić męża.

- Robercie! - zawołała.

Tessa ociągała się w bramie, odgadując lęk przyjaciółki. Księżyc opromieniał jej włosy srebrzystą poświatą. Patrząc na żonę Nick zapragnął stawić czoło swym najgorszym obawom.

- Tesso - powiedział chwytając ją za ramię - nie zostawisz mnie, prawda?

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- No jasne, że nie - powiedziała i dodała w myślach: „Po tym wszystkim, co przeszłam?”

Ogarnął go nagły przyпіływ czulości. Objął ją i oparł głowę na jej ramieniu. Poczul się spokojny, bezpieczny. Teraz może już to z siebie wyrzucić, złożyć oczyszczające wyznanie i wszystko naprawić.

- Kochanie, znów postąpiłem podle. Musisz też wiedzieć, że Maddy nie jest tak dobrą przyjaciółką, jak myślisz.

- Przestań - krzyknęła ostro, odpychając go. - Nie chcę tego słuchać, rozumiesz? Ani teraz, ani nigdy. Wiem, że ciężko jest ci zatrzymać to przy sobie, ale weź się w garść! Niektóre rzeczy musimy zachować dla siebie, gdyż są zbyt bolesne, by obciążać nimi innych. Przykre to, ale pora, byś się nauczył. To się nazywa dorastanie.

Nick stał bez ruchu. Przypomniały mu się słowa, które kiedyś wypowiedział Colin.

- Wejdziecie? - zapytał przyjaźnie Robert, ukazując się w progu.
- Zostało jeszcze trochę brandy.

Wyciągnęła rękę.

- Idziesz? - spytała.

Objęci wpół poszli wolno ścieżką, po czym zniknęli za drzwiami Jasmine Cottage.